STEFAN FLUKOWSKI

OJCIEC HO

KAZIMIERZ BRANDYS

NIEDŹWIEDŹ

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

LEOPOLD INFELD

MOJE WSPOMNIENIA O EINSTEINIE

NICOLAS GUILLEN

ELEGIA Z KUBY

HENRYK MARKIEWICZ

NIESPODZIANKI „ROKU 1794"

LESZEK KOŁAKOWSKI

REFLEKSJE NIEFACHOWE

NAD GRZEGORZEM PAWŁEM

9

TWÓRCZOŚĆ

TWÓRCZOŚĆ

WRZESIEŃ 1955

9

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XI WRZESIEŃ 1955 Nr 9

SPIS TREŚCI

Stefan Flukowski
OJCIEC HO
Str. 5

Kazimierz Brandys
NIEDŹWIEDŹ
Str. 7

Ewa Fiszer
O PRZYJAŹNI PORY DNIA KOMUNIZM PIECHUR WIECZÓR LETNI
WIECZÓR ZIMOWY Z TOBĄ
Str. 38

Leopold Infeld
MOJE WSPOMNIENIA O EINSTEINIE
Str. 41

Nicolas Guillen
ELEGIA Z KUBY
(przeł. *Zofia Szleyen*)
Str. 86

Andrzej Stawar
LITERATURA I OBYCZAJ
Str. 90

Miguel Cervantes
PIEŚŃ ZAKOCHANEGO STUDENTA NIEOPATRZNEMU PIEŚŃ KARDENIA
SONET ZWIERCIADLANEGO RYCERZA PIEŚŃ CHRYZOSTOMA
(przeł. *Anna Ludwika Czerny*)
Str. 101

Henryk Markiewicz
NIESPODZIANKI „ROKU 1794"
Str. 107

Zbigniew Herbert
UWAGI O POEZJI JÓZEFA CZECHOWICZA
Str. 129

Leszek Kołakowski
REFLEKSJE NIEFACHOWE NAD GRZEGORZEM PAWŁEM I NIEŚMIERTELNOŚCIĄ DUSZY
Str. 136

Wśród książek
POETA SERCA — *Stefan Lichański*
Str. 149

ROMANTYK NASZYCH CZASÓW — *Stefan Lichański*
Str. 153

ZIELONE SKRZYPCE — *Stefan Lichański*
Str. 156
PROBLEM „KUKUŁKI" I INNE — *Janina Pregerówna*
Str. 157
PISARSTWO KAMERY FILMOWEJ — *Ludwik Grzeniewski*
Str. 162
PRAWDA MIMO WOLI — *Andrzej Biernacki*
Str. 164
SENSACJA I TEMAT WSPÓŁCZESNY — *Ryszard Wasita*
Str. 166

Teatr

„DOŻYWOCIE" CZYLI O TRAFNOŚCI NIEZROZUMIANEGO MOTTA — *Wojciech Natanson*
Str. 170

Na widnokręgu

GENEWA — WARSZAWA — *Jarosław Iwaszkiewicz*
Str. 177
ŚMIERĆ TOMASZA MANNA — *Roman Karst*
Str. 178
Z FESTIWALOWEGO NOTATNIKA — *Zbigniew Stolarek*
Str. 179
WŚRÓD PISARZY, GOŚCI FESTIWALOWYCH — *zb*
Str. 182
FESTIWALOWA NIESPODZIANKA — *jl*
Str. 185
PRZEGLĄD RADZIECKICH CZASOPISM LITERACKICH — *Józef Spinc*
Str. 185

Książki nadesłane
Str. 190

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, cent. 8-24-11, wewn. 54. Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena numeru zł 7.— Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 4485/c z dnia 8.VIII.55 r. Nakład 5210. Druk ukończono we wrześniu 1955 r. B-6-11225

Stefan Flukowski

OJCIEC HO

Pewnego dnia Nowego Czasu
Ojciec Ho
w podzwrotnikowych gąszczach
ze serca swego ludu
wyzwolił czerwonego tygrysa.
W głębiach bagnistego lasu
Ojciec Ho
tygrysa jak poemat podpisał
imieniem
REWOLUCJA.

Innego dnia Nowego Czasu
Ojciec Ho
ze serca swego ludu
powołał do życia
purpurowego tygrysa w złote pasy.
W swej bambusowej chatce
podpisał go nagłówkiem
GODNOŚĆ LUDU.

W inny dzień Czasu Nowego
Ojciec Ho
z serca wietnamskiego ludu
wypuścił tygrysa złotego
z rubinowymi oczami
i podpisał go na wskroś,
w poprzek i na przestrzał
WOLNOŚĆ

w domku o ścianach
z przezroczystego powietrza.

I jeszcze któregoś dnia Nowej Epoki
Ojciec Ho
wyprowadził ze serca swego narodu

ostatniego tygrysa koloru elektronu
i podpisał go na górze i u spodu
POSTĘP.

A kiedy przyleciały ciężkie bombowce,
przypełzły czołgi,
zagrzmiały działa,
gdy obłoki rozpierzchły się jak owce
i pod ciosami bestii ludzkich
dżungla jak łania zadrżała,
Ojciec Ho
przywołał swoje cztery tygrysy
i rzekł:
„Oto chwila,
byście wyszły naprzeciw
potworom
tętnice poprzegryzać
w imię REWOLUCJI
w imię GODNOŚCI LUDU
w imię WOLNOŚCI
w imię POSTĘPU.

I tygrysy:
czerwony,
purpurowy w złote pasy,
złoty z rubinowymi oczami
i ten koloru elektronu
skoczyły!!

Stefan Flukowski

Kazimierz Brandys

NIEDŹWIEDŹ

1

Wśród pierwszych szarug i przymrozków minął listopad, potem byłem w Krakowie i zdaje się, że ani mi przez myśl nie przeszło obchodzić jakieś rocznice. Ale przyszedł pewien dzień, kiedy zbudziło mnie białe okno w pokoju, a gdy przetarłem szybę, nieopodal zerwała się wrona ulatująca z wyschłej i nagiej gałęzi. Zdziwiłem się, że tak jest cicho jak w zimie, a tu rzeczywiście była już zima, koniec grudnia, niedaleko do świąt. I przyszło mi na myśl, czy to doprawdy dziesięć lat od tamtych dni: a tak, policzyłem, równe dziesięć lat, choć to się prawie w głowie nie mieści, bo ów czas od Adelina nadzwyczaj szybko przeleciał, jakkolwiek tyle się w nim stało.

Ale prawda, że przyjechaliśmy tam wcześniej, w październiku, i jeszcze pogody były piękne. Trafiliśmy na kopanie kartofli, ziemia leżała szeroko, szaropłowa, ledwie pozłocona stygnącym jesiennym światłem i tylko u widnokręgu znaczniejsza w zetknięciu z niebem wciąż przejrzystym i ciepłym.

Kazano nam wysiąść z wagonów, z długich odkrytych lor węglowych. Po dziesięciu tygodniach nagle znaleźliśmy się na prawdziwej ziemi, w której człowieka chowają starannie i w ciszy. Skrzypiały wozy w piachu, gdzieś zagwizdał ptak, znikąd nie walił się strop ani mur, ani huk; wtedy zrozumiałem, co to naprawdę jest ziemia.

Nie wyszedłem sam z Warszawy. Wyszliśmy razem z dziewczyną, którą znałem już dziesięć lat. W Pruszkowie podrobiłem zwolnienie lekarskie z podpisem „Stabsarzta", dzięki temu przedostaliśmy się na halę 2. Z tej hali wywożono chorych do miasteczek i wsi. Byliśmy oboje brudni i głodni, wyglądem niewiele różniliśmy się od chorych; więc pierwszy kordon nas przepuścił. Powiedziałem Magdzie (takie imię miała ta dziewczyna), że nie wolno jej się uśmiechać ani pytać mnie o nic, najlepiej milczeć i nikomu nie patrzeć w twarz. Zresztą i tak milczeliśmy ze zmęczenia, wlekliśmy się bez słowa w tłumie. Wreszcie przepuścił nas i drugi kordon. To już była wolność, gdy zadźwięczały bufory i transport ruszył. Półtora dnia jechaliśmy pod deszczem. Mieliśmy trochę chleba i cebuli, a kiedy wysadzili nas w polu, deszcz już nie padał, świeciło słońce, koło torów czekały furmanki. Uprosiliśmy jakiegoś człowieka, żeby nas zawiózł jak najdalej, za las, daleko od kolei. Chwilę po-

myślał, a potem mruknął: — Do Adelina? — I tak znaleźliśmy się w Adelinie, 12 października 1944 roku. A w parę dni później wzięliśmy tam ślub.

Odbyło się to wprawdzie nie w samym Adelinie, tylko w odległym o 5 kilometrów miasteczku Lubieniu, gdzie był kościół. Kościół ten musiał być niegdyś obronny: wysoki, poczerniały, z krzepko osiadłą wieżą o dwóch ciemnych otworach strzelniczych pod hełmem. Stał na wzniesieniu okolonym murem i z daleka wydawał się podobny do rycerza na koniu, wyprostowanego w siodle, by czujnymi oczami spod kaptura przepatrzyć okolicę. We wnętrzu było chłodno i mrocznie, w bocznej nawie, gdzie odnawiano freski, bielały rusztowania, ksiądz marzł, a nam obojgu drżały ręce. Nie wiem, o czym ona myślała, ale ja myślałem o mojej matce. Gdzie się podziewa teraz, kiedy w jej życiu dzieje się tak ważna rzecz, że jej syn bierze ślub.

Z kościoła wracaliśmy pieszo, w zachodzącym słońcu. Droga do Adelina, rozorana, jakby od wieków toczyły się po niej żelazne koła armatnie, wiodła przez płytkie jary, pełne krzaków jeżyn i chaszczów. Bywają nieraz takie łagodne pęknięcia ziemi, bogatej i dojrzałej już bardzo, w które z czasem wlewa się życie i płynie tędy powolnym, wygodnym potokiem nieprzeliczone lata. Akurat bydło spędzano z pastwisk i krowy schodziły na drogę. Niektóre pobrzękiwały łańcuchami, uwikłane w zaroślach, i rycząc ocierały się z szorstkim szelestem o kłujące krzaki przydrożne. Wszystko zdawało nam się owego dnia podobne do snu, gdy wędrowaliśmy tak nieznaną drogą, przed zmierzchem, drogą prowadzącą z kościoła na wzgórzu, gdzie dano nam ślub, do wsi, w której mieliśmy spędzić noc poślubną i zamieszkać na nie wiadomo jak długo. A wciąż więzła nam w sercach ta straszna i znajoma sekunda ciszy, kiedy dziób samolotu lekko się nachyla, wybierając cel dla pocisku. Nie mówiliśmy o tym, ale też nie mówiliśmy i o innych rzeczach. Tak nas ta chwila dzieliła i wiązała, jak to się tylko we śnie może dziać, a rzadko na jawie.

Już niedaleko Adelina, mniej więcej od miejsca, z którego można dostrzec kryte blachą wieżyczki dworu, pobłyskujące zza świerków, zaczęliśmy mijać osoby trochę do nas podobne i łatwo się było domyślić, że to są ludzie z Warszawy. Zachowywali się głośno i nerwowo; taszcząc coś i śpiesząc w jakąś stronę, obrzucali nas zaciekawionym wzrokiem, a ktoś nawet zapytał zdyszanym głosem, czy zdąży przed nocą do Lubienia. Zapamiętałem chudego mężczyznę w obszernej pelerynie i w pumpach, który stawiał wielkie, patetyczne kroki bocianimi nogami, obutymi w zniszczone saperki. Ktoś za nim, zdaje się, biegł i wołał „panie magistrze!" — a może mi się tylko zdawało, w każdym razie wyglądało to trochę zabawnie i smutno.

2

Przez pierwsze dni ciężko nam było, chociaż trafiliśmy do porządnych ludzi. Izba znalazła się, nawet czysta i świeżo bielona, z wysokim łóżkiem, nad którym wisiała fotografia ułana z panną młodą w welonie. Ułan był w mundurze z 1920 roku, czuprynę miał ostrzyżoną do skóry i usta nie całkiem zamknięte, jakby się czemuś trochę dziwił. To byli nasi gospodarze, Gniazdowscy. A ona wcale się od tego czasu nie zmieniła, tyle tylko, że zabrakło jej zębów na przodzie i może oczy miała teraz bardziej wyłupiaste, zwłaszcza

kiedy patrzyła na Magdę, chodzącą po podwórzu w sportowej koszuli i spodniach.

Przez te pierwsze dni prześladowała nas Warszawa. Często budziła mnie w nocy i potem już do świtu nie mogłem zasnąć, mimo iż to tylko gałęzie wiśni ocierały się o szybę i gdzieś pies zaskowyczał. Ale zaraz waliły mi się na głowę ciężkie myśli: co teraz będzie, kiedy Warszawy nie ma, a naród tak się rozproszył po wsiach i miasteczkach? Tylko tam, w Warszawie, umiałem liczyć dni do końca wojny, bo tam czas dawał się zawrzeć w znajomych brzegach, liczyłem go po gasnących i zapalanych światłach okien, po napisach na murach, po płytach chodników i twarzach bliskich ludzi; a teraz leżało to wszystko stłuczone, zdruzgotane, i dni rozbiegły się przed nami po szarych, płaskich polach, nie do ogarnięcia wzrokiem ani myślą.

Październik do końca był suchy i ciepły, ale później nastały chłody, wszędzie unosił się ziołowy, gorzki zapach, aż przyszedł jakiś dzień znów pogodny, lecz prawie mroźny, i trzeba było jechać do lasu po drzewo. Wysiedleńcom przydzielano wtenczas kupy ściętych gałęzi i o taki przydział należało się postarać w leśniczówce. Gospodarz dał mi klacz z wozem i syna, Edzia Gniazdowskiego, który znał drogi leśne. Chłopiec to był 17-letni, nad podziw wyrosły, z nikłą twarzyczką o zawsze mokrych wargach i sporym czerwonawym nosie. W drodze okazał się dosyć gadatliwy; czasem trochę dziko pokrzykiwał na konia, a raz, pochwaliwszy się, że umie wiersze, ściągnął raptem lejce i wydeklamował znienacka:

„Jadzie, jadzie na kaśtance
Naś marsiałek w ciapce siwej!"

I tak jechaliśmy nierównym traktem pod wysoką ścianą lasu, przez doły zasypane liśćmi i suchym igliwiem, aż w pewnej chwili Edzio znów wrzasnął na klacz swym cienkim, osobliwie natężonym głosem, wysoko rozstawił łokcie i nagle skręciliśmy w las. Koła głucho zaturkotały po korzeniach, a kopyta zabiły głęboko i miękko na uginającej się i śliskiej ziemi pośród sosen. Potem niespodziewanie wyskoczyliśmy na kamienistą drogę, nadzwyczaj wąską, z wypukłym brukiem pośrodku, zaś po bokach zapadłą. Nareszcie w gościnnym rozwarciu drzew, podobnym do szeroko odemkniętych wrót, ukazała się polana i murowany budynek z drewnianym, pozieleniałym gankiem, w którym błyszczały szyby. Przed gankiem stała garstka ludzi z rowerem, wokół nich biegał wyżeł. Edzio powiedział, że to leśniczówka.

Kartkę na gałęzie dostałem bez szczególnych trudności, bo leśniczy akurat urzędował. Urzędował, ziewając, w ciemnej, prawie gołej izbie: dwie ławy pod ścianą i stół z kałamarzem, w kącie legły jakieś materace czy derki. Pasowało to do leśniczego, do jego zarośniętych policzków i nieczystych paznokci. Po chwili szurając butami weszli do izby ludzie z psem, co czekali przed gankiem; jeden, najstarszy, miał na piersi poczerniałą od użycia trąbkę w kształcie rogu i grubą, niedbale ociosaną laskę. Ten i dwaj inni usiedli na ławie, a czwarty, którego zrazu nie spostrzegłem, pozostał przy oknie odwrócony do nas plecami. W milczeniu słychać było tylko prędkie i gorliwe drapanie się wyżła, który siadł w kącie na derkach, i chrobot przykro rozszczepionej stalówki, jaką leśniczy wypisywał mój przydział. Zza ściany rozlegał się odgłos

bosych, szybko stąpających stóp, trzaskanie ognia, wesołe pobrzękiwanie naczyń i jakieś rozmowy kobiece. Siedziałem łowiąc uchem te domowe szmery.

— Tymczasowe miejsce zamieszkania? — mruknął leśniczy zza stołu.

Wymieniłem Adelin i spostrzegłem, że człowiek stojący przy oknie odwrócił się do mnie twarzą. Chociaż w izbie było ciemnawo, zobaczyłem, że jest to młody mężczyzna, bardzo zgrabny i śniady, o ładnych, pochmurnych oczach Podszedł zwolna bliżej stołu i przystanął za plecami leśniczego, kołysząc się na gibkich, wysokich nogach. Słyszałem, jak poskrzypują jego nowiutkie buty, nietutejsze, bo z żółtą cholewą do pół łydki, zapinaną na ekler.

— We dworze? — zapytał półgłosem.

Wyjaśniłem, że mieszkam na adelińskiej kolonii, u chłopa, a on nic na to nie odrzekł, śledząc uważnie mechatą dłoń leśniczego, przyciskającą pieczęć do mojej kartki z przydziałem. Natomiast siedzący na ławie patrzyli nań, tak mi się wydawało, z niechętną ciekawością, tylko starszy z trąbką na piersi powiedział skręcając papierosa, że w adelińskim pałacu jest nowa nauczycielka, taka czarna, mruknął, Dederko ją widział. Na co tamci dwaj obojętnie skinęli głowami, a młody człowiek w cudzoziemskich butach rzekł pod nosem: — No, dobrze... — i wziąwszy pióro, nagle zdecydowany, pochylił się nad stołem. Podczas gdy leśniczy ziewał zacierając ręce, tamten kreślił coś pośpiesznie na wydartym świstku, kiedy zaś wstałem do wyjścia, rzucił szybko: — Zaraz, zaraz. — Zabrzmiało to nawet jakoś ostro. Zbliżył się do mnie i mówił — półgłosem, ale dobitnie — zwijając papierek:

— Pan ma niedaleko do pałacu, więc jak pan będzie w Adelinie, to proszę oddać młodej dziedziczce, nie pani Róży, tylko jej córce.

Stałem trochę zdziwiony, z kartką od leśniczego w ręku, a wyżeł zszedł z derki, żeby mnie obwąchać. — No, no — burknął gajowy z ławki — leżeć, to swój, swój... — Wetknąłem zwinięty papierek do kieszeni i wyszedłem.

Edzio czekał przed gankiem, strugając leszczynowy pręt. Kiedyśmy mieli już ruszyć, z ganku akurat wyszedł gajowy z psem, który biegł o parę kroków przed nim, w naszą stronę, po czym szczeknął krótko, kłapnął pyskiem ku własnym pośladkom i nagle usiadł, żeby się podrapać. To musiał być całkiem młody wyżeł. Gajowy podszedł zwolna i powiedział do Edzia:

— Wiesz, gdzie jechać? Za drugą porębą leżą dębowe gałęzie, suche. Od brzeziny zjedziesz w bok, za znakami — wskazał kijem na lewo. — Tylko z sągów nie bierz.

— Gdzieee tam, panie Rewera! — zgorszył się Edzio.

— No, to jazda — skinął gajowy i trącił kijem rozkraczonego wyżła, któremu rozkosz drapania zwęziła żółte oczy. — A spotkajcie niedźwiedzia!

Zaśmiał się i odszedł w stronę lasu, z laską przy nodze i trąbką błyszczącą na piersi. Wyżeł, zdziwiony, wsparł się na rozlazłych łapach, warknął z wyrzutem, a potem pobiegł za nim, fajtając uszami przy ziemi. Nasza klaczka leniwie ruszyła z miejsca. Pojechaliśmy.

Było już koło południa, gdy naniosłem resztę gałęzi na wóz i Edzio zawrócił ku drodze. Szedł teraz z lejcami przy furze i co jakiś czas podpierał ją bokiem na skrętach lub pochyłościach; czerwieniał przy tym i krzyczał, ja zaś szedłem za nim przytrzymując gałęzie, żeby nie zlatywały. Dopiero na drodze klacz poszła spokojnie i Edzio zaczął coś śpiewać. Ale zaraz przerwał i powiedział ze

śmiechem: — Z sągów nie bierz, słyszał pan? Ojoj!... — Strasznie widać go to śmieszyło, bo kręcił głową i chichotał.

— A ten młody z leśniczówki — spytałem po chwili — to kto?

— A, jeden taki... — zaśmiał się Edzio. — Z sągów, hy! Com ja, głupi?

Droga szła teraz nieco pod górkę, klacz ustała. Zrobiło się ciepło, więc odpoczęliśmy trochę.

— Pani Róża — zagadnąłem Edzia — także z Adelina?

— A, z Adelina, stara dziedziczka...

Edzio cmoknął mokrymi wargami, po czym raptem spoważniał:

— Uch! Widział pan?

— Co takiego?

— Zajęc!

— Gdzie?

— Przecie smyrgnął przez drogę! Tutaj zajęców dużo!

— Patrzcie-no — zażartowałem — zające, niedźwiedzie... A młoda dziedziczka zamężna?

— Nie — zaprzeczył Edzio myszkując oczami wśród dębiny — ze starą zamieszkuje... A leśniczy to ci zajęców się nastrzela! Z doktorem ze młyna jak nieraz wyjdą pod las i jak zaczną pukać!... Pozwolenie mają.

— A ten młody też ma pozwolenie? — wtrąciłem, sam nie wiem czemu.

— Pan Rafał? — zastanowił się Edzio. Pytanie musiało być trudne, bo rozdziawił usta, ale nic nie odrzekł, mruknął coś tylko na klacz i ruszyliśmy pod górkę. Stąd było już niedaleko do Adelina, mimo że wracaliśmy nie skrótem leśnym, lecz dłuższą drogą, a za to wygodniejszą. Edzio nic już nie mówił, tylko jakeśmy zjechali na trakt, uśmiechnął się i powiedział niegłośno:

— A o niedźwiedziu to tak byle komu nie warto mówić, bo i po co...

Wówczas ja z kolei rozdziawiłem usta.

Również i tym razem wokół Adelina kręciło się sporo warszawiaków. Niektórzy jeszcze dźwigali walizki i torby, widać tylko co przybyli świeżym transportem, inni jednak sprawiali wrażenie zadomowionych, a przejeżdżając przez wieś spostrzegłem grupkę złożoną z blondyny w fokowym futerku i dwóch mężczyzn, z których jeden był w letnim berbery i czarnym kapeluszu na głowie, a drugi właśnie się z nimi żegnał. Słyszałem, że ktoś z nich powiedział: „Ukłony dla pani inżynierowej!" i jeszcze była mowa o jakimś „dyrektorze Zawadzkim".

Wreszcie wjechaliśmy w wiśnie Gniazdowskich za pałacowym szpalerem. Poszedłem powiedzieć Magdzie, że przywiozłem jej suche dębowe gałęzie na opał, ale nie było jej w izbie i musiałem obejść dom dokoła, żeby ją odnaleźć. Siedziała na ławce w słońcu, susząc włosy, z zamkniętymi oczami. Spodnie zawinęła do kolan i wystawiła przed siebie długie, chłopięce nogi; rozpięta bluzka odsłaniała jej szyję, dość mocno osadzoną, okrągłą i wysoką, ale głowę odchyliła w tył, nie widząc mnie, a ja zobaczyłem jej twarz w niemiłym skrócie, jakby śpiącą, i nagle przypomniała mi się jedna dziewczyna z Solca, może 16-letnia, co chciała przebiec jezdnię z meldunkiem i upadła na wznak; sukienka jej się poddarła i widać było szczupłe uda dziewczęce, jeszcze opalone, bo przed tygodniem pewnie tak samo leżała nieruchomo na wiślanym piasku, z oczyma przymkniętymi od słońca i rozrzuconymi ramionami.

— Magda! — zawołałem.

Otworzyła oczy. Była ciepła, nagrzana słońcem i przez chwilę patrzyła zwężonymi, żółtymi od blasku źrenicami, trochę z ukosa i jakby wcale nie na mnie.

— To ty już jesteś? — zdziwiła się sennie.

Tego dnia nie poszedłem z listem do pałacu.

3

Wybrałem się tam nazajutrz. Pałac nie był stary, podobne budynki widywało się w Warszawie, na Szopena czy Pięknej, lecz chował się w gęstym, zaniedbanym parku. Wzdłuż alei prowadzącej do klombu bielał sad, a z drugiej strony wionęło wilgocią od wyschłych stawów. W każdym razie dwór nie wyglądał mi na wielkopański (potem się dowiedziałem, że to była 60-hektarowa resztówka po niegdyś obszarniczej rodzinie Krzywultów, którzy postawili ów pałac w połowie zeszłego wieku). Młodą dziedziczkę zastałem w hallu czy salonie z meblami w przybrudzonych pokrowcach. Niestety, dwór jest pełen wysiedleńców i matka jej nikogo już nie może przyjąć.

Wyciągnąłem tę kartkę i nigdy bym nie przewidział, że tak ją to obejdzie. Chyba ze trzy razy przeczytała list, gniotąc go w cienkich, drżących palcach, by następnie zasypać mnie pytaniami: czy go widziałem? kiedy? dzisiaj? w leśniczówce?... Więc on ciągle tam siedzi? I jak wy na to możecie pozwolić? Coś jej się pokręciło, ale nawet nie mogłem naprawić omyłki, bo nie dopuszczała mnie do słowa, wciąż pytając, kiedy ja go zobaczę i czy on był sam. — Proszę pani — zniecierpliwiłem się wreszcie — niechże pani zrozumie... — I ze zdumieniem usłyszałem jej odpowiedź: — Ja przecież i tak wszystko wiem. Nie musi go pan usprawiedliwiać.

— A po co miałbym go usprawiedliwiać — zawołałem — kiedy ja go wcale nie znam!

Gdy nareszcie udało mi się wytłumaczyć swoją przypadkową rolę, odniosłem wrażenie, jakby mi wzięła za złe, że nie znam tego Rafała. Przez chwilę nic nie mówiła, niespokojnie rozpinając i zapinając torebkę. Zrobiło mi się jej żal.

W chwilę później nie mogłem już sobie przypomnieć rysów jej twarzy. Ani bardzo młoda, ani szczególnie ładna, a tak na wskroś przejęta uczuciem, chyba ponad jej siły. Przypomniałem sobie niebieskie, pozbawione uśmiechu oczy tego człowieka z leśniczówki; Bóg wie, czego on od niej chciał, ale ja bym na jej miejscu mocno się zastanowił.

Wracałem skrótem przez sad. Koło szałasu z gałęzi unosił się siny dymek z ogniska rozpalonego na kupce starych cegieł. Jakiś człowiek podgrzewał saganek ze skwierczącym tłuszczem, a nieopodal, między jabłoniami przechadzał się młody, tęgawy księżyk w towarzystwie dwóch kobiet, z których jedna miała siwą, obciętą po piastowsku czuprynkę. Przystanęli na mój widok, spoglądając na mnie z ciekawością, tak że mimo woli sięgnąłem do kapelusza.

— Czy miasto, panie, bardzo zniszczone? — spytała męskim głosem kobieta z siwą grzywką. Obydwie (druga w czarnym szalu na głowie, nieco młodsza, ale wyschnięta) jęły rozpytywać o Warszawę, przy czym tę w szalu intere-

sował zwłaszcza dom na Wilczej 29a: czy stoi i czy go bombardowali. Ksiądz nie brał udziału w rozmowie, lecz słuchał z uwagą.

Okazało się, że siedzą w Adelinie od połowy lipca, przyjechali — każde z oddzielna — na zaproszenie pani Róży, by spędzić na wsi parę letnich tygodni, i teraz chcą wracać do Warszawy. Kiedy im próbowałem wyjaśnić, jak się rzeczy mają, kobiety nieomal zaczęły na mnie krzyczeć: jakeście mogli wyjść z miasta! trzeba było zostać, przetrwać! — a siwa fuknęła z oburzeniem: — Panie! ja tam zostawiłam dorosłe dzieci i wnuków! — Druga wyraziła nieco wzgardliwą wątpliwość: — Czy pan aby trochę nie przesadza? — I czułem, jak podejrzany wydaje jej się fakt, że nic nie umiem powiedzieć o losach domu na Wilczej 29a; miała tam warsztat tkacki.

Po chwili nieco się ułagodziły i wpadły w ton pojednawczej perswazji: pan nas namawia, żeby tu siedzieć i czekać, ale na co? Pan niedawno przyjechał, pan nie wie, co to za okolica, po prostu beczka z prochem, nawet żandarmi niechętnie tu zaglądają...

Przerwały i zerknęły na siebie, stropione własną elokwencją.

Wyjaśniłem, że nikogo na nic nie namawiam, gdzież bym się ośmielił nie znając, w ogóle pierwszy raz widząc, ja sam zresztą — patrzyły na mnie z uporczywym zainteresowaniem — ja sam trafiłem tu przypadkiem, jak wielu innych, przybyłych wspólnym transportem, a co do okolicy, no, cóż, dziś nie ma miejsc spokojnych — ksiądz w tym momencie skinął poważnie głową — a skoro nie ma takich miejsc, pozostaje więc tylko...

— Panie! — wykrzyknęła siwa — to znaczy, że pan wierzy w przeznaczenie?

— Proszę pozwolić — przerwał dobrotliwie ksiądz. Zwrócił się do mnie i spytał półgłosem: — A kościoły? Czy uszanowali kościoły?

— Nic nie uszanowali, proszę księdza — odrzekłem — nawet ludzi.

Umilkli wszyscy troje. Ksiądz przypatrywał mi się z ostrożnym namysłem.

— Czy dzwonili na obiad? — odezwała się druga kobieta. — Nie słyszał pan, panie... panie?

— Dederko — rzucił człowiek podgrzewający saganek. — Owszem, dzwonili.

Wywołało to nagłe ożywienie, obydwie kobiety i ksiądz ruszyli w stronę pałacu, żegnając mnie pośpiesznymi okrzykami, a w chwilę później znikli w klonowej alei i tylko sutanna mignęła czarno wśród pni.

— Panie warszawiak! — zawołał ktoś, gdy odchodziłem.

Człowiek siedzący dotąd przy ognisku okazał się niewielki i chuderlawy; zbliżył się do mnie na krzywych nogach i spytał, czy nie mam papierosa.

— To pan mieszka u Gniazdowskiego na kolonii? — mruknął wypuszczając dymek spod czarniawej szczecinki nad wargą.

Namyślał się chwilę i oglądał z uwagą rozżarzony węgielek.

— I to pan wczoraj jeździł z Edziem do leśniczówki? Rewera był? Z psem?... Aha. I kto? Rafałek? Pan nie zna, faktycznie.

Zwrócił się nagle do mnie i zajrzał mi w oczy.

— A w Warszawie swąd? Nie zna pan mecenasa Antczaka? Z Kruczej ulicy, bardzo porządny człowiek. Nie zna pan, naturalnie.

Nie miałem pojęcia, czego ten gość ode mnie chce. Rozmawiał dosyć dziwnie, jakby ciągle co innego miał na myśli, a w pewnej chwili spytał, czy grana-

towa policja także strzelała do powstańców. I znowu powtórzył: — Pan nie wie, faktycznie. — Wreszcie uwolniłem się od niego.

— Pokłoń się pan Gniazdowskim! — rzucił za mną od szałasu. — Dederko, oni mnie znają. I powiedz pan, że ja się dowiem o tę maszynę do szycia od Chaskiela!

Z powrotem przyklęknął nad sagankiem i otoczywszy dłońmi usta zaczął rozdmuchiwać żar.

W domu dowiedziałem się, że Edzio porąbał gałęzie; schły teraz w komórce pod schodami na strych. Do naszej izby Gniazdowscy wstawili żelazny piecyk z rurą, było ciepło. Poszedłem dziękować, ale zastałem tylko gospodynię, mężczyźni jeszcze nie wrócili z pola. Gniazdowska chichotała wycierając ręce o fartuch. — Co toto tam taka koza? — mówiła, nadzwyczaj ubawiona, że dziękuję za piecyk. Pomyślałem, że to dobrzy ludzie, Magdzie nie będzie tu źle.

Siedziała po turecku koło tej kozy, mając przed sobą duże wiadro z obierzynami. Kiedy wszedłem, zerknęła na mnie spod oka, czy aby tylko widzę. Gwizdnąłem z podziwem, na co wzruszyła ramionami. Zapadał wczesny zmierzch, dzień był pochmurny. Poprzedniego wieczoru próbowałem coś notować przy świeczce, wypaliła się do ostatka. Klątem teraz w duchu.

— Lampka naftowa stoi na oknie — powiedziała Magda.

Wolałem nie pytać, skąd ją wzięła, pewnie znowu Gniazdowscy... Zapaliłem, knot ładnie zapłonął, jakie miała błyszczące oczy. Opisałem jej rozmowę z młodą dziedziczką i spotkanie w sadzie.

— Ona szaleje — mruknęła — a on żyje z jakąś dziewczyną w leśniczówce.

— Cóż to za wiadomości? — zawołałem.

— Właśnie takie, że ona szaleje. Lilka powiedziała, że to biedna kobieta.

— Lilka?

— No, Lilka. Ta nauczycielka z pałacu, co uczy Edzia Gniazdowskiego. Siedziała tu chyba z godzinę.

Magda patrzyła ze zmarszczonymi brwiami w migocące szpary piecyka.

— Wiesz — mówiła zniżonym głosem — ja bym się bała na jej miejscu. Ona tak wygląda...

— Tu Niemcy podobno nie zaglądają — pocieszyłem ją.

— A ludzie dookoła?... Może powinna się utlenić. Ona się zresztą boi, to widać... I pije.

Można się było domyślić, że wypiły z Magdą „na ty"; nigdy o tej porze nie miała tak błyszczących oczu.

A tak, wypiły; tylko człowiek bez serca mógłby odmówić w takiej sytuacji. To nieszczęśliwa, samotna dziewczyna, cudem s t a m t ą d wyszła, całą jej rodzinę zniszczyli. Półtora roku tułała się po ludziach i wreszcie ktoś ją tu polecił. Jej ojciec był lekarzem w Warszawie, przed wojną leczył kuzynkę pani Róży.

— A w dodatku masz: zakochała się w tym Holendrze... Jakże mu na imię? Aha, Peter. Akurat było to jej potrzebne.

Magda westchnęła ze współczuciem, potem zalała kartofle, postawiła je na ogniu i spojrzała na mnie z urazą, że o nic nie pytam.

— Ten Peter — oznajmiła po chwili, wycierając policzek wierzchem dłoni — zdezerterował od Niemców. On teraz jest w oddziale leśnym, u Rafała. A tego drugiego rozstrzelali w brzezinie, koło poręby. Doktor kazał.

Usiadłem na łóżku. W brzezinie? Koło poręby? Doktor? Nagle wydał mi się dziwny ten Adelin, gdzie wszyscy o wszystkim wiedzą i gdzie doktor każe rozstrzeliwać ludzi. W brzezinie... przecież ja tamtędy wczoraj przejeżdżałem z Edziem Gniazdowskim. Zaraz, zaraz, doktor? Prawda, wspominał i o jakimś doktorze, co poluje na zające... Dezerterzy, Holender, w którym kocha się pijana nauczycielka, Rafał, za którym szaleje młoda dziedziczka, okolica, do której żandarmi boją się zaglądać. Widziałem już takie okolice.

Drugi dezerter był kelnerem z Berlina, podawał w hotelu „Adlon". Obydwaj przywlekli się skądsiś bez broni i odznak; prosili o nocleg. Chłopi się bali, ktoś dał znać do leśniczówki, przyszli chłopcy z oddziału wziąć zbiegów na spytki. Tej samej nocy w młynie, gdzie kwaterował doktor, odbyła się narada. Niemca postanowiono zastrzelić, a co do Holendra nie było jednomyślności. Peter miał 20 lat, pokazywał fotografię swojej matki, mówił „Polaki dobre soldat". Kelnera z „Adlonu" wyprowadzono w las. Niczego się nie domyślał, uwierzył, że go prowadzą do chłopa; zresztą spoili go przed tym w leśniczówce. Wszystko to stało się niedawno, wkrótce po przyjeździe nauczycielki. A Petra poznała nieco później: jakiejś nocy kilku ludzi kwaterowało w pałacu, jeden spał na podłodze w sieni. Przyniosła mu pled i poduszkę. Rozmawiali całą noc i wtedy się w nim zakochała.

— Podobno jest bardzo przystojny — westchnęła Magda. Brunet o błękitnych oczach... No, gotowe — odstawiła kartofle z ognia. — Ale trzeba jeszcze psu dać jeść.

— Jakiemu psu? — krzyknąłem.

— Jak to jakiemu? — zdziwiła się. — Przecież siedzi pod łóżkiem. Lilka przyniosła go ze dworu.

Klęknąwszy sięgnęła głęboko ręką pod łóżko, na którym leżałem. Przez chwilę było słychać pieszczotliwe szepty, coś tam piszczało, wreszcie wynurzyła się potargana, tuląc do policzka czarny, nastroszony kłębek. Położyła mi go na piersi: ciepły szczeniak o mętnych, zezujących ślepkach piął się ku mojej brodzie. Wziąłem go za kark i podniosłem do twarzy; wisiał posłusznie, z żałosną miną i smutnie rozsuniętymi łapkami.

— Prawda, że piękny? — szepnęła Magda.

I tak zostaliśmy już we troje.

4

Niedźwiedź dał znać o sobie na świętego Andrzeja. W Grabach, sąsiednim majątku Klickich, lano właśnie wosk przy świecach, gdy przed pałac zajechały po ciemku wozy ze zbrojnymi ludźmi. Edzio Gniazdowski, chociaż go tam nie było, przysięgał, że wyprawą dowodził sam Niedźwiedź. Twierdził, że Niedźwiedź zawsze trzyma się w cieniu i rozkazuje z ciemności, żeby go nikt nie rozpoznał. Mówiąc o Niedźwiedziu, Edzio jakby się przeobrażał. Wrażliwy to był chłopiec i bardzo wierzący. — Edziu to się nieraz tak przejmie, aż łzy mu pociekną — mówiła gospodyni. Zdaje mi się, że starzy Gniazdowscy odczuwali niepokój o syna.

U Klickich był rządca, o którym źle mówiono. Ten rządca, Doliński, pomagał Niemcom wyznaczać kontyngenty. Chłopi od dawna kiwali głowami, że Doliński doczeka się swego. Krył go młody Klicki, który często jeździł do młyna

na rozmowy z doktorem. Ale Niedźwiedź o wszystkim doskonale wiedział, tak przynajmniej twierdził Edzio Gniazdowski, i podobno już w maju rządca dostał z lasu przestrogę, że jak nie zaprzestanie, to do niego przyjdą. Szkodzić jednak nie przestał, więc przyszli w listopadzie i migając latarkami po oczach, szukali go wśród dworskich gości, sproszonych między wozy. Młody Klicki próbował grozić i krzyczał, wówczas podszedł doń jeden z ludzi Niedźwiedzia: — Ciszej, panie dziedzicu, tu będzie polski sąd. — Ktoś w tym człowieku rozpoznał Staszka Szyrmę, dawnego fornala z Adelina, który od wiosny nie wiadomo gdzie się podziewał. Gdy Klicki dalej się szarpał, Staś wziął go za krawat: — Ładny krawacik, panie Klicki, ja takich nie noszę. — I zaczął powoli zaciskać krawat na dziedzicu, aż Klicki wycharczał, gdzie rządca. Dolińskiemu spuszczono spodnie, płacząc wlazł na wóz i położył się zadkiem do księżyca. Bił Staś Szyrma, dwaj inni świecili latarkami, po czym rozległ się czyjś głos z ciemności: „przestać, wystarczy"... Edzio przysięgał, że to był Niedźwiedź.

— Co ile komu — mówił — należy się na gołe, to on tam już dobrze wie. Co ile pan by z przeproszeniem wytrzymał, a co ile gdyby ja, to już ten Niedźwiedź do-obrze wie — twierdził z przejęciem Edzio, nie widząc oburzonych spojrzeń Magdy.

O Niedźwiedziu krążyły w okolicy mgliste wieści. Kiedy pytałem, co to za człowiek, Edzio robił chytrą minę i udawał, że nie rozumie. Ale raz wypalił znienacka: — Ksiądz!

— Zlituj się — powiedziałem — jakiż to może być ksiądz?

— Stary, w okularach! — zaklinał się Edzio. — Ludzie go widzieli!

— Którzy ludzie?

— Tutejsi!

— Ale którzy? Twój ojciec?

— Ojciec? — zastanowił się Edzio. — Nie, ojciec Niedźwiedzia nie widział...

— Nie widział — powtórzył z przekonaniem, ale trochę smutno. I zapadł w nagłą zadumę, tak że już nic nie mogłem z niego wyciągnąć.

Zdaje się, że ściślejszych wiadomości o Niedźwiedziu nikt w ogóle nie miał. Magda lubiła rozmawiać z ludźmi i zawsze najwięcej się od nich dowiadywała. Ale co do Niedźwiedzia, kręciła głową, o nie, nie chcą o nim mówić i nawet tak jakoś podejrzliwie patrzą.

Dziwiło mnie to, bo okolica była gadatliwa, wcale nie skłonna do konspiracji: o tym, co się dzieje między młynem a leśniczówką, ludzie opowiadali bez skrępowania. Przecież i ja już wiedziałem, że doktor dowodzi batalionem, a Rafał kompanią, i że gdy młody Klicki przywozi z Warszawy „kuzyna", wówczas odbywają się w Grabach sztabowe narady. Panna Lilka, śniada i czarnowłosa nauczycielka Edzia (w Adelinie mówiono o niej „panna Wiśniewska") trochę się tego wojska bała. Od niej dowiedzieliśmy się, że doktor jest docentem astrofizyki z Poznania i znanym taternikiem; podobno traktował konspirację naukowo, opierając się na zasadach powieści kryminalnej, i może dlatego ożenił się z córką młynarza, Sieczkówną, starszą od niego o 7 lat.

Ale Magdę najbardziej interesował romans młodej dziedziczki z Rafałem: czy oni się widują? czy ona dalej za nim szaleje?

— Iza? — Panna Wiśniewska wyginała kruczą brew. — Iza śmiertelnie się nudzi, więc musi za kimś szaleć. Na jej miejscu pojechałabym do Milanówka, tam jest dużo osób z jej sfery, kawiarnie...

Bo prócz księdza Alfreda wśród wysiedleńców we dworze były same kobiety. Pani Błaszko, ta z siwą grzywką, przyjaciółka i muza znakomitego rzeźbiarza; chora na żołądek pułkownikowa Turska, której mąż jest w Sztokholmie, i jeszcze jakieś ciotki i jakieś kuzynki... Kłócą się o każdy kęs, pani Róża już prawie nie wychodzi ze swego pokoju, od rana stawia pasjanse. Jeszcze z tego wszystkiego najweselej jest w kuchni.

Byłem kiedyś w tej kuchni po mięso, które miał do sprzedania znajomy pokojówki, brat rzeźnika z Lubienia. W mdłym, zadymionym świetle dworskiej sutereny wcale nie wydało mi się tak wesoło. Dwie dziewczyny o grubych, ciężkich łydkach wsparły się na pięściach, zmorzone snem, ktoś chrapał z głową na stole. Czekałem dobrą chwilę słuchając urągań kucharki, przemawiającej do kogoś gniewnie: — Gdzie go ta będziesz szukała? Jak chłop chce, to sam przyjdzie! A widać go? — Rządca w Grabach to go i widział... — mruknął człowiek, śpiący dotąd z głową na kuchennym stole. Kobieta, do której mówili, kuliła się na zydlu, zwrócona ku mnie plecami. Widziałem tylko jej jasne włosy, wymykające się spod chustki. Zdaje się, że płakała. Później dopiero dowiedziałem się od Gniazdowskiej, że to była Marysia, pokojówka, zaręczona ze Stachem Szyrmą, co poszedł do Niedźwiedzia.

Więc jeszcze jedna nieszczęśliwa miłość na tym kawałku ziemi obrzeżonej lasem, szarej, głębokiej ziemi, nad którą nikt nie czuwał, a dni płynęły przez nią powoli jak chmury, przychodząc nie wiadomo skąd i nie wiadomo ku czemu zmierzając.

5

Z pierwszym śniegiem zapadła wielka, biała cisza i zdawało się, że nigdy już do nas nie dotrze żaden znak od świata. Śnieg był jeszcze mokry, ziarnisty, stopa pozostawiała w nim żółtawy ślad. Przystawałem nieraz, żeby posłuchać, czy nic się w tej ciszy nie odezwie, ale rozlegał się najwyżej szmer poruszonej gałęzi, z której uleciał jakiś płochliwy ptak. Trudno było sobie wyobrazić, że gdzieś toczy się wojna, że obradują parlamenty i sztaby, że istnieją miasta, w których dzwonią tramwaje. Próbowałem pisać wieczorami, ale widok białej, pustej kartki napełniał mnie nieokreślonym lękiem; bałem się, że nie ma już i nigdy nie będzie tego, o czym mógłbym napisać. Pojąłem wtedy po raz pierwszy w życiu, czym jest dla człowieka jego miejsce na ziemi, jego siedziba, niewzruszalny adres człowieczy.

Jedyną istotą z nas trojga, której miejsce na ziemi leżało w Adelinie, był szczeniak urodzony w dworskiej kuchni, Rożek. Nazwaliśmy go tak, bo na piersi miał srebrny kosmyk podobny z kształtu do trąbki gajowego Rewery, z którym Edzio rozmawiał przed leśniczówką. Rożek był mądrym psem. Wcześnie nauczył się chodzić za nogą i nieraz brnąc przez śnieg słyszałem, jak popiskuje z podniecenia, grzebiąc się z głębokich rozpadlin, jakie pozostawiały moje buty. Ten dzielny piechur przemierzał ze mną płaskie przestrzenie między kolonią a wsią, odbywał forsowne wyprawy po kaszę i chleb, a kiedy nie miał już sił, siadał w śniegu i wydobywał z siebie krótki, rozpaczliwy wrzask: „Ostatecznie jestem mały, czy aby nie za dużo tu się ode mnie wymaga?" Rozkraczony bez ambicji, czekał aż zawrócę, po czym z pokornym, komedianckim piskiem dawał się podnieść i wsadzić pod płaszcz.

Właśnie owego dnia tylko co urządził mi taką scenę. Szedłem od wsi wzdłuż dworskiego szpaleru — był to słoneczny dzień grudniowy o niebie nagle odtajałym, spękanym jak rzeka wiosenna. Z dala już spostrzegłem czarny kapelusz księdza oraz obszerny beret pani Błaszko. Stali z kimś jeszcze, komu nie zdążyłem się przyjrzeć, i wydało mi się, że rozmawiają z niespokojnym ożywieniem. Gdy miałem już ich minąć, ksiądz poznał mnie i grzecznie uchylił kapelusza.

— Panie! — zawołała pani Błaszko, energicznie stąpnąwszy w moją stronę — czy to od tej czarnej Azy, co rodziła w kuchni? — Była opatulona w męskie szale, pospinane agrafkami, i wskutek tego jeszcze bardziej krępa. Rożek wysunął oszronioną mordkę z mojego dekoltu i obwąchał jej rękę. Pani Błaszko tłumaczyła, że Aza to suka kłusownika Dederki, byłego policjanta, który jesienią ukrywał się w szałasie.

Rozmawialiśmy sporą chwilę i dowiedziałem się mnóstwa warszawskich ploteczek, które widać w Adelinie zyskały świeże tematy. Miałem się już pożegnać, gdy ksiądz Alfred zapytał, czy znam ostatnią nowinę: Holender, niedawny dezerter z Wehrmachtu, uciekł w nocy z oddziału leśnego.

Wzruszyłem ramionami: jakie praktyczne wnioski można z tego wyciągnąć poza tym, że nie należy wcielać Holendrów z Wehrmachtu do oddziałów leśnych? I co to był za Holender? Pewnie volksdeutsch, co się połaszczył na zwiększone przydziały żywności, a potem obleciał go strach, że zapłaci za nie własną głową. Zwiał w momencie, gdy front znowu zamarł; jego niderlandzki rozsądek przeraził się polskiej zimy, więc zwiał; zwiał po raz drugi. Być może, zadekuje się teraz u jakiegoś chłopa po wschodniej stronie lasów, które stanowiły granicę dystryktu. W każdym bądź razie klątem owego doktora od młynarzówny, wraz z jego detektywistyczno-astrologiczną strategią, i cały ten adeliński poligon z romansowymi pannami, kłusownikami, magistrami, Holendrami i księżmi.

Wiadomość o ucieczce Petra potwierdził nazajutrz kto inny. Byłem sam w izbie, gdy ze zdziwieniem ujrzałem w progu Dederkę, który otrząsał śnieg z butów. Okazało się, że miał interes do Gniazdowskiego, ale gospodarz był w Lubieniu, więc czy można u mnie posiedzieć momencik?

Myszkował ruchliwymi oczkami po izbie, informując mnie o jakichś papierosach do sprzedania, podobno tanich i dobrych; przyniósł nawet 10 sztuk na próbę, ale ich nie pokazał, przeciwnie, zapalił mojego. Wydawało mi się, że jest bardziej jeszcze zamyślony niż wtedy koło szałasu; zaciągał się dymem, ciężko wzdychając, po czym wypuszczał go przez nos pionowo między kolana.

— Słyszał pan o Holendrze? — odezwał się po chwili. — Słyszał pan, faktycznie. I co pan na to? Pan nie wie. Wiśniewska mówi, że nie przyzwyczajony do klimatu. Faktycznie, w tym roku ptaszki wcześniej wylecieli. Pan wziął od Azy szczeniaka? Naftą pan naciera, od parchów? Owszem, należy się.

Nagle umilkł i zapatrzył się w okno. Zauważyłem, że schudł i był nieogolony. Powiedział, że już nie mieszka w szałasie, dali mu komórkę w czworakach, a sukę przygarnęły dziewczyny z kuchni. Po czym zapytał, czy gajowy Rewera nie przychodził do Gniazdowskich.

— Pan wie — mruknął — on się na mnie odgraża. „Dederkę — mówi — jak spotkam w lesie, to zastrzelę." Wnyki, wnyki znalazł. Chamy zastawiły, a on myśli, że to ja. I wyżła ma nowego, wie pan?

Skinąłem głową. Podobno wyżła przywiózł młody Klicki z Warszawy, ale nie potrafił go ułożyć, więc sprzedał.

— Rewera — zadumał się Dederko — dokładny człowiek. Jak mówi, że zastrzeli, to zastrzeli.

— No — skorygowałem — zawsze istnieje możliwość, że strzeli i nie trafi.

— Nie — zaprzeczył Dederko — Rewera jak strzeli, to trafi. Ewentualnie może nie strzelić. Owszem, wyjątkowo. Ale jak strzeli, to nie bez tego, żeby trafił. On mnie lubi, pan wie? „Dederko — powiada — czuje las, wy mnie na niego nic nie mówcie. Ale jak go spotkam, to zastrzelę."

Zaśmiał się cichutko i nos mu się rozpełznął w skośnych, ruchliwych fałdkach.

— Powiedz pan — kręcił głową — co jest, że mnie tak ciągnie do lasu? Teraz to jeszcze nic, ale wiosną. Wiosną to mnie same nogi prowadzą. Po ojcu. Ojciec był u hrabiów Grabowskich. A mnie sanacja skusiła. Pan wie — rzekł refleksyjnie — ja byłem granatowy.

Wykonałem nieokreślony gest, który mógł oznaczać, że wiem, jak również, że pierwszy raz o tym słyszę. Dederko do moich gestów nie przywiązywał wagi, przywiodła go tutaj zapewne chęć mówienia o sobie. Powiedział mi, iż zrzucił mundur już pół roku temu, żeby nie służyć Niemcom, i od tego czasu się ukrywa. Powiedział mi więcej: że jako granatowy policjant nigdy nikomu nie szkodził, nawet Żydom, i ludzie w okolicy go znają jako porządnego człowieka. Dawno już nie słyszałem, aby ktoś sam się nazwał „porządnym człowiekiem", przeważnie mówi się tak o innych. Dederko zapewne odgadł moją myśl, bo pokiwał głową: — Pan nie wierzy? — Po czym rzekł ciszej, że żonę z synkiem zostawił w Radomiu u brata.

— Pan wie, kto mnie ostrzegł? — zapytał raptem. — Pan nie wie? Niedźwiedź.

Stwierdził z satysfakcją, że wywarło to na mnie niejakie wrażenie. Wpatrując się zmrużonymi oczami w okno, opowiedział mi, jak to pewnego dnia otrzymał kartkę z nabazgranym zdaniem: „Dederko! zrzuć mundur i zostań się człowiekiem."

— Człowiekiem... — powtórzył z namysłem. — A podpisano: „Niedźwiedź".

Nie wiem, czy był po ćwiartce, czy też tak go przejęło wspomnienie, ale to „człowiekiem" powtórzył jeszcze ze trzy razy, po czym znowu poprosił mnie o papierosa.

— Ciekawa historia — zauważyłem. — Więc ten wasz Niedźwiedź o wszystkim wie?

— To miejscowy człowiek — rzekł Dederko. — Przed wojną był nauczycielem w Lubieniu. Ja go pamiętam. Nieduży, twarz owalna. Ludzi za darmo leczył.

— Jak to leczył? — nie zrozumiałem. — Chyba uczył?

Ale były policjant znowu pogrążył się w myślach i siedział przygarbiony, z dwiema kałużami stajałego śniegu u stóp.

— No, trzeba się zbierać — przydeptał podeszwą niedopałek. — To ja panu następną razą papierosy dostarczę. Setkę. I powiedz pan Gniazdowskiemu, że Chaskiel chce mu sprzedać tę maszynę do szycia.

Wyszedł. Po chwili zobaczyłem przez okno, jak człapie w śniegu na przełaj w stronę dworu.

Ale nazajutrz przez to samo okno nic nie można było zobaczyć. W nocy wziął mróz i rozpłaszczył się na szybie. Trudno opisać, jak wygląda wiatr albo skwar, natomiast łatwo stwierdzić, że mróz jest to biała paproć o bardzo pięknym rysunku. Trzymał się długo, aż psy zaczęły się wściekać. Czytałem wtenczas *Starą baśń*, którą pożyczył mi Edzio Gniazdowski. Zdawało mi się, że psy wściekają się tylko w upały, tymczasem bywa inaczej. Pewnej nocy suka u sąsiadów zagryzła własnego szczeniaka; widziano ją w blasku księżyca, jak biegła oszalała przez śnieżne płaszczyzny, unosząc coś w pysku. Psy wzięto na łańcuchy, nocami słychać było ich wycie, biły łańcuchami o budy; nie mogliśmy zasnąć. Za dnia w okolicy błąkał się jakiś pies z adelińskiej wsi, podejrzany o wściekliznę. Był to chudy wilczur o zielonkawej sierści, z dwiema zatokami wokół oczu, podobnymi do ciemnych okularów. Chciano go zatłuc, ale zawsze udawało mu się wymknąć. Nie wiem, dlaczego ludzie nazywali go Osłem. Widywałem go czasem z rana, jak stał na wydmie za drogą dworską i czekał na coś, patrząc z daleka w nasze okno. Po paru dniach przestał się pojawiać. Edzio powiedział, że Osła pewnie zatłukli chłopcy ze wsi. Pytałem, czy na pewno był wściekły. — Może nie był — zastanawiał się Edzio — kto go tam wie, ale lepiej zatłuc.

I tak schodziły dni coraz cięższej, w coraz głębszym milczeniu, a wiatr, który na krótko zrywał się przed świtem, zostawiał po sobie łagodnie pokarbowaną biel ściernisk; z rana zlatywały się na nią chmary kawek, ale też nie na długo, jakby po to tylko, by zaznaczyć swoją obecność mnóstwem drobniutkich, gwiaździstych śladów na śniegu. — Patrz, kawki już odleciały — mówiła co dzień Magda przecierając szybę. Zawsze budziliśmy się po ich odlocie. Przez te dni nikt nas nie odwiedzał, dopiero po tygodniu przyszła panna Lilka.

Była posępna i małomówna; dopiero gdyśmy wypili, wspomniała o ucieczce Petra i mówiła niskim, ostrym głosem, że ludzie go krzywdzą, a to wspaniały chłopak i na pewno nie po to zniknął, żeby zdradzić. Uciekł do Niedźwiedzia — dla niej to było jasne — och, on szybko się zorientował, gdzie jest prawdziwa partyzantka, a gdzie warszawski fason. Zresztą niedługo może i ona pójdzie do tego Niedźwiedzia... To naprawdę bohater, wszystka tutejsza bieda do niego się garnie, wszelkie ludzkie nieszczęście, a nawet jeden poszedł taki sam jak ona: Chaskiel, blacharz z Giełzowa, któremu oberleutnant Stolpe własnoręcznie zastrzelił żonę i starych rodziców. Zamyśliła się — i raptem wybuchnęła śmiechem. Spostrzegłem, że Magda ma łzy w oczach.

— Ach, prawda! — wykrzyknęła nagle panna Lilka — byłabym na śmierć zapomniała, Iza koniecznie chce pana zobaczyć! Prosiła, żeby pan jeszcze dziś przyszedł do pałacu. Niech pan idzie, bo ona szaleje!

Cóż było robić — poszedłem. Znowu zastałem ją zmarzniętą w tym samym salonie z meblami w pokrowcach, znowu drżały jej palce, w których mięła jakiś papier. Dziękowała mi i przepraszała, nigdy by się do mnie nie zwróciła, gdyby nie to, że wtedy przyniosłem list „od niego", więc byłem już wtajemniczony. A on nie powinien tam zostać, są złe wiadomości, podobno szykuje się jakaś obława, ona go musi za wszelką cenę ostrzec, a nikogo, nikogo z domowników nie może o to poprosić. — Chciałam pojechać sama — szepnęła — ale pan wie...

Szło przede wszystkim o to, aby mu doręczyć list polecający do pani Orszyny z Kalenia, gdzie miałby zapewnioną kwaterę w owych niebezpiecznych dniach. — To dawna znajoma matki — tłumaczyła — ona na pewno nie odmówi.

Domyślałem się więcej, niż przypuszczała. Nawet i tego, czemu jej wybór padł na mnie: widocznie osoby z pałacu były przez tamtą dziewczynę niechętnie witane, a mnie nie mogła jeszcze znać, nigdy mnie nie widziała. Anonimowość to najlepsza gwarancja dyskrecji: byłem tu człowiekiem bez nazwiska, po prostu jednym z wysiedleńców.

Wkładała i zdejmowała okulary, a ja unikałem jej spojrzenia, bo krótkowzroczność u kobiet zawsze mnie trochę wzrusza; zresztą była taka drobna i bezradna, prawdziwie udręczona. Zastanawiałem się, skąd tyle namiętności w tej kobiecie o drobnej, więdnącej twarzy, do której pasowałby kornet zakonnicy; rysy miała wprawdzie regularne i szlachetnie osadzoną głowę, lecz brakło jej jakiegoś światła czy barwy, które nieraz przyciągają mężczyzn do mniej ładnych kobiet.

Ale nie dlatego jej prośby wysłuchałem z niechęcią. Nie, po prostu nie czułem najmniejszej ochoty wędrować do leśniczówki jako *postillon d'amour* młodej dziedziczki. Tym bardziej że jeśli grożą obławy i leśniczówka jest miejscem niebezpiecznym, to czemu właśnie ja miałbym się tam kręcić? Nadstawiać głowy za cudze romanse w grudniu 1944 — doprawdy nie uważałem tego za najlepsze wyjście.

Z mojego milczenia domyśliła się, że odmawiam. Przeprosiła mnie, bagatelizując całą sprawę uprzejmym podziękowaniem za to, że przyszedłem. — Może — uśmiechnęła się zdejmując okulary — namówię kogo innego. Próbowała filuternych tonów w głosie, lecz niezupełnie jej się to udało.

W tej chwili przypadkiem spojrzałem na jej ręce, bawiące się okularami, i złorzecząc sobie w duchu mruknąłem, że dobrze, zaniosę ten list. Z początku oczywiście nie chciała o tym słyszeć, ale we mnie zapadła już klamka i do końca rozmowy wykonywałem rycerskie gesty, normalnie obowiązujące w naszym utrapionym kraju, gdzie gest rozstrzyga o wszystkim. Wreszcie zgodziła się, zakleiłem list i schowałem go do kieszeni na piersi, nie mając pojęcia, że powziąłem przed chwilą jedną z ważniejszych decyzji w moim życiu.

7

Las w zimie jest bardzo piękny pod warunkiem, że się w nim nie błądzi. Ale ja znałem drogę. Z początku szedłem traktem wzdłuż świerków o ciężkich, naśnieżonych gałęziach, zgrubiałych jak od bandaża. Powietrze tego dnia było spokojne i tylko gdzieniegdzie sypał się cichy szmer zbyt sutej okiści, opadającej zwolna białym, lotnym pyłem. Szczeniak grzebał się za moją nogą przez jakiś kilometr, potem zapadł po uszy w śnieżną zaspę, wrzasnął i musiałem go stamtąd wyciągać. Śnieg był kopny, suchy jak pszenna mąka, nikt jeszcze tędy od rana nie przejeżdżał.

Trochę zmęczeni przysiedliśmy na pniu. Las zimą podobny jest do kościoła; chłód spływał z cienistych sklepień, a spomiędzy gałęzi prószyło wąskie, rozsączone światło. Ogarnęły mnie jakieś półsenne refleksje i pomyślałem, że mo-

że jednak ktoś na nas spogląda z góry, sponad wierzchołków leśnych — czy też nikt i naprawdę nie ma nikogo?... Rożek szczeknął i zobaczyłem dwie wiewiórki goniące się po pniu olbrzymiego świerka, tuż nad moją głową. Słychać było zwinny chrobot pazurków po korze; pięknie śmigały rudymi kitami, przelatując z gałęzi na gałąź. Podniosłem zeschłą szyszkę i zacząłem wabić z dołu jedną, która na dźwięk mojego głosu znieruchomiała i czujnie przywarła do pnia. „Nie bój się — myślałem — chodź tu. Nie dręczę wiewiórek. Ja nawet ludzi nie dręczę..." Ale uprzytomniłem sobie, że ma powody, aby mi nie wierzyć, tak samo jak ja, gdyby mnie oberleutnant Stolpe zapraszał na posterunek SS w Giełzowie, cytując dla zachęty wersety z ewangelii. Tak, zastrzelić własnoręcznie troje bezbronnych ludzi — do tego trzeba nowej wiedzy o świecie. Oni ją mają. Jej części musieli udzielić tej nauczycielce, pannie Wiśniewskiej. „Gdyby pan wiedział, przez co ja przeszłam — powiedziała niedawno. — Przez brudne piekło". Mówiła, że jest już trochę zarażona, a ilekroć wspominała o nich, wyczuwałem w jej głosie akcenty urzeczenia, nienawistnego podziwu. Chyba niełatwo ocaliła życie, a ocalając je musiała poznać jakieś sprawy, o których w ogóle nie powinna wiedzieć. Człowiek nie powinien wykraczać poza pewne granice wiadomości złego, trzeba go chronić od tej wiedzy, nie powinien, nie ma prawa wiedzieć o wszystkim, co można z nim uczynić. A oni, ich diabelska siła polega właśnie na tym, że stawiają człowieka oko w oko z upiornym światem wszelkich jego niezaznanych trwóg.

W zamyśleniu rysowałem patykiem jakieś znaki na śniegu i w pewnej chwili spostrzegłem, że dałoby się z nich coś odczytać. A tak, zdziwiłem się, z krzywych, niezdarnych liter wyszło słowo „Niedźwiedź".

„A gdybym go tu nagle spotkał?" — przemknęło mi przez myśl. Zacząłem rozważać śmieszne przypuszczenie, że ów człowiek, który tyle wiedział, może już wie także o mnie. Że jestem w Adelinie z Magdą i oboje mieszkamy u Gniazdowskich, którzy dziś pojechali do Giełzowa po maszynę do szycia, podczas gdy ja wybrałem się na leśniczówkę z listem do Rafała... Chciałbym, żeby on o tym wszystkim wiedział. Tak jak w swoim czasie wiedział o Dederce, któremu napisał: „Zrzuć mundur i zostań się człowiekiem..."

Zapatrzyłem się w śnieg, wspominając szkolne czasy, kiedy wierzyłem, że nad światem czuwają piękni, odważni ludzie o nieugiętych charakterach. Mój ojciec, zdaje się, także w to wierzył, bo przecież nie kto inny opowiadał mi, gdy miałem 10 lat, jak Emil Zola obronił niewinnie oskarżonego kapitana Dreyfusa. Pamiętam, że później, przez długie miesiące marzyłem o tym, by znaleźć swojego własnego kapitana, którego mógłbym ocalić jakimś płomiennym *J'accuse;* ach, wiedziałem wtedy doskonale, jaki powinien być człowiek, ażeby inni nie czuli się słabi i samotni, i miałem świętą pewność, że ciemnobrody pan w skromnym surducie zawsze potrafi przekonać świat o swej uczciwej prawdzie.

Zza cienkiej warstwy chmur, przez wąską szczelinę przedarła się pręga słoneczna i musiałem odwrócić wzrok od śniegu, gdyż wciskał mi się w oczy biały, kłujący odblask. Na świerku rozległ się szelest: wiewiórka zamarła z szyszką w łapkach i strzygąc ostrymi uszkami śledziła moje poruszenia.

— Cicho... — szepnąłem do Rożka. Nie chciałem nikogo płoszyć w lesie. Człowiek wzbudza za wiele strachu; żaden z ludzi, których czciłem, nie wymagał, by ktokolwiek go się bał.

Wstałem z pnia i zatarłem nogą litery na śniegu. Przeniknęło mnie chłodem. Owinąłem szczeniaka w szalik, wziąłem go pod płaszcz i szybko skrajem lasu ruszyłem w stronę leśniczówki. Wkrótce rozpoznałem znajome rozwarcie drzew, za którymi bielała polana; w budynku z zielonym gankiem dowiedziałem się, że pan Rafał wyjechał. Kiedy wróci? Nic o tym nie mówił. Leśniczego też nie ma. A pan gajowy Rewera od rana jest na porębie.

Pierwszy raz widziałem tę dziewczynę. Mogła mieć najwyżej 19 lat. Stała w progu kuchni, w głębi jakaś kobieta ugniatała ciasto na pobielonym mąką stole.

— Wyjechał — powtórzyła od progu — i nie wiadomo, kiedy wróci.

— Może jednak poczekać? — spytałem.

Zamieniły szybkie spojrzenie.

— Nie ma na co — potrząsnęła głową.

Były do siebie podobne, pewnie siostry; ta druga, bujniejsza, rosła — chyba żona leśniczego. Zastanawiałem się, co robić. Dać im list? Niedobrze. Wrócić z listem w kieszeni? I co — nic? Ani słowa? Prosiła przecież, żeby go ostrzec. Ale przypuszczam, że jednocześnie zależało jej na dyskrecji. Czułem podejrzliwą niechęć obydwóch kobiet, młodsza nie spuszczała ze mnie ciemnych, śmiałych oczu.

— Pan z Adelina? — zapytała.

Druga patrzyła na mnie milcząc, z żółtą kulą ciasta w umączonych rękach.

— Z pałacu? —

— Z Adelina — wyjaśniłem — ale nie z pałacu.

Rożek wylazł zza mojego buta i obwąchiwał próg.

— Niech pan przyjdzie innego dnia. Dzisiaj, pan widzi, nikogo nie ma.

Żadna nie zrobiła gestu, by mnie zaprosić do wnętrza.

Wytłumaczyłem półgłosem, że nie przyjdę innego dnia, bo krążą pogłoski o obławach. I dzisiaj przyszedłem tylko po to, żeby ich ostrzec, innych spraw nie mam, to wszystko.

Znowu bez słowa porozumiały się wzrokiem. Młodsza trochę pobladła i przycisnęła ramię do framugi drzwi.

— On już wie — szepnęła ze ściągniętymi brwiami. — Niech pan powie w pałacu, że nie trzeba się o niego troszczyć.

Stałem jeszcze przez chwilę, czekając, czy o nic więcej nie zapyta. Ale nie patrzyła już na mnie.

Gajowego Rewerę minąłem przed gankiem. Wyżeł szczeknął na widok Rożka. Podbiegł, przystanął z uniesioną łapą i sierść między uszami zbiegła mu się w pełną zdumienia fałdę. Rożek załkał z rozkoszy i przewrócił się na grzbiet.

— Pan od Gniazdowskich? — skinął głową Rewera. — Leśniczy dziś nie urzęduje... Zdrowy szczeniak. Po suce Dederki?

Obydwa psy tarzały się w śniegu, wyżeł przydeptywał Rożka miękką, dropiatą łapą, warcząc i kłapiąc zębami, potem obaj znieruchomieli w przemożnym zdziwieniu i nagle, nie wiadomo dlaczego, tknięci wzajemnym przestrachem, uciekli od siebie w dwie przeciwne strony, kaszląc i kichając w białej kurzawie.

— Przyuczyć by go do lasu — Gajowy odsłonił w uśmiechu mocne, żółtawe zęby. — Dużo Dederko za niego wziął?

Z początku nie chciał wierzyć, że szczeniaka dostałem za darmo. Dużą, szeroką dłonią zgarnął go ze śniegu. Rożek wyrywał się i szczekał, ale pod siwym wzrokiem gajowego jakoś spotulniał i zwisł. Rewera wskazującym i środkowym palcem rozdziawił mu mordkę, zajrzał, uniósł rudawe brwi, po czym rzucił go z powrotem w śnieg, między łapy wyżła. Po chwili skręcił papierosa i zaczął rozpytywać o Dederkę: czy nie chorował? czym teraz handluje? i co o nim, o Rewerze, mówił? Zamyślił się i powiedział, że Dederko na pewno coś w tym ma, że tak nic o nim nie słychać.

— Jesienią tak samo było. Najpierw opowiadał, że ma kolkę, a potem to w ogóle jakby umarł. Nic. I zaraz później znalazłem pętlę na kozła — chrząknął z surowym podziwem.

Wyżeł, znudzony zabawą, załatwiał się koło ganku, po czym przyczłapał do Rewery. Rożek poturlał się za nim, unurzany w śniegu i ogarnięty szaleństwem przyjaźni; ale daremnie przyskakiwał do kolegi — wyżeł całkowicie zobojętniał; siedział poważnie, z łbem zwróconym ku człowiekowi, jakby za chwilę miał szepnąć: „Pobawiłem się trochę, ale rozumiesz, to nie było serio, można na mnie w dalszym ciągu liczyć".

Kiedy się żegnałem, Rewera poradził przyjechać następnym razem po drzewo wprost na porębę, rano zawsze można go tam znaleźć, i prosił powtórzyć Dederce, że kupi od niego setkę papierosów, ale niech Dederko sam mu ją dostarczy, nie przez kogoś, tylko z ręki do ręki. Wszystko to przyrzekłem zapamiętać.

Byłem już koło pierwszych drzew, gdy wydało mi się, że on woła jeszcze za mną. Tak. Stał przed gankiem, z wyżłem u nogi, i ręką dawał mi znaki.

— Lasem! La-sem! — mówił donośnie. — Prędzej pan dojdzie! Od poręby będzie w le-wo dro-ga!

Słońce błysnęło mu na piersi. Zapamiętałem go tak, jak wtedy wyglądał: w kożuchu spiętym rzemieniem i w futrzanej czapce, z grubą laską, przewieszoną przez ramię. Wyżeł kilka razy zaszczekał, jakby powtarzając jego słowa. Od skraju lasu zboczyłem w głąb, między młode choiny o gałęziach przygiętych palczastą, śnieżną łapą.

Dwukrotnie zmyliłem drogę w lesie i było już szaro, kiedy wracałem przez wieś. Zdziwiło mnie trochę, że nikogo nie spotykam, nawet psy nie szczekały; wieś jakby wymarła i zdawało mi się, że czyjeś oczy śledzą mnie zza zamarzniętych szyb. Poczułem mglisty niepokój, chciałem już jak najprędzej zobaczyć Magdę.

Znalazłem ją w ciemnej, wyziębłej izbie, skuloną przy wygasłym piecyku. Objęła mnie rękami. Była sama. Gniazdowscy jeszcze nie wrócili. Nie mogłem zrozumieć, co się stało: miała twarz rozpaloną jak z gorączki i suche, zimne usta. Posadziłem ją na łóżku, chciałem poszukać zapałek, ale spostrzegłem, że ona drży i boi się mnie puścić od siebie. Dopiero po długiej chwili usłyszałem jej szept. — Gdybyś tu wtedy był... — mówiła — to teraz już by ciebie nie było... Gdyby cię tu zastali... — I powtarzała to w kółko.

Zaświeciłem lampkę i znalazłem resztę wódki. Wypiła, dałem jej papierosa. Przyszła trochę do siebie, więc zacząłem z niej wymuszać słowo po słowie. Niemcy przyjechali w godzinę, nawet chyba niecałą, po moim wyjściu. Dwie ciężarówki, osobowe auto i jeszcze jacyś na koniach. Tak, zdaje się, że

własowcy. I był z nimi Peter. Magda go widziała: w furażerce bez odznak, smagły jak Cygan. To on wskazał Lilkę, powiedział po niemiecku, kto ona jest. Podobno był blady i sam się bał. Chryste, po co mu się zwierzyła? Sama ściągnęła na siebie nieszczęście... Nie, nie, tutaj przyszli później. Najpierw roztasowali się w pałacu, to długo trwało, ciężarówki pojechały na wieś. Ci na koniach rozrzucili się wokół wsi, nikt nie mógł uciec. A tamci.... żandarmi — bili ludzi po twarzach. Dużo wzięli mężczyzn, prawie ze wszystkich zagród. Przeważnie synów gospodarzy, ale brali też i takich z Warszawy. Jakiegoś magistra wypędzili w koszuli na podwórko, leżał akurat zaziębiony. Ale co oni z nią zrobią?... Przecież nie mogą jej... nie mogą... I po co mu się zwierzyła?..

Znowu zaczęła drżeć, musiałem ją uspokajać. Ach, nie, jej nie uderzyli, jeden tylko krzyczał, żeby powiedziała, gdzie są mężczyźni. Peter stał na podwórku między dwoma żandarmami. Później jakiś oficer z trzcinką w ręku pytał ją, czy zna Żyda Chaskiela. — *Der Jude Chaskiel* — mówił. I w pewnej chwili krzyknął: — *Vielleicht sind sie auch Jüdin, was?!...* — Nie — powiedziała — ja jestem studentką. — Podobno się zdziwił i odszedł. A potem, kiedy odjechali w stronę lasu, pobiegła do Lilki, do dworu, żeby się dowiedzieć... Ale jej już tam nie było. Nie ma jej... I pani Róża dostała sercowego ataku. Boże, jak to się wszystko mogło stać?... Jak to się mogło stać...

Siedzieliśmy na łóżku, obezwładnieni myślą, że jednak to się stało. Mówiłem jakieś słowa pocieszenia i wstyd mi było, że brzmią daremnie.

— Czy oni tu mogą wrócić?...

— Nie, na pewno nie wrócą — uspokajałem ją. — Zobaczysz, niedługo ruszy front na Wiśle.

— Jak dobrze zamarznie? — szepnęła.

— Tak, musi wpierw dobrze zamarznąć. I zaraz się rozpocznie, zobaczysz.

Oparła głowę o moje ramię. Mówiłem jeszcze przez chwilę, wymyślając nowe argumenty, ale coraz ciszej, bo zdawało mi się, że zasnęła. Czułem jej równy, gorący oddech i chyba już przez sen wyszeptała:

— A widzisz... Niedźwiedzia nie wzięli...

Więc ona także o nim myśli, zdziwiłem się, bo przecież nigdyśmy o tym nie rozmawiali. Ogarnęło mnie zdumienie, że tyle nas wiąże z jakimś nieznanym człowiekiem, którego nikt nie widział. A on był między nami przez cały ten czas. I teraz wydało mi się, że znowu idę w śniegu wśród olbrzymich milczących drzew, coraz ciężej i wolniej, szukając czegoś przed sobą, rozgarniając zmęczonymi rękami mokre, puszyste gałęzie... Zaraz, zaraz, czego to ja szukam?... A tak, już wiem — chcę wreszcie dojrzeć jego twarz. Jakże ona jest blisko, słyszę przecież, zajechał saniami, konie chrapią pod moim oknem, słychać nawet jego głos, spokojny, trochę ochrypły... Ale z kim on rozmawia? Ktoś z nim przyjechał, kogo ja dobrze znam...

To Edzio Gniazdowski w ośnieżonej czapce wpadł do naszej izby, wołając coś do mnie. Przebudziliśmy się ze strachem. Z początku nie mogłem zrozumieć, co się stało, gdzie jestem. Stał w progu, długi jak cień, tylko oczy błyszczały mu w świetle lampki.

— Proszę pana! — mówił prędko — proszę pana, pan wie? Niemcy wzięli Rewerę z leśniczówki!

Zerwałem się na równe nogi. W nagle zapadłej ciszy słychać było, jak

Gniazdowski wyprzęga kobyłę na podwórku, przemawiając do niej spokojnym, ochrypłym głosem. Niemcy przybyli na leśniczówkę przed zmierzchem. Rewery o mało na śmierć nie zatłukli, bo zdzielił laską żandarma. Ktoś widział, jak go wsadzili pod budę zakrwawionego, w kajdanach.

Edzio zacisnął pięść. — Proszę pana — zapytał cicho — pan pamięta, jak on nam wtedy drogę wskazał?

A ja wciąż miałem w oczach człowieka z wyżłem u nogi i trąbką połyskującą na piersi, gdy wskazywał mi ręką, wzniesioną w stronę drzew, krótszą drogę przez las. Krótszą i bardziej bezpieczną; ominął ją karny transport, ciągnący o tej samej porze w kierunku leśniczówki.

8

Przez wieś poleciał głuchy lament. A potem ucichł na same święta. Widzieliśmy przez okno czarne, ruchliwe punkciki przesuwające się po lubienieckiej drodze. Ludzie szli garstkami, w odświętnych ubraniach, pozdrawiając się w milczeniu. Niebo było w mleku, bladą, włóknistą mgiełką ścieńczone ze śniegiem, tak że nie łatwo by się rozeznać między powietrzem a ziemią, gdyby nie długa, siniejąca w dalekich oparach krawędź giełzowskich lasów. Droga wiła się białym, płytkim jarem ku wzniesieniu, ledwie że poznaczona śladami płóz, by za chwilę zginąć wśród brunatnych zarośli, i znów ukazywała swój połyskujący, wyślizgany grzbiet, po którym figurki ludzkie pełzły w stronę widocznej już z tego miejsca wieży kościelnej w Lubieniu.

Około południa powietrze rozbrzmiewało dzwoneczkami powracających sań. Ludzie ciągnęli z powrotem ku wsi, tym razem idąc gwarniej, w liczniejszych gromadach. Widać było miejskie łachy warszawiaków, obałduchanych w co kto miał, mocno już ponędzniałych i skurczonych; zima robiła swoje. Przedświąteczne wypadki, pojmani i zbici mężczyźni, wszystkie okrutne szczegóły owej ekspedycji karnej, pchniętej podobno z samego Radomia, teraz dopiero niby odtajały po zgrozie. Głośno i gniewnie podawano je sobie z ust do ust. Kobiety biadoliły przy dymiących kuchniach, ale mężczyźni zbierali się w opłotkach, posępni i rozczerwienieni wódką wypitą po mszy. Tu i ówdzie ktoś liczył na zgrabiałych palcach: — Józek od Siedleckich... Baran Antoni... młody Szcześniak, z tych od krzyża, bo u Szcześniaków z kolonii wzięli tylko parobka... Radzimińscy Leon i Kazimierz, rodzeni bracia, co handlowali skórą... Wariat Popiel, któremu żona w zeszłym roku uciekła do listonosza z Giełzowa... Na samym końcu wymieniano gajowego Rewerę i ludzie milkli spoglądając w stronę krzaczastej smugi lasu.

A potem wybuchał tumult, spory i pogróżki: czekać? na co czekać? aż wszystkich wygarną, jak króliki? Głupi myśli, że jego kolej nie przyjdzie, a potem sam idzie w łapy. Oj, głupi, głupi... Co dla nich Adelin, jak oni z Warszawy wszystką żywą duszę wygnali i podpalili z czterech stron? A Warszawa to nie wieś, nie dwór. A tak, pewnie, są tacy, co ich nie tkną. Proszę, do młyna nie zajechali. Nie darmo pan doktor poluje z panem Klickim, a pan Klicki w Grabach w karty gra z kreislandwirtem. To już oni o siebie dbają, nie? Leśniczy też wyjechał, a jeszcze wziął ze sobą przyszłego szwagierka od tej ładnej, młodej, co się pod pierzyną wygrzewa. Od chłopów

przysięgi brać, to oni do tego są dobrzy. Warszawska, psiakrew, robota. A Rewerę kto ostrzegł? Jak przychodzi zapłacić, to płaci tutejszy człowiek.

Z gromady buchał od czasu do czasu śmiech, bo nie szczędzono sobie grubszych żartów, a i nieraz ktoś pokpił z drugiego, co obławę przesiedział w chlewie albo w piecu chlebowym. Ale częściej zapadało zgryzione milczenie; oddech w mroźnym powietrzu parował białym dymkiem; warszawiacy, kręcący się między chłopami, przydreptywali na śniegu, zabijając przeziębłe ramiona i chuchając w pięści.

A już nazajutrz rano ustaliła się wieść, że Niedźwiedź da Niemcom odpowiedź.

Nie wiem, ile było prawdy w dziwnej pogłosce, która doszła mnie w parę dni później: że w pierwszy wieczór świąteczny we wsi pojawił się jakiś nieznajomy człowiek, by wysłuchać od ludzi skarg, a zebrać też wiadomości o adelińskiej obławie. Pogłoska brzmiała mgliście, bo nikt nie stwierdził, z kim ów człowiek rozmawiał i skąd przyszedł. Doniósł mi o tym — tuż przed wypadkami, jakie wnet nastąpiły — Edzio Gniazdowski. — Kulawy — powiadał — i mało co mówił. Ale ja sobie myślę, proszę pana — tu chytrze się uśmiechał — że on wcale nie był kulawy.

— Wiesz — powiedziałem wtedy Magdzie — Edzio coś plecie. — I powtórzyłem jej, co mi naopowiadał.

Przez chwilę milczała, patrząc przed siebie w zamyśleniu, a potem rzekła jakoś surowo i cicho:

— To na pewno tak było.

Patrzyłem na nią, nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć. A ona powtórzyła z uporem: — Na pewno.

Wydało mi się nagle, że mimo wspólnych lat nie znam jej na wylot. I gdy tak siedziała, wpatrzona w ciemniejące okno, ja także uwierzyłem w tego nieznajomego człowieka, co przybył na wieś od Niedźwiedzia.

Po świętach drugi raz poszedłem do pałacu, żeby zwrócić list (poprzednim razem nie chciano jej zbudzić; spała po bezsennej nocy spędzonej przy pani Róży); tym razem jej nie było: pojechała do Opoczna po lekarstwa dla starej dziedziczki.

Przed bocznym gankiem stały chłopskie sanie zaprzężone w parę koni, dziewczyny wynosiły toboły i zawiniątka, które furman upychał pod siedzenie. — Kto to wyjeżdża? — spytałem. — A, to ksiądz z jedną warszawianką — roześmiał się furman. — Ja tam dobrze nie znam, mnie na wsi wynajęli. — Usunąłem się na bok, gdyż akurat na stopniach ganku ukazał się ksiądz Alfred z małą walizeczką oraz pułkownikowa Turska w męskim płaszczu i czarnym szalu na głowie. W drzwiach tłoczyła się gromadka dworskich rezydentów, między nimi pani Błaszko; jakieś pokurczone staruszki, których nie znałem, ocierały oczy, ktoś wołał: — Niech ksiądz o nas pamięta! — Ksiądz, nieco blady, w wełnianych nausznikach, grzecznie uchylał kapelusza, podczas gdy otulano mu nogi derką. Wreszcie podsadzono i pułkownikową, której spod szala świecił ostry, natłuszczony nos. Furman zebrał lejce, obejrzał się za siebie, cmoknął, płozy ślisko skrzypnęły po śniegu; dziewczyny z kuchni chlipiąc pobiegły za saniami, rozległ się płacz i okrzyki; ksiądz wy-

prostowany, nie odwracając się, przekreślił trzykrotnie powietrze czarnym kapeluszem.

— Panie! — zawołała ze schodków pani Błaszko. — Wszystko dlatego, że przeklął człowieka! Gryzł się tym przez całe święta! Mówiłam: czemu się tak ksiądz przejmuje, żadnych przecie z tego nie będzie praktycznych konsekwencji, przeklął ksiądz, no to przeklął! Nie, panie, nie mógł zapomnieć! A ta Turska, szelma, skorzystała z okazji, żeby się z nim zabrać! Do sióstr zakonnych. Jeszcze jej tam nie widzieli!

Wciągnęła mnie do przedsionka, a stamtąd do salonu z meblami w pokrowcach, gdzie krzątały się drepcząc dwie zziębnięte staruszki. Znalazłem się w fotelu, ktoś mówił: — Buniu, przynieś-no ten słoiczek, co stoi u mnie na oknie! — Postawiono przede mną spodek z konfiturami, zaraz miała być herbata. Widocznie choroba dziedziczki i nieobecność Izy pozwoliły biedaczkom poczuć tu się bardziej u siebie. Opowiedziały mi, że w pierwszy dzień świąt, gdy pani Błaszko z księdzem Alfredem wracała z Lubienia, jakiś pijany człowiek zaczął na głos bluźnić i mimo napomnień nie zamilkł, przeciwnie, coraz głośniej wygadywał, czepiając się i zataczając, co wreszcie tak księdza wzburzyło, że wychylił się i przeklął go z bryczki.

— To, panie, wrażliwa dusza! — wołała pani Błaszko. — Chciał potem tego człowieka odszukać, przebaczyć. „Co ja dla ludzi znaczę? — powiedział — kto tu mnie potrzebuje? Boga zamienili — mówi — na gorzałkę".

Staruszki aż pisnęły ze zgrozy, a pani Błaszko, rozpinając agrafki po gorącej herbacie, rzekła zniżonym głosem, że ksiądz w czasie owej rozmowy po klątwie powiedział jeszcze jedną taką rzecz, co jej dziwnie zabrzmiała w uszach, i nawet nie wie, czy ją powinna powtórzyć. Ale uległa prośbom staruszek (zwłaszcza mniejszej, wąsatej i całej w sztucznych pieprzykach, nazywanej Bunią) i powtórzyła:

— Otóż ksiądz oświadczył jej tego wieczoru, że od dłuższego czasu dręczą go wątpliwości, czy dobrze służy Bogu. Miał się nawet podobno wyrazić: „A jeśli Bóg nas nie widzi?..." Gdy pani Błaszko próbowała go przekonać, że to absolutnie nie wchodzi w rachubę, wówczas ksiądz się zamyślił i rzekł: „Nieraz mi się wydaje, proszę drogiej pani, że powinienem zrzucić z siebie tę suknię i zostać zwyczajnym człowiekiem", „Jak to? — zawołała w osłupieniu — przecież ludzie się modlą, sam ksiądz dzisiaj widział w kościele!" „Modlą się — odparł ksiądz z jakimś nieswoim uśmiechem — do Niedźwiedzia".

Nazajutrz postanowił wyjechać do sióstr zakonnych w Nowym Mieście i, według pani Błaszko, na tę decyzję wpłynęła pułkownikowa Turska, która po ostatnich wypadkach bała się zostać w Adelinie. W każdym razie ksiądz Alfred opuścił tutejszych ludzi i wyjechał. Najpierw przeklął człowieka, potem zwątpił w siebie, wreszcie opuścił ludzi. Wszystko to nastąpiło w zastanawiającej kolejności rzeczy.

...Więc znowu nie zwróciłem listu. Chętnie bym się go już pozbył, gdyż doskwierała mi trochę świadomość, że noszę przy sobie cudzą, źle załatwioną sprawę. A jednak nie mogłem zaprzeczyć, że gdyby nie ów list — kto wie, gdzie bym się teraz podziewał; obława ominęła mnie dwukrotnie — raz, gdy wyszedłem z listem do leśniczówki, drugi raz, kiedy z tym samym listem wracałem skrótem leśnym, który mi wskazał Rewera. Gdybym był wrócił drogą, zagarnęliby mnie na pewno, a list — jeśliby go przy mnie znaleźli

— odegrałby mniej zbawienną rolę; zresztą — myślałem skręcając w wiśnie Gniazdowskich — czym tu sobie nabijać głowę, nie jesteś pierwszy, którego ocalił przypadek.

Pchnąłem furtkę i coś mi skoczyło na pierś. Poczułem ciepłe liźnięcie na ręku, jakiś obcy pies plątał mi się koło nóg skowycząc. — Osioł! — zawołałem. Ależ tak, to był ten sam chudy wilczur, którego przepędzano kijami i co wpatrywał się z białej wydmy w moje okno. Więc nie zatłukli go we wsi, przeciwnie — ktoś go musiał przygarnąć, bo na szyi miał rzemień ze sznurem przywiązanym zamiast smyczy. — Co ty tu robisz, Ośle? — pytałem klepiąc go po szarym, zapadłym boku.

Osioł widać nie stracił wiary w ludzi. Szarpał mnie za rękaw, odskakiwał i znowu czekał, aż podejdę, dając mi znaki ogonem, po czym skośnym susem umykał w bok i tańczył po wariacku na wszystkich czterech łapach; najwyraźniej prowadził mnie do kogoś.

W sionce było już ciemno, przez niedomknięte drzwi od izby gospodarzy padała smuga światła. Osioł ją obwąchał, lekko roztrącił drzwi nosem i wślizgnął się do wnętrza.

Nie wszedłem, gdyż w izbie był jakiś obcy człowiek. Oparty o stół, patrzył, jak stary Gniazdowski wylicza pieniądze, banknot po banknocie. Zrazu wydało mi się, że ma karakułową czapkę wciśniętą na uszy i brwi. Ale to były jego włosy, skręcone jak wełna czarnej owcy. Dawno już nie widziałem takiego mężczyzny o płaskim, szerokim nosie i mięsistych wargach, tragarza-olbrzyma o karku jak goły korzeń dębowy i ciężkich, zmęczonych plecach powroźnika.

— Niech Chaskiel przeliczy — powiedział Gniazdowski.

Gość poruszył karakułową głową i odrzekł parę słów. Gardłowy, niekształtny język rozległ się w izbie okaleczałym echem ludzkiego głosu; obydwaj spojrzeli na drzwi. Czarny człowiek schował pieniądze i zapiął skórzaną kurtkę, po czym cicho zawołał na psa. Stał jeszcze przez chwilę, zadumany, i widziałem jego grube brwi, uniesione niby ze zdziwieniem nad jakąś myślą, której zapewne nie rozumiał. A potem zaplótł wielkie ręce na karku, przeciągnął się ze śpiewnym, głębokim westchnieniem i kołysząc odgiętą w tył głową, zaśmiał się, czy zapłakał: — Aaaj... aaaj... — Słyszałem, jak mu trzeszczą kości. Gniazdowski powiedział: — Trzeba, żeby Chaskiel już szedł.

9

Niedźwiedziowi pewnie zależało na tym, ażeby ludzie tutejsi czuli jego obecność. W najcięższych dniach rozsyłał swoje znaki tam, gdzie spadło nieszczęście. Nawet gdyby nic więcej nie uczynił, już przez to zasługiwał na podziw, że umiał budzić nadzieję. Zdawało się, jakby w owe dni było słychać coraz bliższe jego stąpnięcia wokół Adelina. Musiał to być mądry człowiek, o przenikliwej intuicji i praktycznym rozsądku. Rozumiał, iż swoją siłę czerpie z tutejszej okolicy, znał zapewne tę ziemię i wiedział — jak dobry rolnik — kiedy się kończy czas zbiorów, a przychodzi dzień, gdy pełną garścią trzeba rzucić ziarno. Czy po to przysłał Chaskiela, by ów dzień zapowiedzieć, czy też Chaskiel przyszedł tylko po pieniądze za maszynę do szycia, którą

przechował u ludzi w Giełzowie — tego już nikt dzisiaj nie dojdzie; ale słowa, że „w noworoczną noc Niedźwiedź pokłoni się żandarmom..." te słowa zaczęły krążyć w Adelinie dopiero nazajutrz po wizycie Chaskiela we wsi.

Tymczasem właśnie owa noc minęła w zupełnej ciszy, aż niezwykłej, bo nawet psy nie szczekały, tylko śnieg walił do świtu milczącym, pierzastym rojem, zasypując wszelkie ślady i odgłosy, tak że Nowy Rok nadszedł jakby niepostrzeżenie i nazajutrz ludzie przebudzili się późno. A niebawem brat rzeźnika z Lubienia przywiózł tę dziwną wiadomość, z której właściwie nic nie wynikało: że o północy do miasteczka zwaliła się od strony Giełzowa kolumna SS-manów z samochodem pancernym i otoczyła pocztę. Przez godzinę trwał zamęt. W ciemności coraz to zawarczał jakiś motor. Podobno volksdeutscha-poczciarza, który mieszkał nad swoim urzędem, Niemcy wywlekli z budynku i czegoś okropnie szczekali. W tym wszystkim jednak dawał się wyczuć bałagan i niezdecydowanie, a o co szło, nie wiadomo. Na rynek przez cały czas skierowane były reflektory aut. Wreszcie zawyły silniki i wśród tych samych wrzasków kolumna wytoczyła się z powrotem na drogę do Giełzowa. Oczywiście, w Lubieniu nikt już tej nocy nie zasnął.

Adelin przyjął tę wieść w milczącej nieufności. Przyznać przed samym sobą, że Niedźwiedź się cofnął — nie było lekko. A tak przecież wyglądało: że się cofnął, bo ktoś Niemców uprzedził. Czego chciał dokonać w Lubieniu w sylwestrową noc, to już jego sprawa, ale widać, że i on, Niedźwiedź, siłę ma tylko zwyczajną, ludzką, a zwyczajnemu człowiekowi karać Niemców nie łatwo — żelaza mu na to brak.

W samo jednakże południe drogą od krzyża, żwawo podzwaniając, wjechały sanki z oszronionym i bardzo wesołym konikiem. Wygramolił się z nich staruszek o siwych, pożółkłych wąsach i krzyknął z gniewem do garstki warszawiaków, co go natychmiast opadła: — Ludzie nieusłuchane! Cego wy? Cego?! — Dreptał wokoło konika, mrukliwie opędzając się od nagabywań i nareszcie wrzasnął rozsierdzony: — Ma-atko Psenajświętsa! Cy ja co wiem? Śtsylali! Mało to śtsylają? — Rozepchnął otaczających go ludzi i pobiegł do zagrody sołtysa.

Wkrótce potem przyszły pierwsze nowiny z Giełzowa. Około północy rozpoczął się tam szereg niezrozumiałych faktów; a więc — z niewiadomych przyczyn na kwadrans przed Nowym Rokiem cała niemal giełzowska załoga SS w pośpiechu opuściła miasto, kierując się samochodowym konwojem na Lubień. Powiadano, że nastąpiło to nagle, jakby pod wpływem alarmu, który znienacka przerwał odgłosy pijatyki i chóralne śpiewy, dolatujące z „SS-Kaserne". Budynek SS-manów stał na skraju miasta, w pustym polu, ogrodzony zasiekami. W jakie dziesięć minut po wyruszeniu kolumny coś się tam zaczęło dziać. Wprawdzie gęsto walący śnieg od paru chwil głuszył wszelkie echo, ludzie jednak posłyszeli suche grzechotanie, jakby ktoś niedaleko grochem sypnął na deski. Prawie jednocześnie rozległo się, raz po razie, kilka ciężkich wybuchów, a zaraz potem — stłumiony, przeciągły krzyk. Później już wszystko dokonało się w ciszy i nawet najśmielsi, co wyleźli przed sienie, nie mogli wyłowić ze śnieżnego szelestu nic prócz bardzo nikłych odgłosów, podobnych do kołatania. W parę zaś minut później do sklepiku z pieczywem, gdzie przez szpary błyszczało jeszcze światło, zaczął się dobijać jakiś człowiek. Ale sklepikarka bała się go wpuścić i może by go nie wpuści-

ła, gdyby nie to, że powiedział: — Niech mama się nie boi, to Ignaś... — Prosił tylko o kożuch i czapkę, bo zostać tutaj nie mógł, a sam niewiele rozumiał prócz tego, że go jacyś ludzie uwolnili z piwnicy „SS-Kaserne", gdzie siedział od dwóch miesięcy w ścisku i zaduchu.

Wypadki tej śnieżnej nocy powoli i zrazu niejasno gromadziły się w całość. Coraz to przybywał nowy szczegół, lecz upłynął dzień i dwa, zanim skleiło się w ludzkich głowach najprostsze przeświadczenie: że między nocnym najazdem na Lubień a odbiciem więźniów w giełzowskich koszarach zachodzi ścisły związek. Poczciarz-volksdeutsch, taka nazajutrz rozeszła się pogłoska, został zmuszony przez trzech nieznanych mężczyzn do połączenia się z dowództwem giełzowskiej załogi i z pistoletem przy skroni wykrzyczał w słuchawkę wszystko, co mu kazano; a kazano mu krzyczeć, że na Lubień jest napad i pocztę otoczyli bandyci. Po wyrzeczeniu tych słów — częściowo zresztą zgodnych z prawdą — miał jeszcze trochę czasu na refleksje, ponieważ do przyjazdu Niemców leżał pod własnym biurkiem, z brudną szmatą w gębie, związany konopnym powrósłem, jakiego chłopi często używali na uprząż.

Tak to fałszywym alarmem Niedźwiedź odciągnął załogę SS z miejsca, w które postanowił uderzyć. W giełzowskich koszarach pozostało sześciu czy siedmiu szyldwachów; tylko dwóch próbowało się bronić. Akcja trwała nie dłużej niż kwadrans, a uwolnionym ludziom zbiegła się do jednej chwili, gdy usłyszeli głos: — Polacy! Wychodzić! — i czyjeś ręce po kolei wygarniały ich z ciemności wprost w białą chmurę śniegu, sypiącego wielkimi, mokrymi płatami. Otumanieni, potykali się o leżące ciało wartownika, a jacyś zdyszani ludzie kazali im iść naprzód, pytając w mroku, kto chory albo nie ma sił, i tłumacząc śpiesznie, żeby nie wracać do miasta, tylko iść na Pelinów, wieś graniczną między dystryktami, a potem dalej, dalej, gdzie kto może...

I ci, co doszli do Pelinowa, roznieśli później wiadomość, że akcją dowodził wysoki człowiek w futrzanej czapie, którego twarzy nie można było dojrzeć w ciemnościach, ale na całe życie zapamiętali sobie jego głos, brzmiący podobno spokojnie i twardo — po czym szeroko popłynęła wieść, że Niedźwiedź na czele oddziału uszedł w giełzowskie lasy, nie tracąc ani jednego człowieka, a grzecznie się pokłoniwszy żandarmom swoją futrzaną czapą na sam Nowy Rok.

10

Po śniegach znowu nastał mróz. Wieczory spędzaliśmy z Magdą i Rożkiem przy piecyku, do którego wciąż trzeba było dokładać chrustu; ogień skwapliwie płonął, ale szybko gasł. Godziny mijały nam na snuciu marzeń o przyszłości, pięknych i lotnych jak kryształowe gwiazdy, których tyle tej zimy upadło na ziemię i tyle stopniało. Niedźwiedź, człowiek o tym imieniu, poruszył w nas głęboko zasypane nadzieje. Wiedzieliśmy teraz na pewno, że czas wojny zmierza do swego kresu, a właściwie na odwrót — że to sprawiedliwy ludzki gniew zmierza coraz cięższymi krokami ku wojnie, aby położyć jej kres. Rozmawialiśmy o ludziach, co przepadli i nie dożyli tych dni; w tym przecież tkwił największy ból, że odeszli nie wiedząc nawet, czy po ich ciałach, gdyby jedne przy drugich ułożyć, przyjdzie kiedyś wolność; a tak w istocie było: to oni — umarli, rozstrzelani — jak gdyby opasawszy

ziemię łańcuchem swych zamęczonych ramion, stworzyli pierwszy krąg wolności. Ale o tym oni się już nigdy nie dowiedzą. Człowiek rzadko dowiaduje się o tym, czemu doprawdy służył. Sens jego życia często dopełnia się w wiele lat później, a to, o co się starał wszelką swoją mocą, czasem okazuje się znikome w porównaniu z niezamierzonym pożytkiem, jaki przyszłość nadała jego dokonaniom, o których nawet nie wiedział. I wcale to nie umniejsza wielkości człowieka, aczkolwiek jest ona mniej władna, niżby tego pragnął, bo dopiero czas, jaki po nim przychodzi, przyobleka ją w kształt prawdziwie wypróbowany, odtrącając niejedno z jego wieczystych marzeń.

Zmarnieliśmy przez tę zimę, zwisały z nas warszawskie okrycia, ale teraz postanowiliśmy za wszelką cenę doczekać do ostatka, byle tylko wytrzymać i raz wreszcie zachłysnąć się pierwszym pogodnym dniem, który coraz bliżej nadchodził. Zdawało nam się, że należy ów dzień przygotować w sobie, wyjść naprzeciw niego w czystości i nie odkładać na później żadnego drobiazgu, co by mógł go zamącić. Zabraliśmy się do śpiesznego porządkowania tej garści życia, jakie nas otaczało przez ostatnie miesiące. Darłem swoje adelińskie notatki z pierwszych dni, pełnych przygnębienia; były mi teraz na nic niezdatne, wstydziłem się czytając. Potem wziąłem się do wywabiania plam z marynarki i znalazłem w niej nie oddany list młodej dziedziczki; więc zaniosłem go czym prędzej do dworu i poprosiłem pokojówkę, żeby go wręczyła pannie Izie. Świat był tego dnia szczególnie widzialny, wszystko dokoła błyszczało w lekkim, przezroczystym powietrzu, przymarzły śnieg chrupał mi pod stopami, kiedy wracałem do domu. Magda suszyła umyte włosy przy ogniu, Rożek, zwinięty w kłębek, spał grzejąc się na jej kolanach. Przyszło mi do głowy, że trochę żal nam będzie opuszczać tę izbę, gdzie przeżyliśmy tyle wspólnych dni. Podszedłem do okna popatrzeć na drogę lubieniecką, którą wtedy, o zachodzie słońca, wracaliśmy z kościoła.

— Wiesz — powiedziała Magda — ja myślę, że jak Niemcy stąd pójdą, to chyba on się tutaj ludziom pokaże. Może go wtedy zobaczymy?

— Może — skinąłem głową.

— Powinien tak zrobić — szepnęła. — Ja bym stąd nie chciała odejść, zanim nie zobaczę, jak on wygląda.

— Wygląda chyba zwyczajnie, możesz się rozczarować...

— Mnie przecież nie o to chodzi — mruknęła z urazą. — Chciałabym tylko pamiętać jego twarz. Na później. Jak będę o nim myślała.

— Jego twarz... — powtórzyłem. Zdawało mi się, że od dawna ją znam. Pewnie nawet bym się trochę obawiał, że okaże się inna, niż sobie wyobrażałem.

— Później — uśmiechnąłem się — nie będziesz miała czasu o nim myśleć. I on na to na pewno nie liczy.

— To nic — westchnęła. — Ja i tak będę zawsze o nim myślała...

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

— Proszę! — powiedziałem odwracając się od okna.

Edzio Gniazdowski stał przez chwilę z czapką w ręku. Nic nie mówił, ale dziwnie na nas patrzył swymi okrągłymi oczkami.

— Proszę pana — odezwał się wreszcie — niech pan wyjdzie na dwór.

Nie wiedziałem, o co idzie, ale narzuciłem płaszcz i wyszedłem. W podwór-

ku nikogo nie było, tylko kundel Gniazdowskich wylazł z budy i szczeknął naciągając łańcuch.

— Słyszy pan? — spytał nagle Edzio.

Staliśmy przy studni, nasłuchując. Ze wsi przylatywał dźwięczący odgłos kucia i czyjeś nawoływanie. Lecz Edzio przechylił głowę na bok, niby czekając na coś, z uchem zwróconym ku wiśniom. Po chwili trącił mnie ręką.

Tak, w wiśniach rozległo się ciche pukanie, jakby ktoś patykiem uderzał po wątłych pniach. Potem ucichło; znów było słychać tylko dzwoniące echo ode wsi, ale zaraz wiśnie mu odpowiedziały tym samym suchym odgłosem.

— Może ktoś drzewo rąbie? — spytałem.

Edzio nic nie odrzekł. Nigdy by drzewa nie można było rąbać tak szybko jak maszyna.

— Jak u nas we wiśniach tak puka — szepnął po chwili Edzio — znaczy się, że w giełzowskim lesie strzelają...

Siąknął nosem i nagle odszedł za stajnię, skąd las był najlepiej widoczny. Słuchałem jeszcze chwilę. W wiśniach znów było cicho, a potem coś jakby głucho jęknęło i przejechało drewnianym stukaniem po pniach. Poszedłem do Edzia i znalazłem go opartego plecami o tył szopy stajennej. Spojrzał na mnie stężałym, obcym wzrokiem. Daleko przed nami, za lśniącą bielą pól, widniał las giełzowski, roziskrzony tysiącem blasków zimowej pogody.

Wróciłem do izby i powiedziałem Magdzie, że Edzio mi pokazał lisi trop na śniegu.

Ale nazajutrz nie można było już nic ukryć, bo rano zbudził nas płacz Gniazdowskiej. Edzio gdzieś zniknął. Wymknął się z izby chyba jeszcze w nocy. Przed świtem już ją zdziwiło, że tak cicho śpi — Edzio zawsze jęczał przez sen — a gdy podeszła sprawdzić, siennik Edzia był pusty. Wieczorem, jak strzały ucichły, kręcił się po izbie i wzdychał. — Tato, ja chyba tam pójdę — powiedział do ojca. Ale stary go skrzyczał. Widać to jednak nie pomogło. — Edzio był uparty — Gniazdowska mówiła o nim z żałobną dumą, jak o nieboszczyku. Śladów po sobie nie zostawił, bo wiatr je zaniósł, co się zerwał nad ranem.

Mimo iż był powszedni dzień, do izby Gniazdowskich zaczęli się wkrótce schodzić starsi gospodarze z kolonii. W milczeniu siadali pod ścianą, gospodyni ocierała ławkę skrajem fartucha; z rzadka tylko padało jakieś słowo, goście pokaszliwali od machorki, coraz spoglądał ktoś w okno. Niektórzy wychodzili po kwadransie, inni siedzieli dłużej, ale wszystko to odbywało się w ciężkiej, niemej dyskrecji, wśród człapania buciorów, stęknięć i szelestów skręcanych bibułek.

Już było dobrze po dziewiątej, gdy na gładkiej połaci śniegu ukazała się z daleka drobna figurka, zmierzająca od wsi na przełaj w stronę lasu. Po chwili dało się przy niej rozpoznać posłusznie biegnącego psa. Dederko z suką Azą nie wiadomo gdzie się podziewał przez ostatnie dni. Szli teraz samotnie, z dala od opłotków, podobni do dwóch czarnych literek i obojętni na ludzki wzrok, który ich odprowadzał w bezgłośnym szacunku, póki nie znikli za jakąś wydmą śnieżną.

Ciała zabitych ludzi Niemcy z głębi lasu wyciągnęli na drogę, aby przestrzec żyjących. Przed zmierzchem stała się wiadoma ich liczba: szesnastu.

Leżeli w poprzek rowu, nie okryci, ułożeni równo jeden obok drugiego. Dederko wrócił około południa prowadząc z sobą Edzta, który wlókł się za nim zgarbiony, bez czapki. Obydwaj niewiele co mówili. Edzio kaszlał cisnąc ręce do piersi, a potem, w łóżku, dostał gorączki, rzucał się i jęczał. Wkrótce chłopcy z adelińskiej wsi poszli także popatrzeć, za nimi zaś pobiegła Marysia, pokojówka ze dworu, co płakała za Staszkiem Szyrmą. Ale Staszka między zabitymi nie było, mimo iż jeden wydawał jej się podobny.

Chłopcy przynieśli wiadomość, że wśród trzech, leżących oddzielnie po drugiej stronie drogi, jest kobieta w żołnierskim płaszczu. Ktoś przykrył jej twarz czapką, a kiedy odsłonili, ujrzeli krótkie, rozsypane włosy; usta miała podobno uśmiechnięte jak we śnie i ręce drobne, nietutejsze. Obok niej leżał mężczyzna w watowanej kurtce, wychudły, niemłody, z drewnianą kulą u nogi, która sztywno sterczała nad rowem. Chłopcy mówili, że w oczach jakby mu łzy zamarzły i musiał sam strzelić do siebie, bo na odkrytej piersi spostrzegli osmaloną dziurkę, nie większą od grosza. Trzeciego zaś nie umieli opisać, tyle że zamiast twarzy miał zakrzepłą we krwi miazgę z czarną szczeliną w miejscu ust. Więc nałamali trochę gałęzi z choin, żeby choć twarze im przykryć, ale nie na wiele to się zdało, bo żerte ptactwo choiny jak nic rozwłóczy, a do ciała swoim porządkiem się dorwie.

Stali na drodze do wsi, zgrzani, podnieceni tym, co widzieli, i dumni, że przynoszą nowiny, których starsi słuchają. Ludzie rozchodzili się w milczeniu, a oni szli dalej i słyszałem, jak jeden, najmłodszy, zdaje się od Szcześniaków, mówił chłopięcym dyszkantem, drepcząc w śniegu: — To już chyba Niedźwiedzia więcej nie będzie, niee?.. — Przystanąłem, bo sił mi jakoś zabrakło, a oni zaczęli go szturchać ze złością i starszy syn Popiela zdarł mu czapkę z głowy, po czym cisnął ją daleko w śnieg: — Niedźwiedź po-o-szedł w lasy! Hej!..

Ciała zabrano po czterech dniach, i tak w głębi boru tylko pnie posiekane kulami przetrwały na pamiątkę. Ale piątego dnia gruchnęła nowina, że był to oddział ubezpieczający tyły, Niedźwiedź zaś ze swymi ludźmi przedarł się wśród walk do lasów za Pilicę.

Lecz wieść ta nie zdążyła się jeszcze na dobre ustalić, gdy pewnego ranka mały samolocik u szczytu nieba zamigotał jak sztylet w pełnym słońcu, a nazajutrz dno ziemi zadrżało od ciężkich, kołyszących stęknięć.

I noc zwaliła się na nas nagłym piekłem. Smukłe, gwiżdżące śpiewy rwały się u skraju lasu, opadając z głuchym szelestem na gałęzie; powietrze zza Wisły nasyłało rytmiczne wybuchy, dzwoniące po szybach; ziemia drżała. Tłumiliśmy oddech, aby żaden głos nie mylił się z tym graniem szyb; dźwięcznymi nutami świat dawał nam znać o sobie, o nadziei... Chałupa dyszała od podmuchów powietrza, gdzieś z boku klaskały cekaemy, na drodze lubienieckiej wściekle grzechotało działko. Kazałem Magdzie ubrać się, bo w wiśniach pękały już szrapnele.

Nad ranem znów pewnie spadł śnieg, gdyż w okna zajrzały nam pobielone, zgrubiałe rózgi wisien. Zacząłem nadsłuchiwać, ale powietrze było nieruchome i czyste, nawet robak nie zachrobotał w szparze. — Dlaczego tak cicho? — przestraszyła się Magda.

I wtedy właśnie, przez okno zawalone śniegiem, od dróżki koło płotu roz-

legło się wesołe rżenie. Młody, ostry głos wołał donośnie w podwórko: — *Skażitie, gdie chaziain?!*

Było ich dwóch, konnych. Wyrostek w baraniej czapie wjechał truchtem w podwórze na kusej, kosmatej kobyłce. Długie nogi w walonkach zwiesił po chłopsku, bez strzemion. Za nim stary, żółtawy Mongoł w połatanym kożuchu wlókł się o krok z tyłu na takiej samej kobyłce. Wokół było biało, pusto. W płowym futrze czapki błyszczała czerwona gwiazdka. Chłopak przechylił się, zakreślając ręką szeroki, hojny krąg: — *Oswoboždieno!* — I zaczął się do nas śmiać, szczerząc zęby znad końskiego łba.

11

Opuszczaliśmy Adelin w jeden z owych mroźnych i słonecznych dni, gdy z głuchych, zapomnianych miejsc wszystkimi drogami podobni nam wygnańcy wracali do Warszawy. Edzio Gniazdowski, jeszcze wynędzniały z gorączki, miał zawieźć nas do Giełzowa, a stamtąd można się było wojskową ciężarówką zabrać na Powiśle czy Wolę. Mało jest w życiu takich dni, kiedy człowiek ma pełną świadomość, że oto rozpoczyna jakby na nowo swój los, a droga, którą za chwilę przebędzie, wyprowadzi go na wielkie, nietknięte przestrzenie lat. A taki właśnie dzień przyszedł i wstaliśmy rano wcześniej, niż było potrzeba, zupełnie tak, jak kiedyś, bardzo dawno, w dniu pierwszej szkolnej wycieczki.

Wszystko już było gotowe; Magda pakowała ostatnie drobiazgi do plecaka uszytego z worka, Edzio niedługo miał zaprzęgać klaczkę. Pozostało mi jeszcze tylko pójść do dworu, żeby pożegnać staruszki. Pałac był otwarty na przestrzał, w salonie z meblami w pokrowcach topniał brudny śnieg i walała się słoma. Pani Błaszko mocno postarzała przez ostatnie dni i na moje pytanie, czy długo zamierza zostać w Adelinie, smutno potrząsnęła siwą grzywką: posiedzi tu aż się ociepli, a może i kolej ruszy do Warszawy. — Panie — szepnęła — ja pieszo nie dojdę. A nieraz mi się wydaje, że gdzie miałam dojść, to już doszłam...

Dowiedziałem się, że sztab, który tu stacjonował, onegdaj opuścił pałac, a od wczoraj we dworze jest Rafał, narzeczony Izy. I zaraz — ale mam to zachować dla siebie — odbyła się narada z doktorem, który przyjechał z młyna, i z młodym Klickim z Grabów; aż w korytarzu kuchennym dziewczyny słyszały ich kłótnię! Ale czy uwierzę: Iza z Rafałem mają wkrótce wyjechać i wziąć ślub w Warszawie... Izę jednak martwią jakieś listy, które ktoś do niego przysyła z leśniczówki, podobno kobieta; w ostatnim były nawet zaklęcia i groźby. Ot, świat się wali, a miłość, głucha na wszystko, już wrze pod gruzami...

Rozpłakała się przy pożegnaniu i prosiła, żebym chronił swoją duszę; a ja milczałem, wzruszony, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wreszcie wyszedłem, zbiegłem ze stopni ganku i po raz ostatni minąłem aleję klonową.

Dederko spotkał mnie koło szpaleru; dowiedział się u Gniazdowskich, że jestem w pałacu, więc wybrał się naprzeciw.

— Pan wyjeżdża? Faktycznie — mówił idąc obok mnie. — Do Warszawy? Inteligencja, owszem, potrzebna.

Szedł przez chwilę w milczeniu, człapiąc w śniegu i spluwając.

— Ja właśnie do pana w tej sprawie — mruknął.

W tej sprawie? Nie miałem pojęcia, o co mu idzie.

— Po co panu ten psiak? — pokręcił głową Dederko — moja Aza już do niczego. Wziąłbym, ułożył. Zaraz by ze mną w las poszedł... A u chłopa się skundli.

Było mi trochę ciężko, ale przecież miał rację. Kiedyś przyrzekłem co prawda Magdzie, że gdybyśmy stąd wyjeżdżali, weźmiemy Rożka ze sobą, ale teraz jakoś się o tym nic nie mówiło; oboje rozumieliśmy, że trzeba go będzie na razie zostawić w Adelinie.

— Chciałem, wie pan, wziąć wyżła po Rewerze — opowiadał Dederko, zgadując, że mnie już przekonał — ale ta dziwka się uparła, nie chce. A mnie pański psiurek od razu wpadł w oko! — śmiał się pokazując czarniawe, rzadkie zęby.

Zbliżaliśmy się do furtki Gniazdowskich, słychać już było pokrzykiwania Edzia, wyprowadzającego klaczkę ze stajni, i ociężałe, nierówne bicie kopyt o śliski grunt podwórka.

— Do widzenia, panie Dederko — wyciągnąłem rękę. — Niech pan pozdrowi ode mnie rodzinę... I niech się wam dobrze dzieje.

Spojrzeliśmy sobie w oczy i we wzroku byłego policjanta wyczytałem jakąś pokorną i smutną niewiarę w spełnienie moich życzeń.

— A jakby pan kiedyś spotkał Niedźwiedzia — dodałem ciszej — to niech mu pan powie, że ludzie, co tu byli w tym czasie... zawsze go będą wspominać.

Dederko przyjrzał mi się bystro.

— Niedźwiedzia? — uśmiechnął się przekrzywiając nieco głowę — faktycznie. Ale jego, wie pan, to chyba wcale nie było.

— Jak to nie było? — osłupiałem.

— Nie było — powtórzył Dederko z uporem. — Pan nie wie? Przecież onegdaj wrócił Staszek Szyrma, ten, co rządcę z Grabów po dupsku tłukł. I mówi, że to było hasło.

W podwórzu zarżała klaczka i rozległ się głos Edzia: — Ciee, stara... staaara! Noo?...

— A tak — mówił Dederko — hasło. Takie sobie umyślili: Niedźwiedź. Pan wie? — zmrużył chytrze oczy — to było ichnie chłopskie wojsko, podobnież czerwone. Dawniej to ono się razem nie trzymało. Każdy oddziałek — sobie. Ale na wiosnę ugodę zawarli we wsi pod Opocznem, co się nazywa Niedźwiedź. Pan nie zna, faktycznie, wioska nieduża, biedna. I potem z tego poszło hasło dla ugrupowania: Niedźwiedź.

— A ludzie — zaśmiał się jakoś gorzko — jak to ludzie. We wszystkim chcą poczuć człowieka. Ech, ściemniał naród przez wojnę... — westchnął i wcisnął głębiej czapkę na brwi. — A po psiaczka jutro się zgłoszę. Uprzedź pan Gniazdowskich.

Droga do Giełzowa prowadziła przez Lubień, potratowana gąsienicami czołgów. Płozy ślizgały się po wyboistej gołoledzi, Edzio to srogo, to pieszczotliwie pokrzykiwał na klaczkę. A my oboje milczeliśmy, zamyśleni nad Adelinem, w którym na zawsze pozostała cząstka naszego życia; i przeczuwaliśmy nie-

jasno, że upływające lata coraz piękniej będą go ozdabiać — jak wszystko, co się staje ludzką pamięcią, wierną tęsknotą za tym, co czas z człowieka uniósł i kazał mu zostawić na drodze.

Dopiero koło poczty w Lubieniu Edzio odwrócił ku nam zmarzniętą, roześmianą twarzyczkę: — Pamięta pan? — wskazał batem na budynek. — Oj, zmanił ich wtedy, r-rany boskie!...

Chichotał, oglądając się z ciekawością na okratowane okienko, za którym wówczas leżał pod stołem związany volksdeutsch; po chwili, gdyśmy już minęli ostatnie zabudowania, usadowił się bokiem i rzekł:

— A Niedźwiedź to już, mówią, w Poznańskiem szkopów szarpie! Słyszał pan?

I jakby raptem poczuł nadmiar sił, uniósł się na siedzeniu z worków i wrzasnął na klaczkę: — Eej sta-a-ra! Ej!

Kłusem wjechaliśmy na giełzowską szosę świecącą mroźnym, lustrzanym połyskiem.

Warszawa, styczeń 1955 r.

Kazimierz Brandys

Ewa Fiszer

O PRZYJAŹNI

Tylko wówczas
możesz mi pomóc,
Jeśli przed nikim nie musisz
opuszczać oczu.

PORY DNIA

Tak, była noc
cięższa od wozu z szabrem.
Tak, był świt
trudniejszy niż dzień dobry.
Ale nie oganiaj się szczudłem przed nami
w południe.

KOMUNIZM

Jedne drzewa rosną zielono,
Inne drzewa rosną wysoko,
Wśród zieleni chętnie ptak śpiewa
Na przekór porom roku.

Czasem myśli płyną jak strumień,
Czasem jak rzeka.
Do morza płyną, do morza,
Które urzeka.

PIECHUR

Szedł,
miał do celu daleko,
świat drogi,
nie umywał od pracy rąk
zwyczajny jej
ubogi.
Mówili: i tak cię zatrzyma morze,
mówili: i tak nikt ci przebyć gór nie pomoże,
mówili: pewnie cię bolą nogi,
mówili: pewnie byś się napił wody,
przystanąłbyś, zaczekał, odpoczął,
czemu nie oderwiesz od drogi oczu,
i tak cię nikt nie pochwali,
i tak cię to nie ocali.
Zdjął buty,
piach wysypał,
poszedł dalej.

WIECZÓR LETNI

W nieruchomym słońcu południa
Z dłońmi pełnymi owoców
Szłam nie chcąc niczego uronić
I dojść przed nocą.

Coraz dłuższe cienie drzew dostojnych
Wyciągają nad drogą ręce,
Aby porwać garsteczkę wspomnień
I nic więcej.

WIECZÓR ZIMOWY

Śnieg,
chrzęszczą kroki,
niebo jest bliżej niż dach,
wiatr po nim goni obłoki.

Nie wiem, księżyc płynie czy ja
ale
razem
zawiniemy do portu
pod dach.

Z TOBĄ

Trzciny odpływają w niebo, a może to łódź odpływa.
Nie będę wróżyła z trzcin, czy miłość jest szczęśliwa.
Nie będę wróżyła z trzcin. Niechaj mi tylko serce
Drży tak, jak drga rozgrzane nad wodą powietrze
Dzisiaj. I niech do brzegu tak będzie daleko
Jak falom półkolistym spod naszego wiosła,
Któremu ani wicher, ani prąd nie sprosta
Nigdy, choćby wzywano je słońcu na przekór.
Bo nawet żar słoneczny tego ciepła nie ma,
Co ręce, kiedy siebie szukają na przemian.

Trzciny odpływają w niebo. Ty odpłynąłeś pierwszy
I tak jak kwiaty w zapach, miłość przemija w wiersze.

1953 rok

Ewa Fiszer

Leopold Infeld

MOJE WSPOMNIENIA O EINSTEINIE

Dowiedziałem się o nagłej śmierci Einsteina. Prawie wszystkie czasopisma w Polsce prosiły mnie o napisanie nekrologu. Otrzymałem też szereg depesz z zagranicy z prośbą o artykuły o Einsteinie. Byłem zbyt wstrząśnięty tą wieścią, aby móc cokolwiek napisać. Podyktowałem sekretarce jedną stroniczkę, raczej osobistą, którą zużytkowało Polskie Radio, *„Trybuna Ludu"* i niektóre pisma zagraniczne. W kilka dni później Jarosław Iwaszkiewicz telefonował do mnie prosząc o napisanie wspomnień dla *„Twórczości"*. Propozycja ta podobała mi się. Obawiałem się tylko, że manuskrypt zbyt się rozrośnie. Zapytałem Jarosława, czy jest jakaś górna granica objętości. Istotnie, z planowanego artykułu powstała niniejsza praca.

Czytelnika zdziwi, że przytaczam odpowiedzi i słowa Einsteina sprzed lat dwudziestu. Czyżbym je jeszcze pamiętał? Oczywiście, nie. Ale ta część wspomnień wzięta jest z książki *Quest*, którą pisałem w roku 1938, a więc gdy minęło zaledwie kilka miesięcy od czasu mej bliskiej współpracy z Einsteinem. Poza tym pamięć mą odświeżyły listy, których mam wprawdzie dużo, ale niestety nie wszystkie, gdyż wiele z nich zagubiłem lub rozdałem.

Pisanie tych stron pocieszyło mnie a nawet sprawiło mi pewną radość. Raz jeszcze odżyły wspomnienia i obrazy z okresu intensywnej współpracy naukowej.

Po skończeniu naszej książki *Evolution of Physics* napisałem: „każdy będzie mówił o tej książce jako napisanej przez Einsteina i jeszcze kogoś, czyjego nazwiska nie pamięta." Do końca życia noszę stempel „współpracownik Einsteina". Denerwował mnie ten stempel często. Dzisiaj jestem z niego dumny. Dopiero może teraz oceniam w pełni to szczęście, które było moim udziałem — szczęście współpracy z Einsteinem.

1

Pierwszy raz usłyszałem nazwisko Einsteina w roku 1917, podczas drugiego roku studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. A było to tak: fizykę teoretyczną wykładał podówczas profesor Władysław Natanson; wykładał pięknie, tak pięknie, że znikały trudności, że wydawało się wszystko już załatwione, rozwiązane, wyjaśnione, i to raz na zawsze. Popijał podczas wykładu herbatę, pisał cudownie wzory, dziwną techniką, a mianowicie mokrą kredą na mokrej

tablicy. Miał twarz mędrca, styl barokowy, głos cichy i spokojny. Na drugim roku uniwersytetu wykładał mechanikę klasyczną, pięć godzin tygodniowo przez dwa półrocza, bez seminariów, bez ćwiczeń, bez asystentów.

W tym wykładzie widziałem syntezę piękna matematyki z żywością i atrakcyjnością rzeczywistości. Pokochałem fizykę teoretyczną, jak może pokochać ją młody człowiek, dla którego ziściły się marzenia lat o możliwości studiów nad nauką, która stara się zamknąć w formę matematyczną prawa rządzące wszechświatem.

Przy końcu roku wykładowego profesor Natanson poświęcił kilka godzin szczególnej teorii względności Einsteina. Po raz pierwszy usłyszałem to nazwisko, po raz pierwszy usłyszałem o transformacji Lorentza, którą Einstein sformułował. Wykłady te były dla mnie rewelacją. Jeszcze dzisiaj, po blisko 40 latach, mam przed oczami obraz tablicy zapisanej wzorami, słyszę nieomal głos profesora. Pamiętam, jak profesor Natanson powiedział o Einsteinie: „geniusz nad geniusze". Pamiętam wrażenie, jakie wywarło na mnie piękno struktury teorii względności, odwaga przyjęcia zupełnie nowego punktu widzenia, odwaga przyjęcia dziwnych, zdawałoby się wówczas nonsensowych, wniosków. Nie byłem jeszcze dostatecznie przygotowany, aby zrozumieć w pełni strukturę teorii względności, wiedziałem jednak, że powrócę do niej jeszcze.

Kiedy w kilka miesięcy później studiowałem teorię Maxwella — a uczyłem się jej z książki Drudego — powstała w mej głowie pierwsza idea naukowa, aby zastosować transformację Lorentza do zjawisk elektromagnetycznych, aby przekonać się, czy równania Maxwella są niezmienne wobec tych transformacji. Zdawało mi się — na trzecim roku mych studiów — że znalazłem coś nowego i ważnego: niezmienność równań Maxwella wobec transformacji Lorentza. Pokazałem mój rezultat profesorowi Natansonowi, aby się dowiedzieć, że to samo, tylko znacznie lepiej, piękniej i ogólniej zrobił Einstein i Poincaré 13 lat temu, że istotnie był to problem, od którego rozpoczęła się teoria względności, że dociekania te ubrał później w piękną formę matematyczną Minkowski w roku 1908. Była to dla mego zarozumialstwa dobra lekcja. Wiedziałem, że wiele muszę się nauczyć, zanim zacznę pracować. Dni i bezsenne noce spędzone nad tym zagadnieniem dały mi przedsmak radości i cierpień związanych z pracą twórczą.

Na piątym roku studiów znalazłem się w Berlinie. Chciałem tam swe studia ukończyć — na jednym z najlepszych uniwersytetów w Europie. Starałem się przez długi czas różnymi sposobami dostać na uniwersytet, gdzie wykładali: Planck, Laue i Einstein. Wszystkie jednak starania rozbiły się o mur wrogości wobec Polaków. Ktoś mi poradził, abym udał się do Einsteina, wówczas już najbardziej sławnego i najbardziej atakowanego spośród wszystkich uczonych. Wiedziałem, że jest z mej strony arogancją niepokoić Einsteina swoimi sprawami. Ale problem dostania się na uniwersytet w Berlinie wydawał mi się sprawą życia i śmierci.

Zatelefonowałem do jego prywatnego mieszkania.

— Czy zastałem profesora Einsteina?

— Tak, jest w domu — odpowiedział głos kobiecy.

— Jestem studentem fizyki z Polski; chciałbym się zobaczyć z profesorem Einsteinem. Czy profesor może mnie przyjąć?

— Oczywiście! Najlepiej będzie, jeśli pan przyjdzie zaraz.

Onieśmielony, głęboko wzruszony, w świątecznym nastroju oczekując spotkania twarzą w twarz z największym z żyjących fizyków, zadzwoniłem do mieszkania Einsteina na Haberlandstrasse 5. Pani Einstein zaprosiła mnie do małego pokoju, pełnego ciężkich mebli; wyjaśniłem jej cel mojej wizyty. Przeprosiła mnie, tłumacząc, że będę musiał poczekać, bo chiński minister oświaty rozmawia z jej mężem. Czekałem. Twarz płonęła mi z niecierpliwości i podniecenia. Wreszcie Einstein otworzył drzwi, by pożegnać Chińczyka i wpuścić mnie. Miał na sobie czarny żakiet i spodnie w paski, u których brakowało najważniejszego guzika. Ta sama twarz, którą już widziałem tylokrotnie w gazetach i pismach. Ale żadna fotografia nie oddawała blasku jego oczu.

Zapomniałem zupełnie dokładnie przygotowanego przemówienia. Einstein uśmiechał się przyjaźnie i poczęstował mnie papierosem. To był pierwszy uśmiech przyjazny, z jakim się spotkałem od czasu przyjazdu do Berlina. Opowiedziałem mu, jąkając się, o swoich trudnościach. Einstein słuchał uważnie.

— Chętnie dałbym panu swoje polecenie do pruskiego Ministerstwa Oświaty; tylko że ono byłoby zupełnie bez znaczenia.

— Dlaczego?

— Bo dałem już bardzo wiele poleceń. — Potem dodał ciszej i z uśmiechem: — Oni są antysemitami.

Myślał chwilę, chodząc tam i z powrotem po pokoju.

— To, że pan jest fizykiem, ułatwia sprawę. Napiszę kilka słów do profesora Plancka; jego polecenie znaczy więcej niż moje. Tak będzie najlepiej!

Zaczął szukać papieru listowego, który leżał tuż przed nim na biurku. Byłem zbyt onieśmielony, aby mu zwrócić na to uwagę. Wreszcie znalazł ów papier i napisał kilka słów.

Zrobił to, nie wiedząc, czy mam jakieś pojęcie o fizyce. Wiedział tylko, że jestem uczniem profesora Natansona, którego znał i cenił. Czułem się już dostatecznie swobodny, by zadać mu kilka pytań związanych z teorią względności a dotyczących spraw, które mnie wówczas niepokoiły. Co sądzi o nowym uogólnieniu Weyla?

— Nie! Nie lubię nowej teorii Weyla, ale bardzo lubię jego książkę. Szkoda że zepsuł ją dodaniem swej nowej teorii do drugiego wydania. Widzi pan, jeżeli pan weźmie dwa atomy wodoru i przetransportuje je różnymi drogami z ziemi na słońce, to według Weyla będą one miały różną częstość. Ja nie wierzę, by częstości atomów zależały od ich przeszłości. — Potem śmiejąc się głośno, dodał tonem naiwnym: — Nie, w to nie wierzę.

Zapytałem go z kolei, co oznacza właściwie ów tensor energii — momentu w teorii względności.

— Na to pytanie trudno jest odpowiedzieć. Mówię w moich wykładach, że teoria względności spoczywa na dwóch kolumnach. Jedna z nich jest silna i piękna, jakby zrobiona z marmuru. To jest ten tensor krzywizny. Druga jest słaba, jakby ze słomy. To jest ów tensor energii — momentu. — Znowu głośny śmiech, po czym dodał: — Musimy pozostawić to zagadnienie do rozstrzygnięcia przyszłości.

Pożegnałem się. To był mój pierwszy i na następnych lat 16 jedyny kontakt osobisty z Einsteinem. Ów pierwszy kontakt przekonał mnie o prostej prawdzie: że prawdziwa wielkość i prawdziwa szlachetność idą zawsze w parze.

W ciągu lat następnych pozostawałem z Einsteinem w kontakcie listownym. Pisałem niewiele i tylko w sprawach naukowych. Otrzymywałem zawsze odpowiedzi, które mi pomagały w pracy. Kiedy moja pierwsza książka popularna miała się ukazać w języku angielskim, wydawca (Gollancz) namawiał mnie usilnie, abym się zwrócił do Einsteina z prośbą o przedmowę: taka przedmowa znacznie zwiększy poczytność książki. Einstein był podówczas w Princeton; w Niemczech nastała już era hitleryzmu. Napisałem do Einsteina, posyłając mu szczotkową odbitkę książki. Po dwunastu dniach otrzymałem ciepłą, pięknie napisaną (po niemiecku) przedmowę. Einstein napisał mi poza tym w liście, że mu się moja książka bardzo podoba i jeżeli z jakiegokolwiek powodu życzyłbym sobie nieco innej przedmowy, to ją chętnie zmieni. Przedtem jeszcze, rok temu, Einstein zacytował w swojej rozprawie jedną z moich prac, napisaną wspólnie z van der Waerdenem.

Był rok 1936. Faszyzacja w Polsce postępowała naprzód. Zdawałem sobie sprawę z tego, że profesury nigdy w tej Polsce nie dostanę. Byłem wówczas docentem we Lwowie. Napisałem do Einsteina o swej sytuacji. Dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, że była to jedna z bardzo licznych próśb o pomoc, jakie otrzymywał. Wkrótce przyszła wspaniała odpowiedź: że Institute for Advanced Study (którego Einstein był profesorem) w Princeton przyznał mi skromne stypendium i że autor listu cieszy się, iż wkrótce się spotkamy.

Przyjechałem do Princeton w sobotę, przeżyłem martwą niedzielę i w poniedziałek poszedłem do Fine Hall, do pięknego budynku, w którym mieścił się Instytut Matematyki i Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu w Princeton oraz Institute for Advanced Study. Zapytałem sekretarki, kiedy mogę zobaczyć się z Einsteinem. Sekretarka zatelefonowała do niego i powiedziała:

— Profesor Einstein chce się z panem zaraz zobaczyć.

Zapukałem do drzwi oznaczonych numerem 209 i usłyszałem głośne: *„herein"*. Gdy otworzyłem drzwi, ujrzałem rękę wyciągniętą ku mnie energicznie. Einstein wyglądał znacznie starzej aniżeli w Berlinie, starzej niż o 16 lat, które od ostatniego spotkania upłynęły. Jego długie włosy były siwe, twarz zmęczona i żółta. Jedynie promienne oczy były te same co wówczas. Miał na sobie brązową skórzaną wiatrówkę, koszulę bez kołnierzyka, pogniecione brązowe spodnie i chodził bez pończoch. Oczekiwałem krótkiej bodaj konwersacji prywatnej; pytań w rodzaju: kiedy przyjechałem, jaką miałem podróż, co w Europie itd. Nic takiego nie nastąpiło.

— Czy pan mówi po niemiecku?

— Tak — odpowiedziałem.

— To powiem panu, nad czym obecnie pracuję.

Spokojnie wziął kredę do ręki, podszedł do tablicy i rozpoczął wykład. Dziwny był spokój, z jakim Einstein przemawiał. Nie było w jego zachowaniu nic z niepokoju naukowca, zakładającego, że dobrze mu znany problem, z którym współżył przez lata, jest równie zrozumiały dla słuchacza. Zanim Einstein przeszedł do wzorów, szczegółów, naszkicował filozoficzne tło problemów, nad którymi pracował. Chodząc powoli i z godnością po pokoju, przystępując od czasu do czasu do tablicy, aby tam napisać równanie, trzymając zgaszoną fajkę w ustach, formułował świetnie zaokrąglone zdania. Wszystko, co powiedział,

mogłoby być wydrukowane w niezmienionej postaci i każde zdanie miałoby sens doskonały. Wykład był prosty, głęboki i jasny.

Słuchałem uważnie i rozumiałem wszystko. Idee Einsteina, jak zawsze, były natury zasadniczej. Powiedział mi, dlaczego nie podoba mu się sposób, w jaki Born wspólnie ze mną atakował problem jednolitej teorii pola; potem mówił o swoich daremnych próbach zrozumienia materii jako koncentracji pól, potem o teorii „mostów" jako modeli materii i trudnościach, na jakie on i jego współpracownik natrafili podczas roku wytężonej pracy.

Pukanie do drzwi przerwało wykład. Bardzo mały, chudy mężczyzna w wieku około lat 60 wszedł śmiejąc się, gestykulując żywo, mówił mieszaniną włosko-angielską. Był to Levi-Civita, słynny matematyk włoski, podówczas profesor w Rzymie, zaproszony do Fine Hall na pół roku. Ten mały, fizycznie słabiutki profesor, odmówił kilka lat przedtem złożenia przysięgi faszystowskiej, wymaganej od profesorów uniwersytetu we Włoszech.

Einstein znał Levi-Civitę dobrze i przez długi okres czasu. Ale sposób, w jaki przywitał go w Princeton, był bardzo podobny do tego, w jaki przywitał mnie. Gestami raczej aniżeli słowami Levi-Civita powiedział, że nie chce nam przeszkadzać, wskazując obydwiema rękami drzwi. Aby podkreślić jeszcze wyraźniej tę myśl, wykręcał w kierunku drzwi swoje drobne ciało.

Był czas, abym zaprotestował:

— Mogę z łatwością odejść i przyjść kiedy indziej.

Einstein sprzeciwił się:

— Nie! Możemy dyskutować wspólnie wszyscy trzej. Powtórzę krótko to, co powiedziałem teraz Infeldowi. A potem możemy dyskutować dalszą część.

Zgodziliśmy się chętnie. Einstein rozpoczął powtórkę — w nieco skróconej formie — swych wstępnych uwag. Tym razem wybraliśmy język angielski jako język naszej rozmowy. Ponieważ pierwszą część wykładu już znałem, nie musiałem uważać i raczej czynny był mój wzrok aniżeli słuch. Trudno mi było powstrzymać się od śmiechu. Angielszczyzna Einsteina była bardzo prosta. Składała się może z 300 słów wymawianych w szczególny sposób. Nigdy — jak sam mi później opowiadał — nie uczył się formalnie tego języka. Każde słowo było jednak zrozumiałe dzięki spokojowi, z jakim je wymawiał, z powodu powolnego tempa i wyraźnego, bardzo miłego brzmienia jego głosu. Angielski Levi-Civity był znacznie gorszy i sens jego słów roztapiał się we włoskim akcencie i w żywych gestach. Ich porozumienie było możliwe tylko dzięki temu, że matematycy prawie nie potrzebują słów, aby się wzajemnie zrozumieć. Mają do dyspozycji symbole i kilka technicznych terminów, które można rozpoznać nawet wówczas, gdy są zdeformowane.

Śledziłem uważnie spokojnego Einsteina i małego, chudego, żywo gestykulującego Levi-Civitę, jak wskazywali na formułki pisane na tablicy, posługując się językiem według ich mniemania angielskim. Ten widok i obraz Einsteina co kilka sekund podciągającego spodnie (bez paska i szelek) był tak wspaniały i komiczny, że chyba nigdy go nie zapomnę. Starałem się powstrzymać od śmiechu używając autoperswazji.

Oto tutaj rozmawiasz i dyskutujesz problemy fizyczne z najsławniejszym fizykiem świata i śmiejesz się, bo nie nosi szelek. Perswazja podziałała i udało mi się powstrzymać od śmiechu, właśnie gdy Einstein zaczął omawiać swą najnowszą pracę, jeszcze nie opublikowaną, dotyczącą fal grawitacyjnych.

Levi-Civita po wysłuchaniu argumentów Einsteina o nieistnieniu fal grawitacyjnych wyjaśnił, że umówił się z kimś na lunch gestami tak żywymi, że wzbudziły one we mnie głód. Einstein prosił mnie, abym odprowadził go do domu, by mi mógł dać manuskrypt swej ostatniej pracy. Po drodze mówiliśmy w dalszym ciągu o fizyce. Ta duża dawka fizyki zmęczyła mnie i miałem trudności w rozumieniu Einsteina. Mówił na temat, do którego powracaliśmy później wielokrotnie. Wyjaśniał, dlaczego estetycznie nie zadawala go współczesna teoria kwantów, dlaczego sądzi, że ma ona charakter prowizoryczny i dlaczego — według niego — przyszłość zmieni teorię tę fundamentalnie.

Poszedłem z nim do domu, do jego gabinetu z dużym oknem wychodzącym na piękny ogród, na żywe kolory amerykańskiej jesieni, i usłyszałem tego dnia jego pierwszą i jedyną uwagę nie dotyczącą fizyki:

— Piękny jest widok z tego okna.

3

W zapiskach swoich z tego okresu, drukowanych w języku angielskim, znajduję następujący ustęp, pisany w Ameryce w roku 1938:

„Uczony, który osiągnął sukces naukowy i uważa się za idealistę, był w chwilach twórczości na pewno materialistą, przyjąwszy emocjonalnie rzeczywistość świata zewnętrznego, a później tworząc sztuczną, filozoficzną strukturę, nie związaną z jego pracą twórczą i obcą duchowi tej pracy. W ten sposób powstaje niebezpieczne przeciwieństwo pomiędzy jego pracą naukową a słowami. W życiu codziennym, gdy martwimy się o zdrowie naszych dzieci, o wierność naszych żon, lub gdy pracujemy naukowo, postępujmy zawsze jak materialiści. To poczucie materialności świata zewnętrznego jest tak silne u Einsteina, że często przybiera formy czegoś wręcz przeciwnego. Kiedy Einstein mówi o Panu Bogu, zawsze ma na myśli wewnętrzną spójność i logiczną prostotę praw przyrody. Nazwałbym to »materialistycznym podejściem do Pana Boga«".

Einstein używał swego pojęcia Pana Boga częściej aniżeli ksiądz. Pewnego razu spytałem go:

— Jutro jest niedziela. Czy mam przyjść do pana profesora, czy będziemy pracowali?

— Dlaczego mielibyśmy nie pracować?

— Myślałem, że pan profesor chce w niedzielę odpocząć.

Einstein zaśmiał się głośno i powiedział:

— Pan Bóg też nie odpoczywa w niedzielę.

W Fine Hall jest sala zwykle zamknięta, otwierana tylko na przyjęcie znakomitych gości. Na kominku wyryta jest maksyma Einsteina:

„*Raffiniert ist der Herr Gott, aber boshaft ist er nicht.*" (Bóg jest wyrafinowany, ale nie jest złośliwy).

4

W Ameryce widziałem po raz pierwszy w życiu tańce murzyńskie, pełne ognia i siły życiowej. Sala dancingowa w Savoy'u, w Harlemie zamienia się w dżunglę afrykańską z piekącym słońcem i bogatą, gęstą roślinnością. Powietrze jest pełne wibracji. Siła życiowa emanuje z głośnej muzyki i z namiętnych

tańców; widz zatraca poczucie rzeczywistości. W przeciwieństwie do Murzynów biali wydają się półżywi, śmieszni i upokorzeni. Tworzą oni tło, na którym prymitywna, bezgraniczna żywotność Murzynów uderza jeszcze wyraźniej. Wydaje się, że jakkolwiek chwila wytchnienia jest niepotrzebna, że ten intensywny ruch może trwać wiecznie.

Często miałem ten obraz przed oczyma, gdy obserwowałem Einsteina. Istniał jak gdyby najbardziej żywotny mechanizm wiecznie obracający się w jego mózgu. To była wysublimowana siła życiowa. Czasami obserwacja była po prostu bolesna. Einstein mógł mówić o polityce, słuchać próśb z przedziwną, właściwą sobie dobrocią, odpowiadać na pytania, ale poza tą działalnością zewnętrzną zawsze czuło się kontemplację nad problemami naukowymi; mechanizm jego mózgu pracował bez przerwy, jego wieczny ruch przerwała dopiero śmierć.

W kilka tygodni po moim przybyciu do Princeton rozpoczęła się nasza współpraca. Z początku odnosiłem się do niej bez wielkiego entuzjazmu. Później dopiero, gdy znalazłem się pośrodku pasjonujących zagadnień, porwała mnie siła rozumowania Einsteina. Aż do dzisiejszego dnia moja praca naukowa w dużej części skoncentrowana jest wokół problemu, który można sformułować krótko: wokół problemu ruchu. Ostateczne rozwiązanie tego zagadnienia nie wpłynie chyba nigdy na nasze życie codzienne, na technikę dzisiejszą. Jest to problem czysto teoretyczny. Jego celem jest uzyskanie lepszego zrozumienia problemu ruchu; chcemy problem ów lepiej, głębiej, bardziej logicznie zrozumieć, aniżeli czyni to mechanika Newtonowska. Jest to zagadnienie zasadnicze, korzeniami swymi tkwiące w fundamentach fizyki. Im dłużej nad nim pracuję, tym bardziej wydaje mi się interesujące.

Zasadnicza idea jest prosta. Ale jej wykonanie wymagało rozwinięcia specjalnej techniki rachunkowej, bardziej intensywnego myślenia i cięższej pracy aniżeli jakikolwiek problem, którym zajmowałem się dotychczas. Przez lat około 20 — z przerwami — pracowałem nad tym zagadnieniem, którego głównym zastosowaniem jest ruch gwiazd podwójnych.

Problem ruchu jest tak stary, jak stara jest myśl ludzka. W mechanice Newtonowskiej mamy zawsze konkretny obraz: koń ciągnie wóz i ten wóz się porusza. Siła powoduje przyśpieszenie ciała, na które działa. Ten obraz mechanistyczny wydaje się nam prosty tylko dlatego, że przyzwyczailiśmy się do niego. W obrazie tym mamy zarówno siłę, jak i ciało, zasadnicze elementy światopoglądu mechanistycznego, dobrze znane akcesoria dawnej fizyki. Ale czy możemy pogodzić ten obraz z naszymi pojęciami pola, z pojęciami, które okazały się tak płodne gdzie indziej? Musimy zanalizować problem ruchu raz jeszcze przy pomocy pojęć i metod rozumowania wprowadzonych do fizyki przez teorię pola.

Okazało się, że jest to zadanie trudne. Zarówno w równaniach polowych Maxwella, jak i w równaniach grawitacyjnych Einsteina problem ruchu był nieodpowiednio dopasowany do poglądu polowego. Problem ruchu tkwił w ramach fizyki klasycznej cząstkowej. Celem naszych badań było zignorowanie istniejących pojęć popychania, ciągnienia, podnoszenia, a sformułowanie problemu na nowo w terminach teorii pola, używając tylko równań pola. Problem jest ważny z punktu widzenia zasadniczego, z punktu widzenia filozoficznego, ale jego praktycza wartość jest niemal równa zeru.

Nad problemami tego rodzaju, zdawałoby się odległymi od życia codziennego, wielcy uczeni spędzali dnie i bezsenne noce. Jednak na ogół, w ostatecznym wyniku, wysiłki naukowców posiadają wartość utylitarną, zaspokajają istniejące potrzeby lub stwarzają nowe.

Nie wiem, ilu ludzi studiowało nasze prace. Na pewno niewielu. Jak to jest możliwe, że tak nieliczni tylko studiują prace, których autorem jest Einstein? Wyjaśnienie leży w roli, jaką imię Einsteina odgrywa w świecie współczesnej nauki. Łatwo powiedzieć, że Einstein to największy współczesny uczony — może nawet największy uczony wszystkich czasów. Ale takie sformułowanie może zadowolić tylko tych, którzy lubią sztampę. Oznaczenie i zrozumienie roli Einsteina w nauce jest trudniejsze.

Kluczem do zrozumienia roli Einsteina w nauce jest jego samotność. Pod tym względem różni się on od wszystkich uczonych, których znałem. Może Dirac jest mu pod tym względem najbliższy, chociaż różnica między nimi jest duża. Gdy w roku 1905 Einstein sformułował swą szczególną teorię względności, jego nazwisko było w świecie nauki nie znane. Nigdy nie studiował fizyki na żadnym słynnym uniwersytecie, nie był związany z żadną słynną szkołą fizyki, pracował podówczas jako urzędnik w urzędzie patentowym.

Powiedział mi raz Einstein:

— Do trzydziestego roku życia nie widziałem prawdziwego fizyka-teoretyka.

Na co miałem ogromną ochotę zapytać, czy nigdy nie przeglądał się w lustrze.

W naszych czasach wydają się nieodzowne dla każdego fizyka-teoretyka studia w dobrej szkole, a raczej w kilku dobrych szkołach, i kontakt z mistrzami, nauka techniki posługiwania się odpowiednimi narzędziami myślenia. Przykład Einsteina jest jedyny. Dla niego izolacja była błogosławieństwem, bo zapobiegała wędrówce umysłu utartymi szlakami. Samotność ta, niezależne myślenie nad zagadnieniami, które sam sobie postawił, szukanie własnych, samotnych dróg, unikanie ścisku, oto najbardziej charakterystyczne rysy jego twórczości. To nie tylko oryginalność, to nie tylko fantazja naukowa; to jest coś więcej, coś, co może być zrozumiane tylko wtedy, gdy spojrzymy na problemy i metody pracy Einsteina.

Gdy Einstein miał lat 26, jego praca naukowa dotyczyła nie tylko teorii względności. Podstawowe idee, odnoszące się do teorii fotonów i ruchów Browna, złączone są z jego nazwiskiem. Te wszystkie wyniki były uznane w parę lat później i nazwisko Einsteina stało się wśród fizyków sławne. Tak było w roku 1909. W tym okresie fizycy mało interesowali się problemem grawitacji. Środek ciężkości prac naukowych w dziedzinie fizyki tkwił w teorii kwantów i częściowo w szczególnej teorii względności, która usunęła poważne trudności w dziedzinie elektrodynamiki klasycznej. Problemy i rezultaty w dziedzinie teorii kwantów i szczególnej teorii względności uważano za interesujące, współczesne i godne uwagi. Nikt natomiast nie widział poważnych zagadnień w teorii grawitacji. Rachunki oparte na prawie grawitacji Newtona wydawały się astronomom dostatecznie dokładne. Nie sądzę, by w ciągu kilku lat po sformułowaniu szczególnej teorii względności ukazała się bodaj jedna praca, która by dotyczyła problemu grawitacji. Einstein poświęcił zagadnieniu temu 10 lat życia, w okresie gdy nikt się już tym problemem nie zajmował, gdy nikt nie był problemem tym zainteresowany. Szczególna teoria

względności usunęła bolesną trudność w fizyce i żywotne przeciwieństwa. Przyjęta została przez świat fizyków na ogół z entuzjazmem. Ale jeśli chodzi o teorię o g ó l n ą względności, która starała się rozwiązać problem grawitacji, stosunek fizyków (początkowo przynajmniej) najlepiej można wyrazić słowami: „Co to kogo obchodzi?". Einstein opowiadał mi o tym ogólnym braku zainteresowania, o tym, że nikt nie wierzył w sukces jego metody zaatakowania tego zagadnienia; wszystkim jego punkt widzenia wydawał się obcy i dziwny. Zastanawiać się nad zagadnieniem przez lat dziesięć bez żadnej zachęty ze strony świata fizyków, to dowód niezwykłej siły charakteru. Otóż siła charakteru, może bardziej aniżeli wielka intuicja, bardziej aniżeli kolosalna fantazja naukowa, jest źródłem osiągnięć naukowych Einsteina.

Znacznie później, dopiero po sformułowaniu teorii względności ogólnej, nadszedł okres sławy i uznania; sława wśród fizyków urosła do rozmiarów sławy światowej, większej niż sława jakiegokolwiek innego uczonego.

Aż do ostatnich chwil życia Einstein pozostawał wierny swym metodom pracy, formułując własne problemy i idąc własnymi drogami. W późniejszym wieku ta metoda samotnej pracy nie przyniosła już tak wielkich rezultatów, jak szczególna i ogólna teoria względności. Coraz mniej fizyków interesowało się pracą ostatnich lat Einsteina. Wszyscy niemal uczeni pracują zespołowo, kolekcjonując materiały, szukając teorii często prowizorycznych, byle zgadzały się z bogactwem eksperymentalnych danych. Jest to szczególnie widoczne w dziedzinie fizyki jądra atomowego.

Einstein nie lubił ducha tej „inżynierskiej fizyki", jak ją nazywał; tej fizyki, która szuka szybkich rezultatów, zgadzających się z bardzo ograniczoną dziedziną faktów, poprzez hipotezy wymyślane *ad hoc*. Jego zainteresowanie dotyczyło zawsze problemów zasadniczych, fundamentalnych. Tylko niewielu fizyków posiada takie upodobania. Większość zainteresowana jest w otrzymaniu szybkich rezultatów, zaspokajających potrzeby chwili, w poszukiwaniu teorii i metod, które zamierają szybciej niż kwiaty wiosenne. Tak np. książka o teorii jądra niemal zawsze jest już przestarzała w chwili wydrukowania.

Einstein uważał rozwiązanie problemu grawitacji za największe osiągnięcie swego życia. Powiedział kiedyś do mnie:

— Szczególna teoria względności byłaby odkryta już dzisiaj niezależnie ode mnie. Problem był dojrzały. Nie sądzę jednak, aby to było prawdą w wypadku ogólnej teorii względności.

Swą wypowiedzią Einstein podkreślił to, o czym wspomniałem poprzednio: że zainteresowania fizyków były dalekie od problemów, którymi ogólna teoria względności zajmowała się i które rozwiązała.

Zwyczaj Einsteina opracowywania wszystkiego samodzielnie posunięty był jak najdalej. Raz, gdy miałem wykonać rachunek cytowany w wielu książkach, powiedziałem:

— Zobaczymy, jak to jest tam wykonane. Zaoszczędzimy sobie sporo czasu.

Ale Einstein rachował dalej, mówiąc:

— W ten sposób będzie szybciej. Zapomniałem już, jak się zagląda do książek.

Zanim opublikowaliśmy naszą pracę, zasugerowałem Einsteinowi, że odszukam literaturę przedmiotu, aby wymienić naukowców, którzy pracowali nad tym zagadnieniem. Śmiejąc się głośno, powiedział:

— O tak! Stanowczo! Ja w tym względzie bardzo już zgrzeszyłem.

Nad zagadnieniami ruchu Einstein pracował już od lat piętnastu. Tak było, kiedyśmy współpracę nad tym problemem rozpoczęli. Na czym ów problem polegał?

Ogólna teoria względności formułuje równania pola grawitacyjnego, opisujące zmiany tego pola w przestrzeni i w czasie. Z punktu widzenia teorii pola cząstki można uważać za coś, co znajduje się tam, gdzie równania pola, pola czystego, przestają być słuszne. Istotnym zadaniem równań pola jest opis pola pomiędzy obszarami, w których równania pola nie są ważne. Ale jak poruszają się owe cząstki? Zakładaliśmy w teorii względności, że ruch tych cząstek następuje po tzw. „linii geodetycznej". Mniejsza o to, co te słowa znaczą. Wystarczy wiedzieć, że w matematycznej strukturze teorii względności występowały równania dwóch rodzajów: 1. równania pola grawitacyjnego; 2. równania ruchu cząstek. Istnienie tych dwóch rodzajów równań wydawało się Einsteinowi już od lat bardzo niezadowalające. W równaniach pola staraliśmy się wyjść poza punkt widzenia mechanistyczny, cząstkowy, w równaniach ruchu wracamy do naszych starych pojęć. W jaki sposób możemy usunąć tę trudność?

Czy jest możliwe, by równania ruchu były już zawarte w równaniach pola? A jeśli tak, jak je wydedukować z tych równań? Czy nie jest możliwe, że pole zmusza cząstki — to znaczy obszary, w których prawa polowe tracą swą ważność — do poruszania się w pewien określony sposób? Czy nie jest możliwe, że równania pola zmuszają cząstki do ruchów po pewnych torach i że dodatkowe prawa ruchu są niepotrzebne a nawet fałszywe? Wszak jest możliwe, że stare równanie ruchu jest tylko pierwszym przybliżeniem głębszego prawa, które można wydedukować z równań pola, gdy nauczymy się głębiej rozumieć ich treść. Einstein wierzył, że równania ruchu zawarte są w równaniach pola i od lat szukał dowodu tego twierdzenia; uprościłoby ono niezmiernie strukturę ogólnej teorii względności.

Aspekt filozoficzny tej pracy nie jest nowy. Im prostsze są nasze założenia z punktu widzenia logicznego, tym dłuższy jest łańcuch myślowy, wiodący od tych podstawowych założeń do rezultatów, które mogą być potwierdzone lub obalone przez doświadczenie. Paradoks tkwi w tym, że współczesna fizyka wydaje się tak skomplikowana, ponieważ jest tak prosta. Wydaje się trudna i skomplikowana, ponieważ wyjść musimy z podstawowych, abstrakcyjnie brzmiących założeń, musimy podróżować daleko, poprzez skomplikowane rozumowanie, ogniwo po ogniwie, aby z ogniw tych utworzyć łańcuch łączący nasze założenia z obserwacją.

Taki właśnie rozwój widoczny jest w wypadku problemu ruchu. Zaczęliśmy od założenia praw dwóch rodzajów: pola i ruchu. Wprowadzenie praw ruchu w każdym s z c z e g ó l n y m wypadku było rzeczą prostą, ponieważ założyliśmy o g ó l n e prawo ruchu. Zignorujemy jednak ogólne prawo ruchu zakładając, że jest ono zawarte w równaniach pola. Wówczas otrzymamy system logicznie znacznie prostszy. Jeden rodzaj równań zamiast dwóch. Ale równocześnie musimy znacznie przedłużyć łańcuch rozumowań logicznych. Musimy wydedukować równania ruchu z równań pola; to nie jest łatwe zadanie. Płacimy komplikacją techniczną za uzyskaną logiczną prostotę. Ale właśnie ten

aspekt logiczny jest dla fizyka bardzo istotny. Jest on gotów zapłacić dowolną cenę komplikacji technicznych za teorię, która będzie bardziej czysta z punktu widzenia logicznego.

Ponieważ pragnę przytoczyć tutaj jedno z pięknych sformułowań Einsteina, zmuszony jestem wprowadzić pewne terminy matematyczne. Teorie pola — jak Maxwella teoria pola elektromagnetycznego lub Einsteina teoria grawitacji — sformułowane są w postaci „równań różniczkowych cząstkowych". Aby znaleźć rozwiązanie tych równań, aby z nich wydedukować wynik, który może być porównany z doświadczeniem, trzeba zastosować proces zwany „całkowaniem". To jest związane często z uciążliwą i trudną procedurą. Łańcuch logiczny od teorii obserwacji polega głównie na tej procedurze „całkowania" równań różniczkowych. W tym tkwią nasze główne trudności techniczne.

Gdyśmy miesiącami pracowali nad problemami tego rodzaju, Einstein zwykł mawiać:

— Pana Boga nie obchodzą nasze trudności matematyczne. On całkuje empirycznie.

W tym zdaniu wyraża się przekonanie Einsteina, że można wydedukować prawa przyrody z prostej teorii i że jej prostota, a nie techniczne trudności związane z dedukcją, stanowią miarę piękności danej teorii.

6

Problem logicznego uproszczenia teorii grawitacji przez zignorowanie równań ruchu okazał się bardzo trudny. Gdy skreślimy równania ruchu, pozostaną tylko równania pola, które są bardzo skomplikowane; nie wiemy, jakie skarby owe równania ukrywają. Fizycy teoretyczni znają je tylko powierzchownie, mało wiedzą o ich głębszej treści. Nie wiedzieliśmy w owym czasie, czy te równania pozwalają cząstkom na ruch dowolny, czy też ograniczają możliwości ich ruchów. Innymi słowy, nie wiedzieliśmy, czy równania ruchu należy dodać do równań pola czy też nie.

Zanim rozpoczęliśmy nasze wspólne badania, Einstein miał już od dawna ideę podejścia do tego zagadnienia: mianowicie, zastosowanie tak zwanej „nowej metody przybliżeń". Wierzył w sukces podwójny: sądził, że uda się nam po pierwsze — wykazać, że równania ruchu zawarte są w równaniach pola; po drugie — znaleźć skarb ukryty, który pozwoli nam zbudować most od teorii klasycznej do teorii kwantów. Einstein wierzył, mam wrażenie, do ostatnich chwil życia, że istnieją podstawowe prawa, rządzące zarówno ruchami gwiazd, planet, jak i wnętrzem atomu.

Obmyślał niezwykłe podejście matematyczne do tych zagadnień i zaproponował, abyśmy razem nad tym pracowali. Cel, który mu przyświecał, miał już od dawna przed oczami: uzyskać równania ruchu i znaleźć związek pomiędzy fizyką klasyczną a kwantową.

Z początku nie miałem przekonania, że równania ruchu zawarte są w równaniach pola. Jeszcze bardziej byłem sceptyczny, jeżeli chodzi o drugie zagadnienie. Nie wierzyłem, że istnieje jakikolwiek związek pomiędzy zagadnieniami ciążenia a teorią kwantową. Zdawałoby się, że nie przyjąć poglądów Einsteina było z mej strony niesłychaną arogancją i zarozumiałością. Wiem

jednak na pewno, że nic nie jest tak niebezpieczne w nauce, jak ślepe przyjmowanie autorytetów i dogmatów. Chciałbym, aby moi uczniowie w Polsce o tym wiedzieli. Staram się zachęcić ich do samodzielnego myślenia. Powtarzam: umysł własny musi w nauce zawsze pozostawać najwyższym autorytetem. Niemal każde zrozumienie jest wynikiem bolesnej walki, w której przeplata się wiara z niewiarą. Pragnąłem, aby Einstein to moje stanowisko zrozumiał i zaaprobował, toteż powiedziałem mu:

— Jeżeli raz założę, że pan musi mieć zawsze rację, to nie pozostanie mi nic innego, jak tylko potakiwać i wykonywać mechaniczne obliczenia. Pójdzie w niwecz cała przyjemność pracy naukowej. Obawiam się, że mój sceptycyzm będzie dla pana profesora przykry i że będzie pan miał mało korzyści ze współpracy ze mną.

Patrząc wstecz na owe czasy jestem pełen podziwu dla cierpliwości, z jaką Einstein odpierał moje zarzuty. W rozumieniu tych zagadnień Einstein był posunięty znacznie dalej aniżeli ja; miałem poważne trudności, aby za nim nadążyć. Nigdy jednak nie okazał zniecierpliwienia; wielokrotnie powracał do tych samych objaśnień sposobów i metod rozumowania, rozprawiał się spokojnie z moimi zarzutami, dopóki nie zrozumiałem, o co chodzi. Raz uczynił uwagę, którą uważałem za wielki komplement.

— Znam dobrze pana charakter, bo jestem taki sam. Nie wierzę nikomu, dopóki nie zrozumiem wszystkiego dobrze.

Z początku współpraca szła ciężko. Zamiast udowodnić, że równania ruchu są zawarte w równaniach pola, przez długi okres czasu usiłowałem udowodnić coś wręcz przeciwnego. Einstein nie napierał; był bardzo delikatny. Kiedyś powiedział:

— Gdybym napierał, trwałoby jeszcze dłużej, zanim by się pan przekonał, że idzie pan w fałszywym kierunku.

Nagle, pewnego dnia ujrzałem światło. Cały mój sceptycyzm zniknął. Zacząłem pracować z największym entuzjazmem. Gdy uwierzyłem w możliwość sukcesu, moje nastawienie zmieniło się radykalnie. Byłem już przekonany, że równania ruchu istotnie wynikają z równań pola; ale nie sądziłem, by zagadnienie to miało cokolwiek wspólnego z teorią kwantów. Toteż podkreślałem różnice naszych poglądów tak wyraźnie i swobodnie, jak tylko można to było uczynić wobec takiego człowieka jak Einstein.

W ten sposób rozpoczął się drugi okres naszej współpracy, okres pełen radosnego podniecenia, sukcesów i rozczarowań. Nasze zadanie rozbiło się na dwie różne części: pierwsza polegała na zawiłym rozumowaniu, wiodącym do teorii ogólnej, druga — na długich, trudnych obliczeniach, ażeby *explicite* wydrzeć równania ruchu z równań pola.

Pracowaliśmy dzień w dzień — przed południem w Instytucie, po obiedzie u Einsteina, czasami u mnie.

U Einsteina pracowaliśmy w jego pokoju, na pierwszym piętrze domu na Mercer Street. Parter od czasu choroby jego żony służył jako domowy szpital. Nadzieja utrzymania jej przy życiu była już wówczas stracona, mimo że miała ona najlepszą w świecie opiekę. Ale w tym czasie, gdy żona jego umierała, Einstein był spokojny i pracował bezustannie. Krótko po śmierci żony Einstein znowu przyszedł do Fine Hall. Odwiedziłem go w jego pokoju. Wyglądał jak człowiek zmęczony, cera była bardziej niż zwykle żółta. Uścisną-

łem jego rękę, ale nie mogłem wypowiedzieć banalnych słów sympatii czy współczucia. Rozpoczęliśmy dyskusję nad poważną trudnością w naszej pracy, jak gdyby nic nie zaszło. Einstein pracował z równą intensywnością podczas choroby żony, jak i później, gdy umarła. Nie było siły, która by powstrzymała go od pracy, jak długo tliła w nim iskra życia.

Chociaż był niezwykle wyrozumiały, cierpliwy i miły, współpraca nasza nie była łatwa. Powód tkwił w bogactwie jego idei, w tym, że zawsze był na przedzie, zmuszając mnie do maksimum aktywności, a więc wprawiając mnie w stan ciągłego podniecenia.

Nieraz wracając po skończonej dyskusji do domu myślałem całą noc niemal o przedmiocie naszej ostatniej rozmowy. Czasami wpadałem na pomysł, który — wydawało się — rzuca na problem nowe światło. Nazajutrz spieszyłem do Einsteina, aby mu o tym powiedzieć; niemal zawsze okazywało się, że Einstein miał już ten sam pomysł i jeszcze jeden lub dwa lepsze. Podczas naszej pracy nad ogólną częścią zagadnienia, która okazała się trudna i wymagała szeregu nowych idei, mój oryginalny wkład dotyczył tylko jednego istotnego aspektu. Dostarczyłem dowodu, że problem ruchu nie może rzucić żadnego światła na zagadnienia mechaniki kwantowej. Tutaj mój sceptycyzm zwyciężył. Doprowadził mnie do dowodu, który był niezwykle prosty. Ciekawe, że Einstein opierał się temu dowodowi starając się znaleźć błąd w moim rozumowaniu. Po sprawdzeniu wszystkich jego ogniw przyznał, że dowód jest słuszny, ale następnego dnia podejrzenia ożyły na nowo. Analizował każdy krok z niezwykłą dokładnością. Ale dowód wytrzymał tę analizę. Wreszcie przyznał:

— Teraz już jestem przekonany, że nie możemy otrzymać warunków kwantowych z równań grawitacyjnych.

Zażartowałem:

— Czy pan profesor nie zmieni jutro swego zdania?

Wyciągając do mnie rękę powiedział z przesadną powagą:

— Nie. Nigdy. Daję panu na to rękę. — I wybuchnął głośnym śmiechem.

7

Poza trudnym problemem sformułowania ogólnej teorii, która była niemal wyłącznie rezultatem pomysłów Einsteina, pozostawało zagadnienie rachunków szczegółowych. Wymagały one trudnej techniki, specjalnie w tym celu obmyślanej. Tutaj Einstein miał do mnie pełne zaufanie. Nigdy nie sprawdzał moich obliczeń, ale zawsze chętnie dyskutował trudności, które podczas tych obliczeń powstawały. Koniec końców udało się nam uzyskać równania ruchu dla gwiazd podwójnych.

Z teorii Newtona wynika, że ziemia czy jakakolwiek inna planeta poruszają się wzdłuż elipsy, w której ognisku znajduje się słońce. Rezultat jest nieznacznie tylko (w teorii Newtonowskiej bardziej) skomplikowany dla gwiazd podwójnych, gdzie nie możemy założyć (jak w wypadku: słońce — planeta), że masa jednej z nich jest znacznie większa od drugiej. Według mechaniki Newtonowskiej każda z dwóch gwiazd porusza się po elipsie a wspólne ognisko tych elips znajduje się w tzw. „środku ciężkości" owych dwóch gwiazd. Ten rezultat

uważany za ścisły w teorii Newtonowskiej stanowi tylko pierwsze przybliżenie z punktu widzenia teorii względności ogólnej. Zawsze jest pewna doza prawdy w starej teorii, a jej granice słuszności ukazuje widok ze szczytów nowej teorii. Starą teorię zastępuje nowa albo dlatego, że nowa obejmuje szerszy zakres faktów, albo — że jest logicznie prostsza lub też z obydwu tych powodów równocześnie. Króluje zaś w fizyce tak długo, aż znowu nie powstanie potrzeba rozszerzenia naszego pola widzenia poprzez nową teorię, opisującą lepiej, w logicznie prostszy sposób, naszą rzeczywistość materialną.

Związek pomiędzy starą a nową teorią ukazuje się wyraźnie w naszym wypadku ruchu. Z grubsza biorąc rezultat nasz był taki sam, jak w mechanice Newtonowskiej. Inną, okólną drogą uzyskaliśmy ten sam wynik: ruch gwiazd podwójnych po elipsach. Uzyskanie tego wyniku, w naszym wypadku, było znacznie trudniejsze, ponieważ fundamentalne założenia były prostsze. Ale poza tym była jeszcze inna różnica pomiędzy nowymi a dawnymi równaniami ruchu, charakterystyczna dla przejścia od starej do nowej teorii. Newtonowskie równania ruchu uzyskaliśmy z nowej teorii tylko jako pierwsze przybliżenie. Pytaliśmy: jakie równania, różne od Newtonowskich, otrzymamy posuwając nasze przybliżenie o krok dalej? Po miesiącach rachunków znaleźliśmy równania ruchu nowe, zgodne z ogólną teorią względności, dokładniejsze aniżeli równania Newtonowskie. Jedyna różnica pomiędzy wnioskami z tych nowych równań a starymi polegała na tzw. ruchu peryhelionowym. Nie tylko każda z gwiazd porusza się po elipsie, ale każda z tych elips obraca się bardzo powoli, dokonując jednego obrotu na miliony obrotów gwiazdy po elipsie.

8

Wspólna praca zwiększała naszą zażyłość. Coraz częściej rozmawialiśmy o problemach socjalnych, o polityce, o stosunkach między ludźmi, o nauce, filozofii, o życiu, o śmierci i szczęściu, a nade wszystko, o przyszłości nauki i jej ostatecznych celach. Coraz lepiej poznawałem Einsteina. Często udawało mi się przewidzieć jego reakcję. Rozumiałem, że jego stanowisko w różnych sprawach, chociaż mogłoby się wydać dziwne i niezwykłe, było zawsze w pełnej zgodzie z zasadniczymi rysami jego osobowości.

Mało kto znał tylu ludzi, co Einstein. Każdy pragnął zawrzeć z nim znajomość i pozyskać jego przyjaźń. Było stosunkowo łatwo zawrzeć znajomość z Einsteinem, ale naprawdę poznać go było trudno. Poczta dostarczała mu listów z całego świata. Einstein starał się odpowiedzieć na każdy list, w którym dostrzegał jakiś sens. Mimo bujnego nurtu zdarzeń, który wdzierał się w jego życie, mimo licznych kontaktów z ludźmi, pozostawał samotny; kochał tę samotność i izolację, które zapewniały mu możliwość pracy.

Na kilka lat przed naszym spotkaniem, w Londynie, Einstein przemawiał w Albert-Hall w sprawie naukowców — wygnańców hitlerowskich; powiedział wówczas, że wiele jest stanowisk, poza uniwersytetem, które nadawałyby się dla tych uczonych. Jako przykład podał zawód latarnika, którego praca, jego zdaniem, pozostawia wiele czasu na kontemplację i badania naukowe. Ta uwaga wydawała się obecnym śmieszna. Jednak jest ona zupełnie

zrozumiała z punktu widzenia Einsteina. Jednym z następstw samotnictwa jest sądzenie wszystkiego ze swego punktu widzenia, niemożliwość zmiany swego układu współrzędnych przez przyjęcie punktu widzenia bliźniego. Zauważyłem już dość wcześnie tę trudność w reakcjach Einsteina. Dla niego odosobniony tryb życia był tym, o czym marzył; uwolnieniem od wielu nieznośnych, kłopotliwych obowiązków. Ale ogół naukowców marzy o czymś innym. Jeżeli wolno mi dać siebie jako przykład, to muszę powiedzieć, że samotność w pracy naukowej była przez osiem lat przekleństwem mego życia. Jest ną ogół rzeczą znaną, że silne środowisko naukowe działa podniecająco na pracę twórczą a samotność zatruwa chęć do pracy. Geniusz jest wyjątkiem. Einstein mógłby pracować wszędzie. Najlepsze jego pracy powstały w samotności urzędu patentowego. Byłoby jednak trudno przekonać Einsteina, że stanowi on pod tym względem wyjątek.

Uważał się za człowieka bardzo szczęśliwego, bo nigdy w życiu nie musiał walczyć o chleb codzienny. Ze szczególną przyjemnością wspominał okres spędzony w Szwajcarii. Atmosfera tam była bardziej ludzka, bardziej przyjazna, mniej zamącona intrygami aniżeli na uniwersytecie; miał wówczas więcej czasu na pracę naukową.

Wielokrotnie opowiadał mi, że chętnie pracowałby fizycznie wykonując jakiś pożyteczny zawód, np. szewca, oczywiście nie przerywając pracy nad fizyką, ale nie chciałby dzięki fizyce zarabiać ucząc jej na uniwersytecie. Za takim stanowiskiem kryje się coś głębszego. Jest w tym jak gdyby „religijne" uczucie związane z pracą naukową. Fizyka to rzecz tak wielka i ważna, że nie wolno jej wymieniać na pieniądze. Lepiej zarabiać na życie będąc na przykład latarnikiem lub szewcem i trzymać fizykę z dala od sprawy chleba powszedniego. Chociaż stanowisko takie wydać się musi naiwne, to jednak jest ono zgodne z charakterem Einsteina.

9

Nauczyłem się wiele od Einsteina w dziedzinie fizyki. Ale najbardziej cenię to, czego nauczyłem się od niego poza fizyką. Einstein był — wiem jak banalnie to brzmi — najlepszym człowiekiem na świecie. Ale i to zdanie nie jest tak proste, jak się wydaje, i wymaga pewnych objaśnień.

Współczucie to na ogół źródło dobroci ludzkiej. Współczucie dla innych, współczucie dla nędzy, dla nieszczęścia ludzkiego — oto źródła dobroci działające poprzez rezonans sympatii. Przywiązanie do życia i do ludzi poprzez nasze związki ze światem zewnętrznym budzi w nas oddźwięk uczuciowy, kiedy patrzymy na walkę i cierpienia innych.

Ale istnieje też zupełnie inne źródło dobroci. Jest nim poczucie obowiązku oparte na samotnym, jasnym myśleniu. Dobra, jasna myśl prowadzi człowieka do dobroci, do lojalności, bo te zalety czynią życie prostszym, pełniejszym, bogatszym; bo w ten sposób zmniejszamy ilość nieszczęść w naszym środowisku, zmniejszamy tarcia z ośrodkiem, w którym żyjemy, i powiększając sumę szczęścia ludzkiego powiększamy i swój spokój wewnętrzny. Właściwe stanowisko społeczne, pomoc, przyjaźń, dobroć, mogą wypływać z obydwóch tych źródeł; aby to wyrazić anatomicznie: z serca lub z głowy.

W miarę jak upływały lata mego życia, uczyłem się coraz bardziej cenić drugi rodzaj dobroci, ten, który wypływa z jasnego myślenia. Wielokrotnie w życiu widziałem, jak destruktywne są uczucia nie wspomagane jasnym myśleniem.

Tutaj znowu Einstein przedstawia wypadek krańcowy. Nigdy w życiu nie widziałem tyle dobroci tak oderwanej od jakiegokolwiek tła uczuciowego. Chociaż tylko fizyka i prawa przyrody miały znaczenie w życiu emocjonalnym Einsteina, nigdy nie odmawiał pomocy, jeżeli uważał, że pomoc jest potrzebna i gdy sądził, że może być skuteczna. Pisał tysiące listów polecających, dawał rady setkom ludzi, godzinami rozmawiał z wariatem, którego rodzina napisała do Einsteina, że jest on jedyną osobą, która może choremu pomóc. Był dobry, miły, rozmowny, uśmiechnięty, ale czekał z niezwykłą, chociaż tajoną niecierpliwością na chwilę, gdy zostanie sam i będzie mógł wrócić do pracy.

Pisał o sobie:

„Moje namiętne zainteresowanie sprawiedliwością społeczną i moje poczucie odpowiedzialności społecznej były zawsze w dziwnej sprzeczności z wyraźną niechęcią, jaką odczuwałem do zrzeszania się z ludźmi. Jestem jak koń z pojedynczego zaprzęgu, nie nadający się do pracy zespołowej. Nigdy nie należałem całym sercem do kraju, do państwa, do koła moich przyjaciół, nawet do własnej rodziny. Te więzy zawsze były związane z poczuciem samotnictwa, a chęć wycofania się i zamknięcia w sobie wzrasta wraz z wiekiem.

Taka izolacja jest czasem gorzka; jednak nie żałuję, że jestem odcięty od możności rozumienia i sympatii innych ludzi. Oczywiście, że coś przez to tracę, ale zyskuję to, że jestem niezależny od zwyczajów, opinii, przesądów innych ludzi i unikam pokusy, aby swój spokój wewnętrzny oprzeć na tak kruchych podstawach".

Mało jest ludzi, dla których sława miałaby mniejsze znaczenie i była mniej pożądana niż dla Einsteina. Mimo to Einstein poznał gorzki smak sławy, jak się to często zdarza tym, którzy jej szukają. Opowiadał mi, że od wczesnej młodości zawsze pragnął odizolować się od walki życiowej. Sława przyszła do niego; i to największa, jaka kiedykolwiek była udziałem uczonego. Zastanawiałem się nad tym często. W owym czasie (w roku 1937) idee jego nie miały większego znaczenia praktycznego. Ani światło elektryczne, ani radio, ani telefon nie były związane z jego nazwiskiem. Prawdopodobnie jedynym ważnym wówczas odkryciem technicznym, związanym z nazwiskiem Einsteina, było odkrycie komórki fotoelektrycznej. Ale źródło sławy Einsteina na pewno nie leży w tym wynalazku. Blask swej sławy zawdzięcza pracom nad teorią względności. Czy sprawił to wpływ teorii Einsteina na filozofię? Chyba nie. Odkrycia w mechanice kwantowej mają równie wielkie znaczenie dla filozofii, może nawet większe, a jednak jej twórcy są bez porównania mniej znani niż Einstein. Mnie się wydaje, że powodów tej wielkiej sławy, jaką się cieszy u prostych ludzi całego świata, ludzi, którzy teorii względności nie znają i nie rozumieją, jest więcej i że muszą być one natury socjologicznej. Ta sława na pewno nie jest zależna od tego, że nazwisko Einsteina związane jest z energią atomową; przecież jej początek sięga roku 1919 i od tego czasu jaśnieje ona coraz pełniejszym blaskiem.

Istotnie, rok 1919 to początek sławy Einsteina. W tym czasie jego wielkie dzieło, a mianowicie struktura teorii względności szczególnej i ogólnej, było już od czterech lat ukończone. Jeden z wniosków ogólnej teorii względności może być opisany w następujący sposób: Jeżeli sfotografujemy fragment nieba podczas zaćmienia słońca, bliski zaćmionego słońca, i ten sam fragment nieba tzn. ten sam układ gwiazd w normalnych warunkach, to otrzymamy dwie nieco różne od siebie fotografie. Z teorii względności wynika, że pole grawitacyjne słońca deformuje nieco tor światła wysłanego z gwiazd; dlatego też fotografia owego fragmentu nieba będzie inna podczas zaćmienia słońca aniżeli normalnie. Teoria względności ogólna nie tylko przepowiada efekt jakościowy, ale i ilościowo podaje, w jakim stopniu owe dwie fotografie będą się różniły. Angielskie ekspedycje naukowe wysłane w roku 1919 — jedna do Południowej Ameryki, druga do Afryki — potwierdziły jakościowo i ilościowo przepowiednie Einsteina.

Tak to rozpoczęła się wielka sława Einsteina. Przetrwała całe jego życie i chyba będzie tylko wzrastać po śmierci. Jednak fakt, że teoria względności przepowiedziała zjawisko tak dalekie od naszego życia codziennego jak owe gwiazdy, zjawisko, które przewidziała na podstawie długiego łańcucha abstrakcyjnych argumentów — wszystko to chyba nie jest dostatecznym powodem do masowego entuzjazmu. A jednak tak było. Mam wrażenie, że przyczyny należy szukać w psychologii powojennej.

Było to po skończeniu pierwszej wojny światowej. Ludzie mieli dość nienawiści, zabijania i międzynarodowych intryg. Okopy, bomby, mordy pozostawiły gorzki smak. Nie kupowano i nie czytano książek wojennych. Każdy oczekiwał ery pokoju i chciał zapomnieć o wojnie. Toteż owo zjawisko zdolne było porwać ludzką fantazję. Oczy wzniesione z ziemi pokrytej grobami do nieba usianego gwiazdami. Myśl abstrakcyjna unosząca człowieka daleko od smutków życia codziennego. Misterium zaćmienia słońca i siła umysłu ludzkiego. Sceneria romantyczna, kilkuminutowa ciemność, obraz zakrzywiających się promieni świetlnych, wszystko tak różne od przygniatającej rzeczywistości. Jeszcze jeden powód, prawdopodobnie najważniejszy: nowe zjawisko przepowiedział niemiecki uczony, a sprawdzili uczeni angielscy. Fizycy i astronomowie, którzy niedawno należeli do dwóch wrogich obozów, znów pracują ze sobą! Czy to nie jest początek nowej ery, ery pokoju? Ta tęsknota ludzka za pokojem była — tak mi się wydaje — głównym powodem wzrastającej sławy Einsteina.

Trudno jest oprzeć się sławie, trudno, aby nie wywarła wpływu na człowieka. Nie zmieniła ona jednak w niczym Einsteina. A stało się to dzięki jego izolacji i samotności. Sława przeszkadza mu, gdy wchodzi w konflikt z jego sposobem życia, ale zapomina o niej, gdy okoliczności zewnętrzne pozwalają mu na to.

Nawet w Princeton, małej uniwersyteckiej mieścinie, wszyscy patrzyli na Einsteina głodnymi, zdumionymi oczami. Podczas naszych przechadzek unikaliśmy kilku większych ulic, wybieraliśmy pola i odludne uliczki. Raz np. jakieś auto zatrzymało nas, wysiadła zeń niemłoda już niewiasta z aparatem fotograficznym i rumieniąc się z podniecenia powiedziała:

— Panie profesorze — pozwoli pan, że go sfotografuję?

— Proszę bardzo.

Stał spokojnie przez kilka sekund, po czym zaczął kontynuować swój wykład.

Jestem pewien, że po kilku minutach zapomniał o tym incydencie.

Poszliśmy kiedyś do kina w Princeton na film pt. *Życie Emila Zoli*. Po nabyciu biletów weszliśmy do przepełnionej poczekalni, gdzie dowiedzieliśmy się, że będziemy czekać jeszcze 15 minut. Einstein zaproponował, abyśmy się przeszli. Wychodząc powiedziałem do odźwiernego:

— Wracamy za kilka minut.

Einstein był jednak zaniepokojny.

— Nie mamy już biletów, czy pan nas pozna?

Odźwierny sądząc, że to dobry żart, odpowiedział:

— Tak, profesorze Einstein, poznam pana na pewno. Podczas filmu myślałem o tym, że albo ja, albo moje dzieci będą prawdopodobnie oglądały kiedyś film pt. *Życie Alberta Einsteina*, w którym będzie tyleż prawdy historycznej, co w tym filmie, który teraz oglądamy.

Einstein był, gdy mu tylko okoliczności na to pozwalały, zupełnie nieświadomy sławy: jest to jedyny chyba przykład człowieka, którego największa sława w niczym nie zmieniła. Bywały jednak chwile, kiedy agresywność świata zewnętrznego zakłócała mu spokój. Raz powiedział do mnie:

— Zazdroszczę zwykłemu robotnikowi. Ma on swe życie prywatne.

Kiedy indziej:

— Wydaję się sobie oszustem z powodu tej wielkiej reklamy wokół mojej osoby. I to bez żadnej przyczyny.

Einstein rozumiał każdego świetnie, jak długo do tego zrozumienia potrzebna była logika i myślenie. Gorzej, gdy w grę wchodziły emocje. Z wielką trudnością tylko rozumiał motywy i uczucia inne niż te, które były częścią jego życia. Raz powiedział mi:

— Ja do każdego mówię tak samo. Do człowieka, który wynosi śmiecie, i do prezydenta uniwersytetu.

Powiedziałem, że to jest trudne dla innych ludzi, że kiedy spotkają go, czują się onieśmieleni i zakłopotani; że musi potrwać pewien czas, zanim takie uczucia przeminą, i że tak było w moim wypadku. Einstein powiedział:

— Tego nie rozumiem. Dlaczego ktokolwiek miałby być wobec mnie onieśmielony?

10

Jeżeli nawet moje wyjaśnienia dotyczące początków sławy Einsteina są słuszne, to jednak pozostaje pytanie, na które należy odpowiedzieć. Jak to się dzieje, że ta sława przetrwała tak długo w świecie, który codziennie niemal strąca dawne bożyszcza? Odpowiedź na to pytanie nie wydaje mi się trudna.

Wszystko, cokolwiek Einstein zrobił, wszystko, czego bronił, wszystkie jego wypowiedzi były zgodne z obrazem, który powstał w umysłach ludzi prostych. Jego głos zawsze bronił uciśnionych; jego podpis zawsze służył obronie postępu. Był jak święty z dwiema aureolami. Jedna z nich reprezentowała idee sprawiedliwości i postępu; druga — abstrakcyjne idee fizykalne; im bardziej niezrozumiałe były owe idee, tym jaśniejsza wydawała się aureola. Jego nazwisko stało się symbolem postępu ludzkości i myśli twórczej; znienawi-

dzone i oplwane przez tych, co siali nienawiść i atakowali idee, których bronił.

W okresie naszej współpracy trwała wojna domowa w Hiszpanii. Einstein zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że od jej wyniku zależy nie tylko los Hiszpanii, ale przyszłość całego świata. Pamiętam błysk w jego oczach, gdy mu powiedziałem, że gazety popołudniowe przyniosły wiadomość o wielkim zwycięstwie republikanów.

— To brzmi jak pieśń aniołów — powiedział z podnieceniem, które rzadko u niego widywałem. Ale w dwie minuty później debatowaliśmy nad formułkami i świat zewnętrzny przestał dla nas istnieć.

Wiele miesięcy upłynęło, zanim zrozumiałem, że jego samotność i izolacja, są kluczem do zrozumienia jego charakteru. I tak np. jestem przekonany, że w dniu, w którym Einstein otrzymał nagrodę Nobla, nie był z tej racji bardziej niż zwykle podniecony i jeżeli tej nocy nie spał dobrze, to nie z powodu wysokiego odznaczenia, ale z powodu problemu naukowego, który go męczył. Medal tej nagrody razem z wieloma innymi i dziesiątkami dyplomów honorowych leżał bezładnie w skrzyni, w pokoju, gdzie sekretarka je przechowywała, i jestem przekonany, że Einstein nie miał nawet pojęcia, jak ów medal wyglądał.

Einstein świadomie utrzymywał swoje samotnictwo i izolację przez drobne idiosynkrazje, które mogą się wydać dziwne, ale które pozwalały mu na większą swobodę i rozluźniały jego więzy ze światem zewnętrznym. Nigdy nie czytał artykułów o sobie. Twierdził, że dzięki temu rozszerza swą wolność. Raz usiłowałem przełamać ten zwyczaj. We francuskiej gazecie ukazał się artykuł, który był przedrukowany w wielu krajach europejskich, nawet w Polsce przedwojennej i na Łotwie. Nigdy nie czytałem artykułu, który byłby dalszy od prawdy aniżeli ten. Tak np. autor twierdził, że Einstein nosi szkła (nigdy), że żyje w Princeton w jednym pokoju na piątym piętrze (w całym Princeton nie było podówczas gmachu pięciopiętrowego), że przychodzi do Instytutu o godzinie 7 rano (w rzeczywistości nigdy przed 10), że nosi czarne ubranie (nigdy), że trzyma w tajemnicy swe wynalazki techniczne, i wiele innych podobnych nonsensów. Artykuł ten można by określić jako szczyt głupoty, gdyby głupota miała swój szczyt. W Fine Hall wszyscy pękali ze śmiechu z powodu tego artykułu, który ktoś powiesił na tablicy przy wejściu. Uważałem, że artykuł jest tak śmieszny, iż warto przeczytać go na głos Einsteinowi. Na moją prośbę słuchał, nawet uważnie, ale był mało zainteresowany i nic w tym dziwnego nie dostrzegł. Widziałem z wyrazu jego twarzy, że nie rozumie, dlaczego artykuł wydaje mi się komiczny.

Jeden z kolegów zapytał mnie:

— Jeżeli Einstein nie znosi sławy, to dlaczego robi wszystko, czego zwyczajni ludzie nie robią? Dlaczego ma długie włosy, śmieszną wiatrówkę, nie nosi ani skarpetek ani szelek, ani paska, ani kołnierza, ani krawata?

Odpowiedź jest prosta i można ją łatwo wydedukować z jego samotnictwa i z jego dążenia do rozluźnienia więzów ze światem zewnętrznym. Ograniczając swe potrzeby do minimum, pragnął rozszerzyć swą wolność, swoją swobodę. Jesteśmy wszak niewolnikami miliona rzeczy i nasza niewola stale się powiększa. Jesteśmy niewolnikami łazienek, wiecznych piór, zapalniczek automatycznych, telefonów, radia itd. Einstein starał się zredukować to do bez-

względnego minimum. Długie włosy usuwają konieczność częstego chodzenia do fryzjera. Bez skarpetek można się obejść. Jedna wiatrówka skórzana załatwia sprawę marynarki na wiele lat. Bez szelek można się obejść, tak jak można się obejść bez koszul nocnych lub pidżam. Einstein zrealizował program minimum: obuwie, spodnie, koszula i marynarka — są konieczne. Dalsza redukcja byłaby rzeczą trudną.

Czasami bawiłem się myślą o zachowaniu Einsteina w jakiejś wyjątkowej sytuacji. Na przykład: Princeton bombardowane z powietrza, ludzie uciekają do schronów, panika ogarnia miasto, każdy traci głowę powiększając strach i chaos swoim zachowaniem. Gdyby taka właśnie sytuacja zastała Einsteina idącego ulicą, byłby na pewno jedynym człowiekiem, którego spokój nie zostałby zakłócony. Myślałby o tym, co zrobić w tej sytuacji; zrobiłby to nie przyśpieszając normalnych ruchów i równocześnie myślałby nadal nad swymi problemami. Nie miał obawy śmierci. Raz powiedział mi:

— Życie to podniecające i wspaniałe widowisko. Podoba mi się. Ale gdybym wiedział, że za trzy godziny mam umrzeć, wywarłoby to na mnie bardzo małe wrażenie. Pomyślałbym, jak najlepiej użyć owych trzech godzin. Potem poskładałbym swoje papiery i położyłbym się spokojnie, aby umrzeć.

11

Przyjechałem do Princeton we wrześniu 1936 r. W pięć miesięcy później nasza współpraca z Einsteinem zaczęła się dobrze rozwijać, rozumieliśmy się świetnie i osiągnęliśmy nawet częściowy sukces, chociaż problem sformułowania równań ruchu był daleki od całkowitego rozwiązania. Był czas, aby pomyśleć o następnym roku akademickim, tj. o roku 1937/38.

Nad Polską zbierały się chmury. Stowarzyszenie asystentów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie zadało sobie trud wysłania do mnie poleconego listu z zawiadomieniem, że zostałem wykluczony z tego dostojnego grona. Moje szanse otrzymania stanowiska w kraju rodzinnym były równe zeru.

Postanowiłem porozmawiać z Einsteinem o swojej sytuacji finansowej. Była to ciężka decyzja. Wiedziałem, że Einstein zechce mi pomóc. Ale wiedziałem również, że jego możliwości są dość ograniczone. Wydać się to może dziwne, ale było rzeczą znaną, że jego polecenia miały znaczenie mniejsze od poleceń niektórych bez porównania mniej sławnych profesorów.

Einstein mówił mi kilkakrotnie:

— Moja sława zaczyna się poza Princeton. Moje słowa znaczą bardzo niewiele w Fine Hall.

Ale i poza Princeton rekomendacje Einsteina miały stosunkowo małe znaczenie. Powodem tego była jego wielka dobroć. Podpisał w życiu tyle listów polecających, że były one traktowane raczej jako cenne autografy aniżeli jako listy polecające. Opowiadano mi np. historię o wolnej posadzie w szpitalu, w którym poszukiwano rentgenologa fizyka. Czterech fizyków, którzy uciekli przed prześladowaniami hitlerowskimi, wniosło podanie o tę posadę; każdy z petentów miał list polecający od Einsteina. Pytałem go, czy tak było naprawdę. Argumentowałem, że przesadna dobroć raczej szkodzi, aniżeli pomaga. Einstein się jednak ze mną nie zgodził. Powiedział mi:

— Poleciłem wprawdzie czterech fizyków, ale każdego z innych powodów; podałem powody, dla których każdego z nich poleciłem. Mogli wybrać jednego spośród tych czterech kandydatów i tak też zrobili.

W każdym razie wydało mi się naturalne poprosić Einsteina o radę, co należy zrobić, ażeby jeszcze jeden rok akademicki pozostać w Princeton. Uczyniłem to pewnego popołudnia, kiedy pracowaliśmy w jego pokoju. Było to w okresie, gdy natrafiliśmy na duże trudności, które niemal nieustannie dyskutowaliśmy. Ale w chwili, gdy powiedziałem Einsteinowi, że pragnę mówić o swoich osobistych sprawach, Einstein odłożył papier zapisany formułkami i starał się zrozumieć, o co mi chodzi. Zadał mi szereg pytań i wydawał się bardzo zainteresowany moją sprawą.

— Nie powinien pan wracać do Polski w tych warunkach. Pracuje się nam dobrze razem i mamy już poważne wyniki. Chciałbym, aby pan został tutaj jeszcze rok. Otrzymanie stypendium na następny rok nie powinno napotkać trudności.

Gdy jednak nie uzyskałem przedłużenia stypendium, Einstein natychmiast zatelefonował do mnie.

— Nie chcę, aby pan upadał na duchu, chociaż mam złą nowinę. Nie przyznano panu stypendium. Niech pan się nie martwi: coś zrobimy w tej sprawie. Pomówimy o tym po obiedzie. Ale chciałbym, aby pan był pewien, że znajdziemy jakieś wyjście.

Nie wiem, dlaczego nie uzyskałem tego stypendium. Kiedy zobaczyłem Einsteina, powiedział mi:

— Starałem się, jak mogłem. Powiedziałem im, jak pana cenię i że razem pracujemy nad wspólnym problemem. Ale oni wysuwali argument, że nie mają dość pieniędzy i że mają już inne zobowiązania. W tym nie było nic przeciwko panu. Wszyscy pana chwalili. Nie wiem, w jakim stopniu argumenty ich były prawdziwe. Użyłem silnych słów, jakich nigdy przedtem nie używałem. Powiedziałem im, że w moim pojęciu popełniają niesprawiedliwość.

Potem znów podkreślił, że zamierza mi pomóc.

— Wiem, że poza Princeton jestem znany i nie trudno mi będzie otrzymać stypendium przez jakąś organizację. Kilka lat temu dałem koncert skrzypcowy na rzecz uciekinierów z Niemiec, który przyniósł 6.000 dolarów. Widzi pan, że ja mogę coś zrobić. Nie chciałbym, aby pan się martwił. Jeżeli się nawet nic innego nie uda, to może pan być moim prywatnym asystentem. Zarabiam więcej pieniędzy, niż potrzebuję dla siebie, i bez trudu mogę panu ofiarować równowartość sumy stypendialnej.

Ta oferta wywołała we mnie mieszane uczucia: wzruszenia, zażenowania i gniewu. Odpowiedziałem:

— Jestem bardzo wzruszony. Ale pan profesor musi zrozumieć, że nie mogę przyjąć jego propozycji. Wiem na pewno, że byłoby źle, gdybym ją przyjął. Jeśli już Instytut odmówił mi stypendium, to chcę zarobić na życie własną pracą.

Odszedłem znacznie podniesiony na duchu. Tego samego dnia jeszcze, wieczorem, Einstein zatelefonował:

— Chciałbym, aby pan wiedział, że napisałem bardzo energiczny list w pana sprawie. A gdy to nie pomoże, mam inny plan. Niech pan się nie martwi, znajdziemy wyjście z tej sytuacji.

Kłopoty te w ciągu kilku dni następnych wpłynęły źle na mą pracę. Gdy usprawiedliwiałem się przed Einsteinem, powiedział:

— Niech się pan nie przejmuje ani swoimi kłopotami, ani tym, że pan teraz nie pracuje. Świat czekał cierpliwie przez stulecia na rozwiązanie problemu ruchu, może poczekać jeszcze dwa tygodnie.

Gdy rozmyślałem nad swoją sytuacją, nagle przyszła mi do głowy myśl: napisać wspólną książkę z Einsteinem. Wiedziałem, gdy tylko narodził się ten pomysł, że rozwiąże to moje trudności finansowe. Wiedziałem, że książka napisana wspólnie z Einsteinem jeśli nie będzie wielkim sukcesem, to jednak nie może zupełnie zawieść. W każdym razie mógłbym przez rok żyć z połowy zaliczki, którą nam wydawca wypłaci.

Zastanawiałem się nad wszystkimi aspektami tej sprawy, zanim przedyskutowałem ją z Einsteinem. Znałem go dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że nigdy nie położy swego nazwiska na książce, której nie będzie współautorem. Książka z nazwiskiem Einsteina, to znaczyłoby naprawdę książka pisana z nim razem. Ale pisanie książki wymaga czasu. Czy mam prawo zabierać Einsteinowi czas, gdy jedyną rzeczą, która go interesuje, jest nauka?

Zdawałem sobie również sprawę z tego, że jeśli książka ta ma mieć wartość historyczną, muszę pozostać w cieniu i pozwolić Einsteinowi wyrazić jego własne myśli. Wydawało mi się bardzo właściwe, aby ta książka zawierała poglądy Einsteina na rozwój nauki. Znałem jego poglądy i byłem mocno pod ich wpływem.

Następną kwestią była sprawa pisania, mechanizmu popularyzacji; zabierze to — tak sądziłem — wiele czasu. Tę pracę mógłbym wykonać sam i zaoszczędzić czas Einsteinowi.

Gdzieś około roku 1916 Einstein napisał książkę o teorii względności, która miała być rzekomo książką popularną, ale nią nie była. Na okładce widniał napis *Gemeinverständlich*. Einstein śmiejąc się swym donośnym głosem powiedział mi, że powinno być *Gemeinunverständlich*. Einstein pisał bardzo pięknie, ściśle; w jego sposobie pisania jest tchnienie poezji, ale równocześnie jest to pisanie nieprzystępne, spowodowane jego samotnictwem. Nie było dla Einsteina rzeczą łatwą wyjść ze swej izolacji i rozumować tak, jak rozumuje zwykły człowiek. Byłem pewny, że pod tym względem właśnie mogę dużo pomóc. Przekonałem sam siebie, swymi własnymi argumentami, że pisanie tej książki nie zabierze Einsteinowi wiele czasu i nie bardzo przeszkodzi mu w jego pracy naukowej.

Istniała inna jeszcze wątpliwość. Możliwe, że Einstein odrzuci tę ideę popularyzacji, zgadzając się z wieloma uczonymi, którzy uważają popularyzację za oszustwo naukowe, obniżające wysoki poziom wiedzy. Chociaż wiedziałem, że tak być nie może, jednak obawiałem się, że Einstein może mieć wstręt do przedstawiania przedmiotu w sposób unikający ścisłego języka matematyki, unikający dowodów, a podający jedynie rezultaty i upraszczający problemy oraz ich rozwiązania.

Gdyby nawet tak było, uważałem za właściwe przekonać Einsteina, że tak naprawdę nie jest. Postępując w ten sposób byłbym w zgodzie ze swym przekonaniem, że popularyzacja jest rzeczą społecznie ważną, ponieważ tworzy pomost pomiędzy nauką a społeczeństwem, zmniejsza odosobnienie naukowca, podnosi poziom myślenia, rozwijając mądry sceptyzm, walcząc z zabobo-

nem, z dogmatem, wywołując entuzjazm i podziw dla osiągnięć umysłu ludzkiego.

Przed pójściem do Einsteina jeszcze raz ułożyłem sobie wszystkie argumenty, przekonany, że przychodzę do niego z propozycją słuszną, której nie mam powodu się wstydzić.

Einstein słuchał z olimpijskim spokojem, patrząc na moją pełną napięcia twarz, gdy rozpoczynałem swe dobrze przygotowane przemówienie.

— Chciałbym znowu porozmawiać z panem profesorem o moich osobistych sprawach. Myślałem o tym przez kilka ostatnich dni. Obawiam się, że trudno będzie panu uzyskać dla mnie stypendium, a w żadnym wypadku nie mogę przyjąć pieniędzy od pana profesora. Chciałbym zarobić pieniądze w mniej więcej uczciwy sposób.

Einstein mi przerwał.

— Co pan mówi? To nie jest łatwe. Wszędzie jest przepełnienie. Znalezienie zajęcia w najlepszym wypadku wymaga czasu, a pańska sprawa musi być załatwiona szybko.

— Mnie się wydaje — odpowiedziałem — że znalazłem wyjście. Mam pewien plan. Wykonanie zależy od pana profesora; wymaga jego pomocy, ale zdaje mi się, że jej nie nadużywam.

— Co to jest?

Pragnąłem przedstawić swój plan jasno i logicznie. Zawsze o wszystkim dyskutowaliśmy swobodnie. Tutaj jakoś, zdawałoby się bez powodu, zaciąłem się i nie mogłem mówić. Dobrze przygotowane przemówienie zamieniło się w zdania jąkane bez sensu.

— Trudno jest wyjaśnić. Mam nadzieję, że pan profesor mnie zrozumie.

Einstein patrzył na mnie z ogromnym zdziwieniem. Nigdy nie słyszał dotychczas, abym się jąkał nie umiejąc wyrazić swych myśli. Gdy nie mogłem mówić dalej, Einstein czekał chwilę spokojnie, wreszcie przerwał przedłużające się milczenie.

— Na Boga! Niech pan powie, co pan ma do powiedzenia. Naprawdę zaciekawia mnie pan!

Nabrałem nieco odwagi i rozpocząłem zawiłe przemówienie, ostatecznie wyjaśniając, o co chodzi, przez ciągłe powtarzanie. Zakończyłem swą mówkę następującą uwagą:

— Najwięksi uczeni świata pisali książki popularne, jeszcze teraz uważane za klasyczne. Popularne odczyty Faradaya, popularna książka Maxwella pt. *Materia i ruch,* odczyty Helmholtza i Boltzmanna stanowią jeszcze dzisiaj ekscytującą lekturę.

Einstein patrzył na mnie spokojnie, gładził wąsy palcami i wreszcie powiedział cicho:

— To wcale nie jest głupia myśl. Wcale nie głupia!

Potem wstał z fotela, wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

— Zrobimy to.

Tak narodziła się nasza książka.

Postanowiliśmy napisać książkę, ale nie mieliśmy pojęcia, jaka ma być jej treść. Zaproponowałem jako temat teorię względności: objaśnienie jej zasadniczych idei w taki sposób, aby każdy inteligentny człowiek mógł je zrozumieć.

Einstein nie okazał wielkiego entuzjazmu twierdząc, że już pojawiła się na rynku księgarskim zbyt wielka liczba książek o tej teorii.

Pomysł napisania wspólnej książki usuwał na razie wszystkie moje kłopoty finansowe, gdyż wydawcy byli gotowi dać stosunkowo dużą zaliczkę tylko za obietnicę napisania książki razem z Einsteinem.

Einstein, gdy raz zaabsorbowała go myśl napisania takiej książki, zapalił się do niej niesłychanie. Nigdy podczas pisania nie lekceważył jej sobie. Z każdym dniem praca nad książką wydawała mu się bardziej pociągająca. Często powtarzał:

— To był świetny pomysł.

Dyskutowaliśmy, zmienialiśmy, rewidowaliśmy nasze poglądy, dopóki książka nie została ostatecznie ukończona. Nagle Einstein przestał się nią zupełnie interesować. Jego zainteresowanie trwało tak długo, jak długo trwała nasza praca nad książką. Skończyło się dokładnie w momencie, gdy skończyła się nasza praca.

12

Pomysł, o czym traktować ma książka, zrodził się w głowie Einsteina.

Jego zamiarem było napisanie popularnej książki, zawierającej główne idee fizyki w jej logicznym rozwoju. Według Einsteina jest tylko kilka zasadniczych idei w fizyce i mogą one być wyrażone słowami. Einstein często powtarzał:

— Żaden naukowiec nie myśli formułami.

Istotnie, zanim fizyk zaczyna obliczać, musi mieć przed sobą pewien obraz lub pewną ideę, którą zwykle można sformułować w prosty sposób. Obliczenia i formuły — to krok następny. A więc naszym celem byłoby przedstawienie najbardziej fundamentalnych idei w ich właściwej perspektywie. Einstein uważał, że będzie można ten plan zrealizować w jednym tomie, który poruszałby wszystkie działy fizyki.

Gdyśmy ów plan dyskutowali po raz pierwszy, Einstein był chory. Leżał w łóżku, jak zawsze bez koszuli i bez pidżamy, a egzemplarz *Don Kichota* spoczywał na jego nocnym stoliku. Książkę tę najbardziej lubił i czytał ją wiele razy dla wypoczynku. Siedziałem blisko łóżka na krześle. Podniecony był myślą o naszej książce. Usiadł na łóżku, pokazując swą dużą, nagą pierś.

— To jest dramat, dramat idei — powiedział. — Powinna to być książka pasjonująca i ciekawa dla każdego, kto kocha naukę.

Rozumiałem doskonale jego plan i po tej krótkiej rozmowie miałem wyraźny obraz naszej książki, obraz, który starałem się opracować w szczegółach. Miesiące współpracy przyniosły świetne wzajemne zrozumienie, w którym kilka słów zastępowało całe stronice dyskusji. Porozumiewaliśmy się niejako stylem stenograficznym.

Plan Einsteina podobał mi się. Był to temat trudny; wybór idei, selekcja tych, które należy podkreślić, ustalenie ogniw pomiędzy nimi, wszystko to zależne jest od osobistego smaku fizyka. Z tego też powodu było ważne, aby poglądy Einsteina na te sprawy były znane. Nikt nie myślał równie głęboko o problemach fizyki jak Einstein. Żaden z żyjących fizyków (tak wówczas myślałem) nie ma równych Einsteinowi kwalifikacji do podjęcia tego trudnego tematu. Stało się dla mnie mało ważne, czy książka ta będzie sukcesem finan-

sowym. Cudowny był sam fakt, że taka książka ukaże się dzięki mojemu przyjazdowi do Princeton. Czułem się szczęśliwy, gdy o tym myślałem.

Początkowa koncepcja uległa zmianie. Pierwotny plan polegał na napisaniu po prostu popularnej książki. Ale teraz musi ona być czymś więcej! Musi być książką, z której ja i inni fizycy potrafią się czegoś nauczyć: nie konkretnych faktów, ale nowego punktu widzenia, idei ułożonych we właściwej perspektywie; książka powinna być książką naukową, ale równocześnie musi być pisana jak najprościej. Nie trzeba zakładać, że czytelnik ma jakieś wiadomości, ale raczej — wysoki poziom umysłowy.

Kiedy następnym razem rozmawialiśmy na ten temat, obaj byliśmy zgodni co do tego, że styl jej musi być prosty. Podobny pogląd mieliśmy na zadania popularyzacji; nienawidziliśmy popularyzacji, grającej na uczuciach czytelnika. Aby utrzymać w napięciu uwagę nieszczęśliwego czytelnika, niektórzy pisarze silą się na dowcipy, które nie mają nic wspólnego z przedmiotem, uzyskując to, że pozostają one w pamięci, natomiast czytelnik zapomina o celu, dla którego żarty te zostały podane. Autorzy ci przeskakują nagle od fizyki do metafizyki, wywołując dreszcze metafizyczne, skłaniające czytelnika do przerzucania stronic, chociaż nic z tego nie rozumie. W takich książkach wszechświat jest przedstawiony jako zbiorowisko olbrzymich mgławic, odległych od siebie o miliony lat świetlnych, a człowiek — jako istota osamotniona i zatrwożona w obliczu pustego i okrutnego kosmosu. Atom jest znów fantastycznie mały, gdy porównamy go z wzajemną odległością mgławic. A nade wszystko jest religia! Bóg jest wielkim matematykiem, wielkość nauki jest tylko odbiciem boskiej chwały. W takich książkach podkreśla się te rezultaty, które zdają się zaprzeczać zdrowemu rozsądkowi prostego człowieka, po to, by przekonać go, jakimi mędrcami i intelektualistami są naukowcy.

Ale piękno można znaleźć wszędzie! W prawach dotyczących ruchów mgławic, jak i w pracach dotyczących spadającego kamienia. Uczucia mogą i powinny być w dobrej popularyzacji wywołane nie wycieczkami w kierunku metafizyki, ale wysiłkiem zrozumienia; pełnym bólu, a przy tym radosnym wysiłkiem zrozumienia coraz pełniejszego i coraz głębszego.

Aby jednak zdecydować się na ten rodzaj popularyzacji, trzeba zrezygnować z efekciarstwa. To znaczy pisać zwyczajnie i po prostu, to znaczy przekonać czytelnika, że nauka opiera się na bardzo wyrobionym i rozwiniętym zdrowym rozsądku; że jej celem jest stworzenie obrazu otaczającej nas rzeczywistości.

Problem języka, to była dalsza trudność. Do owego czasu nie napisałem nic w języku angielskim. Miałem jednak przyjaciół w Princeton, którzy gorliwie poprawiali mój język. Przy końcu książki zapominałem niemal, że nie piszę w języku ojczystym.

Wspólnie z Einsteinem ułożyliśmy tak swoją pracę, aby te dwa zadania, a mianowicie rozwiązanie problemu ruchu i pisanie książki popularnej, wzajemnie sobie nie przeszkadzały. Dyskutowaliśmy książkę w odstępach tygodniowych, a czasami nawet dwutygodniowych. Natomiast nad zagadnieniem ruchu pracowaliśmy znacznie częściej. Pamiętam, jak czytałem część naszej książki Einsteinowi, który każde wspólne posiedzenie poprzedzał tą samą uwagą:

— Niech pan czyta powoli, abym mógł zrozumieć każde słowo.

Słuchał istotnie bardzo uważnie. Zwykle proponował drobne zmiany. Dysku-

towaliśmy je szczegółowo i nasza współpraca szła nadzwyczaj gładko. Einstein trzymał się zasady, że forma ujęcia jest już moją sprawą. Mawiał:

— Wszystko mi jedno jak pan to napisze. Pan wie lepiej. Ale ta idea musi być w książce.

Jeżeli miałem pewne obiekcje co do umieszczenia jakiejś idei, to zwykle dlatego, że wydawało mi się, iż owa idea jest zbyt skomplikowana, że lepiej byłoby opuścić ją, aniżeli zniechęcić czytelnika. Zawsze osiągaliśmy kompromis i bardzo liczyliśmy się ze stanem umysłowym naszego idealnego czytelnika.

Po omówieniu części, którą opracowałem, szliśmy razem na spacer i dyskutowaliśmy następny ustęp, starając się zawsze uzgodnić nasze opinie. Einstein nie był nigdy autorytatywny. Wzajemne zrozumienie potęgowało się w miarę, jak praca posuwała się naprzód. Posiedzenia dotyczące książki były coraz krótsze i różnice w sądach coraz szybciej wyrównywane. Codziennie pisałem około tysiąca słów. Krok za krokiem książka przybierała realne kształty.

13

Pisałem o naszej książce na podstawie ówczesnych moich notatek. Co sądzę o niej teraz, będąc z powrotem w kraju? Co sądzę przede wszystkim o zarzutach, że książka ta jest idealistyczna? Otóż ten zarzut wydaje mi się tylko w bardzo małym stopniu prawdziwy. Książka w przeszło 99 procentach traktuje o fizyce. Zarówno Einstein jak i ja uważaliśmy się za materialistów, chociaż żaden z nas — podówczas — nie studiował teoretyków materializmu dialektycznego. Z dzisiejszego punktu widzenia powiem, że w tym jednym procencie książki, traktującym o filozofii, są pewne zwroty, które mogłyby być interpretowane idealistycznie. Ale ten „idealizm" Einsteina jest znacznie bardziej ciekawy niż materializm dialektyczny niektórych sekciarzy, którzy tę książkę atakowali. I tak na przykład powtarzano mi, że X powiedział na wykładzie publicznym: „Einstein jest idealistą, a Infeld robi jego robotę w Polsce". Gdy się o tym dowiedziałem, odparłem: „Wolę być zwalczany w towarzystwie Einsteina, niż chwalony w towarzystwie pana X".

Niektóre zarzuty stawiane były przez filozofów, którzy nie mieli pojęcia o fizyce i występowali przeciwko teorii względności jako idealistycznej. Jednym z zarzutów, tak niemądrych, że trudno nawet na nie odpowiedzieć, było to, że podobno występujemy przeciwko teorii Kopernika, że piszemy, iż teoria Kopernika i Ptolomeusza to wszystko jedno, bo to zależy od układu odniesienia, a układ odniesienia jest dowolny w teorii względności. Wobec tego jesteśmy, jak twierdzili niektórzy recenzenci, obskurantami („popowszczycy") i chyba też (to już dodaję od siebie) zwolennikami inkwizycji. Istotnie, punkt ten nie był u nas dostatecznie jasno sformułowany, ale wyciągnąć z tego wniosek, że w jakikolwiek sposób teoria względności nie docenia dzieła Kopernika, stanowiłoby zarzut, na który nie warto było nawet odpowiadać. Sprawę tę potraktowałem obszerniej w pracy *Od Kopernika do Einsteina* („*Kosmos*" B 1955).

Cytuję z tej pracy:

„Pragnę usunąć przynajmniej jedno z bardzo wielu nieporozumień, które istnieją w dziedzinie interpretacji teorii względności. Słyszy się czasami, iż

teoria względności twierdzi, że nie ma różnicy pomiędzy teorią Kopernika a teorią Ptolemeusza, że niby z punktu widzenia teorii to jest wszystko jedno. Tego rodzaju uwagi polegają albo na nieporozumieniu, albo na niezrozumieniu. Winę ponoszą czasami popularyzatorzy, którzy się nie dość ściśle wyrażają, ale w żadnym wypadku ktoś, kto studiował teorię względności, nie może i nie powinien tego wniosku wyciągać. Jeżeli mowa o strukturze matematycznej teorii względności, to tam istotnie niezmienność wyraża, że pojęcie układu jest niepotrzebne i że nie ma różnicy (powtarzam z punktu widzenia matematycznego teorii) pomiędzy układem Ptolomeusza a Kopernika. Ale sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, jeżeli chodzi o treść fizyczną.

Opis matematyczny konkretnego fragmentu rzeczywistości, jak ruch planety, ruch dwóch ciał, zakrzywienie promieni świetlnych, jest najzupełniej obiektywny i odnosi się albo do układu związanego ze słońcem, albo do układu związanego ze środkiem mas, czyli do układów kopernikańskich. Teoria względności, jako narzędzie poznania przyrody, posługuje się układem kopernikańskim dokładnie w tym samym stopniu, co teoria Newtonowska. Ma ona tę wyższość nad teorią Newtonowską, że niepotrzebne jest jej pojęcie układu inercjalnego. Ma ona tę wyższość nad mechaniką Newtonowską, że jej wnioski są bardziej zgodne z obserwacją aniżeli wnioski z teorii Newtonowskiej. W teorii pomiaru, który musimy dodać do każdej teorii, zakładamy, że pomiary wykonane są przez obserwatora daleko od słońca i że dla niego pole grawitacyjne jest bardzo słabe. Ziemia i obserwator interweniują tylko poprzez teorię pomiarów; tę musimy mieć zawsze, ażeby z wyników pomiaru móc wywnioskować o właściwościach i prawach rządzących światem obiektywnym, istniejącym poza naszą świadomością. Wydaje mi się zupełnie niewątpliwe, że teoria względności jest olbrzymim postępem w dziedzinie naszego poznania, że jej treść fizyczna, zgodna z doświadczeniem, musi być w pełnej zgodzie z zasadami materializmu dialektycznego. Fakt, że niektóre sformułowania tej teorii mają charakter idealistyczny, jest spowodowany tym, iż jest to teoria niezmiernie trudna, wymagająca wielu lat myślenia i znajomości środków matematycznych, że sformułowana została na Zachodzie, podatnym na idealistyczne interpretacje. Często filozofowie, przy najlepszych nawet chęciach, nie rozumieją teorii względności. Często ma się ochotę potępić rzeczy, których się nie rozumie, i ataki na teorię względności, jeden z największych wyczynów umysłu ludzkiego, tutaj właśnie mają swe źródło."

To jest mój punkt widzenia. Nie zgadzam się z profesorem Fockiem, że trzeba dodać pewne warunki do teorii względności, warunki wyróżniające układ harmoniczny. Podczas mojego pobytu w Związku Radzieckim (1955) przekonałem się (ku memu wielkiemu zdziwieniu), że stanowisko prof. Focka jest odosobnione i że fizycy tej miary co Landau, Tamm, Ginzburg są przeciwni temu stanowisku.

Polemizując z filozofami — przeciwnikami teorii względności wywalam prawdopodobnie otwarte drzwi, gdyż wiele się ostatnio zmieniło w tej dziedzinie zarówno w Związku Radzieckim, jak i u nas. Sekciarstwo zwalczane jest dzisiaj szczególnie ostro i coraz lepiej rozumie się, że sztywny dogmatyzm jest wrogiem nauki.

Ostatnie trzy stronice naszej książki były najbardziej atakowane. Piszemy bowiem w ostatnim rozdziale pt. *Physics and Reality (Fizyka a rzeczywistość)*,

że na naukę składają się wynalazcze idee i pojęcia, które są wolnymi tworami umysłu ludzkiego.

Sąd ten dla niektórych krytyków pachniał czystym berkeleyizmem. To, cośmy przez sąd ten rozumieli, wyjaśniliśmy poprzednio w rozdziale *The Riddle of Motion (Zagadka ruchu)*, w którym piszemy:

„Pojęcia fizykalne są wolnymi tworami umysłu ludzkiego i nie są, jakby się to mogło wydawać, jednoznacznie określone przez świat zewnętrzny. W naszych usiłowaniach rozumienia rzeczywistości jesteśmy niejako w sytuacji człowieka starającego się rozumieć mechanizm zegarka w kopercie. Widzi on tarczę zegarową, widzi poruszające się wskazówki, nawet słyszy jego tykanie, ale nie może otworzyć koperty. Jeżeli jest pomysłowy, może stworzyć sobie obraz mechanizmu odpowiadającego wszystkim jego obserwacjom; ale nigdy nie będzie pewien, czy jego obraz jest tym jedynym, który mógłby wytłumaczyć jego obserwacje. Nigdy nie będzie mógł porównać swojego obrazu z prawdziwym mechanizmem i nawet nie może wyobrazić sobie możliwości takiego porównania. Ale na pewno wierzy, że w miarę jak jego wiedza rośnie, obraz rzeczywistości będzie coraz prostszy i będzie tłumaczył coraz szerszą dziedzinę jego wrażeń zmysłowych. Może również wierzyć w idealną granicę wiedzy oraz w to, że do tej idealnej granicy wiedzy zbliża się umysł ludzki. Może on nazwać ową idealną granicę wiedzy prawdą obiektywną".

Chyba jasne jest, że pomiędzy fragmentami rzeczywistości, które opisujemy, a pojęciami, za pomocą których je opisujemy, nie istnieje odpowiedniość jednoznaczna. Jest to natychmiast widoczne, jeżeli pomyślimy o różnicy pomiędzy językiem potocznym a naukowym. Na przykład kamień opisany przez zwykłego człowieka, przez mineraloga, przez chemika, przez fizyka, przez atomowca, przez jądrowca. Ale poza tą różnicą (pomiędzy językiem potocznym a naukowym) istnieją różnice w języku naukowym, w miarę jak nauka idzie naprzód. Pojęcia, których używamy do opisywania naszego świata rzeczywistego, ulegają zmianie. Pomyślmy np. o teoriach światła Huygensa, Newtona i o fotonach Einsteina. Ale w miarę jak poznajemy coraz lepiej rzeczywistość, zbliżamy się (tak wierzę) coraz bardziej do jednoznaczności pomiędzy naszym opisem a światem materialnym, czyli zbliżamy się coraz bardziej do obiektywnej prawdy. Istoty żyjące na Marsie miałyby — w granicy — tę samą fizykę co my.

Prawdopodobnie to, co tutaj napisałem i co pisaliśmy w książce, nie jest i nie było wyrażone w terminologii materializmu dialektycznego, ale posądzenie autorów o czysty idealizm jest po prostu głupotą lub złośliwością albo też mieszaniną tych obydwóch, często idących w parze, właściwości ludzkich.

14

Pierwszy rok mego pobytu w Princeton zbliżał się ku końcowi. Podczas wakacji Princeton jest najprzykrzejszym chyba miejscem na świecie. Miasto jest wymarłe; ludzie jak cienie włóczą się po rozpalonym bruku powtarzając ciągle: „To nie ten upał, ale ta wilgoć". Wstawałem o piątej godzinie, by napisać swoich tysiąc słów, zanim palące słońce zdąży zamienić miasteczko w piekło. Einstein wyjechał do Long Island, gdzie jak zawsze żeglował. Przedyskutowali-

śmy uważnie dwa rozdziały, zanim opuścił Princeton. Dwukrotnie odwiedziłem go w Long Island, dokąd przyjeżdżałem z gotowym materiałem.

We wrześniu książka była ukończona. Pracowaliśmy nad nią około sześciu miesięcy. Kiedy ukończyliśmy ją, czułem, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na mnie z racji tego, że nazwisko Einsteina będzie figurowało na okładce książki wspólnie z moim. Powiedziałem Einsteinowi:

— Czułbym się znacznie swobodniejszy i byłbym mniej ostrożny, gdybym był jedynym autorem. Nie mogę jednak zapomnieć o tym, że pańskie nazwisko ukaże się na tej książce.

Einstein zaśmiał się swym głośnym śmiechem i powiedział:

— Nie potrzebuje pan być tak ostrożny z tego powodu. Istnieją błędne prace również pod moim nazwiskiem.

Wysłałem rękopis do wydawcy i wróciliśmy do pracy nad zagadnieniem ruchu. Rozpoczął się dla mnie drugi rok akademicki w Princeton, rok 1937—38. W kwietniu 1938 roku wyszła już zarówno nasza praca o zagadnieniu ruchu w *„Annales of Mathematics"* jak i książka, której tytuł brzmiał: *Evolution of Physics*. Gdy nadeszły egzemplarze autorskie, zaniosłem je Einsteinowi. Zupełnie nie zainteresował się książką, nawet jej wyglądem. Tak samo nie rzucił okiem na naszą pracę, gdy przysyłano nam jej odbitki. Powiedział mi, że gdy praca jest raz ukończona, nie interesuje się nią więcej; nie czyta recenzji, niechętnie słucha sądów. W ten sposób, jak twierdził, czuje się wolniejszy. Przypuszczam, że nie wiedział nawet, jak książka nasza wyglądała. Zewnętrzne sprawy były dla Einsteina nieważne i na pewno nie wyobrażał sobie, by graficzna szata książki miała jakiekolwiek znaczenie dla czytelnika. Wydawcy jednak przywiązywali do jej wyglądu zewnętrznego dużą wagę. *Evolution of Physics* dostała nagrodę jako najładniej wydana książka w ciągu miesiąca. Gdy wydawcy pytali mnie, jak się Einsteinowi podobała okładka, druk, papier, odpowiadałem, że mu się wszystko bardzo podobało, nie chcąc zrazić ich wyznaniem, że Einstein nigdy jej nawet nie otworzył.

W dniu, w którym książka się ukazała, reporter z *„New York Times"*, jednego z najpoważniejszych pism w Ameryce, zatelefonował do Einsteina, żeby powiedział kilka słów o książce. Na to Einstein:

— To, co mogę powiedzieć o książce, jest w książce.

Książka ta była bardzo reklamowana w Ameryce i miała duże powodzenie. Właściwie przyszłość moja na kontynencie Ameryki była dzięki tej książce zapewniona. Tłumaczono ją na wszystkie niemal języki świata.

15

Chciałem po skończeniu drugiego roku akademickiego pozostać na trzeci rok w *Institute for Advanced Study*. Dochody z książki umożliwiły taką decyzję. Otrzymałem jednak propozycję objęcia stanowiska w bardzo poważnym uniwersytecie w Toronto, w Kanadzie. Postanowiłem przyjąć tę ofertę. Einstein również radził mi ją przyjąć, chociaż żałował, że wyjeżdżam do Toronto i że nasza współpraca się urwie.

Nasza współpraca nie urwała się jednak, chociaż była już znacznie luźniejsza przez następnych dwanaście lat, do chwili, gdy opuściłem Kanadę.

Podczas mego pobytu w Toronto pierwszego roku akademickiego (1938—1939) pracowałem nad zagadnieniem uogólnienia równań ruchu, a więc nad tym samym problemem, nad którym w roku poprzednim pracowaliśmy razem z Einsteinem. W fizyce teoretycznej, gdy pierwszy wyłom jest zrobiony i trudność przezwyciężona, okazuje się często, że niektóre z założeń były niepotrzebne, że struktura matematyczna teorii może być sformułowana bardziej precyzyjnie i bardziej ogólnie. Starałem się wyeliminować specjalne założenie, dotyczące układu współrzędnych; znaleźć równania ruchu nie jak poprzednio w pewnym układzie współrzędnych, ale w ogólnym układzie współrzędnych, co bardziej odpowiadałoby duchowi ogólnej teorii względności.

Posłałem Einsteinowi pierwszy szkic mojego rękopisu. Einsteinowi podobała się koncepcja, zrobił jednak dwie uwagi, które od razu zmieniły perspektywę całej pracy. Zauważył, że nie tylko równania mogą być sformułowane w ten ogólny sposób, ale możemy również zaznaczyć metody ich rozwiązania przez użycie tej samej procedury aproksymatywnej, której użyliśmy poprzednio. Następnie zaproponował uproszczenie całego zagadnienia, zręcznie zmieniając mój argument i patrząc na problem z innego, oryginalnego punktu widzenia. Chciałem to wszystko przedyskutować z Einsteinem.

W maju 1939 r. po blisko rocznym niewidzeniu przestąpiłem znowu próg domu na Mercer Street. Musiało upłynąć nieco czasu, zanim poczułem się w jego pokoju tak swobodnie, jak wtedy, gdy pracowaliśmy wspólnie nad problemem równań ruchu lub nad *Evolution of Physics*. Omawialiśmy nasze nowe rezultaty, które znaliśmy już z wymiany listów. Einstein zaproponował, abyśmy je wspólnie opublikowali. Postanowiliśmy, że ja przygotuję rękopis i poślę go Einsteinowi do aprobaty. Byłem szczęśliwy, że nasza współpraca pokonała geograficzne oddalenie. Potem Einstein opowiadał mi o nowych usiłowaniach skonstruowania jednolitej teorii pola, o swoich rozczarowaniach i nadziejach, powtarzając kilkakrotnie: „Żałuję bardzo, że nie ma pana w Princeton. Myśmy się dobrze rozumieli. Przyjemnie było razem pracować!".

Wizyta ta przygnębiła mnie. Jednym z powodów było to, iż zdawałem sobie sprawę, że to wspaniałe przeżycie, którym była wspólna praca z Einsteinem, zbliża się ku końcowi. Drugi powód tkwił w tym, że rozmawialiśmy o problemach społecznych i Einstein był bardziej pesymistycznie nastrojony niż kiedykolwiek przedtem. Pesymizm ten podziałał na mnie. Einstein sądził, że przyszłość Europy jest zdeterminowana wydarzeniami w Madrycie i w Monachium, że „los się zbliża". Nigdy przedtem nie wydawało mu się, że sytuacja polityczna jest tak beznadziejna i chaos tak bliski.

Czułem nostalgię. Gdy spacerowaliśmy później razem po ogrodzie uniwersyteckim, pełnym słońca i kwiatów wiosennych, wszystko niby było jak dawniej, za czasów naszej współpracy.

16

We wrześniu tego samego roku hitlerowcy napadli na Polskę. Podczas wojny pracowałem naukowo dla zwycięstwa. O ile sobie przypominam, nie widziałem się z Einsteinem w tym okresie ani razu. Wymienialiśmy tylko od czasu do czasu listy. Nie wiedziałem, jaką rolę odegrał Einstein w sprawie energii ato-

mowej. Po wojnie byliśmy w stałym kontakcie, a to z różnych powodów. Niektóre z nich były zewnętrznej, inne głębszej natury, bo wiązały się z naszą pracą naukową. Pragnę wspomnieć tutaj o jego pracy na rzecz pokoju w Ameryce i mojej pracy pokojowej w Kanadzie. W pracy swej korzystałem z wypowiedzi Einsteina, przede wszystkim z mądrego i pięknego artykułu *Only then shall we be free. (Tylko wtedy będziemy wolni),* który mi przysłał. Wspólna nasza praca dla pokoju, przeciwko szantażowi bombą atomową, ożywiła nasz kontakt listowny. Potem wyszła moja książka o Galois pt. *Whom the Gods Love (Wybrańcy bogów).* Posłałem ją Einsteinowi, mając niewiele nadziei, czy znajdzie czas, aby ją przeczytać. Nie tylko znalazł czas, ale przysłał mi kilka pięknych i bardzo pochlebnych zdań o tej książce, upoważniając mnie, aby wydawca wyzyskał je w jaki sposób tylko zechce.

Obawiałem się, że ten kontakt może się stać kontaktem powierzchownym, bo nie opartym na wspólnej pracy. Jeśli idzie o mnie, odczuwałem w stosunku do Einsteina uwielbienie połączone z zażenowaniem. Nie chciałem pisać do niego zbyt często. Od czasu do czasu dostawałem również listy od jego sekretarki, p. Dukas, która jest niesłychanie dobrą osobą. Ile razy Einstein w jakimś towarzystwie powiedział o mnie coś dobrego, zaraz mnie o tym zawiadamiała.

Z tego okresu zachowałem wiele listów Einsteina, z których podaję najciekawsze urywki:

October 23, 1939

...I can imagine also how worried you are about your sisters in Poland. I hope that women are not so endangered in such situation. There is nothing one can do against those gang of scoundrels. But it seems to me that destiny is on the march!

23.X.1939

(...Wyobrażam sobie, jak bardzo niepokoi się Pan o los swoich sióstr w Polsce. Mam nadzieję, że kobiety nie są tak bardzo w tej sytuacji narażone. Nic nie można zrobić przeciwko tej bandzie zbrodniarzy. Ale wydaje mi się, że czeka ich zasłużony los.)

6 Maerz 1941

Unsere Bewegungsarbeit findet merkwuerdigerweise mehr Interesse als wir damals erwartet haben...

Unsere Bemuehungen eine brauchbare Feldtheorie aufzustellen haben zu keinem Ergebnis gefuehrt. Ich neige immer mehr zu der Ansicht, dass man mit der Theorie des Kontinuums nicht weiterkommen kann, weil in dieser sich die Riemann-Metrik fast mit Notwendigkeit als die einzig naturgemaesse Begriffsbildung aufdraengt. Unsere Bemuehungen um eine allgemeine Begriffsbildung hatten aber bisher keinerlei Erfolg.

6.III.1941

(Nasza praca nad równaniem ruchu spotyka się, rzecz dziwna, z większym zainteresowaniem, aniżeliśmy się tego spodziewali...

Nasze prace nad użyteczną teorią pola nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Coraz bardziej skłaniam się do przekonania, że nie można pójść dalej z teorią continuum, ponieważ Riemanowska metryka narzuca się w niej jako jedyne naturalne pojęcie. Nasze trudy nad uogólnieniem tego pojęcia nie przyniosły dotychczas sukcesu.)

29. November 1945

Vor allem mein herzlichstes Beileid zu den schrecklichen Nachrichten, die auch Sie ueber das Schicksal Ihrer Verwandten erhalten haben. Es ist etwas Furchtbares um das juedische Schicksal und es ist klar, dass der Einfluss der national-sozialistischen Propaganda noch fuer lange ernste Gefahren fuer uns in sich birgt...

Ich glaube jetzt mit ziemlicher Zuversicht zu sehen wie Gravitation und Elektrizitaet zusammenhaengen, wenn auch eine physikalische Verifikation noch in weiter Ferne liegt.

29.XI. 1945

(Przede wszystkim moje najserdeczniejsze współczucie z powodu strasznych nowin, które i Pan otrzymał o losie swoich krewnych. Jest coś straszliwego w tym losie żydowskim i jest jasne, że wpływ hitlerowskiej propagandy kryje dla nas na długi jeszcze czas poważne niebezpieczeństwa...

Mam nadzieję, że odkryłem, jak grawitacja i elektryczność związane są ze sobą; weryfikacja fizykalna jest jeszcze daleka.)

den 25. Dezember 1945

Ich kann Ihnen Ihren Schmerz nachfuehlen, zumal auch in meiner Familie mehrere von den Deutschen umgebracht worden sind.

Ich bin recht schockiert darueber, dass die Reaktion auf diese Schandtaten in diesem Lande nicht so stark und spontan ist als man es erwarten sollte.

Ich bin recht neugierig auf Ihre Arbeit und will Ihnen gerne ueber diese interessante Moeglichkeit einer einheitlichen Feldtheorie erzaehlen, wenn Sie mich einmal besuchen.

An den polnischen Botschafter habe ich empfehlende Worte fuer Herrn... geschickt; aus Ihrem Buch weiss ich ja, dass er es wirklich verdient.

25.XII.1945

(Rozumiem Pana ból, zwłaszcza że i z mojej rodziny wiele osób Niemcy wymordowali.

Jestem zgorszony, że w tym kraju reakcja na te haniebne czyny nie jest tak silna i spontaniczna, jak się tego można było spodziewać.

Bardzo ciekawi mnie Pańska praca i chętnie Panu opowiem o nowej możliwości jednolitej teorii pola, jeżeli Pan mnie odwiedzi.

Do polskiego ambasadora napisałem list polecający dla pana... Z książki Pana wiem przecież, że on naprawdę na to zasługuje).

*

Widzimy z tych ostatnich listów tak charakterystyczną zmianę nastroju Einsteina w stosunku do jednego problemu, którym zajmował się przez 35 lat i nad którym pracował na pewno do ostatnich chwil swego życia: był to problem jednolitej teorii pola, teorii obejmującej budowę cząstek elementarnych, teorii dającej rozwiązania regularne, które mogłyby reprezentować elementarne cząstki. Bardzo wiele takich prób zaczynał, ogłaszał, w przekonaniu, że zawierają one część tej prawdy, której całe życie szukał. Potem dostrzegał

w nowej teorii niedoskonałości, stawał się jej najsurowszym krytykiem; sądził, że w ogóle problem ten jest nierozwiązalny; potem znowu zdawało mu się, że widzi nowe światło. Czy ta teoria, którą zostawił umierając, wytrzyma próbę ogniową czasu tak, jak wytrzymały ją szczególna i ogólna teoria względności? Wątpię. Ale będzie ona wiecznym pomnikiem wytrzymałości tego umysłu, który potrafił przez 35 lat uparcie trzymać się jednego problemu tak trudnego, iż jego rozwiązanie przerastało siły ludzkie. Istotnie, nad problemem cząstek elementarnych pracuje, atakując go z zupełnie innej strony, wielu uczonych. Problem ten wygląda dzisiaj inaczej aniżeli 35 lat temu dzięki tej teorii kwantów, którą Einstein pomógł stworzyć i od której w późniejszych latach swego życia odwrócił się z niesmakiem; uważał ją za teorię brzydką; uważał, że prawdziwie piękna teoria, opisująca naszą rzeczywistość, nie może posługiwać się metodami statystycznymi.

Cytuję list Einsteina:

den 21. April 1946

Ich habe mit vieler Freude Ihre ausgezeichnete Schrift ueber die atomic bomb gelesen, bin aber leider noch nicht zum Studium Ihrer Ietzten Abhandlung gekommen.

Heute sende ich Ihnen die Abschrift eines Briefes ueber unser gemeinsames Kind, der Sie sicher nicht weniger freuen wird als mich.

Seien Sie mir nicht boese, dass ich Ihnen so spaerlich schreibe; der Problemteufel haelt mich erbarmungslos in seiner Zange und treibt mich zu verzweifelten Anstrengungen, mathematische Schwierigkeiten zu ueberwinden. Ich sende Ihnen meine letzte Arbeit, in welcher der allgemeine Weg zur Loesung bereits richtig angegeben, die Feldgleichungen aber noch reformbeduerftig sind. Die endgueltige Arbeit ist schon seit vielen Monaten im Druck. Ich sende sie Ihnen sobald sie erschienen ist. Ich glaube endlich einen Zipfel der Wahrheit erfasst zu haben.

21.IV.1946

(Z wielką radością czytałem Pana świetną rozprawę o bombie atomowej, nie miałem jednak, niestety, jeszcze czasu na studiowanie ostatniej pracy Pana. Dzisiaj przesyłam Panu odpis listu o naszym wspólnym dziecku (tzn. o *Evolution of Physics),* który na pewno nie mniej Pana ucieszy aniżeli mnie.

Niech się Pan na mnie nie gniewa, że tak mało piszę. Diabeł problemów trzyma mnie bezlitośnie w swych szponach i zmusza do rozpaczliwych wysiłków, aby pokonać trudności matematyczne. Posyłam Panu swoją ostatnią pracę, w której podana jest ogólna droga rozwiązania problemu, ale równania pola muszą być jeszcze zmienione. Ukończona praca jest już w druku od wielu miesięcy. Poślę ją Panu, jak się tylko ukaże. Myślę, że wreszcie uchwyciłem rąbek prawdy.)

Einstein był w ostatnich latach swego życia, a właściwie już od czasu, gdy pracował nad jednolitą teorią pola, odosobniony naukowo. Ja osobiście nie wierzyłem, że tędy droga. Pamiętam, jeszcze dawniej, gdy w roku 1936 przybyłem do Princeton, Einstein zaproponował mi opracowanie jednego z dwóch tematów. Pierwszy — to zagadnienie ruchu, drugi — to praca nad jednolitą teorią

pola. Wybrałem wówczas skwapliwie pierwszy temat, do którego później przyłączył się również Hoffmann, młody fizyk Peter Bergman obrał temat drugi i pracował przez pewien czas wspólnie z Einsteinem nad jednolitą teorią pola. (W roku 1949 wydawało mi się, że po 13 latach wspólnej z Einsteinem pracy nad problemem ruchu, o której wspomnę za chwilę, problem ten został zupełnie rozwiązany. Jednak jeszcze dziś, po 20 latach, pracuję nad tym zagadnieniem razem z moimi uczniami). Bardzo mnie bolało odosobnienie Einsteina i to, że jest on niejako poza prądem fizyki. Często ten największy chyba fizyk świata mawiał do mnie w Princeton: „Fizycy uważają mnie za starego głupca, ale jestem przekonany, że późniejszy rozwój fizyki pójdzie w innym niż dotychczas kierunku". Dzisiaj zarzuty Einsteina przeciwko mechanice kwantowej nie straciły nic na swej sile. Dzisiaj — wydaje mi się — byłby on w poglądach swych mniej odosobniony aniżeli w roku 1936.

Ja jednak uważałem podówczas, że niechęć Einsteina do teorii kwantów jest nieuzasadniona. (Istotnie, prawie nic z tej niechęci nie znalazło się w *Evolution of Physics*, z której nie chcieliśmy zresztą zrobić książki polemicznej). Dlatego też, gdy jeden z twórców teorii kwantów był w roku 1948 w Toronto i jechał do Princeton, prosiłem go, aby porozmawiał z Einsteinem o podstawach teorii kwantów. W roku 1937 wielki Bohr był w Princeton i w publicznej dyskusji starał się przekonać Einsteina — bez skutku — o słuszności swego stanowiska. Napisałem do Einsteina, że prof. X. (nie chcę tutaj wymieniać nazwiska) będzie w Princeton i prosiłem go, żeby z nim o zagadnieniach tych porozmawiał. Powiedziałem mu, jak bardzo podziwiam profesora X.

Otrzymałem w odpowiedzi list zawierający między innymi następujące uwagi:

20.IX.48

Auch mir gefaellt der X. ausgezzeichnet. Seine wissenschaftliche Phantasie ist aufs Hoechste zu bewundern und er steht seinen eigenen Gedanken stets kritisch gegenueber. Diskutieren aber kann ich kaum mit ihm, weil die verschiedenen Argumente in seinen Augen ein ganz verschiedenes Gewicht haben als in den meinen. Mein starres Haengen an der logischen Einfachheit und mein Misstrauen in den Wert von auch eindrucksvollen Bestaetigungen von Theorien, wenn es sich um prinzipielle Fragen handelt, kann er nicht verstehen. Er empfindet solche Haltung als wirklichkeitsfremd und schrullenhaft wie alle, die fest daran glauben, dass die Quantentheorie dem Wesen der Dinge schon ganz nahe gekommen ist. Ich begreife dies sehr gut und gebe mir gar keine Muehe jemanden irre zu machen. Wenn man mich nicht dazu zwingt (wie die Autoren in dem naechstens erscheinenden Band der Schilpp-Buecher), krieche ich nicht aus meinem Mauseloch heraus sondern schlage mich still mit den Problemen herum.

20.IX.48

(I mnie się p. X. podoba nadzwyczajnie. Jego fantazja naukowa godna jest najwyższego podziwu i jest on pełen krytycyzmu wobec swoich własnych idei. Jednak dyskusja z nim jest bardzo trudna, ponieważ różne argumenty mają w jego oczach zupełnie inną wagę aniżeli w moich. Moje sztywne trzymanie się logicznej prostoty i brak zaufania do wartości sprawdzianów teorii, robiących nawet duże wrażenie, jeżeli chodzi o zasadnicze zagadnienia — są dla

niego niezrozumiałe. Uważa tego rodzaju stanowisko za odosobnione i dziwaczne jak wszyscy, którzy sądzą, że teoria kwantów bliska jest istoty rzeczy. Ja to bardzo dobrze rozumiem i nikogo nie usiłuję wprowadzać w błąd. Jeżeli się mnie nie zmusza do tego [jak autorzy w tomie Schilppa, który się w najbliższym czasie ukaże], nie wychodzę ze swojej mysiej dziurki, ale borykam się w cichości ze swymi problemami.)

*

Kilka słów o ostatniej uwadze Einsteina. Książka Schilppa, o której wspomina w tym liście, to gruby tom zbiorowy, który pod redakcją Schilppa ukazał się w *„Library of piving Philosophers"* (Biblioteka żyjących filozofów). Tom ów składał się z artykułów, które miały być częściowo bodaj również i krytyczne. Był tam między innymi artykuł Bohra i Pauliego. Otóż Einstein miał (taki był na ogół schemat tej biblioteki) pisać na początku o sobie, o swoim życiu, o swej pracy, a potem, na końcu, odpowiedzieć na zarzuty innych autorów. Znałem dobrze dzieje tej książki, ponieważ sam byłem autorem jednego z artykułów i pozostawałem w kontakcie z jej wydawcą. Otóż na końcu tej książki znajduje się pięknie napisana odpowiedź Einsteina na postawione mu zarzuty, odpowiedź, która może jaśniej i lepiej aniżeli inne jego artykuły tłumaczy stosunek Einsteina do teorii kwantów.

17

W roku 1948 dostałem pewnego dnia list od Einsteina w sprawie naszej pracy o problemie ruchu. (Muszę jeszcze raz wspomnieć, że podczas wojny byłem od tych problemów bardzo daleki, gdyż pracowałem nad innymi zagadnieniami, związanymi z wojną). W liście tym Einstein cytuje zarzut matematyka Levinsona postawiony naszej pracy. Zarzuca on nam, że nie ma w niej dowodu, iż postępowanie aproksymatywne można dowolnie przedłużać; że po każdym kroku jest krok następny. Myśmy wykonali tylko dwa kroki tego postępowania aproksymatywnego; pierwszy newtonowski i drugi pozanewtonowski. Oczywiście nikt nie wykona już kroku trzeciego. Dla porównania: jeżeli pierwszy krok jest tak prosty, że można go porównać z przepłynięciem kanału La Manche, to drugi jest tak trudny (w porównaniu z pierwszym), jak przepłynięcie Oceanu Atlantyckiego. Ten drugi krok zrobiliśmy, a trzeci krok byłby tak trudny, jak podróż międzyplanetarna w porównaniu z przepłynięciem Atlantyku. Tak więc mowy nie ma, aby kiedyś ktokolwiek pokusił się o zrobienie kroku trzeciego. Zresztą później wspólnie z moim uczniem udowodniłem, że nigdy nie zajdzie potrzeba zrobienia tego kroku trzeciego. O tym jednak nie wiedziałem jeszcze w r. 1948, a matematyk żąda ścisłości. Chodziło o dowód, że każdy następny krok jest możliwy, jeżeli poprzedni został zrobiony.

Einstein napisał mi o tym obszerny list, wskazując na konieczność uzupełnienia naszej pracy, szkicując dowód i proponując, abyśmy go wspólnie ogłosili. (Dowód ten zresztą okazał się fałszywy). List ten rozpoczął raz jeszcze naszą gorącą współpracę nad problemem ruchu. Tym razem praca postępowała naprzód drogą bardzo żywej korespondencji. Mam całą tekę tych listów od Einsteina, niestety, przemoczonych z powodu awarii statku wiozącego moje rzeczy do Polski, listów ledwie czytelnych, gdyż woda morska zmyła z nich atrament.

Rola Einsteina była na początku tej współpracy rolą entuzjasty. Potem okazało się, że jest jeszcze wiele innych, nierozstrzygniętych problemów, związanych z zagadnieniem ruchu i otrzymaliśmy cały szereg rezultatów bądź to pogłębiających dawne pojęcia, bądź też zupełnie nowych. Istotnie, od początku naszej współpracy upłynęło już lat jedenaście; długi okres czasu, wystarczający, aby zobaczyć stare rzeczy w nowej perspektywie. W tym czasie stworzyłem w Kanadzie własną szkołę i miałem szczególnie zdolnego współpracownika, z którym ogłosiłem szereg prac i z którym mogłem te wszystkie zagadnienia dyskutować.

Dwa do trzech razy tygodniowo wymienialiśmy z Einsteinem listy. Jednak zasadnicza trudność pozostawała: jak zastosować matematycznie w sposób przyzwoity naszą metodę aproksymatywną? Raz, podczas drogi powrotnej z uniwersytetu do domu, nagle przyszła mi do głowy myśl: wprowadzić dipole grawitacyjne. Ich istnienie powinno w każdym przybliżeniu umożliwić rozwiązanie. Ponieważ w sumie nie mają one sensu, musimy ich istnienie uśmiercić po skończonym przewodzie aproksymatywnym. Z warunki znikania owych dipoli otrzymujemy równania ruchu.

Przyszedłem do domu bardzo podniecony. Chciałem szybko wykonać obliczenie, aby zobaczyć, czy ta koncepcja prowadzi do celu. Po 15 minutach wiedziałem, że jest ona prostym rozwiązaniem tych trudności, które nas nękały przez długi czas. Po obiedzie wróciłem do zakładu, aby omówić to rozwiązanie z moim byłym uczniem, z owym zdolnym współpracownikiem i młodszym kolegą, o którym przed chwilą wspomniałem. Dziwne wydawało mi się, że ów zdolny, bystry młody człowiek z taką trudnością rozumie moją koncepcję, którą ja uważałem za oczywistą. Był to jeszcze jeden dowód czegoś, o czym właściwie od dawna wiedziałem; że jeżeli się coś wymyśli samemu, to zatraca się perspektywę i wszystko wydaje się proste, niemal banalne; natomiast dla kogoś stojącego z dala, patrzącego na te wywody ze sceptycyzmem, ukazują się trudności, czasami nowe, czasami te, które pokonaliśmy szybko i o których już nie wspominamy.

Mój kolega przyrzekł mi, że cały rachunek skontroluje. Następnego dnia powiedział, że znalazł błąd w obliczeniach. Nie wierzyłem w to i okazało się, że miałem rację. To on popełnił błąd, a nie ja. Tego samego dnia napisałem list do Ensteina donosząc mu (bardzo krótko) o moim wywodzie i że usuwa on wszystkie trudności. Czekałem z niecierpliwością na odpowiedź. Odpowiedź przyszła, ale rozczarowała mnie bardzo; nie było w niej wcale słów zachwytu nad moją metodą. Właściwie zawierała tylko dalszy ciąg poprzednich wywodów Einsteina na temat tych trudności, które starał się rozwikłać idąc drogą zupełnie inną aniżeli ja. Znalazłem błąd w rozumowaniu Einsteina, napisałem mu o tym, prosząc go bardzo, aby przeczytał mój list, w którym, jak mi się zdaje, jest dobre rozwiązanie tego zagadnienia. Odpowiedź Einsteina zaczyna się od tych słów:

22.XI.1948

Sie haben voellig recht mit dem Einwand in Bezug auf den Divergenzsatz in den Naeherungsgleichungen. Ich schreibe erst jetzt, weil ich immer noch hoffte Ihren Brief mit dem bezueglichen Beweis wiederzufinden, was mir aber nicht gelang. Ich hatte den Brief nicht genau gelesen, weil ich damals an die Be-

weiskraft meiner auf die zerlegte Bianchi — Identitaet gegruendeten Ueberlegung nicht zweifelte. So bitte ich Sie mir Ihren Beweis nochmals mitzuteilen.

22.XI.1948

(Ma Pan zupełną rację co do swoich zarzutów, dotyczących twierdzenia o rozbieżności w równaniach przybliżonych. Piszę dopiero dzisiaj, bo miałem nadzieję, że znajdę Pana list z odnośnym dowodem. To mi się jednak nie udało. Nie czytałem tego listu dokładnie, bo nie wątpiłem podówczas w słuszność mego dowodu, opartego na rozkładzie identyczności Bianchi. Dlatego proszę, by mi Pan przysłał swój dowód raz jeszcze.)

18

Wydawało mi się, że nasza współpraca wymaga, abyśmy się zobaczyli. Napisałem do Einsteina, że przyjeżdżam do Princeton. Z Nowego Yorku zatelefonowałem do niego, aby się dowiedzieć, że jest on w szpitalu w Nowym Yorku i że prosił mnie, abym się natychmiast z nim skomunikował. Gdy zatelefonowałem, odezwał się lekarz, który powiedział mi, że profesor prosi, abym jak najprędzej przyszedł. Einstein był wtedy, o ile sobie przypominam, w prywatnym małym szpitaliku, dwu lub trzypiętrowym domku. Po przybyciu musiałem czekać, aż ukończą jakieś zabiegi. Wreszcie ukazał się Einstein w starym, zniszczonym szlafroku. Wyglądał znacznie gorzej aniżeli 9 lat temu (sądzę, że 9, gdyż chyba nie widzieliśmy się od 1939 roku). Spytałem, co mu jest. Odpowiedział, śmiejąc się głośno:

— Tego lekarze jeszcze nie wiedzą. O tym przekonają się podczas autopsji.

Poszliśmy na górę do pokoju przyjęć i jak zawsze zaczęliśmy natychmiast rozmowę na temat naszej wspólnej pracy.

Znałem dobrze Einsteina i wiedziałem, że nie należy mu przerywać; mówił o trudnościach, które są jeszcze w naszej pracy; widocznie zupełnie już zapomniał o moim liście, w którym, zdawało mi się, wszystkie te trudności rozwiązałem. Gdy Einstein skończył, prosiłem go, aby mnie wysłuchał, gdyż — jak sądzę — udało mi się trudność tę usunąć. Powiedziałem tylko dwa zdania. O tym, że trzeba dodać dipole grawitacyjne, że one zapewniają całkowalność równań i że potem anihilacja tych dipoli daje równania ruchu. Gładził, jak zwykle gdy się zamyślił, wąsa a potem zaczął mi zadawać pytania. Wiedziałem, że to jest metoda Einsteina, że nie lubi on wykładów, tylko dyskusje. Gdy odpowiedziałem na trzy pytania, Einstein wyraził się entuzjastycznie:

— No, to nasze trudności są rozwiązane. Dlaczego mi pan o tym nigdy nie napisał?

Zachowałem — w stosunku do ostatniego pytania — dyplomatyczne milczenie. Potem rozmawialiśmy już o innych rzeczach. Podziękowałem mu za tych kilka bardzo pięknych zdań, które sam, bez mojej prośby, napisał o mej książce *Whom the Gods love.*

Powiedział, że mu się naprawdę ta książka bardzo podoba. A potem dodał z nieco złośliwym uśmiechem:

— Ja pana znam, pan właściwie pisał o sobie.

Oczywiście w tym Einstein zupełnie nie miał racji, chyba że zdanie to miało

jakąś myśl ukrytą, której nie zrozumiałem. Wieczorem zjedliśmy wspólną kolację z Einsteinem, z jego gospodarzem lekarzem i rodziną gospodarza. Umówiliśmy się, że nazajutrz znowu przyjdę. Obawiałem się, że znajdzie jakieś nowe trudności. Nic podobnego. Zadał mi tylko jedno dodatkowe pytanie, aby się upewnić, czy naprawdę wszystko dobrze wychodzi rachunkowo (sam nigdy moich obliczeń nie sprawdzał). Potem rozmawialiśmy o tym, jak pracę tę sformułować. Umówiliśmy się, że ja mu poślę rękopis, a potem uwzględnię wszystkie jego uwagi.

Obawiam się, że czytelnik tych stronic odniesie fałszywe wrażenie, że największa trudność została przeze mnie pokonana. Tak nie było. Podkreśliłem tylko w moim sprawozdaniu jedną z trudności, której rozwiązanie było moim udziałem. Resztę, jak było umówione, załatwiliśmy korespondencyjnie. Oto kilka wyjątków z listów Einsteina do mnie po naszym spotkaniu w Nowym Yorku.

6.XII.1948

Aber darin sind wir einig: das Problem ist im Prinzip geloest und es handelt sich noch darum, wie man die Sache am besten darstellen soll. Das Paedagogische ist hier wirklich wichtig, weil sonst kein Teufel die Sache wirklich begreifen wird und immer wieder von anderer Seite an diesem Problem unnoetigerweise geknabbert werden wird. Wir muessen uns einfach Zeit lassen, um diese schoene Sache optimal darzustellen.

6.XII.1948

(Zgadzamy się co do jednego: problem jest zasadniczo rozwiązany i chodzi tylko o to, aby jak najlepiej tę sprawę przedstawić. Strona pedagogiczna jest tu naprawdę ważna, bo bez niej sam diabeł nie potrafi zrozumieć i ciągle z różnych stron będą ten problem niepotrzebnie obgryzać. Musimy sobie zostawić po prostu dostatecznie wiele czasu, aby nasz piękny wynik jak najlepiej przedstawić.)

6.IV.1949

Ich bin mit der korrigierten Fassung einverstanden. Sie haben da ein grosses Stueck Arbeit geleistet. Der Leser hat es aber auch nicht leicht, weil es uns doch nicht ganz gelungen ist, das Prinzipielle vom Formalen zu trennen, wenigstens bei der Darlegung des letzten Gedankens.

Aber ich bin einverstanden, dass alles so gedruckt wird wie es jetzt ist (nach sorgfaeltiger Durchsicht).

6.IV.1949

(Zupełnie zgadzam się ze skorygowanym rękopisem. Zrobił pan dobrą robotę. Ale dla czytelnika ta lektura nie jest łatwa, bo niezupełnie udało nam się oddzielić zasadnicze rzeczy od formuł, przynajmniej przy przedstawieniu ostatniej myśli. Lecz zgadzam się, by wszystko było wydrukowane w obecnej formie, po starannym przejrzeniu).

*

Poprzednio jeszcze pisał do mnie list, który zakończył następującymi słowami:

19.XI.1948

Die gemeinsame Arbeit mit Ihnen hat mir unbeschreibliche Freude gemacht und ich glaube, dass keiner von uns allein ganz damit fertig geworden waere. Denn der Stoff ist geradezu hinterhaeltig.

19.XI.48

(Nasza współpraca sprawiła mi nieopisaną radość. Wydaje mi się, że żaden z nas nie potrafiłby sam wykonać tej pracy, bo przedmiot jest bardzo zdradliwy.)

*

W ten sposób powstała nasza trzecia poważna praca, drukowana w *„Canadian Journal of Mathematics"*.

19

W tym czasie otrzymałem zaproszenie, bym odwiedził Polskę, równocześnie zaś, na wiadomość o moim wyjeździe do Europy, przyszło zaproszenie z Dublina od mojego byłego kolegi z Toronto, profesora Synga, a nieco później dwa zaproszenia z Anglii: z Birmingham i z Manchester. Oczywiście, narzucającym się tematem wykładów była moja praca z Einsteinem, praca, która już wówczas była w druku i której pierwsze odbitki korektorskie miałem ze sobą. Napisałem do Einsteina, że wyjeżdżam, i czy zgadza się, abym wprowadził według swego uznania drobne poprawki w jego własnej pracy, którą przysłał mi jako redaktorowi *„Canadian Mathematical Journal"*, i abym naszą wspólną pracę referował w Europie. Otrzymałem odpowiedź zawierającą między innymi słowa:

Maerz 20, 1949

Ich danke Ihnen fuer Ihren Brief vom 16 Maerz. Ich bin voellig damit einverstanden, wenn Sie in meinem Manuskript kleine Aenderungen machen. Ich bin natuerlich auch voellig einverstanden, wenn Sie in Polen und (oder) in Dublin ueber unsere Arbeit vortragen. Natuerlich freue ich mich sehr, wenn ich Sie vor Ihrer Abreise sehen und das mit Ihnen besprechen kann, was Sie im Sinn haben. Auch bin ich Ihnen dankbar, dass Sie mir keinen Geburtstagsbrief geschrieben haben. Es war sowieso wie eine Beerdigung bei lebendigem Leibe.

20.III.1949

(Dziękuję Panu za list z 16 marca. Zgadzam się całkowicie na to, aby Pan wprowadził drobne zmiany w moim rękopisie. Naturalnie zgadzam się także, aby Pan w Polsce i (albo) w Dublinie miał wykłady o naszej pracy. Oczywiście cieszyłbym się bardzo, gdybyśmy się mogli zobaczyć przed Pana wyjazdem i gdybyśmy mogli omówić to, o czym Pan myśli. Jestem Panu wdzięczny, że nie przysłał mi Pan życzeń urodzinowych. To było i tak jak pogrzeb za życia.)

*

Wróciłem z Polski do Kanady z propozycją, aby na rok przyjechać z rodziną do kraju. W ciągu tego czasu miałem zdecydować, czy zostanę na stałe, czy też nie. Po tym, co widziałem w Polsce, propozycja bardzo mi odpowiadała. Powie-

działem, że gdyby o mnie tylko chodziło, zdecydowałbym się zostać, ale ostateczna decyzja zależy od mojej rodziny. W Kanadzie należał mi się rok urlopu i nie przypuszczałem, aby sprawa dysponowania tym rokiem mogła natrafić na jakiekolwiek trudności. Zależało mi jednak na tym, aby zasięgnąć w tej sprawie opinii Einsteina. Gdy mu o tym napisałem wkrótce po powrocie do Kanady, otrzymałem następującą odpowiedź:

Samstag, 11.VI.1949

Ich freue mich, dass Sie wieder da sind und hoffe, dass sie sich nicht gar zu tief in das weltliche Geschaeft eingelassen haben. Denn die Menschen sind wie Flugsand und man ist nie sicher was morgen oben liegt. Wir koennen ja beide ein Liedchen davon singen. Jedenfalls bin ich sehr neugierig von Ihnen etwas ueber Ihre allgemeinen Eindruecke zu hoeren.

Sobota, 11.VI.1949

(Cieszę się, że Pan znowu jest tutaj i mam nadzieję, że nie zapuścił się pan zbyt głęboko w sprawy świata. Ludzie są jak lotny piasek i nigdy nie jest się pewnym, co przyniesie jutro. Moglibyśmy przecież obydwaj zaśpiewać o tym piosenkę. W każdym razie bardzo jestem ciekaw usłyszeć coś o Pańskich ogólnych wrażeniach.)

*

Część wakacji po przyjeździe z Polski spędziłem z całą rodziną w okolicy Nowego Yorku. Stamtąd — w czerwcu 1949 r. — pojechałem, by odwiedzić Einsteina. Widocznie miałem przeczucie, że widzę Einsteina po raz ostatni, bo chciałem, aby poznała go moja rodzina: żona, syn, który miał podówczas lat dziesięć, i sześcioletnia córka. Ponieważ, jak zawsze, spodziewałem się dłuższej rozmowy, zadecydowaliśmy, że ja pójdę sam a rodzina po mnie przyjdzie za godzinę. Jakoś bardzo mało z tej wizyty pamiętam. Wiem tylko jedno: że pytałem Einsteina, co sądzi o moim powrocie do Polski na stałe. Namyślał się chwilę a w końcu powiedział:

— Przeciwko temu nikt nic mieć nie może. To jest bardzo szlachetne, tylko...

Czekałem na dalszy ciąg. Tutaj Einstein powiedział coś, co mnie bardzo zdziwiło, ale nie zaniepokoiło.

— Co będzie z panem, jeżeli dawny reżim dojdzie znowu do władzy? Co będzie, jeżeli Związek Radziecki zgodzi się na to w wyniku ostatecznych układów pokojowych?

Starałem się wytłumaczyć Einsteinowi, że ta ewentualność wydaje mi się tak mało prawdopodobna, iż można ją nazwać niemożliwością. Nie wiem, czy mi uwierzył. Po rozmowie zeszliśmy na dół, bo sekretarka powiedziała, że czeka na mnie rodzina.

Przed napisaniem tych słów zapytałem syna, czy pamięta tę wizytę. Odpowiedział mi, że tak. Gdy jednak przyszło do opisu, wspomnienia wypadły bardzo blado. Powiedział mi, że Einstein śmiał się głośno z jakichś politycznych dowcipów, które przywiozłem z Europy, że siostra Einsteina dała moim dzieciom dużą tabliczkę czekolady. Mój syn schował czekoladę do lodówki i postanowił nigdy jej nie zjeść. Ale potem wspólnie z siostrą zjedli ją jednak. Pamiętam, iż przy pożegnaniu Einstein powiedział, że mu się moje dzieci bardzo po-

dobają. Oczywiście żegnaliśmy się z myślą, że w każdym razie przed wyjazdem, który nastąpiłby najwcześniej za rok, znowu się zobaczymy.

Niedługo po mojej wizycie otrzymałem list znowu w sprawach naukowych, w którym na zakończenie znalazłem następujący ustęp:

20.VI.1949

...Ich habe mir oft Gedanken darueber gemacht, dass Sie sich aus einer Art Idealismus zu weit mit der polnischen Angelegenheit einlassen koennten. Bei aller Sympathie mit der gegenwaertigen dortigen Regierung kann ich nicht an der Labilitaet der Verhaeltnisse zweifeln. Nach einiger Zeit moegen die Dunkelmaenner wieder aus den Mauseloechern hervorkriechen, in denen sie sich jetzt verborgen halten — so aehnlich wie es in Deutschland in den zwanziger Jahren gewesen ist. Dann wuerden Ihnen die Brueder die Hoelle heiss machen. Wenn es auch in der westlichen Sphaere gegenwaertig recht muffig ist, so ist doch nicht anzunehmen, dass der gegenwaertige hysterische Zustand gar zu lange andauert oder sich gar zu unertraeglichen Zustaenden auswaechst. Dafuer geht es den Leuten zu gut. Bei vollem Bauch werden die Leute nicht zu fanatisch.

20.VI.1949

(Dużo myślałem nad tym, czy z powodu pewnego rodzaju idealizmu nie zapuszcza się Pan może zanadto w sprawę Polski. Przy całej sympatii dla rządu polskiego nie mogę wątpić w chwiejność tamtejszych stosunków. Po pewnym czasie synowie ciemności mogą wyleźć z mysich kryjówek, w których ukrywają się teraz. Podobnie jak to było w Niemczech w latach dwudziestych. Wtedy bracia zaleją Panu sadła za skórę. Jeśli i w zachodniej strefie jest dzisiaj nastrój dość stęchły, to jednak nie można przypuszczać, aby obecna histeria potrwała zbyt długo lub też by się przerodziła w stan trudny do wytrzymania. Na to ludziom powodzi się zbyt dobrze. Przy pełnym żołądku ludzie nie są zbyt fanatyczni.)

*

Dobrze wiedzieć, że jest przynajmniej jeden problem, co do którego Einstein nie miał racji. Tym problemem jest sprawa USA i sprawa Polski. Wzruszyły mnie jednak te słowa, gdyż wiem, jak mało obchodziły go zawsze sprawy ludzkie i jak bardzo obchodziły go prawa przyrody. A słowa te podyktowane były widoczną troską o mój los.

W tym okresie znowu podjęliśmy wspólną pracę naukową. Einstein napisał do mnie list, w którym przytaczał pomysł uproszczenia równań ruchu:

16.XII.1949

...Ich fuehle, dass wir unser Problem immer noch nicht voellig geloest haben, sondern uns hinter einem Formalismus verstecken. Unsere publizierte Loesung ich richtig, aber wir haben beide das Gefuehl, dass die Dipole einen vermeidbaren Umweg darstellen.

16.VII.1949

...Czuję, że jeszcze problemu naszego nie rozwiązaliśmy w całości, tylko zasłoniliśmy się formalizmem. Nasze opublikowane rozwiązanie jest poprawne, ale mamy obydwaj to uczucie, że dipole to droga okólna.)

*

Einsteinowi chodziło o zmienienie teorii w ten sposób, aby rozwiązanie równań ruchu otrzymać bez dipoli. Rozpoczęła się między nami wymiana listów. Zdawało się, że już uzyskujemy zgodę co do wszystkich szczegółów, gdy znów zachodziła rozbieżność. Już posłałem Einsteinowi gotowy rękopis naszej wspólnej pracy, gdy nagle okazało się, że znów przestajemy się rozumieć. Czułem, że musimy się zobaczyć osobiście, aby ogłosić tę nową pracę, której rękopis jeszcze spoczywa w moich archiwach. Niestety. Nastąpiły wydarzenia, które uniemożliwiły widzenie się z Einsteinem. Ostatniej naszej pracy nigdy nie ogłosiliśmy.

Jeszcze zacytuję początek listu z okresu, o którym piszę:

Samstag, 23.VII.1949

Glauben Sie nur nicht ich haette aus Nachlaessigkeit zu Ihrem Vorschlage keine Stellung genommen. Ich habe studiert und studiert und wurde davon ueberzeugt, dass es nicht der wahre Jakob ist. Also habe ich mich unablaessig um einen natuerlichen Weg bemueht, bis mir das Gehirn beinahe geplatzt ist. Sechs Briefe habe ich angefangen und den Weg immer wieder verworfen. Nun glaube ich den Witz gefunden zu haben — wenn mich der Teufel nicht etwa wieder an der Nase herumgefuehrt hat.

Sobota, 23.VII.1949

(Niech Pan tylko nie sądzi, że to z powodu lenistwa nie zająłem stanowiska w sprawie pańskiego projektu. Studiowałem go i studiowałem, aż doszedłem do przekonania, że to nie jest prawdziwy Jakub. Bez wypoczynku szukałem naturalnej drogi, o mało mózg mi nie pękł. Sześć listów zaczynałem i za każdym razem zarzucałem drogę. Teraz wydaje mi się, że wpadłem na dowcip, jeżeli diałem znowu nie wodził mnie za nos.)

*

Znowu nie mogłem się zgodzić z rozwiązaniem Einsteina i odroczyliśmy tę całą sprawę do najbliższego spotkania, które niestety już nigdy nie nastąpiło.

Wyjechałem do Vancouver, miasta portowego nad Oceanem Spokojnym na zjazd fizyków, w którym uczestniczył Dirac i Bhaba. Potem wróciłem do Toronto i wniosłem podanie o urlop, aby wyjechać na rok do Polski. Dziekan zapewnił mnie, że zarówno on jak i prezydent uniwersytetu nie mają nic przeciw memu wyjazdowi.

20

„*Ensign*" była to nazwa tygodnika katolickiego sprzedawanego głównie w kościołach. Tygodnik ten poświęcił cały swój numer sprawie mego wyjazdu do Polski; że jestem atomowcem, że nauczyłem się od Einsteina tajemnic atomowych i że wywożę je za żelazną kurtynę. Nagle piekło rozpętało się nad moją głową. Jak się czułem, co przeżywałem pod naciskiem coraz silniejszego szantażu, zmierzającego do tego, abym się wyrzekł mej podróży do Polski, nie należy już do tej historii. Piszę o tym tylko dlatego, że z chwilą gdy

wspomniany numer się ukazał, a w Parlamencie George Drew, przywódca opozycji, zapytał, co rząd zamierza zrobić, aby memu wyjazdowi przeszkodzić, z tą chwilą wiedziałem, że drogę do USA mam zamkniętą i że nigdy już Einsteina nie zobaczę. Chmara dziennikarzy telefonowała, nagabywała Einsteina i mnie wypytując się, czy to prawda, że posiadam tajemnicę bomby atomowej. (Idiotyzm tym wyraźniejszy, że działo się to już po pierwszej próbie bomby atomowej w Związku Radzieckim). Tak to niemal w rok po widzeniu się z Einsteinem wywędrowałem do mego rodzinnego kraju.

Otrzymałem już tutaj wzruszający list, który tak dobrze schowałem, że nie mogę go znaleźć. Pisze w nim Einstein, jak samotnie się czuje od czasu śmierci Ehrenfesta (znany fizyk, profesor w Holandii) i od czasu mego wyjazdu z kontynentu amerykańskiego. Poza tym mam odpowiedzi na szereg listów, które pisałem do niego w różnych sprawach. Ale nie jest to już długa, odręcznie pisana korespondencja, którą poprzednio otrzymywałem. Żal mi teraz, gdy pomyślę, jak traktowałem te listy. Darowałem wiele z nich kolegom, przyjaciołom i przyjaciółkom. Niektóre gubiłem, nie wiedząc, jaką wartość będą miały dla mnie, gdy autora ich nie będzie już wśród żywych. Sam odpisywałem również odręcznie, nie zachowując kopii, i często nie wiem, do czego się odnoszą odpowiedzi Einsteina.

Po przyjeździe otrzymałem list w sprawie naukowej z następującym dopiskiem:

13.X.1950

Frueher war der Mensch in der Hauptsache nur der Spielball blinder Kraefte — jetzt ist er noch dazu ein Spielball von Buerokraten — und findet sich damit ab. Kennen Sie Lichtenbergs Wort: „Der Mensch lernt wenig durch Erfahrung, denn jede neue Torheit erscheint ihm in neuem Lichte"?

13.X.1950

(Dawniej człowiek był w gruncie rzeczy tylko piłką w rękach ślepych sił: dzisiaj jest poza tym piłką w rękach biurokratów. A jednak zgadza się na to. Czy zna Pan powiedzenie Lichtenberga: „Człowiek uczy się niewiele przez doświadczenia, gdyż każde nowe głupstwo ukazuje mu się w nowym świetle"?)

*

W miesiąc później pisze do mnie również na tematy naukowe związane z moją pracą w Polsce. Na wstępie daje widocznie odpowiedź na moją uwagę w sprawie pracy pokojowej.

13.XI.1950

...Sie wissen wie sehr mir das Streben nach einem wirklichen Frieden am Herzen liegt. Ich glaube, dass in der jetzigen verfahrenen Situation direkte Versuche der hier in Betracht kommenden Art deshalb keine Aussicht auf Erfolg haben, weil auf allen Seiten das Vertrauen in die ehrliche Absicht des anderen erschuettert ist. Direkte Vorschlaege wuesste ich nicht zu machen. Einstweilen koennen nur Einzelschritte der beteiligten Lager in Frage kommen, die geeignet sind, langsam das Vertrauen herzustellen, ohne das konkrete

Massregeln fuer die uebernationale Sicherheit nicht zustande gebracht werden koennen.

13.XI.1950

(Wie Pan, jak bardzo leży mi na sercu dążenie do prawdziwego pokoju. Zdaje mi się, że w obecnej okropnej sytuacji proste zamierzenia, które tutaj wchodzą w grę, dlatego nie mają widoków powodzenia, że wszędzie zaufanie do uczciwych zamierzeń drugiej strony jest zachwiane. Nie mam żadnych bezpośrednich propozycji. W tej chwili mogą tylko wchodzić w rachubę pewne pojedyncze kroki różnych obozów, które zdolne są powoli przywrócić zaufanie, bez którego nie ma konkretnych środków zachowania międzynarodowego bezpieczeństwa.)

*

Nigdy nie miałem fotografii Einsteina z podpisem i nigdy, jak długo byłem w Ameryce, nie zależało mi na tym, aby ją mieć. Zależało mi na tym (sam nie wiem dlaczego) w Polsce. Gdy go o nią prosiłem, otrzymałem następującą odpowiedź:

28.XI.1952

Die gewuenschte Photographie schicke ich Ihnen gerne und hoffe nur, dass der gegenwaertig blasende Wind Sie nicht in die Notwendigkeit versetzen wird, dieselbe gelegentlich verstecken zu muessen.

Sie haben mich auch wissenschaftlich etwas gefragt, wohl ueber die Feldtheorie. Gegenwaertig habe ich nichts Gedrucktes darueber. Es ist aber so, dass die inneren Schwierigkeiten und Alternativen voellig beseitigt sind... Die Moeglichkeit eines Vergleiches mit den Tatsachen liegt aber leider noch in weiter Ferne.

28.XI.1952

(Posyłam Panu z ochotą żądaną fotografię i mam nadzieję, że wiatr, który obecnie wieje, nie zmusi Pana do tego, aby ją przy sposobności troskliwie ukryć.

Pytał mnie Pan o sprawy naukowe, mianowicie o teorię pola. W tej chwili nie mam o tym nic drukowanego. Jest jednak tak, że wewnętrzne trudności i alternatywy są w zupełności usunięte... Możliwość porównania z faktami należy, niestety, do dalekiej przyszłości.)

W dwa lata później:

den 8. Dezember 1954

Ich freue mich ueber die guten Nachrichten ueber Ihr Leben und Wirken. Die optimistische Auffassung ueber die internationale Situation teile ich und kaum konnte man eine so guenstige Wendung erhoffen.

8.XII.1954

(Cieszę się z dobrych wiadomości o Pana życiu i działaniu. Zgadzam się z Pana optymistyczną oceną sytuacji politycznej; trudno było się spodziewać tak korzystnego zwrotu.)

*

Rok 1955, w którym piszę te słowa, jest rokiem 50-lecia teorii względności. Otrzymałem dwa zaproszenia. Jedno do Berna, drugie do Berlina. W Bernie ma być (w lipcu) zjazd naukowy związany z 50-leciem teorii względności. W Berlinie odbyły się 18 i 19 marca dwa wykłady. Jeden 18 marca Maxa Borna w Berlinie zachodnim o 50-leciu teorii kwantów, drugi 19 marca mój w Berlinie wschodnim o 50-leciu teorii względności. Myślałem, że może spotkam Einsteina w jednym z tych dwóch miast. Napisałem do niego z prośbą, aby przyjechał do Berlina. Chociaż wiedziałem, jak małe są szanse, aby Einstein odwiedził Europę, to jednak chciałem spełnić życzenie komitetu organizującego te wykłady — wspólne dla Berlina zachodniego i wschodniego. List, który otrzymałem w odpowiedzi, pisany jest trzy miesiące przed śmiercią Einsteina.

den 17. Januar 1955

Ich bin leider (oder soll ich sagen gottlob) nicht mehr gesund genug, um bei solchen offiziellen Anlaessen zu erscheinen. Ich denke, es waere huebsch, wenn Sie in Ihrer Predigt klarmachten, dass der Schwerpunkt der Theorie in dem allgemeinen Relativitaets-Prinzip liegt. Denn die meisten gegenwaertigen Physiker haben dies noch nicht erfasst.

17.I.1955

(Jestem, niestety — albo mogę powiedzieć dzięki Bogu — nie dość zdrowy, aby ukazywać się z takich oficjalnych powodów. Zdaje mi się, że byłoby pięknie, gdyby Pan w swoim kazaniu wyjaśnił, że punkt ciężkości teorii tkwi w ogólnej zasadzie względności. Bo większość współczesnych fizyków jeszcze tego nie zrozumiała.)

*

Jak wywiązałem się ze swego zadania, czytelnik może się przekonać, gdyż mój odczyt berliński wydrukowany był w *„Naturwissenschaften"* (1955). Wiem tylko, że było tylu słuchaczy, iż z sal akademii przenieść musiano ów odczyt do największej sali uniwersyteckiej, która była zapełniona. Na odczycie tym obecni byli fizycy z Niemiec zachodnich i delegaci z demokracji ludowych.

21

18 kwietnia 1955 roku umarł Einstein. Zgasło wielkie światło. Umarł prawdopodobnie największy fizyk wszystkich czasów. Umarł człowiek o niewypowiedzianej dobroci, dobroci płynącej raczej z głowy aniżeli z serca. Umarł człowiek, który był sumieniem świata, który głos swój podnosił zawsze w obronie uciśnionych, zawsze przeciwko tyranii. Dla mnie pisanie tych wspomnień, przeglądanie raz jeszcze listów napisanych drobnym, równym pismem, było pociechą w osamotnieniu, które odczuwam. Nie wiem, czy da ono komukolwiek słabe bodaj wrażenie o wielkości, prawdziwej wielkości, z którą miałem szczęście się zetknąć.

Leopold Infeld

Nicolas Guillen

ELEGIA Z KUBY

Kubo, sprzedany lesie,
palm poćwiartowany śnie,
twarda mapo z cukru i zapomnienia...
Gdzie, jeleniu ścigany,
który z lasu do lasu przez las sadzisz skokiem,
gdzie znajdziesz ucieczkę, by wyssać krew z rany
na twym rozdartym boku?
Stoję nad groźną głębiną
u twej skalistej, niewzruszonej piersi,
nachylam się nad nią, słyszę
mocne serca uderzenia:
tętni fala bezsenna,
puls morza mierzy ciszę,
tętni woda bezdenna,
drgnienia jej tętna słyszę,
a woda z morza przelewa się do morza.

*

Wiedzą, już cię widziały
Mulatki o mahoniowych ramionach,
gitary o krągłych brzuchach Mulatek,
i powtarzają noce,
że widziały cię w porcie,
gdzie pod niebem jak z blachy martwy statek
kołysze się na fali.
Wie murzyński bębenek i wie krokodyl,
szoferzy i urzędnicy
celni a także turyści
z obowiązku zachwyceni
i butelka także wie,
która gwiazdę utopioną ma na dnie.
Dowiedziała się i wie
ulica i brzdąc, co wygląda na sto lat,

i rum, i róża, i marynarz, i bar,
i kobieta, co raptem
przemknęła z piersią przeszytą
pijanym puginałem.

*

Kubo, widzę twą trzcinę,
słyszę, jak trzcina jęczy,
gdy rośnie długa, jak długie westchnienie.
Wdycham pomieszany z wiatrem
swąd i dym spalenizny.
Tam śpiczaste rogi kolą płomienie,
nim się w drobne iskry zmienią,
jakby chciwość dmąc w trąby niezliczone
swe diabły zwołała po imieniu.
Tam ubrany w czarny proch
z podstępnym dynamitem czyha człowiek,
co zabija z uśmiechem,
tam grzmi wszechwładny kacyk, mały Jowisz,
rządca nie swoje sprawujący rządy:
nagle wybucha, w górę leci, i w górze, w górze
błyszczy świeży i nowy,
niby linoskoczek stąpa po chmurze
i ach! strącony spada nagle znów,
rozbija się o skały
i oto leży trup bez całunu i pogrzebowych mów.
Tam drapieżca głodny krwi
w padlinę szpony zatapia i kły,
a generał z medalami,
co bez jednego strzału wdrapał się na Olimp,
i ze spleśniałym mózgiem uczony,
co plecami odwraca się do wiosny...
Sąsiad siedzi tuż obok.
Ma telefony i łodzie podwodne,
ma flotę. Jego flota
ogromna. Ma też całą górę złota,
a z niej widoki na świat, ma swoje sępy,
ma żołnierzy gromady,
ma swoje ślepe i głuche zastępy,
zbrojne nienawiścią i strachem. Nasycone
krwią ich sztandary wydzielają fetor
tak zabójczy, że muchy padają.
A sąsiad siedzi obok,
otoczony bestiami
nocnymi; rozsyła ambasadorów,
mięso w puszkach, bokserów,
wojska swoje, kule, zakrętki do śrub,
armatorów, onanistów-efebów,

do fabryk turbiny, już z dymem
kominy, buty z twardej skóry,
gumę do żucia, jasny tytoń, benzynę,
cyklony, zmiany temperatury,
no i jeszcze, jasna rzecz,
marynarskie pułki też,
bo czasem trzeba wystrzelić.
Co jeszcze? Pola obdarte i bose,
wyrzucają na drogę ludzkie cienie
gnane batem nadzorcy,
a miasto upadłe, bez własnego losu,
miasto klubowych smokingów, miasto leżące
w powolnej, lepkiej, szpitalnej gorączce,
to miejsce, gdzie giną o życiu marząc
ludzie, mający tylko zwierzęce pragnienia.

*

I co dalej ? — pytają
ludzie i ludzie, którzy się zbierają.
Jest między nimi Juan Bosy,
mało dla niego dnia, a dużo nocy.
Juan Chłop tu także jest
i jest bandura, co wzdycha jak żywa;
wielu ich jest, jedna ich pieśń.
Juan Czarny, brat rodzony
Juana Białego, od brata nie stroni.
Chce rzec po prostu, że jest tu Juan Lud,
Juan z naszej krwi rozsianej, bogatej
i ja jestem z mym śpiewem,
i ty jesteś z twym kwiatem,
i ty jesteś z twym okiem,
i ty z twoim uśmiechem,
i nawet ty z twym szlochem
ostrym, w którym łza kole jak nóż i jak szpada.

*

A Juan Lud powiada:
— Wielki Marti, niech lśni twa błękitna gwiazda!
Niech twoje dumne słowa mgły rozpędzą,
niech święte ognie przez lasy się przedrą!
I Juan Lud powiada:
— O, Maceo z brązu, nożu przyjazny,
tyś iskrą, dzwonem, zwierciadłem,
ranny jesteś, idę twym krwawym śladem.
Gdybyż znów Paralejo!...
Lecz palić ogniem srogim dzisiaj trzeba
już nie skórę lwa — starucha gnuśnego,

lecz skrzydła krwawego drapieżnego sępa,
który z wysokiej północy sieje
śmierć, robaki i śmierć, krzyże i śmierć,
łzy i śmierć, śmierć i groby,
śmierć i bagnety, śmierć i bakterie,
śmierć i ostrogi, śmierć i podkowy,
śmierć od sekretnej broni,
śmierć samotnika, co kona od rany,
śmierć młodzieńca w wieńcu zielonym,
śmierć niewinnej dzwonnicy z dzwonami,
śmierć przezorną, przewidzianą,
śmierć na próbę w Las Vegas,
z chmurą samolotów i ślepymi bombami.

*

I Juan Lud powiada:
Ledwie do połowy drogi
dotarliśmy, ach! tylko, w marszu wczoraj.
Cios nam zadano ciężki, chciano skruszyć,
cios ciężki nas poraził, stanąć zmusił.
Ale syn, co dopiero
poznał imię ojca ryte na pomniku,
choć dziedziczy kajdany,
dziedziczy też serce z szczerego metalu,
serce olśniewające,
jak kwiat doskonały, z brązu odlany.
Słoneczny, uwieńczony,
w wieńcu z mściwych róż na skroni,
w własny płomień uzbrojony
syn - bohater na nowo stary marsz zaczyna,
zdobywa fosy i mury
i stalą stal rozcina,
żelazem szczerbi żelazo
i razi czystym ogniem nocne chmury.
Błyszczy Maceo w swym zenicie trwałym,
Wielki Marti błękitną gwiazdę zapalił.

Przełożyła
Zofia Szleyen

Andrzej Stawar

LITERATURA I OBYCZAJ

I

Kampania literacka Boya, związana z reformą obyczajów, rozpoczęła się od naświetlania przezeń praktyk sądów duchownych w sprawach małżeńskich (głośny pamflet *Dziewice konsystorskie*). Sprawa neomaltuzjanizmu, sprawa regulacji urodzin wypłynęła później. Zaczepienie kleru na wstępie stworzyło pisarzowi zastęp przeciwników nie przebierających w środkach. Wytykano po prostu Boyowi niemoralność, upodobanie do spraw nieczystych, skłonność do pornografii.

Na wstępie parę cytat:

„Miłość jest rzeczą zwyczajną wobec natury a nawet, jeżeli chcesz, wobec Boga. Ale wasza głupia cywilizacja, oparta na poglądach rzymskich dawno już zmarłych i pogrzebanych, na interesach papiestwa, trubadurach, ascetyzmie, kastowości i tym podobnych bredniach, z naturalnego uczucia zrobiła... wiesz co... zrobiła nerwową chorobę!"

„Jest higiena mieszkań i odzieży, higiena pokarmów i pracy, której nie wypełniają klasy niższe, i to jest powodem wielkiej śmiertelności między nimi, krótkiego życia i charłactwa. Ale jest również higiena miłości, której nie tylko nie przestrzegają, lecz po prostu gwałcą klasy inteligente, i to stanowi jedną z przyczyn ich upadku. Higiena woła: «jedz, kiedy masz apetyt» a wbrew niej tysiąc przepisów chwyta cię za poły wrzeszcząc: nie wolno!... będziesz jadł, kiedy my cię upoważnimy, kiedy spełnisz tyle a tyle warunków, postawionych przez moralność, tradycję, modę... Trzeba przyznać, że w tym razie najbardziej zacofane państwa wyprzedziły najbardziej postępowe społeczeństwa, a raczej ich klasy inteligentne".

Czytelnik nie uprzedzony czy też uprzedzony przez antyboyową propagandę owych czasów mógłby mniemać, że ta filipika pochodzi z pism Boya czy któregoś z jego zwolenników. W rzeczywistości cytowane słowa pochodzą z *Lalki* Prusa — opinie takie wypowiada rezoner powieści, doktor Szuman, komentując miłosną i życiową katastrofę bohatera powieści. Zresztą sam Prus wyrażał w felietonach sądy zgodne z wywodami doktora Szumana. Boy okazuje się w swoich poglądach mocno związany z dobą pozytywizmu. Zresztą te związki autor *Brązowników* uświadamiał sobie, choć wyrażał to nie-

raz w paradoksalnej formie. Szkic *Ekonomia miłosna* zaczyna od wspomnienia pisarza, którego uważano za wzorowego pod względem obyczajności. „Henryk Sienkiewicz idzie jeszcze dalej w swoim panseksualizmie zastanawiając się, «jakim szalonym paradoksem wydawałoby się takiemu Bismarkowi, gdyby mu ktoś powiedział, że ostatecznym i jedynym celem jego zabiegów jest to, byust a Hermana spoczęły na ustach Dorotei».“

Cytat zaczerpnął Boy z *Bez dogmatu* — z dziennika bohatera, ale da się bodaj zastosować do całej twórczości Sienkiewicza. Obsesję erotyczną jego bohaterów podkreślał już Nałkowski, stwierdzając, iż działania wodzów i królów, wydarzenia dziejowe Sienkiewicz ustawiał na osi biegu samca uganiającego się za samicą. Podobnie dzieje się w powieściach współczesnych — w *Bez dogmatu*, w *Rodzinie Połanieckich*. Filozofia, dążenia życiowe, przyjęcie czy odrzucenie doktryn światopoglądowych zostaje uzależnione od biegu romansu, w ostatecznym razie od kobiety. Boy w *Słówkach* dał parodię *Rodziny Połanieckich*. Koniak rozlany na książkę rozluźnia język bohaterów i wydobywa ich ukryte myśli. W istocie pruderia polega przede wszystkim na słownictwie, tym różni się Sienkiewicz od autorów Młodej Polski, których sam pomawiał o szerzenie „rui i porubstwa”. Te stronice Sienkiewicza przypominają mieszczkę pochłoniętą rojeniami erotycznymi, która tyleż czasu i energii poświęca na zaspokojenie swych pożądań, co na ujęcie ich w formy konwencjonalnej symboliki, mającej skryć czy przystroić istotę rzeczy.

W jednej noweli Sienkiewicza przy opisie sceny erotycznej między małżeństwem twarz bohaterki przybiera wyraz „prawie zmysłowy“. Wyraźne przedstawienie zmysłowości uwłaczałoby bohaterce — zmysłowość, choćby przejawiana w sposób, jak w tym wypadku, „legalny“, bo w stosunkach małżeńskich, stanowiła atrybut typów ujemnych. Mężczyznę przejawianie zmysłowości nie dyskwalifikowało w tym stopniu, zgodnie z obyczajami mieszczaństwa i odmiennymi zasadami moralności płciowej dla kobiet i mężczyzn.

Termin panseksualizm wprowadza zresztą w błąd; związki, o których mowa, staną się jaśniejsze, gdy uwzględnimy skłonność do biologizmu wspólną zarówno Prusowi i Sienkiewiczowi, jak również Przybyszewskiemu czy Żeromskiemu.

U autorów doby pozytywistycznej skłonność do biologizmu występowała nawet w traktowaniu spraw społecznych, co wiązało się z górującą rolą nauk przyrodniczych, w formowaniu ideologii pozytywizmu. Tendencje takie ujawnia i publicystyka, i beletrystyka. Młoda Polska podniosła je do pewnej krańcowości. Wyraziło się to w twórczości Przybyszewskiego i jego metafizyce seksualnej, która oddziałała również na innych autorów. Właśnie z powodu Przybyszewskiego m. in. Sienkiewicz wystąpił z głośnym zarzutem „rui i porubstwa“ pod adresem modernistów. Chodziło tu w znacznej mierze o sposób ujęcia, o słownictwo.

To prawda, że powieść pozytywistyczną cechuje pewna pruderia: jak zauważył niedawno Zawodziński, Sienkiewicz i Prus np. pozwalali sobie na żywsze obrazy erotyczne w powieściach na tematy starożytne, bo tam rozwiązłość uważano za coś naturalnego, co mniej gorszyło. W powieściach współczesnych erotyzm występował w formach sentymentalizmu, przesłaniających rzecz, jak trykot przesłaniał kształty ówczesnych baletnic. Zachowanie tej

etykiety czy konwencji nie odbierało przecież erotyzmowi górującego stanowiska w materiale powieści, jak to widzimy w *Lalce*, w *Bez dogmatu*, *Rodzinie Połanieckich*. Zresztą Tarnowski np. wytykał Sienkiewiczowi wiele niestosowności z powodu *Rodziny Połanieckich*, szczególnie zgorszył go obraz budzącej się zmysłowości podlotka. Sprowadzając rzecz do właściwych wymiarów, zauważymy wiele wspólnego u pisarzy różniących się tak epoką jak i stylem wypowiedzi. Te analogie, tę wspólność uchwycimy, gdy nie będziemy się zaprzątać szczegółami poglądu na świat czy temperamentu pisarzy, jak to robiono nieraz, ale uwydatnimy wspólny podkład w procesach społecznych epoki. Wyjaśni to zarazem sprzeczności, które nasuwają się z punktu widzenia literackiego.

II

Weźmy np. sprawę antagonizmu płci, która w swoim czasie zajmowała sporo miejsca w literaturze młodopolskiej. Te sprawy, traktowane zresztą z punktu widzenia zdrowego rozsądku, znajdziemy również w twórczości Prusa. Jego felietony uzupełniają i komentują powieści pod niejednym względem. W gruncie rzeczy konflikt płci, ujmowany w okresie Młodej Polski z zaprawą biologiczno-metafizyczną, służył nadaniu specyficznego charakteru przemianom obyczajowo-społecznym czasu.

Zarówno w pismach teoretyków społecznych, jak i w ówczesnej publicystyce, znajdziemy dość prozaicznych komentarzy do beletrystyki i poezji, przy skłonności do apostrof w wysokim stylu i gwałtownych, choć nieraz mętnych wywodów. Krytykę rodziny i moralności mieszczańskiej rozwinęli już socjaliści utopijni. Marks i Engels w *Manifeście Komunistycznym* stwierdzali kryzys rodziny burżuazyjnej. Engels w *Pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa* wyjaśniał podłoże społeczno-gospodarcze przemian zachodzących w organizacji rodziny.

Literatura piękna i poezja ujmowały ten rozwój w jego fazie kryzysowej często już w objawach wtórnych, ale korzenie tych zjawisk znajdziemy w procesach spowodowanych przez rozwój gospodarki wielkokapitalistycznej z jednej strony, rozwój i walkę nowoczesnego proletariatu z drugiej strony. Mamy tu dwa przeciwstawne procesy. Gdy kapitalizm dąży do ostatecznego wyzucia proletariatu z praw ludzkich, klasa robotnicza w nieustannej walce tworzy podstawy nowej moralności i nowego pojmowania rodziny.

Oświeceni przedstawiciele mieszczaństwa, jak Prus, dostrzegali podstawowy konflikt mieszczańskiego społeczeństwa, zarzucając mu w sprawach obyczajowych brak konsekwencji i pojednawczość w stosunku do tradycji feudalno-kościelnych, słowem tendencje, które w rodzinie mieszczańskiej utrzymały tradycyjnie podrzędne stanowisko kobiety wobec mężczyzny.

Podstawą zróżnicowania są sprawy majątkowe — to określało pozycję kobiety u mieszczaństwa, stąd pozostałości patriarchalizmu czerpały siłę. Kapitalizm wytrzebiał pozostałości patriarchalne w klasach nieposiadających.

Prawo burżuazyjne traktowało rodzinę jako jednostkę majątkową przede wszystkim; tam, gdzie nie było majątku, nie było posiadania, musiały powstać nowe formy życia rodzinnego. Warunki rodziny proletariackiej wy-

tworzyły całkowitą równość praw i obowiązków. Proletariuszka bierze na siebie równą, czasem nawet większą część obowiązków utrzymania rodziny (gdy np. praca zawodowa połączona jest z koniecznością wychowywania dzieci i prowadzenia domu). Toteż ze środowisk proletariackich, socjalistycznych, wychodzą nowe, na nowych oparte zasadach poglądy na rodzinę, przyjmowane ze zgorszeniem przez mieszczaństwo oraz jego ideologów. Walka o prawa proletariuszki jest zarazem walką o los proletariusza *.

Zmiany, które utorowały sobie drogę wśród proletariatu, inaczej przebiegały w drobnomieszczaństwie, w proletaryzujących się grupach społecznych z inklinacjami przynależności do warstw uprzywilejowanych. Wstrząs wyrażał się nierzadko w recydywach przeżytych ideologii, częściej jeszcze w przemieszaniu ujęć realnych procesów ze wsteczną utopią. I w tym środowisku rozwój procesów gospodarczych powtarzał przeobrażenia, które nastąpiły wcześnie w rodzinie proletariackiej.

Gdy czytamy np. utwory Przybyszewskiego czy podobnych mu autorów krajowych i obcych — na pierwszy rzut oka te skrajnie romantyczne, zaprawione metafizyką erupcje niewiele wspólnego zdają się mieć z podłożem gospodarczym. Ale ono bodaj decydowało. Nierówność prawna, gospodarcza, zarobkowa kobiety czerpała siłę z bardzo starych ograniczeń, sięgających początków rodziny monogamicznej. Ograniczenia te, zawarowane w księgach świętych, pismach teologów, rytuałach kościelnych, przechodziły z niewielkimi zmianami do prawodawstwa społeczeństwa mieszczańskiego, a co nie mniej ważne, pozostawały mocno utrwalone w obyczaju. Wstrząs tych urządzeń w literaturze przybierał formy metafizyczne, maskując problem. Konkurencja kobiet jako siły roboczej, która zaznaczyła się wcześniej w przemyśle a w pracy fizycznej stanowiła sprawę przesądzoną, zaczynała się dopiero w zawodach inteligenckich. W powieści, noweli młodopolskiej znajdziemy typ chronicznie bezrobotnego lub wykolejonego „ojca rodziny", w której kobiety pracują. Odpowiednik tego stanu rzeczy stanowiła walka o zajmowanie coraz to nowych pozycji zawodowych, zastrzeżonych dla mężczyzn, sięgająca znowu wieku XIX. Tu bodaj należy szukać nowego tła dla traktowania starego tematu antagonizmu płci. Literatura mieszczańska wyraża w tych sprawach chwiejność, którą spotykamy w praktyce społecznej i obyczajowej burżuazji. **

Tę pełną sprzeczności postawę wyrażała filozofia i moralistyka tego czasu.

Nie zapominajmy, że Strindberg, Przybyszewski i inni autorzy, dający wyraz owym antagonizmom, przeszli w młodości przez ruch socjalistyczny. Nie zawsze ujawnione bezpośrednio owo otarcie się o ruch socjalistyczny przyczyniło się do zachwiania tradycyjnych zasad. Zamazywało te sprawy cofnięcie się do romantyzmu, który zresztą miał podobne tło obyczajowe w przeobrażeniach, wówczas będących w zarodku. W czasach Młodej Polski wystąpiło to w sposób ostrzejszy przede wszystkim gospodarczo.

* Jak ścisły tu zachodził związek, dowodzi wiele faktów. Wiadomo że jedno z pierwszych masowych poruszeń proletariatu warszawskiego nastąpiło w związku z zarządzeniem carskiej policji, aby robotnice fabryczne poddawano rewizji sanitarnej jak prostytutki. Kierownicy „Proletariatu" wykorzystali te okazje dla akcji solidarnościowej, która stała się ich pierwszym sukcesem w agitacji masowej.

** Klasyczny przykład — o czym niżej — stanowią tu *Dzieje grzechu*.

Mieszanina ujęć nowych z tradycyjnymi, o której wspomniałem, wyraża się w najróżniejszy sposób. U Przybyszewskiego wpływ teorii przyrodniczych występuje obok archaicznych koncepcji teologów katolickich i niekatolickich o niższości psychicznej kobiety. Wcześniej jeszcze katolik i prekursor dekadentyzmu, Baudelaire, wołał: „Kobieta, dziecko chore i po trzykroć nieczyste".

Jeden z programowych dramatów owego czasu, *Ojciec* Strindberga, pokazuje, jak żona doprowadza męża do szaleństwa, pakuje go w kaftan bezpieczeństwa. Patos dramatu polega na tym, że istota niższa — kobieta — gubi mężczyznę, istotę wyższą. Przybyszewski, podobnie jak pokrewny mu w ujmowaniu spraw erotycznych Żeromski, wprowadzał tu sporą dozę demonizmu trącącego wręcz średniowieczem. Biologizm łączy się z podkładem moralistycznym, mało nowoczesnym, nieraz odpowiadającym pojęciom katolickim o grzechu i karze *. Jaskrawości estetyzacyjne tłumiły w niejednym wyraz przemian społecznych. W tym kierunku działa metafizyka erotyczna w okresie Młodej Polski. Tak czy owak metafizyka seksualna autora *Dzieci szatana* oraz innych pisarzy Młodej Polski, która budziła tyle oburzenia w swoim czasie, dawała wyraz swoisty przełomowi obyczajowemu. Cała ta maszyneria metafizyczno-mistyczna służyła właściwie do łamania czy rozluźniania tradycyjnych norm moralności płciowej, co w sposób swoisty odbijało zmiany sytuacji społecznej i gospodarczej kobiet. „Panseksualistyczne" tendencje ówczesnej moderny miały więc charakter pochodny, aczkolwiek w literaturze czy sztuce zdawały się występować na plan pierwszy.

Przyrodnicze stanowisko pozytywistów zostało tu doprowadzone do pewnej krańcowości, graniczącej niekiedy z karykaturą, podobnie bywało z przesadą naturalistyczną w opisach. Znamienne pomieszanie romantyzmu z naturalizmem mamy nie tylko u Przybyszewskiego i Żeromskiego, ale bodaj u większości pisarzy okresu.

Gdy się czyta niektóre rzeczy Przybyszewskiego, słowo ruja użyte przez Sienkiewicza nabiera swoistego znaczenia.

Zabiegi, konflikty erotyczne, konwencjonalnie traktowane w dawnej literaturze, nabierają jawności. Zmienia się słowna symbolika stosunków erotycznych — zamiast słów kochanek, oblubienica, uczucie itp. u Przybyszewskiego: samiec, samica, chuć... Teren zabiegów erotycznych stylizuje się na jakieś rykowisko, ruje zwierzęce. Momenty antagonistyczne, walkę, stylizuje się na sprawy w puszczy pierwotnej. Jakie bolesne, wytężone ryki, szamotania się dzikie, odgłosy walki, znój i krew, upojenie miłosne, przemieszane ze sprawami zagłady, ran, walki, trzewia wypływające z rozdartego brzucha. Ten biologiczny tragizm, groza przy jakimś niechlujstwie wyrazu, był czymś nowym w literaturze, odstraszał, ale zarazem i pociągał. Wygranie, wprowadzenie tych motywów spowodowało ową fascynację, towarzyszącą wystąpieniu Przybyszewskiego, jego pierwszym utworom. Terminologia przyrodnicza, zwłaszcza w pierwszych utworach Przybyszewskiego, trąciła, jak Boy zauważył — studentem biologii. W rzeczywistości jedna stylizacja wypierała inną.

---

* Uwydatnił to kiedyś Jarosław Iwaszkiewicz w nader ciekawym rozbiorze *Dziejów grzechu*.

Zapięty, przynajmniej w literaturze, na wszystkie guziki mieszczanin polski, nawykły otrzymywać sprawy erotyczne w sentymentalnie schludnych ogólnikach lub z ewentualnymi zastrzeżeniami w stylu wspomnianego „prawie", otrzymał obraz dość przeraźliwy. Wyraz tym uniesieniom nadał już romantyzm. Naruszenie ustalonych tradycyjnie symboli wyrażało zmiany społeczno-obyczajowe. Boy podkreślał w swych artykułach o Przybyszewskim pewnego rodzaju przełamanie lodów, zniesienie specyficznych skrępowań i opóźnień, powikłań wynikających z przetrwania norm moralności burżuazyjno-patriarchalnej w warunkach gruntownie zmienionych. Tłumaczy to jednocześnie, dlaczego to rozlewne filozofowanie na tematy seksualne, wywodzące się z Schopenhauera, które uprawiali u nas i za granicą liczni pisarze, dość szybko przejadło się i przestawało interesować.

W literaturze tematyka bywała komplikowana w różny sposób — przykład stanowią tu utwory o tematyce chłopskiej — mieszczańscy pisarze, by tak rzec, asymilowali chłopstwo w literaturze w zaprawie biologicznej. Interesowano się tu przede wszsytkim odchyleniami od normy obyczajowej (rola stosunków kazirodczych w powieściach chłopskich Reymonta, Orkana i in.).

W twórczości Żeromskiego znajdziemy też pierwiastki „przybyszewszczyzny, ale potraktowane w sposób bardziej realistyczny niż u autora *Dzieci szatana,* który okazywał się szczególnie prymitywny w przedstawianiu stosunków społecznych i obyczajowych. Toteż obrazy Żeromskiego wypadły artystycznie bez porównania wyżej mimo podobnej pod wielu względami chaotyczności wyrazu. Zamęt erotyczny występował tu jako odpowiednik zamętu ideologiczno-społecznego, romantyczne tradycje w wybujałym przedstawieniu spraw miłosnych łączyły się z naturalizmem. Przy tym sugestywny liryzm obrazów Żeromskiego w niejednym pokrywał zamistyfikowanie problemów społecznych. Znajdziemy tu sporo odpowiedników w tradycjach poezji romantycznej. Prześwietla te sprawy podobnie niejasny tragizm, tyle że tu częściej groza ujęta zostaje w kategoriach pesymizmu biologicznego. Do niektórych bohaterów Żeromskiego można by zastosować trzeźwą uwagę Rzecznickiego z *Nowej Dejaniry.*

Dziwnie ten Fantazjusz żyje,
Z babami się jak na pałasze bije.

III

Uwzględnienie pozytywistycznych i młodopolskich związków jest niezbędne dla oświetlenia właściwego sensu działalności pisarskiej Boya w zakresie spraw obyczajowych. Boy spotykał się tu z wieloma zarzutami bezzasadnymi bądź uproszczeniami w ocenach. (Do tych uproszczeń należy też traktowanie Boya jako epigona czy likwidatora „przybyszewszczyzny".)

U Boya znajdziemy nawiązanie w wielu sprawach tak do Młodej Polski jak i doby pozytywizmu. Boy nieraz odsłaniał podszewkę społeczną wybujałości erotycznych w Młodej Polsce literackiej i artystycznej.

To, co budziło najwięcej sensacji, kwestie związane z propagandą racjona-

lizacji życia seksualnego, zaprzątało już autorów pozytywistycznych. Pisarze młodopolscy niejedno tu zagmatwali z motywów, o których była mowa.

Dużo pisano o panseksualizmie Boya, zdarzały się też głupawe uwagi o pornografii, zresztą podobne rzeczy pisano o Przybyszewskim, Żeromskim oraz innych autorach. Jak to było naprawdę? W okresie *Słówek* Boy parodiował materiał zarówno literacki, jak i obyczajowy epoki. Literatura młodopolska chętnie przedstawia sprawy miłosne w posępnym sztafażu: towarzyszyły temu obrazy inferalnej zgrozy. Styl neoromantyczny, cała ta kocia muzyka, płacz i zgrzytanie zębów towarzyszące przedstawieniu „spraw mniej smutnych niż inne" podniecały zmysł karykatury Boya. Drastyczność *Słówek* wystąpiła wówczas, gdy przestano reagować na patetyczne drastyczności Przybyszewskiego. Boy z właściwym mu darem parodii konfrontuje romantykę literacką z rzeczywistością obyczajową świata mieszczańskiego, wydobywając mnóstwo efektów komicznych. Erotyzm *Słówek,* nawiasem mówiąc na ogół zresztą melancholijny, nabiera akcentów brutalnych właśnie w momentach, gdy w grę wchodzi karykaturowanie erotyki romantycznej. I tutaj Boy zaczął od pewnego rodzaju odtrącania najbliższej tradycji literackiej, parodiowania jej, wyzyskania sprzeczności nie bez głębszej myśli.

W późniejszych jego szkicach i felietonach znajdziemy racjonalistyczne naświetlenie tego demonizmu erotycznego, którym operowała Młoda Polska. Sprawy miłosne i rodzinne zawierały w sobie dość konfliktów, nieszczęść, czasem swoistej grozy. Tutaj autorzy pesymistyczni znajdowali dla swych ujęć więcej podstaw niż ci, którzy ujmowali sprawy rodziny od strony sielankowej. Komedia dawała tu tyleż materiału, co tragedia. W charakterystyce Celimeny z *Mizantropa* Moliera zauważa Boy, że wdowieństwo młodej kokietki nasuwa pewne podejrzenia. Czasy Ludwika XIV, epoka Moliera, Racine'a charakteryzują straszliwe procesy trucicielskie, w które zamieszana była znaczna część ówczesnego towarzystwa wraz ze sferami intelektualnymi. Komedie Moliera, przy zasadniczo humorystycznym traktowaniu, w sprawach rodzinnych ocierają się nieraz o grozę, zawierają wiele potworności (wystaczy wspomnieć o *Skąpcu* — stosunki między ojcem a synem).

Motywy zbrodni rodzinnych stanowią ulubiony temat dramaturgii od tragedii antycznej poczynając. Forma, jaką nadawali im autorzy, bywała osobliwa, ale miały one przecie ścisły związek z życiem. Tragedie Szekspira działy się przeważnie w rodzinach królewskich czy wysokiej arystokracji, ale istotę ich spotyka się wszędzie, gdzie istniały stosunki patriarchalno-rodzinne. Turgieniew napisał kilka nowel o tytułach szekspirowskich, gdzie akcja toczy się w powiatach rosyjskich, nie były to parodie, przenosiły one po prostu akcję o klasę niżej, w środowisko ziemiańskie. Istota sprawy pozostawała ta sama. Prawda życiowa tragedii króla Leara powtarzała się wszędzie tam, gdzie starca wyganiano z zasiedzianego majątku. Ostatecznie wielka część naszych dziadów proszalnych na wsi to przecież tacy Learowie wiejscy, wygnani przez dzieci na głód i poniewierkę. Biedak wiejski, Rzepa, w *Szkicach węglem* zarąbuje siekierą żonę, dowiedziawszy się o jej zdradzie, na mocy tych samych uprawnień, które pozwalają monarchom i wojewodom zamurowywać żywcem swoje kobiety w podobnych wypadkach.

Przeniesienie tych spraw w stosunki mieszczańskie nasuwało z natury rzeczy wiele zestawień, które spotkamy w recenzjach teatralnych Boya. Stąd

zasadność uwagi co do Celimeny. Mamy tu bardziej groźną stronę przełomu obyczajowego, który od strony komicznej akcentuje Molier.

Owo trucicielstwo stanowiło swoistą korekturę urządzeń rodzinnych feudalizmu w dobie jego kryzysu. Umysłowe, a częściowo i materialne emancypowanie się kobiet klas wyższych wprowadzało nieprzeliczone konflikty w rodzinie patriarchalnej. Określenie „pan domu" nie było wówczas frazesem — utrzymywał on swoją rodzinę w karbach przy pomocy kija oraz innych środków domowych, o ile przestępstwo nie domagało się większej kary. Wytworne damy siedemnastowieczne miały sposób niweczenia gróźb swych władców przy pomocy zadanej w porę trucizny. Pozycja młodej, niezależnej wdowy, odgrywającej samodzielną rolę w życiu, ze względu na wspomniany styl epoki, mogła nasunąć podejrzenia. To była odwrotna strona patriarchalnego życia rodzinnego, jego strona „demoniczna".

Literatura, teatr szły za obyczajem. Konwenans literacki okazywał całą względność konfrontacji z materiałem życiowym — zdrada małżeńska stanowi np. przedmiot tragedii, dramatu, gdy ma przebieg krwawy, z zemstą z morderstwem, a tam, gdzie uchodzi bezkarnie (przez zaślepienie czy tolerancję zdradzonego męża), staje się przedmiotem komedii lub farsy. W życiu, oczywiście, tak ścisłego podziału nie znajdziemy. Poważne komedie Moliera, przy całej swej sile komicznej, raz po raz ocierają się o dramat właśnie w przedstawieniu stosunków rodzinnych. Podobnie bywa u Ostrowskiego.

Społeczeństwo mieszczańskie odziedziczyło wiele dawnych urządzeń, spraw, pozostających już w rażącej różnicy z całym układem życia. Stąd różnorodność konfliktów i zawikłań w literaturze epoki.

Zowuż warto przytoczyć przykład Żeromskiego. W *Dziejach grzechu* dał obraz wykolejonej dziewczyny, mieszaninę bezradności i demonizmu, ofiarę systemu, a zarazem i zbrodniarkę. Bo tak było — wyjście z utartych kolein wpychało kobietę na drogę występku. Przy zagęszczeniu rysów, melodramatycznej grozie w potraktowaniu, tło wypadków było przecież prawdziwe. Dzieciobójstwo, prostytucja, powiększanie kadr kryminalnych — to uzupełnienie dziejów ówczesnej rodziny.

Te tradycje literackie jak i doświadczenia pisarza należy uwzględnić przy omawianiu rzeczy Boya na tematy rodzinno-obyczajowe.

Działalność publicystyczną Boya w tych sprawach można uważać za pochodną zmian, które w literaturze ówczesnej znajdowały wyraz zawikłany i chaotyczny przeważnie. Boy wystąpił raczej jako racjonalistyczny interpretator zmian. W polemikach ówczesnych spotykamy szczególnie dużo przesady w określeniach, zarówno u wielbicieli Boya, jak i u jego przeciwników. Jedni uważali go za reformatora otwierającego nowe drogi harmonijnego współżycia społecznego, drudzy, przeciwnie, widzieli w nim siewcę pierwiastków rozkładowych.

Boya nie można uważać za reformatora społecznego. Nonsensem jest też widzieć w nim wroga rodziny i macierzyństwa. Jeszcze jako młody lekarz należał do inicjatorów i pierwszych pracowników „Kropli Mleka", instytucji ze wszech miar pożytecznej dla ochrony macierzyństwa. Doświadczenia z tego czasu, jednostronnie traktowane, zaważyły niezawodnie na jego późniejszej działalności. Boy, oskarżony przez prawicę i kler o burzycielskie zakusy

czy o „bolszewizowanie", zdradzał skłonność do zasad konserwatywnego społecznie liberalizmu w stylu dziewiętnastowiecznym.

Neomaltuzjanizm stanowił wykwit tego liberalizmu. W jego duchu działały liczne stowarzyszenia, czynne zwłaszcza w krajach anglosaskich, w Anglii i Stanach Zjednoczonych, nb. ze znacznym udziałem duchowieństwa protestanckiego. Już na sto lat co najmniej przed propagandą neomaltuzjanizmu chłopi niemieccy w niektórych okolicach stosowali przecież *Zweikindersystem,* system dwojga dzieci, aby zapobiec rozdziałom gospodarki i proletaryzacji licznego potomstwa. Recepty neomaltuzjańskie wprowadzano w praktyce, nim doktrynerzy liberalni zajęli się nimi jako środkiem ratowania kapitalizmu przed niebezpieczeństwami wytwarzanymi przez system w dobie jego schyłku. Skoro, jak stary Malthus pisał, nie ma miesca przy stole życia dla wszystkich przybywających obywateli, należy zmniejszyć ilość tych przybywających. Gdy ilość ludności pozostaje zupełnie lub prawie niezmienna, każdy nowy obywatel ma niejakie szanse zajęcia w społeczeństwie miejsca, które zajmował jego ojciec i zdobycia odpowiedniej ilości środków utrzymania. Neomaltuzjaniści dowodzili, że posiadają recepty pokojowego utrwalenia istniejącego ustroju przy zmniejszeniu groźnych dla niego samego krzywd, które wyrządził. Wielcy kapitaliści nie oponowali już przeciwko tym receptom — racjonalizacja procesów wytwórczych w sposób nieunikniony zmniejszała ilość zatrudnionych w zakładach. Zanik możliwości rozwojowych kapitalizmu obok postępującej racjonalizacji produkcji wytwarzał olbrzymie masy bezrobotnych, a bezrobotni przestali być już ową pożyteczną dla kapitalizmu „armią rezerwową", dającą na rynek pracy każdą żądaną przez koniukturę gospodarczą ilość sił i osłabiającą pozycję zatrudnionych robotników, stanowili już istotne niebezpieczeństwo dla ustroju.

Jako lekarz chorób dziecięcych, pracownik wspomnianej już „Kropli Mleka", Boy zetknął się z katastrofalnymi warunkami życia licznych rodzin proletariatu, w których dzieci przychodziły na świat i wymierały bez liku w najokropniejszych warunkach. Później recepty neomaltuzjańskie uznał za społecznie celowe i zajął się gorliwie ich propagowaniem.

W tym punkcie działalność Boya szczególnie podlegała krytyce ze strony ugrupowań robotniczych. Socjalizm uważa teorie maltuzjańskie za szarlatanerię społeczną. Walkę z groźbą przeludnienia widzi w obaleniu ustroju kapitalistycznego, w otwarciu nowych źródeł wytwórczości, nie znanych kapitalizmowi. Boy ze stanowiska liberalnego lekarza i filantropa ze zwykłym temperamentem angażował się w polemikę na dwie strony — odsłaniając całą ograniczoność postępowej myśli mieszczańskiej w warunkach schyłku ustroju. Przejawiał ciasny empiryzm w swych obserwacjach.

*

Bardzo istotny moment stanowiło tu zaczepienie kleru. Gdyby Boy prowadził tylko propagandę ograniczenia urodzin, co inni robili przed nim, nie wywołałby takiego odgłosu i nie ściągnąłby na siebie tyle ataków. Zaczepiając wpływowe duchowieństwo katolickie Boy dotknął najbardziej drażliwego punktu. Prus wspominał delikatnie o interesach papiestwa, u Boya znajdziemy wskazanie, o jakie interesy kleru i to konkretnie miejscowego kleru, cho-

dzi. W *Dziewicach konsystorskich* wykazał, w jaki sposób czynniki duchowne łupią ludzi zamożniejszych i utrudniają życie biedakom. W *Dziejach grzechu* sprawa rozwodowa w sądzie duchownym powoduje ruinę materialną Niepołomskiego, zmusza go do wyjazdu i stanowi właściwą przyczynę upadku Ewy. Znamienne, iż Żeromski wspomina to jako rzecz zrozumiałą samą przez się. W istocie mamy w powieści tej dzieje również grzechu konsystorskiego.

Boy uwydatnił szczególnie materialne zainteresowanie kleru kontrolą obrotu ludności; chrzciny, śluby, pogrzeby, rozwody stanowiły z dawna poważne źródło dochodów, ale nie tylko o to chodziło. Kler gorliwie zastrzegał sobie te sprawy, robił z nich *tabu* i zwalczał wszelkie interwencje ze strony. Teologowie zastrzegający duchownym wyłączną ingerencję w sprawy seksualne, opracowujący je z drobiazgowością uczoną, choć nader jednostronnie, widzieli w tym źródło wielkiego wpływu na życie społeczeństwa. Stąd ogromna uwaga, z jaką sprawy te traktowano w konfesjonałach (rozstrząsanie choćby intymności pożycia małżeńskiego). A wpływ przez konfesjonały, rzecz znana, w pewnych momentach stawał się ważnym czynnikiem politycznym, ważnych czynnikiem urabiania nastrojów mas wierzących. Poruszenie tych właśnie spraw ściągnęło na Boya gromy i spowodowało najgwałtowniejsze ataki. Nie chodziło o neomaltuzjanizm — w tym względzie Kościół okazał znaczną ustępliwość (co znalazło wyraz w rozpowszechnianiu broszurek o regulacji urodzin w duchu katolickim). Kościół godził się na ograniczenie urodzin byle wedle metod z aprobatą kościelną.

IV

Boyowi zarzucano supremację pierwiastka seksualnego w jego utworach, co, jak wspomniałem, w znacznej mierze tłumaczy się stylem epoki. Zresztą u Boya nie ma tego z pewnością więcej niż u beletrystów współczesnych. Na tle wspomnianego już traktowania spraw seksualnych w duchu antagonizmu płci w epoce Młodej Polski szerzył się specyficzny myzogynizm, reprezentowany przez Strindberga i modnych autorów w rodzaju Weiningera. Znowu u Boya niejedno tłumaczy się przez przeciwstawienie się modzie, której okresami sam ulegał.

Traktowanie racjonalistyczne spraw utartych w obyczajowości uważano za cynizm. Uwagę współczesnych zwracał przede wszystkim sposób ujęcia. Sławetny „cynizm" Boyowski wynikał przede wszystkim ze sprzeciwu wobec romantycznych schematów, wybitnie zablagowujących istotę rzeczy.

Irzykowski w *Beniaminku** wytykał Boyowi sploty spraw kobiecych czy babskich dokoła problemów literatury. J. N. Miller pisał, że u Boya autorzy znikają w cieniu krynolin. Ale są to uproszczenia nie odpowiadające rzeczywistości, przynajmniej jeśli chodzi o najdojrzalsze utwory Boya.

* W *Beniaminku* Irzykowski wysuwa przeciw Boyowi pretensję nader osobliwą, dowodząc, że racjonalizacja życia seksualnego szkodzi literaturze — jako przykład daje powieści Stendhala, gdzie cały wątek wynika z irracjonalizmu stosunków miłosnych. Ale tak samo dzisiejsze ustawodawstwo o ochronie macierzyństwa i dzieci nieślubnych usuwa dramaty tego rodzaju jak Małgosi z *Fausta* czy Ewy Pobratyńskiej z *Dziejów grzechu*. Argumentacja dziwna. O literaturę nie ma co się martwić, znajdzie inne tematy.

Pisząc o tzw. morderstwach z namiętności dowodził zgodnie z argumentacją niektórych prawników współczesnych, iż wypadki, których przyczynę widziano li tylko w pasji miłosnej, mają w rzeczywistości podłoże bardzo złożone, przeważnie natury społecznej.

Kapitalny przykład daje studium o *Cierpieniach młodego Wertera*. Roztrząsając na nowo dzieło Goethego — Boy trafnie i przenikliwie uwydatnia, że w przejściach bohatera powieści, które doprowadziły go do samobójstwa, niepowodzenie miłosne odgrywa bynajmniej nie główną rolę, że stanowi ono raczej końcowy epizod społecznych rozczarowań młodego, inteligentnego mieszczanina w mało przyjaznych warunkach Niemiec XVIII wieku. Podobne naświetlenia można często znaleźć u Boya, w recenzjach sztuk czy szkicach literackich — tam, gdzie z inercją odziedziczoną po romantyzmie widziano historię przede wszystkim miłosną, Boy odnajduje złożony splot motywów społecznych i gospodarczych, w których wątek erotyczny odgrywa rolę istotną i ważną, ale nie jedyną i nie główną. Traktuje więc te sprawy trzeźwo i wielostronnie, raczej na sposób pozytywistyczny, daleki od utartych schematów literatury namiętności, którymi operował romantyzm.

Doskonałe przykłady znajdziemy w studiach o Przybyszewskim, w *Obrachunkach fredrowskich*. Sprawami specyficznie kobiecymi Boy zajmował się stosunkowo dużo, ale pamiętajmy, iż kobieta w owych czasach była regulatorką spraw obyczajowych, w większym stopniu niż mężczyzna. Boya zaś interesowały nade wszystko dzieje obyczaju, co występuje nawet w pracach historycznych *(Marysieńka Sobieska)*.

Andrzej Stawar

Miguel Cervantes

PIEŚŃ ZAKOCHANEGO STUDENTA

Słodka moja nadziejo,
która łamiąc przeszkody wszystkie i trudności
idziesz stale koleją,
którą twa własna wola wykreśla i prości,
niech cię to nie przeraża,
że na każdym twym kroku czeka cię śmierć wraża.

Nigdy ludzie trwożliwi
triumfów ani zwycięstw żadnych nie odniosą,
nie mogą być szczęśliwi,
którzy nie stawią czoła przeciwności losom,
jeno wolą omdlałą
poddają wszelkie czucie w bezczynność ospałą.

Gdy Amor swoją chwałę
drogo sprzedaje, słusznie jest i sprawiedliwie,
klejnoty to wspaniałe,
karatami rozkoszy mierzone żarliwie.
Powszechne to wierzenie,
że co tanio kosztuje nigdy nie jest w cenie.

Zawziętość miłowania
wielekroć niemożliwe na świecie osiąga,
więc i moje starania
najtrudniejsza ze wszystkich miłości przyciąga,
i wątpić mi nie trzeba,
że kiedyś przecie z ziemi wzniosę się do nieba.

NIEOPATRZNEMU

Ze szkła są wszystkie kobiety,
ale nie próbuj, broń Boże!
czy która roztłuc się może,
wszystko możliwe niestety!

Szaleństwo jeno wystawia
rzecz, co tak łatwo rozpęka,
by losu rozbiła ręka
to, czego się nie naprawia.

Powszechne zdanie jest o tem
na prawdzie oparte przecie,
jeśli Danae są w świecie,
są także i deszcze złote.

PIEŚŃ KARDENIA

Jakaż mię dręczy moc twarda?
Pogarda.
Co wzmaga moje żałości?
Zazdrości.
Co truje moje czekanie?
Rozstanie.
I tak już cierpię nieprzerwanie,
Nigdzie lekarstwa nie znajduję,
Bowiem nadzieję każdą truje
Pogarda, zazdrość i rozstanie.

Co rodzi serca zawiłość?
Miłość.
Kto sławie mojej wrogi?
Los srogi.
A skąd mi pociechy trzeba?
Z nieba.
Więc lękam się, że mi trzeba
Do ciemnej zstąpić mogiły,
Gdy przeciw mnie się zmówiły
Miłość i los mój, i nieba.

Kto wiedzie na lepszą perć?
Śmierć.

Co koi miłości żałość?
Niestałość.
Jakiż lek na męczeństwo?
Szaleństwo.
Więc to jest niepodobieństwo
Chcieć leczyć takie choroby,
Na nie jedynie sposoby
Ma śmierć, niestałość, szaleństwo.

SONET ZWIERCIADLANEGO RYCERZA

Dajcie mi, Pani, wedle własnej woli
Hasło, za którym dążyć będę wszędzie,
I wasza wola moją wolą będzie,
Na krok odchylić mi się nie pozwoli.

Gdy chcesz, bym milcząc o tym, co mię boli,
Skonał, już postaw mię w umarłych rzędzie,
Lecz gdy się kochasz w żałosnej gąwędzie,
Amor sam będzie mówił o mej doli.

Wśród prób przeciwnych, w ciągłej poniewierce,
Jak wosk jest miękka a jak diament lita
Dusza ma prawem miłości podbita.

Miękkie czy silne oddaję ci serce,
Tnij, wyryj na nim jakie zechcesz słowa,
Które, przysięgam, na wieki zachowam.

PIEŚŃ CHRYZOSTOMA

Gdy chcesz, okrutna, aby ogłoszono
W wszystkich językach i po całej ziemi
Twojej srogości bezlitosne siły,
Sprawię, że samo srogie piekieł łono
Przepoi pierś mą tonami takimi.
Które by głos mój zwykły odmieniły
Wedle mych pragnień, co się wysiliły,
By śpiewać ból mój i twą niegodziwość.

W głosie żałosne podniosą się jęki,
A do nich wmieszam dla większej udręki
Kawałki serca wydarte na żywo.
Słuchaj, z uwagą nachyl twego ucha,
To nie jest harmonijny dźwięk, lecz głucha
Skarga, co z piersi zgorzkniałej się wznosi,
W szaleństwie cierpień obłędnych powstaje,
Mnie rozkosz daje, tobie hańbę głosi.

Srogość lwa, wilka przeraźliwe wycie,
Wstrętny syk węża o łuskowych splotach,
Potworny pomruk nieznanego smoka,
Krakanie wrony, co śmierć albo życie
Wróży, lub wiatru huk w burzy łoskotach,
Od których wzdyma się mórz toń głęboka,
Ryk zwalonego byka, gdy posoka
Ujdzie zeń, łkania, jakie rzuca wdowia
Czuła turkawka, smętne zawodzenia
Zawistnej sowy oraz wszystkie pienia
I jęk czarnego, piekielnego mrowia,
Niech z boleściwej mej powstaną duszy,
Złączone w jeden ton, który poruszy
I wstrząśnie zmysłów zasięgiem najszerszym,
Bo straszna boleść, co serce zalewa,
By ją wyśpiewać, nowych żąda wierszy.

Owych zawodzeń nie powtórzą piaski
Ojczyste Tagu w smutnych echa tonach,
Ni sławne gaje Betysu oliwek,
Tutaj rozbrzmiewać będą moje wrzaski,
W głębiach przepaści, w skał wysokich stronach,
— Choć martwy język, ale słowa żywe —
Lub w ciemnych jarach zabrzmią, gdzie zdradliwe
Piaski, nietknięte nigdy stopą ludzi,
Wśród jadowitych bestii, które wody
Piją z błot Libii, wśród wyżów przyrody,
Której blask słońca nigdy nie obudzi,
Rozbrzmiewać będą mej boleści echa
Ochrypłe; dla mnie w tym będzie pociecha,
Że twoją srogość rozgłoszą po świecie,
Krótkiego życia to będzie nagrodą,
Nim śmierć mię młodo z przestrzeni ziem zmiecie.

Wzgarda zabija, cierpliwość zamiera
Przez podejrzenia słuszne czy fałszywe;
Lecz najokrutniej jest z zazdrości konać.
Długa rozłąka życie do cna zdziera,
Lęk zapomnienia do szczętu szczęśliwe

Nadzieje gasi, wkrada się do łona.
Śmierć tylko jedna jest nieunikniona.
Przecie — o dziwo! — ja żyję dotychczas
Zazdrosny, zdrady pewny i wzgardzony,
Przed podejrzeniem brak mi tu obrony
W rozłące, która ogień budzi w zgliszczach.
Wśród tej męczarni trudno dojrzeć oku
Nawet promyka nadziei wskroś mroku,
Ni ja — nieszczęsny — tak daleko sięgam,
Aby do kresu wyczerpać rozpacze,
Bez niej już raczej żyć wiecznie przysięgam.

Zali o szczęściu można jednej chwili
Wątpić i ufać? Zali dobrze czynię,
Gdy pewność stwierdza serca niepokoje?
I kiedy sroga zazdrość wstaje, czyli
Zamykać oczy, choć w każdej godzinie
Wnika w tysiączne rany duszy mojej?
Każdy otwiera na oścież podwoje
Niewierze, kiedy nagła go obraża
Wzgarda, a jawność wszelkie podejrzenia
— Gorzka przemiano! — w oczywistość zmienia,
I czystą prawdę w kłamstwo przeobraża?
Najsroższa władztwa miłości udręko,
Zazdrości! ostrze żelaza daj rękom,
Daj mi, o wzgardo, sznur jak najsilniejszy!
Biada mi! bowiem w zwycięstwie okrutna
Twa pamięć smutna i boleść pomniejszy.

Umieram, szczęścia nie czekam już w chwili
Ostatniej w życiu ani też po skonie,
Uparcie wytrwam w moich rojeń kole,
Że czyniąc dobrze nikt się nie pomyli,
Wolną jest dusza, choć jej zwiąże dłonie
Przemoc miłości pętami w niewolę.
Powiem: nad wszystkie wrogą pannę wolę,
Co piękną duszę i ciało posiada,
A na stwierdzenie naszych mąk jedynie
Amor dziedziną swą w pokoju włada.
W tym przekonaniu niech ten stryczek twardy
Przyśpieszy koniec nieszczęsny, gdzie wzgardy
Doprowadziły mię jej niełaskawe,
Oddam na wiatry duszę mą i ciało,
Które nie dbało na laur ani sławę.

Ty, której jawne szaleństwa zdradzały
Przyczynę, co mię rozstać się przymusza
Z życiem, jakiego już nie zniosę dłużej,

Może znienacka zatopisz wzrok śmiały
W głęboką ranę, z jaką moja dusza
Radośnie znosi twej srogości burze.
Jeżeli jednak uznasz, że zasłużę,
Aby twych oczu pięknych niebo jasne
Śmierć ma zmąciła — stój! na miłość boską,
Nie chcę, ażebyś igrała beztrosko
Z serca strzępami, gdy przez ciebie gasnę.
Raczej ze śmiechem na moim pogrzebie
Okaż, że śmierć ma jest świętem dla ciebie.
Lecz głupi! po cóż ci te rady wszystkie?
Wszak wiem, że chlubisz się tym znamienicie,
Iż moje życie już kresu jest bliskie.

Już czas! niech wyjdzie z przepastnej czeluści
Spragniony Tantal, niech Syzyf przybywa
Z ciężarem strasznym bezlitosnej skały,
Fitio z swym sępem, Egion niech się spuści,
Lecz koła swego ruchu nie przerywa,
Nie lza, by siostry złe swój trud wstrzymały
Niech wszyscy społem żałobne chorały
W pierś moją wleją i niechaj pomału
(Gdy zrozpaczony ma do tego prawo)
Śpiewy pogrzebne wiodą smutnie, łzawo,
Ciału, któremu odmówiony całun.
A niech trzygłowy piekielny odźwierny,
I tysiąc chimer, i widm tłum bezmierny,
Naraz podniesie odzew przeraźliwy;
Pogrzeb niech wiodą w żałobnym pochodzie,
Którego godzien kochanek nieżywy.

Pieśni rozpaczy, nie płacz, że twa gama
Zostanie w świecie po mym skonie sama,
Raczej, gdy bolu przyczynę okrutną
Może radować żal zamknięty w tobie,
To choćby w grobie, nie rozbrzmiewaj smutno.

(z *Don Kichota*)
Przełożyła
Anna Ludwika Czerny

Henryk Markiewicz

NIESPODZIANKI „ROKU 1794"

1

Twórczość Reymonta zarówno swą siłę jak i słabość czerpała przede wszystkim z niezwykle intensywnej, chciałoby się powiedzieć, zachłannej obserwacji życia. Nierównie słabsze było oddziaływanie podniet idących ze źródeł książkowych — z literatury, nauki czy publicystyki; kształtowało ono nieistotne, wtórne cechy jego pisarstwa. Szczególnie zaś nikłe, prawie niedostrzegalne były związki Reymonta z tradycją historyczną. Stąd też — inaczej niż w wypadku Sienkiewicza czy Żeromskiego — rozwój twórczy autora *Ziemi obiecanej* i *Chłopów* nie zapowiadał w nim wybitnego powieściopisarza historycznego.

Zwrot ku tej nowej dziedzinie występuje u Reymonta już w roku 1908: wówczas to powziął on plan napisania cyklu powieściowego o tematyce oznaczonej w jego notatkach datami: 1812—1830—1863 [1]. Plan ten jednak nie został zrealizowany, a pisarz cofnął się jeszcze dalej w głąb historii, ku pierwszemu ogniwu walk powstańczych — insurekcji kościuszkowskiej. W roku 1911 „*Tygodnik Illustrowany*" rozpoczął druk *Ostatniego sejmu Rzeczypospolitej;* część ostatnia — *Insurekcja* — ukazała się od razu w wydaniu książkowym w roku 1918; jak wynika jednak z notatek autora, nie została doprowadzona do planowanego finału, którym miała być klęska maciejowicka. [2] Zamiast tego, Reymont przerwał swą narrację na kwietniowym zwycięstwie insurekcji w Warszawie, po czym z pośpieszną niedbałością dopisał dwie stroniczki, na których streścił nie tylko dalsze dzieje powstania, ale i banalną syntezę historiozoficzną późniejszych losów narodu — aż po wojnę światową.

Finał trylogii umieszczony w momencie zwycięskim ma swoje uzasadnienie ideowe: udobitnia optymistyczną wymowę całości, współdźwięczną z nastrojami niepodległościowych nadziei u schyłku wojny. Ale autor odstąpił od pierwotnego zamysłu chyba także dlatego, że zanadto znużył go wysiłek na nowym, więc trudnym, polu pisarskim. Reymont bardzo był przywiązany do *Roku 1794*

---

[1] Por. rks Ossolineum 6973/I i list Reymonta do P. Cazina z 7 lutego 1910, *Nasz francuski przyjaciel o Reymoncie. „Wiadomości Literackie"* 1926, nr 7.

[2] Jak wynika z notatek pisarza, Zaręba, ranny w bitwie maciejowickiej i uratowany przez Izę, po ślubie z Ceśką, zawartym *in articulo mortis*, udawał się na tułaczkę „walczyć o Polskę. *Usque ad finem*". — Por. także informacje A. Bara w *Pismach* Reymonta, t. XIX, s. 405—411, Warszawa 1949. Cytaty z *Roku 1794* — na podstawie tego wydania. (t. XVII—XIX = I—III).

i wysoko cenił miejsce tej książki we własnej twórczości, a przecież dość łatwo zrezygnował z jej kontynuacji.

„Do trylogii mej przybywał już czwarty tom — opowiadał później. — Z lasów bolimowskich Henryk Dąbrowski wyprowadził resztki polskich zastępów zbrojnych do Francji. Pierwsze sceny powieści musiały wskrzesić krwawą pomstę ludu na zdrajcach. Wydawcy uważali, że wspomnienia te nie są pożądane w tym czasie — było to w 1917 roku — mogą być zbyt podniecające. Przerwałem pracę tę z żalem". [3].

Przy okazji warto zaznaczyć, że kolejność tematyczna poszczególnych fragmentów dzieła nie pokrywa się z chronologią ich powstania: Reymont pisał, jak wiadomo, „na wyrywki", szkicował wielokrotnie te same epizody; tak np. fragment *Z 11 na 12 sierpnia 1794 — Śmierć prymasa*, wykraczający więc poza granice tematyczne *Insurekcji*, czytany był, jak wynika z notatki Reymonta, na wieczorze autorskim w Paryżu w roku 1911.

Rok 1794 jest więc nieoczekiwanym i odosobnionym rozdziałem twórczości Reymonta. Tę pozorną przypadkowość traci dopiero wtedy, gdy umieścimy go na literackiej mapie owych lat. Znacznie wcześniej od Reymonta, bo już na przełomie wieku, przystępuje do wielkiego cyklu powstańczego Żeromski, i w ciągu ćwierćwiecza realizuje swe zamierzenia w *Popiołach* (1904), zniszczonych *Iskrach*, *Sułkowskim* (1910), *Wiernej rzece* (1912) i *Turoniu (1923)*. Współzawodnicząc jakby z *Popiołami*, zajmie się czasami napoleońskimi stary Sienkiewicz jako autor niedokończonych *Legionów* (1914). Epoka ta jest zresztą tematem fascynującym szczególnie ówczesnych pisarzy; wystarczy wymienić *Koniec epopei* (1913—1917) i liczne utwory poetyckie Kazimierza Tetmajera, mnóstwo wierszy Or-Ota, popularne powieści Gąsiorowskiego itd. Dramat powstania listopadowego powraca kilkakrotnie pod piórem Wyspiańskiego. Powstanie styczniowe, poza Żeromskim, staje się tematem utworów Orzeszkowej *(Gloria victis,* 1910), Struga *(Ojcowie nasi,* 1911), M. Jehanne-Wielopolskiej *(Kryjaki,* 1913), Choynowskiego *(Kuźnia,* 1919).

Historyzm ten, tak silnie i zdecydowanie skoncentrowany wokół walk narodowo-wyzwoleńczych, występuje u najwybitniejszych przedstawicieli (Żeromski, Wyspiański) już na przełomie wieku, ale ilościowo wzmaga się wyraźnie po rewolucji 1905 roku, na przedprożu wojny światowej. Podobnie zresztą wygląda sytuacja w ówczesnej historiografii: monografia Korzona o Kościuszce ukazała się w roku 1894; podstawowe prace Askenazego, Tokarza, Skałkowskiego, Kukiela — po roku 1904. [4]

Gdzie przyczyny tego powszechnego zwrotu wyobraźni pisarskich i zainteresowań naukowych do powstańczej przeszłości? Źródła zasadnicze to niewątpliwie dążenia narodowo-wyzwoleńcze, coraz silniej — choć w bardzo różnym wyglądzie politycznym — ogarniające podstawowe masy społeczeństwa. Powstania były przecież najbliższą, najbardziej narzucającą się metaforą historyczną tych dążeń. Dodajmy jednak od razu: metaforą niejednokrotnie mylącą analogiami pozornymi — i ze względu na utratę tego wyjątkowego miejsca, jakie zajmowała Polska w Europie w pierwszej połowie XIX wieku, i ze względu na odmienny teraz układ wewnętrznych sił klasowych — pojawienie

[3] J. Śliwowski, *Reymont o sobie*. *„Dziennik Płocki"*, 1924, nr 287.

[4] Por. K. Wyka, *Żeromski jako pisarz historyczny*. W: *Stefan Żeromski*, Warszawa 1951, s. 167 i n.

się rewolucyjnego proletariatu. Trzeba to mieć na uwadze, tym bardziej że owe dążenia wyzwoleńcze mas ludowych znajdowały wielostronny, ale zawsze nacjonalistycznie zniekształcony odzew zarówno w bezpośredniej polityce burżuazji, jak i w polityce jej reprezentantów w ruchu robotniczym. Stronnictwa burżuazyjne usiłowały pozorami niepodległościowymi przesłonić praktyczną ugodowość swej polityki, hasłem rzekomej jedności zadań narodu — osłabić w masach ludowych świadomość ich klasowych interesów. Prawica socjalistyczna starała się podporządkować ów szeroki ruch patriotyczny własnym tendencjom — pseudoniepodległościowym, bo hamowanym obawą przed rewolucyjnym działaniem mas, bo zmierzającym do odegrania roli wasalnej wobec państw zaborczych w przewidywanym ich konflikcie. Dla koncepcji, która rewolucyjną walkę zastępowała militarną współpracą wąskich organizacji wojskowych z blokiem austro-niemieckim — dogodną sankcję historyczną stanowiły swoiście spreparowane tradycje legionów czy szlacheckiej partyzantki 1863 roku. Nie przypadkowe są nazwy Związku Strzeleckiego, Drużyn Bartoszowych, Legionów... Stąd popularność tych nieprawnie zawłaszczonych tradycji i w kręgu samej piłsudczyzny, i w środowisku pisarzy ulegających jej efektownej demagogii patriotycznej.

W tak szczególnej sytuacji sam wybór tematu powstańczego nie określał jeszcze ani genezy, ani funkcji ideowej trylogii Reymonta. Nie określa jej również ogólnikowy komentarz autorski, sformułowany *ex post* w oparciu o wzór analogicznych wypowiedzi Sienkiewicza:

„Powieściami swymi historycznymi pragnąłem pokrzepić ducha narodowego, podnieść go przykładem bojowników o wolność, o niepodległość, bohaterstwem tych, którzy śpieszyli na ratunek rozszarpywanej ojczyzny". [5]

Z tradycji powstańczych wybrał Reymont temat kościuszkowski. Autor *Chłopów* uważał zapewne ten grunt za najpewniejszy dla siebie, choć w realizacji pisarskiej chłopski nurt powstania ani nie wystąpił na pierwszym planie, ani nie stał się szczególnym sukcesem autora. Ów temat kościuszkowski, bardzo wyeksploatowany w dawniejszej tradycji poetyckiej i dramatycznej, w prozie leżał odłogiem; miał przy tym tę dobrą stronę, że z racji czasowego oddalenia mniej był narażony — w złagodzonych trochę warunkach porewolucyjnych — na niebezpieczeństwo interwencji cenzury w Królestwie. Nawiasowo przypomnijmy, że jeszcze Żeromski w *Popiołach* trudno czytelnymi aluzjami oznacza udział Piotra Olbromskiego i Ojrzyńskiego w walkach roku 1794, ba, wykorzystuje jąkanie się Michcika, aby nie padło wyraźnie słowo — „Naczelnik" („Pod Na... pod Na... służyłem...")

Biorąc na swój warsztat temat kościuszkowski zastał Reymont dwie rozbieżne tradycje ideowo-artystyczne. Pierwszej z nich, romantycznej, wiernej prawdzie historii — patronuje jeszcze Mickiewicz tym spojrzeniem na insurekcję, które najlapidarniej określa tytuł dramatu: *Jakub Jasiński czyli dwie Polski* (1836; wyd. 1867). A więc spojrzeniem uwrażliwionym na wewnętrzne konflikty społeczne powstania, w których rewolucyjna i patriotyczna energia mas silnie kontrastuje ze zdradą i upodleniem magnaterii. Tak widział rewolucję 1794 roku w Wilnie Słowacki *(Horsztyński,* 1835; wyd. 1866). a wydarzenie warszawskie — Wincenty Pol, gdy w swej *Historii szewca Jana Kilińskiego* (1833; wyd. 1843) pisał:

[5] J. Śliwowski, l. c.

Nagle w mieście zakipiało:
„Sto kółeczek mam u pasa,
Ludu wola — Boża wola —
Wieszaj króla i prymasa!"
Jeszcześć króla, tam jak króla,
Lecz z tych zdrajców urwij pasa.
Bierz hetmana i prymasa.

Więc biskupy, więc hetmany,
Więc nieszczere inne pany,
Jak Bóg kazał, podyndali
I nogami świat żegnali.
Bo przypowieść niesie stara:
Za zdrajcami Boska kara.
A kto twardo i tak szczerze
Za tę polską sprawę bierze,
Tego cnota i w sukmanie
Za buławę ziomkom stanie.

Tak pojmował tradycję powstania Berwiński, gdy w *Mogile Kościuszki* (1844) widział kolebkę nowego, sprawiedliwego i wolnego życia narodu. Ostatnie, jak się wydaje, słabnące echo tej tradycji to *Prezydent miasta Krakowa w kłopotach* (1871) Józefa Narzymskiego.

Ale była również inna tradycja kościuszkowska, dominująca w drugiej połowie wieku, zwłaszcza w Galicji. Tradycja ta potępia rewolucyjny kierunek powstania, a udział w nim chłopów stawia jako wzór solidaryzmu narodowego, mądrego podporządkowania własnych interesów — sprawom ogólno-narodowym, w rzeczywistości zaś — interesom klas posiadających. Takie tradycje insurekcji usiłowano przede wszystkim zaszczepić ludowemu odbiorcy — miały tu dopomóc w uodpornieniu go na „materializm, kosmopolityzm i teorie przewrotu niedostępne dotąd uczuciom Polaka" [6] — jak otwarcie pisze Władysław Ludwik Anczyc, autor tak popularnego ongiś widowiska ludowego *Kościuszko pod Racławicami* (1880). Jakoż, kiedy zwolennik „francuskich nowinek", Sztummer, zapowiada chłopom:

„Niech no tylko oswobodzimy kraj, to zrobimy porządek jak we Francji. Ziemię, którąście uprawiali przez wieki w pocie czoła, ich ziemię, wam oddamy, a pan podkanclerzy...", Bartosz Głowacki — z woli autora — odrzuca z oburzeniem tę inspirację:

„Ej, prose wielmoznego pana, dyć tu nie Francyja, my ta pańskiej ziemi nie poządamy, bo byśwa zgzesyli przeciwko dziesiątemu przykazaniu. Niemiło to, ze Moskal zabiera nam ojczyznę, a cyby to nam Pan Bóg błogosławił, jakbyśwa panom ziemię zabierali? A jak będziewa wsyscy w jedności, i ślachta, i miastowi, i chłopy, to bedzie Polska wolna".

Podobnie Bałucki w „obrazie historycznym" *Kiliński* (1893) ukazał Konopkę jako nikczemnego podżegacza do mordu i rabuntu, przeciwstawiając mu rzeczników „zgody i jedności" — tytułowego bohatera i... ks. Meiera.

[6] W. L. Anczyc, *Poezje patriotyczne i Kościuszko pod Racławicami*. Opr. J. St. Bystroń, Kraków 1924, s. XXVIII.

Niedaleko od Anczyca i Bałuckiego umieścić trzeba i obraz Matejki (1888), na którym autor — według ks. Eustachego Skrochowskiego — „odwrócił twarz Kościuszki zarówno od Kołłątaja i Taszyckiego (jako przedstawicieli Rewolucji Francuskiej, „niemądrze na nasz grunt przesadzonej"), jak i od przedstawicieli przywilejów szlacheckich, zestawiwszy obie te ostateczności obok siebie." [7]

Nie przypadkowo Matejkowski *Kościuszko* zdobi pokój Gospodarza w *Weselu* Wyspiańskiego. Pierwowzór tej postaci, Włodzimierz Tetmajer, późniejszy autor poematu *Racławice*, pisał w roku 1898:

„Dziś te dawniej bezimienne uczucia, ten mimowolny i mimowiedny zwrot, to zapatrzenie się wszystkich w chłopa, te uczucia, których pierwszym i najidealniejszym przedstawicielem jest Tadeusz Kościuszko, ujęto w teorię i nazwano, i dziś każdy wie, że chłop polski to przyszłość, to ratunek tonącego okrętu, to spiż, z którego ulać się ma posąg „z jednej bryły" — co kiedyś... kiedyś... „ludy przelęknie". [8]

Z biegiem lat, na przełomie wieku tradycje kościuszkowskie usiłuje dla siebie wykorzystać zarówno prawicowy ruch chłopski, jak i nacjonalistyczne ugrupowania burżuazyjne, które postulują sojusz z chłopem, przede wszystkim z chłopem-posiadaczem, jako niezbędny warunek zachowania bytu narodowego, a w dalszej perspektywie odzyskania niepodległości — z wyminięciem drogi rewolucyjnej. Tradycje kościuszkowskie anektuje więc dla siebie ta odmiana nacjonalistycznego solidaryzmu, w której chłop jest już nie tylko celem patronatu ideowego szlachty czy burżuazji, ale centralną siłą społeczną, świadomie lub nieświadomie przeciwstawianą dążeniom proletariackim. Te tendencje ideowe zaciążyły na przykład na zakończeniu *Mogiły* (1894) Stefana Żeromskiego, gdzie hołd bohatera dla maciejowickiego grobu oznacza zerwanie z dawną jego rewolucyjną ideologią. [9]

Te dwie tradycje kościuszkowskie są oczywiście tylko pewnymi schematami interpretacyjnymi, do których poszczególne utwory przylegają niezupełnie ściśle, łącząc w sobie cechy jednej i drugiej koncepcji. Tak dzieje się na przykład w kościuszkowskich poezjach Lenartowicza i Ujejskiego, a zwłaszcza w opowiadaniach historycznych najbliższego poprzednika Reymonta — Józefa Ignacego Kraszewskiego. [10] W *Scenach sejmowych. Grodno 1793* (1875) i *Warszawie w roku 1794* (1873) zdobył się on na oskarżycielski obraz zdrady narodowej magnaterii i pochwałę ludowego heroizmu, ale z niechęcią, choć nie kwestionując subiektywnej uczciwości, potraktował rewolucyjny nurt powstania. Jego bohater, kapitan Syruć, tak przypominający tu porucznika Zarębę, powie o jakobinach:

„Czułem, żem wpadł wśród ludzi, którzy zamach knuli, może w najlepszym zamiarze, ale zbrodniczy i nieochybnie najszkodliwszy, bo ohydny i ocalić nas nie mogący" [11]

Utwory Reymonta o tematyce współczesnej otaczające trylogię, a więc —

[7] *J. Matejko, Wypisy biograficzne*. Opr. J. Gintel. Kraków 1955, s. 351—352.

[8] W. Tetmajer, *Chłop polski na uroczystości mickiewiczowskiej*. „Życie" 1898, nr 6.

[9] Por. H. Markiewicz, *Prus i Żeromski*. Warszawa 1954, s. 144 i n.

[10] O tym, że Reymont znał *Sceny sejmowe*, świadczy wprowadzenie do *Ostatniego Sejmu* epizodycznej postaci majstra murarskiego Borysewicza.

[11] B. Bolesławita, *Warszawa w r. 1794*. Poznań 1873, s. 140.

z jednego skrzydła opowiadania o rewolucji z lat 1905—1907, z drugiego — tom nowel *Za frontem* (1919), *Księżniczka* (1923) i *Bunt* (1924) świadczyły niedwuznacznie o wzrastającym uwstecznieniu ideowym i politycznym pisarza; jaskrawo manifestuje się w nich solidaryzm i nacjonalizm, pochwała chłopskiej odrębności, niezrozumienie, a potem agresywna wrogość wobec rewolucji. Krąg ówczesnych osobistych przyjaciół Reymonta to wybitni działacze narodowej demokracji; kiedy St. Pieńkowski lekkomyślnie zaatakował w *„Gazecie Warszawskiej" Ostatni Sejm Rzeczypospolitej,* sam Roman Dmowski wystąpił w roli krytyka literackiego — obrońcy Reymonta.[12]. W *Insurekcji* w opisie bitwy racławickiej znajdujemy potem taki epizod: gdy Kościuszko szuka żołnierza, który by wraz z Zarębą podjął się niebezpiecznego zadania, spośród lżej rannych występuje jakiś wyrostek z „zuchwałymi oczami".

— „Któżeś? — spytał Naczelnik; podobał sobie w rezolutach i junackich postawach.

— Pocztowy spod porucznika Zbrowskiego. Urodzonym Dmowski z Dmoch, województwa podlaskiego — nie zaniedbał prezentacji. — Na towarzysza nie pozwoliła ojcowska fortuna..." (III 165).

Może był to drobny akt sympatii i wdzięczności pisarza dla przyjaciela?

Przodek Dmowskiego z woli Reymonta racławickim bohaterem — jakże efektownie można by od tego szczegółu rozpocząć esej o literackim obrazie powstania, ukształtowanym przez autora według wskazań ideologów narodowej demokracji... Esej taki napisano, z dużą pomysłowością preparując dzieło Reymonta tak, by ów schemat wypełniało, i z dużym wysiłkiem ignorując to wszystko, co temu schematowi się sprzeciwia. Ale rzeczywisty sens *Roku 1794* jest inny. Reymont nie tylko wyborem tematu, ale i jego interpretacją sprawia czytelnikom niespodziankę.

2

W najwybitniejszych osiągnięciach polskiej powieści historycznej dominował typ kompozycyjny wywodzący się od Walter Scotta: na pierwszym planie wątek miłości i przygód postaci fikcyjnych, szeroko rozbudowany, organizujący fabułę powieści, bogaty w dramatyczne sytuacje; na dalszym planie — ciąg wydarzeń historycznych ukazanych najczęściej przez sceny zbiorowe (zwłaszcza batalistyczne) i komentarz autorski. Powieść historyczną cechowała żywość i obfitość akcji, chętnie korzystała ona z motywów sensacyjnych. Ale obok tej magistrali rozwoju gatunkowego powieści historycznej była linia inna, reprezentowana przez niektóre utwory Kraszewskiego (np. *Brühl),* gdzie trzon narracji był opisem wydarzeń autentycznych w oparciu o przekazy źródłowe, a losy postaci fikcyjnych, zwłaszcza wątek miłosny, znajdował się na torze bocznym. Dodajmy, że właśnie w tych „opowiadaniach historycznych" Kraszewski osiągał najcenniejsze rezultaty pisarskie.[13]

Na dalszy rozwój powieści historycznej silny wpływ wywarła *Wojna i pokój* Tołstoja. Stała się ona wzorem kompozycyjnym dla *Popiołów* Żerom-

[12] St. Pieńkowski, *Z powodu najnowszej powieści W. S. Reymonta. „Gazeta Warszawska"* 1914, nr 77. — R. Dmowski, *Powieść historyczna Reymonta, „Gazeta Warszawska"* 1914, nr 106.

[13] Por. Z. Szweykowski: *Klasyfikacja powieści Kraszewskiego pisanych po roku 1863.* W: Księga ku czci J. I. Kraszewskiego. Łuck 1939, s. 131 i n.

skiego: w obu książkach mamy do czynienia z powieścią-panoramą, która rezygnuje z tempa i zawikłania akcji na rzecz epickiej wszechstronności w przedstawieniu życia narodu, prowadzi równolegle kilka wątków fabularnych obrazujących dzieje postaci fikcyjnych, krzyżuje te wątki z autonomicznym, szeroko rozbudowanym opisem wydarzeń historycznych. Już jednak u Żeromskiego powieść w pierwszej swej połowie rozpada się na szereg luźnych epizodów, statycznych lub posiadających wyodrębnioną dynamikę fabularną, obrazujących różne środowiska społeczne i postawy ideowe, a w drugiej połowie staje się podobnie zbudowaną kroniką wojenną. O selekcji faktów włączonych do powieści decyduje naprawdę autorski zamiar zobrazowania istotnych przejawów i wydarzeń ówczesnego życia polskiego, pozornie jednak to, że uczestnikami (najczęściej mało znacznymi czy nawet biernymi) lub obserwatorami tych faktów są fikcyjni bohaterzy powieściowi — Rafał a potem także Cedro. Ale rzeczywiste zmiany w losach Rafała (przed jego wstąpieniem do wojska) dokonują się poprzez wydarzenia znajdujące się poza obrębem faktów najistotniejszych dla powieściowego obrazu epoki. W *Popiołach* fabuła fikcyjna przestaje być środkiem konstytuowania obrazu społeczeństwa; dwa te ciągi narracyjne rozmijają się ze sobą. Ten niedowład fabuły i idąca z nim w parze obfitość samodzielnych niemal opisów różnych sytuacji społecznych, w rezultacie zaś amorficzność całości — zbliża *Popioły* do naturalistycznej kompozycji powieściowej.[14]

Tą samą drogą, jeszcze dalej jednak, poszedł Reymont. W jego realizacji powieść historyczna to nie tyle opowiadanie o indywidualnych losach ludzkich wplecionych w wydarzenia dziejowe, co przede wszystkim — sama historia, unaoczniona i udramatyzowana przez literackie środki wyrazu. Jeszcze jeden krok, a Reymont mógłby napisać o *Roku 1794* słowa, które potem znalazły się w przedmowie Kruczkowskiego do *Kordiana i chama:*

„Praca moja polegała przede wszystkim na z o r g a n i z o w a n i u i d r a m a t y c z n y m u r u c h o m i e n i u materiałów historycznych zebranych wzdłuż przyjętej osi tematycznej. (...) W użytkowaniu materiałów historycznych, zarówno archiwalnych, jak bibliograficznych, byłem bardzo radykalny; w wielu miejscach posuwałem się aż do dosłownej lub prawie dosłownej transkrypcji tekstów źródłowych. Nie „tworzyłem" tej powieści, czynność moja była czysto konstrukcyjna — m o n t a ż o w a, że użyję modnego wyrażenia".[15]

Cytat z Kruczkowskiego został tu przytoczony, aby uwydatnić tendencję rozwojową; nie przylega on jednak ściśle do trylogii. Jej kompozycyjne ukształtowanie jest mniej konsekwentne, bardziej tradycyjne: Reymont nie rezygnuje z fikcyjnych bohaterów i wątku miłosnego. Ale widać wyraźnie, że są oni coraz bardziej zbędni, plączą się na marginesach wydarzeń historycznych. I jakże mało są atrakcyjni w porównaniu z bohaterami Sienkiewicza czy Żeromskiego!

W pierwszym tomie Reymont — ulegając tradycji — sugeruje czytelnikowi, że otrzyma on powieść o dziejach porucznika Sewera Zaręby: jego losy i przeżycia wypełniają jednak niewielką tylko część narracji. W pozostałej — jest on dosłownie tylko o b e c n y, jest świadkiem, obserwatorem i komentatorem posiedzeń sejmowych, narad spiskowców, audiencji u króla, przyjęć u ambasadora i dygnitarzy grodzieńskich, zamiejskiego pikniku, zaprzysiężenia zwer-

[14] Por. G. Lukacs, *Erzählen oder beschreiben? W: Schicksalswende*, Berlin 1948, s. 115 i n.
[15] L. Kruczkowski, *Kordian i cham*. Warszawa 1949, s. 5.

bowanych do wojska żołnierzy itd. itd. Formalnie uprawdopodobnia to autor sytuacją bohatera, który prowadząc robotę spiskową, jednocześnie — dla uniknięcia podejrzeń — odgrywa rolę salonowego bywalca i udaje, że zabiega o powrotne przyjęcie do wojska. (Początkowy pomysł, że Zaręba dla potrzeb spisku ma starać się poprzez Izę o zażyłość z Cycjanowem, autor zarzucił, nie usunął go jednak z tekstu.) Niezliczone jednak wizyty, składane przez Zarębę w najróżniejszych miejscach po to, by autor mógł opowiedzieć, co się tam dzieje, są tylko dość niezręcznym pozorem akcji. W dalszych tomach Reymont nie zrezygnował z nich wprawdzie, ale „usamodzielnił się" w stosunku do bohatera i funkcję jego wyraźnie ograniczył: nie krępuje się dostępnym mu horyzontem obserwacyjnym, a nawet wprowadza szereg wydarzeń, w których Zaręba w ogóle nie uczestniczy.

Oczywiście, Reymont jest pisarzem zbyt wytrawnym, by Zarębie przeznaczyć rolę tylko świadka czy politycznego komentatora wydarzeń; stara się tę postać jakoś ożywić i zaangażować po jej stronie czytelnika. Udaje mu się to do pewnego stopnia, gdy naśladuje sienkiewiczowskie tradycje awanturniczego heroizmu w opisie ryzykanckiego odbicia Kacpra i żołnierzy z rąk rosyjskich.

Natomiast zawiódł wątek miłosny powieści. Zaręba jest w nim statyczny i psychologicznie jałowy w swojej abnegacji, od czasu do czasu atakowanej przez silny zmysłowy pociąg; postać Izy natomiast skonstruował pisarz na arealistycznej — od Żeromskiego chyba przejętej — zasadzie dowolnej niespodzianki psychologicznej. Najbardziej chyba razi ona w końcowym wyznaniu bohaterki:

„...Jeśli cofniesz swoją braterską dłoń, na resztę życia nie pozostanie mi nic, nawet nadziei. Leć swoim górnym szlakiem, rycerzu i bohatyrze, leć, orle wielbiony! Twoich podniebnych lotów nie może pętać żadna miłość! Moja dusza nieodstępnym śladem pójdzie za tobą. Będzie żyła okruchami twojej sławy i szczęścia! — mówiła ze wzniosłą i heroiczną rezygnacją, pokazując zarazem nadludzką moc panowania nad sobą, chociaż serce pękało z boleści i duszę szarpały wszystkie furie rozpaczy. Zabijała w sobie nawet nadzieję." (III 302—303).

Tak mówi u Reymonta rokokowa dama, której namiętna miłość do Zaręby nie przeszkadzała dotąd w równoczesnych amorach z carskimi oficerami. Stary Brückner na pewno żachnąłby się w tym miejscu: „Ależ czytelnik to między bajki włoży"... W ogóle zaś — niezależnie od budowy psychologicznej — dyskwalifikuje te postacie stylistyczna koncepcja wyrazu ich życia uczuciowego. Reymont, który w zasadzie ponad miarę archaizował swą prozę, tu zastosował modernistyczną konwencję stylu, wzorowaną na Żeromskim, niestety nie tylko wtórną, ale o ileż bardziej natrętną w swym jaskrawym, banalnym patosie. Obok poprzedniego, niech starczy za przykład choćby taki fragment:

„Jakiś zawrotny dur go pochwycił, że stał nic nie pojmując i wszystek w lodowatym dreszczu, patrzył w jej oczy rozwarte szeroko jak złowrogie przepaści. Naraz piorunowy błysk przeszył mu serce, omroczone trwogą, i zalał ślepiącą radością — oto zrozumiał prawdę tych słów i uwierzył w cud. Porwany płomienistym wichrem, rzucił się do jej stóp, w jej objęcia rozchylone niby wrota raju. Co mu było wieczną tęsknotą, spłynęło teraz świętą łaską szczęścia, słonecznym hymnem miłości." itd. itd. (I 301).

Toteż w porównaniu z Izą czy Sewerem znakomicie wygrałaby rezolutna i obcesowa szlachcianeczka, „prawa amazonka i nieustraszony rycerzyk" — Ceśka Kobierzycka. Niestety, rude włosy (jak na ówczesną powieść — dość ekscentryczna cecha w rysopisie pozytywnej bohaterki) nie przesłonią zbyt bliskiego jej pokrewieństwa z tyloma poprzedniczkami w literaturze, a z Basią Wołodyjowską przede wszystkim.

Oprócz losów Zaręby są w *Roku 1794* jeszcze inne wątki fikcyjne — a więc zwady miłosne kokietki Tereni Königówny i Marcina Zakrzewskiego, historia Kacpra i Dosi, dramat panny Radzimińskiej, odsunięty w przeszłość, lecz żywy we wspomnieniach uczestników wielokąt miłosny: kasztelanowa — król — miecznik — kasztelan. Wszystkie one jednak pojawiają się z rzadka, urywają się szybko; ich wątła siatka nie może unieść ogromnego materiału historyczno-obyczajowego zawartego w trylogii. Rzecz charakterystyczna: z pierwszego wydania książkowego autor usunął końcową część tomu I, gdzie mowa o odbiciu żołnierzy i Kacpra przez Zarębę, przez co dalsze jego perypetie stają się w ogóle niezrozumiałe; z tomu trzeciego odrzucił fragmenty opisujące porwanie Zubowa i niedoszły jego ślub z Radzimińską, zamiast nich wprowadzając rozdział wypełniony sprawami politycznymi. Jak widać, lekceważył sobie wyraźnie fikcyjne składniki powieści.

Upodrzędnienie tych składników w strukturze trylogii wynikało zapewne stąd, że praca nad nimi nastręczała autorowi sporo trudności. W chwili, kiedy Reymont powziął plan napisania powieści, jego wiedza o epoce była bardzo nikła. Zdobywał ją w pośpiechu, zaczynając od elementarnych podstaw, ale z dużą energią i pracowitością, z naturalistycznym szacunkiem dla dokumentu [16] studiował prace historyczne, pamiętniki (wiele zawdzięczał zwłaszcza Ochockiemu, Kitowiczowi i Koźmianowi [17]), gazety i kalendarze, niestrudzenie wypisywał z nich na niezliczonych karteczkach szczegóły obyczajów i topografii, strojów i uzbrojenia, sprzętów i potraw, charakterystyczne zwroty i przysłowia.

„Widziałem go przy tej pracy — opowiadał przyjaciel Reymonta, Zdzisław Dębicki. — Widziałem go, obłożonego stosem kalendarzy z wieku XVIII, pochodzących z jedynej tego rodzaju kolekcji Józefa Weyssenhoffa, niestety, dzisiaj już rozbitej, sprzedanej, wędrującej po antykwarniach. Czego szukał

---

[16] Świadczą o tym liczne notatki Reymonta, rks Ossolineum 6973/I i 6974/I.

[17] Jeden z epizodów w pamiętnikach Ochockiego (spotkanie bohatera z dawną sympatią a obecną kochanką rosyjskiego oficera, Cycjanowa) dał Reymontowi impuls do romansu Zaręby z Izą (por. P. Mączewski: *Rodowód romansu Sewera Zaręby*. „Tęcza" 1931, nr 1). Tu również ma swe źródło postać Kaczanowskiego, o którym pisze Ochocki: „Nie trafiło mi się drugiego podobnego mu spotkać; człowiek ten w godzinie umiał robić znajomości tak blisko, jakby z kimś żył od dzieciństwa, spoufalał się, ściskał, jednał sobie ludzi w mgnieniu oka, i tak ich niewolił dla siebie, że się to cudem prawie wydawało. Był w tym czy talent osobliwy, czy kunszt jakiś szczególny" (J. D. Ochocki, *Pamiętniki*. Warszawa bd., IV—46).

Z *Pamiętników* Koźmiana wziął Reymont wiele szczegółów do obrazu dworu grabowskiego (por. J. Krzyżanowski, *Władysław St. Reymont*. Lwów 1937, s. 134 i n.), nadto pomysł do historii p. Radzimińskiej. Koźmian opowiada m. in., że w okresie Targowicy na bale lubelskie „przychodził i Walerian Zubow, młody i bardzo przystojny. Ten na balu u Miączyńskiego spostrzegł bardzo ładną panienkę, nazwiskiem Trzcińska, obywatela i podstarosty lubelskiego córkę, potrafił jej się podobać, uwiódł ją i w nocy z domu nieostrożnych rodziców do obozu wywiózł. Rodzice dopiero w rozpaczy w kilka dni dowiedzieli się, gdzie się ich córka znajduje. Wszystkie starania i modły do młodego rozpustnika były próżne, dopiero w parę nie-

Reymont w tych kalendarzach? Oto rozglądał się przede wszystkim w ogłoszeniach, anonsach, ówczesnych „kafehausów", sklepów, miejsc rozrywek. Notował nazwiska, adresy. W ten sposób wchodził w realne życie ówczesnej Warszawy, odtwarzał, a gdzie nie mógł odtworzyć, tam odgadywał Warszawę z czasów Stanisława Augusta i Kilińskiego". [18]

Dzięki temu Reymont rozrzutnie i z dużą pewnością siebie wprowadza do powieści życie polityczne epoki, jej kulturę materialną, ówczesne formy obyczajowe, szczegóły topograficzne itd. Nie udało się natomiast pisarzowi zrekonstruować indywidualnej psychologii ówczesnych ludzi w „prywatnej" sferze ich przeżyć; przykład Izy i Sewera świadczy o tym wymownie. Brak również Reymontowi własnego spojrzenia na kameralną codzienność ich życia, zwłaszcza życia szlacheckiego, chyba że występuje ono w wyraźnym kształcie ustalonego zwyczaju czy obrzędu społecznego. Reymont z rozmachem i plastyką opisuje kulig szlachecki, ale poza tym — przy pozornej potoczystości narracji — wyczuwa się pewne jego skrępowanie na terenie dworu grabowskiego. Cały ten epizod — jak słusznie zauważono [19] — jest właściwie układanką z kamyczków różnego pochodzenia: miecznik jest sobowtórem literackim cześnika Olbromskiego i pana Nardzewskiego z *Popiołów*. Ceśka ma swój pierwowzór w Basi Wołodyjowskiej, dwór i zwyczaje stryja Onufrego wywodzą się z pamiętników Koźmiana, podobnie zresztą jak anachroniczna elegancja i niefortunne reformy starosty Prażmowskiego.

Nie tu więc — w wątkach i postaciach fikcyjnych — szukać należy wartości i odrębności Reymontowskiej trylogii. Jak mówiliśmy, Reymont postępuje jak historyk: interesują go przede wszystkim ważne jednostkowe wydarzenia historyczne w ich konkretnym szczegółowym przebiegu — sesja sejmowa z 17 sierpnia, narada Kościuszki z krajowymi spiskowcami, proklamacja powstania w Krakowie, bitwa racławicka, wydarzenia 17 i 18 kwietnia w Warszawie. Poza tym wprowadza do powieści liczne sceny fikcyjne (w sensie dokumentarnej ścisłości), ale pracowicie zrekonstruowane z autentycznych szczegółów i jakby ilustrujące powtarzalne, charakterystyczne zjawiska ówczesnego obyczaju i ideologii.

Rozległa wiedza Reymonta o epoce, zwłaszcza o jej materialnych i obyczajowych realiach, pozwala mu krótkie nawet przekazy źródłowe rozbudowywać w szerokie obrazy. Tak na przykład otwierający powieść opis uroczystości na cześć Sieversa wywodzi się z kilkuzdaniowej wzmianki w jego liście do córki z 2 sierpnia 1793:

„Po widowisku byliśmy wszyscy razem u marszałka konfederacji, Pułaskiego — bardzo piękny fajerwerk, który miał kosztować 800 dukatów, ogromne oświetlenie, fajerwerk i oświetlenie z cyfrą J. S., wielka wieczerza i bal, który z Ożarowską małym polonezem otworzyłem, zakończyły o jede-

---

dziel odesłał ją rodzicom, otrzymawszy od nich przyrzeczenie przebaczenia" (*Pamiętniki* Kajetana Koźmiana. Poznań 1858, I—218). Nazwisko Radzimińska zawdzięcza Zofia narzeczonemu Trzcińskiej, Antoniemu Radzimińskiemu. Dalsze jej losy wysnuł Reymont ze wzmianki w książce B. Szwarcego *Warszawa w 1794 r.* (Kraków 1894, t. I 160): „Jedna jakaś panna sama z pałacu Teppera strzelając, dwudziestu Moskali ubiła (ona strzelała, a młody człowiek nabijał broń na przemianę)."

[18] Z. Dębicki, *Wł. St. Reymont laureat Nobla*. Warszawa 1925, s. 31.

[19] Por. J. Krzyżanowski, l. c. s. 134—136.

nastej moją pracę dzienną, która przez to także była uciążliwą, że mnie mój kurier o piątej z rana aż do obiadu zatrudnił. Moguncja się poddała." [20]

Natomiast opis Krakowa w dniu przysięgi Kościuszki w jednym ze swych fragmentów jest niemal dosłownie przepisany z pamiętnika ówczesnego prezydenta miasta, Filipa Lichockiego. [21]

Przy wydarzeniach historycznych (jak zwłaszcza bitwa racławicka i insurekcja w Warszawie) Reymont korzysta z prawa amplifikacji ich opisu przy pomocy szczegółów fikcyjnych; w szerokim zakresie musi posługiwać się domysłem wyobraźni, kiedy ukazuje działalność spiskowców; najsumienniejsza bowiem lektura źródeł przyniosła skąpą tylko ilość szczegółów, pozostawiała wiele luk i niejasności. W każdym jednak razie intencją Reymonta było stworzenie takiego obrazu epoki, który by „oglądowość" i napięcie dramatyczne łączył z historyczną wiernością. Jeżeli można zaproponować taki termin — główny nurt narracji, to właściwie zbeletryzowany reportaż historyczny.

Trzeba to powiedzieć wyraźnie, aby uniknąć nieporozumień, aby nie krzywdzić książki fałszywie obranymi kryteriami, aby nie szukać w niej tego, na czym Reymontowi nie zależało. Reymont nie stara się wcale o to, by śledzić indywidualne losy ludzkie, by konstruować swych bohaterów jako postacie wielowymiarowe, ukazane w różnych sferach przeżyć i działań. Nie, Reymonta interesują jego postacie albo jako uczestnicy wydarzeń historycznych (i tę tylko część ich przeżyć i działań, która w wydarzeniach tych bierze udział, wprowadza on w pole swej obserwacji), albo jako reprezentanci pewnych poglądów ideologicznych, postaw moralnych, gestów obyczajowych. Stąd ta niewiarygodna, męcząca niekiedy „gęstość zaludnienia" *Roku 1794,* ale stąd też migawkowe ujęcie większości postaci, wprowadzanych *ad hoc* — po to, żeby wydarzenie historyczne mogło się rozegrać, po to, żeby jakiś pogląd ideologiczny, postawa moralna, gest obyczajowy zostały czytelnikowi zaprezentowane. Z chwilą kiedy to nastąpiło — postać jest już niepotrzebna, z widowni powieściowej najczęściej znika.

Łatwo dziś krytykować Reymonta. Był to pisarz bardzo nierówny, pozbawiony autokrytycyzmu, o niewysokiej kulturze i zawodnym smaku literackim. Ulegając poetyce modernizmu, prymitywizował ją nieraz aż do naiwności. Czytelnik często żachnie się i zniecierpliwi czytając trylogię. Nużąca i — wbrew wysiłkowi autora — mało plastyczna jest niejedna z jego scen zbiorowych, przeładowana martwymi, inwentaryzacyjnymi opisami wnętrz i strojów — aż do wrażenia jakiegoś statycznego chaosu. Balastem stają się wstawki erudycyjno-kronikarskie, długie listy nic nie mówiących nazwisk.

Trudno pogodzić się również z Reymontowską batalistyką, w którą pisarz włożył przecież tyle trudu. Po Tołstojowskim Borodinie, po Saragossie Żeromskiego nie kontynuuje on już tradycyjnej maniery epickiej, w której bitwa była pojedynkiem jednostek: w bitwach Reymontowskich rzeczywiście walczą masy, ale są to masy niezindywidualizowane. Bitwa — podobnie jak u Żeromskiego, inaczej niż u Tołstoja — to tylko opis rzeczywistości zewnętrznej, faktów i działań zbiorowych, ale nie opis przeżyć jej uczestników. Reymont dość

[20] *Drugi rozbiór Polski. Z Pamiętników Sieversa.* Poznań 1865, s. 314—315.

[21] *Pamiętnik* Filipa Lichockiego. Poznań 1862, s. 10. — Podobnie opowiadanie o zdradzie Lubowidzkiego (I 344) oparte jest na *Opisie kampanii pod Wyszkowskim* Michała Zienowicza (dodatek do *Pamiętnika* Lichockiego, s. 5 i n.).

często kojarzy konwencjonalną metaforykę epicką z naturalistyczną jaskrawością w opisie bitewnej grozy, krwawej bezwzględności walki. Oto jeden z licznych przykładów:

„Chłopy spięły się za nim (Bartoszem), jakby tabun dzikich koni, kosy ich wzniesły się wstęgą błyskawic i spadły piorunami. Runęły jak orkan, druzgocąc wszystkie przeszkody. Zawyła dzika zawierucha! Prali jakoby cepami, jeno nie ziarno tryskało spod tej młocki, ale krew z ran okropnych, odwalone łby, obcięte ręce, krwawe strzępy ciał". (III 177).

Ale wskutek wielokrotnej powtarzalności efekt ten przestaje oddziaływać na czytelnika, który nie reaguje już na ciągłe „trzaski rozwalonych czerepów, świsty szabel, dzikie skowyty miażdżonych stopami, zgrzyty żelaza, syczące oddechy i rzężenia duszonych gardzieli" (III 387).

Natomiast przeżycia ludzi walczących, poza ową furią walki, są u Reymonta bądź nieobecne, bądź też występują w konwencjonalnych, chciałoby się rzec — oleodrukowych obrazach bojowników bez cienia obawy, wahania, indywidualnej refleksji.

Razi w trylogii chybiona koncepcja stylistyczna narracji odautorskiej. W najważniejszych momentach występuje ona w postaci modernistycznej prozy — zrytmizowanej, nasyconej poetyzmami, utrzymanej w najwyższym rejestrze patosu; kiedy indziej stylizuje ją autor pod tok prozy Oświecenia. Stylizacja ta jednak — tak w partiach odautorskich, jak i w wypowiedziach postaci, niekiedy udana, ma liczne skazy: jest przesadna (na zapytanie Zaręby o zdrowie kasztelanowej odpowiada Iza: „Niedobrze, bo jak zawsze w plentach za swoim urojonym dolem! Doktorzy mniemają, jako to są zwykłe roxolany" — I 108), szpecą ją pewne natrętne obsesje słownikowe (owe niezliczone „deliberacje" i „aspekty", socjusze" i „oficjery", „plejzery" i „cyrkumferencje"), jak gdyby autor naśladował satyryczną karykaturę stylu XVIII wieku (np. język Starościny z *Powrotu posła),* a nie jego rzeczywisty wygląd.

3

A przecież przy tych wszystkich mieliznach *Rok 1794* jako całość jest wybitnym osiągnięciem Reymonta. Nie mieszcząc się już w tradycyjnych ramach gatunkowych dawniejszej powieści historycznej, ten zbeletryzowany reportaż dziejowy imponuje ogromnym bogactwem i barwnością obrazu historyczno-obyczajowego. Czasem zbyt natrętna staje się ilustracyjność pewnych fragmentów, kiedy czytelnik odczuwa wyraźnie, że postacie zachowują się tak, by w każdym słowie i geście maksymalnie uwidocznić sobą pewne cechy epoki. Czasem Reymont za wiele chce czytelnikowi równocześnie pokazać i tak rozrzutnie mnoży postacie i szczegóły scen zbiorowych, że nie nadąża za nimi, nie potrafi ich zarejestrować wyobraźnia czytelnika. Jakże jednak znakomity obrazowy skrót artystyczny obyczajowości XVIII wieku daje Reymont w opisie zamiejskiego pikniku, na którym sąsiadują ze sobą sarmackie opilstwo prowincjonalnego szlachetki, wolteriański cynizm Woyny i sentymentalny snobizm arystokratycznych dam. Trzeba mieć wielką swobodę poruszania się w historycznym terenie, trzeba wszechstronnie opanować go wyobraźniowo (choć nie psychologicznie), by narysować takie epizody, jak otwierający trylogię bal

u Pułaskiego, złośliwa lustracja arystokratek przez modną młodzież w Grodnie, przedstawienie w „hecy" czy przechadzka Zaręby po Starym Mieście. Licznym naradom i sporom politycznym umie Reymont nadać dramatyczną dynamikę, zindywidualizować ich uczestników, precyzyjnie wycieniować różnice poglądów. Oto charakterystyczny przykład: apeluje do uczuć Kościuszki jakobin Pawlikowski:

— „Gdybyś widział, obywatelu, całą prawdę nikczemnej doli chłopstwa, nie odwlekałbyś ani na chwilę. Przywrócić ich człowieczemu rodzajowi naszą powinnością. W tych milionach leży fundamentum insurekcji.

Naczelnik po krótkim dumaniu wyrzekł dobitnie:

— Za samą też szlachtę bić się nie będę, chcę wolności całego narodu, dla niej tylko wystawię swoje życie.

— Wolność na zasadzie powszechnego braterstwa i równości — wtrącił Barss.

— Już takowe principia rozpowszechniają po kraju różne pisma.

— To trzeba obwieścić uniwersałem! — gorączkował się Pawlikowski.

— Nie pora na uniwersały: szlachta by zaprotestowała.

— Żeby prawo miało posłuch, musi być poparte mieczem — wyrokował Kołłątaj.

— Musi powstać z woli powszechności! — żachnął się Naczelnik spoglądając na zegar". (II 106).

Nieoczekiwanie bowiem Reymont, którego największą siłą był zawsze literacki obraz zmysłowej zewnętrzności zdarzeń, w trylogii — wykorzystując w pełni tamte uzdolnienia twórcze — dał zarazem najbardziej polityczną z polskich powieści historycznych. Co więcej, na tym trudnym terenie odnosi znowu nieoczekiwane zwycięstwo.

Zwycięstwo to było dość tanio osiągnięte tam, gdzie Reymont rysował obóz targowisko — grodzieńskiej magnaterii. Nie trudno było przecież pokazać ludzi, którzy bez wahania sprzedawali ojczyznę za pieniądze, za dostojeństwa, ze strachu o swą pozycję; tylko niekiedy dorastają oni do zrozumienia klasowego sensu własnego postępowania i widzą jego związek z obawą przed rewolucją. Reymont ułatwił sobie zadanie — „chciał ich mieć niwelacyjnie podobnych do siebie, jak bezimienną niemal emanację podłości",[22] nie pokusił się o wprowadzenie do powieści ideologicznych przywódców Targowicy. A przecież taki Szczęsny Potocki, który w 1790 w paryskim klubie jakobinów występuje jako obrońca „wolności polskiej" przed „tyranią" króla, a potem skarży się na los ojczyzny na audiencji u Katarzyny II — byłby ciekawszym tematem dla pisarza niż jawne, niemal bezmyślne łajdactwo pomniejszych zdrajców. Wyjątkiem jest tu bodaj jeden Ankwicz — przez swój cynizm, przez pogardę dla samego siebie, przez wstręt do obłudnych patriotycznych frazesów. Dlatego też najdobitniejszym akcentem *Ostatniego sejmu* nie jest jakaś sytuacja historyczna, lecz „polonez grany dźwiękiem słów" — sugestywna wizja rycerskiej przeszłości, gorzko, ironicznie skomentowana refrenem: „ A w pierwszą parę tańczył Sievers z panią Ożarowską".[23]

---

[22] A. Grzymała Siedlecki, *Kąpiel z witriolu*, „*Tygodnik Illustrowany*" 1914, nr 1.

[23] Powieściowy obraz sejmu grodzieńskiego oparł Reymont przede wszystkim na relacjach gazety „*Korespondent Krajowy i Zagraniczny*", listach Sieversa, na pracach J. I. Kraszewskiego, *Polska w czasie trzech rozbiorów* (t. III, Poznań 1875) i L. Wegnera, *Sejm grodzieński ostatni*, Poznań 1866.

Nie podołał także Reymont postaci Stanisława Augusta. Ukazując go z oddali w kilku epizodach, zaznacza pisarz wdzięczące się aktorstwo i małoduszną, egoistyczną słabość króla. W wiele obiecującej scenie rozmowy z Zarębą autorowi jak gdyby zabrakło tchu: kiedy po zarzutach jakobińskiego oficera Stanisław August podejmuje obronę, kreując sam siebie na „króla męczennika swoich powinności, jenialnego reformatora, króla poświęcającego każdą chwilę swego żywota pracy nad oświeceniem i podźwignięciem kraju" — Reymont poprzestaje na kilku zdaniach autorskiej relacji i scenę szybko kończy, właściwie urywa.

Toteż najistotniejszą nowatorską zdobycz Reymonta stanowi obraz obozu insurekcyjnego. Zgodnie z prawdą historyczną, jest to obóz szeroki, społecznie i ideowo zróżnicowany. Umieszcza w nim pisarz i dawnego konfederata barskiego, który wprawdzie chłopów swych przenosi na czynsz, ale oburza się na wszelkie bałamucenie ich „prawami człowieka" i uniwersałami o wolności i warszawskiego bankiera, i starszyznę cechową. Ale decydującą siłą insurekcyjnego działania są masy ludowe — racławiccy kosynierzy, warszawskie „wolontery", prości żołnierze z pułku Działyńskich i Mirowskich. Ukazując udział różnych sił społecznych w powstaniu, powieść nie stwarza jednak sugestii „jedności całego narodu" w walce z wrogiem. Zapewne, są takie akcenty w bratanie się (ale tylko pijackim) szlachty z Bartoszem Głowackim, w relacji Zaręby z przedpowstaniowej Warszawy, w opinii generałowej Mokronowskiej: „Nie ma już stanów, gdy idzie o ojczyznę" (III 267), przede wszystkim zaś w opisie powstania 17 i 18 kwietnia, który sprawia wrażenie, że poza frontem walki pozostała tylko nieliczna grupa arystokratycznych zdrajców.

Silniej jednak w obrazie powieściowym narzuca się czytelnikowi ludowa krzywda i poniewierka, szlachecka pogarda i nienawiść do chłopów, krótkowzroczny egoizm, który wzbrania im opuścić pańszczyźniany folwark i wziąć udział w powstaniu. Prawda, w świadomości nie tyle czytelnika, co naukowego obserwatora historii literatury — doniosłość ideowo-artystyczną tych składników dzieła Reymonta ogranicza ich wtórność w stosunku do analogicznych fragmentów Żeromskiego. Przejmująca skarga chłopskich żołnierzy w *Ostatnim sejmie* jest przecież wyraźnym echem podobnej rozmowy w pierwszym akcie *Sułkowskiego*. Konflikt między miecznikiem a Sewerem, broniącym chłopskiego towarzysza broni przed upokarzającą karą chłosty (warto zaznaczyć, że stary Zaręba motywuje ją nie tylko zuchwałymi zamiarami Kaspra wobec „szlacheckiego dziecka", ale i tym, że „farmazon to i ukryty jakobin. Z parobkami po nocach się zmawiał, do buntów ich przeciwko panom dysponował! Z księży sobie nic nie robił" — II 82) scala motywy przejęte z opowiadania *O żołnierzu tułaczu* i *Popiołów* (egzekucja na Michciku, konflikt Piotra Olbromskiego z tyrańskim ojcem na tle sprawy chłopskiej).

Zaznaczając tę wtórność, trzeba jednak zarazem pamiętać, że Reymont jest obok Żeromskiego jedynym z ówczesnych pisarzy, który tak dobitnie ukazał zawikłany splot sprawy narodowej i społecznej w powstaniach polskich. Solidarystyczna legenda chętnie przypominała nobilitację Bartosza Głowackiego i „wielkoduszność" magnata Szujskiego wobec jego rodziny. Nic z tego nie znajdziemy u Reymonta; u niektórych szlacheckich uczestników powstania podkreśla on wyraźną pogardę dla chłopów, do obozu Kościuszki w przeddzień

racławickiej bitwy sprowadza szlacheckiego wstecznika, zawzięcie dopominającego się o wydanie mu zbiegłych do wojska parobków.

„Kraj w upadku, nieprzyjacioły w granicach, kto jeno poczciwy stawa w obronie ojczyzny, Kościuszko ogłosił świętą wojnę o całość, wolność i niepodległość. Nawet chłopstwo się garnie pod chorągwie na głos powinności, ale waści i jemu podobnym najważniejszą sprawą: zachowanie pańszczyzny! Milsze wam jakieś parszywe Psie Wólki niźli ojczyzna! Podłe egoisty!" (III 121) — oburza się Zaręba. Szeroki zasięg społeczny tej postawy wyznacza wcześniejsza rozmowa Kaczanowskiego ze Ślaskim. Kaczanowski, bynajmniej nie entuzjasta takich *medicamenta heroica* jak werbowanie chłopstwa, musi przecież przyznać:

„Ślaskich, szczerbiących swoje fortuny dla miłości ojczyzny i ludzkości, nie naliczy w Polsce nawet i mendla! (...) By szlachta broniła Rzeczpospolitej z takim ferworem, jak umie bronić swoich fortun i przywilejów, jedna wraża noga nie postałaby w naszych granicach." (III 97).

Co więcej, w krakowskim zajeździe Parissota ukazuje Reymont, jak z sarmackiej buty, tępoty i strachu przed rewolucją umiejętnie korzysta agitator w bernardyńskim habicie, jak rozjątrza nienawiść swych rozmówców do powstania, jak prowokuje do nowej barszczyzny w obronie szlacheckiej „wolności, porządku, świętych zasad, za monarchię i Boga" (II 82) — scena doprawdy niezrównana w ostrości politycznego spojrzenia.

Żeromski w losach ludowych uczestników walk o niepodległość widział przede wszystkim ich krzywdę społeczną; nie mniej boleśnie jest ona obecna u Reymonta. Natomiast znacznie mocniej akcentuje on w postaciach swych ludowych bohaterów ich narodową świadomość, udział w walce o wolność nie narzucony przez przymus wojskowy czy przypadkowe okoliczności, lecz wynikający z patriotycznej decyzji. I papierowy co prawda sensat Kacper, i skonstrastowany z nim warszawski spryciarz Staszek, i ludowy agitator Barani Kożuszek, i dziewczyna z półświatka wyświadczająca usługi spiskowcom — wszystkie te postacie mają w powieści Reymonta tłumne zaplecze na dalszym planie powieściowym. Jest tam i ów rybak Trojakowski, wzbraniający się przyjąć wynagrodzenie, bo przecież „nie dla grosza stawiwszy głowę", i pani Kłaczkowa, warszawska przekupka przynosząca wiadomości o siłach nieprzyjacielskich, i ludwisarz, który zagwoździł armaty, by nie dostały się w ręce wroga, i owi szeregowcy, co „przynosili ostatnie grosze na zakupy prochów, składali swoje porcje sucharów, gotowi byli na głód i nędzę byle jeno wystąpić do walki" (I 347), i towarzysze Konopki „przemienieni w boju na falangę nieustraszonych rycerzy" (III 356).

Reymont daleki jest przy tym od idealizacji ludowych bohaterów. Nie można budować oceny całej powieści na podstawie jednego fragmentu, w którym Kościuszko rzeczywiście mitologizuje kosynierów na homeryckich wojów i średniowiecznych krzyżowców (III 25). Przez rozmowy pospólstwa warszawskiego zaznacza pisarz usilnie ekonomiczne przyczyny podsycające nienawiść do wroga — drożyznę, wzrost ubóstwa, zwiększone podatki, uciążliwe kwaterunki itd. Widzi w szeregach powstańczych ludzi bardzo różnych, walczących z różnych, niskich nawet pobudek. Ale widzi we właściwych proporcjach.

„Obok szlacheckich synków, sejmikowych rębaczy i jarmarcznych obiboków znajdowali się mniszkowie zbiegli spod klasztornej klauzuli, rzemieślnicy, kup-

czykowie, przeróżna liberia, pokłóceni z ekonomskimi kijami parobcy, dezerterzy i ultajstwo pourywane z postronków. Jednym pachniały żołnierskie swywole, drugich pędziła żądza przygód, trzecich zaś kondemnatki przymuszały chronić się pod chorągwiami. Stawali i z przyrodzonego animuszu. Byli, którym żołnierka widziała się jedyną deską ratunku. Większość jednak pchnął w szeregi święty głos powinności." (III 72).

Tłum ludowych postaci i liczne wzmianki o bezimiennych masach rzeczywiście prowadzą czytelnika do wniosku zgodnego z przedpowstaniowymi refleksjami Konopki.

„Jako na tym dnie ludzkim burzy się coś i wzbiera; jako w tej szarej społeczności rodzą się myśli, ogarniające wszystką powszechność. Troską o Rzeczpospolitą wynosiły się te dusze ponad swój stan i sposobność. Uważał mizeraków, którzy słowo «ojczyzna» wymieniali ze strzelistym afektem pacierzy. Słyszał wyrazy zastanawiającej trafności. Niektórzy w opiniach swoich pokazywali się być mężami *in statu*. Już-ci, że wśród tej zbieraniny nierzadko i zawiść syknęła. I prawieczny głód przemówił głosem żądnym odemsty. I poniżenie rozkrywało swoje niezagojone krzywdy" (II 399).

Lud Reymonta idzie do powstania nie w imię solidarystycznego patriotyzmu, broni nie tylko „ziemi i wiary świętej", ale i swojej przyszłości. Rzeczywisty Kościuszko u Reymonta to na współ mesjanista, na wpół człowiek politycznego kompromisu, ale Kościuszko w chłopskich marzeniach to bohater ludowej rewolucji:

„...Choć taki wielki generał, a chłopów za swoim stołem usadza, z nimi za pan brat, a panów nawet do sieni dopuszczać wzbrania.

— I pono sam król mu nakazał: rządy bierz, panom za zdrady głowy ucinaj, a chłopów wynoś, ziemię im rozdawaj i na dworach osadzaj!

— Tak pono zrobili w onej Francji, gdzie Kościuszek samego ich króla zwojował" (III 23).

W jakim stopniu ten obraz udziału różnych sił społecznych w powstaniu jest zasługą samodzielnej myśli historycznej Reymonta? Oczywiście — o zdradzie lub niechętnej obojętności magnaterii, o roli kosynierów w bitwie racławickiej mówiło każde opracowanie historyczne bez względu na orientację ideową autora. Natomiast ludowy charakter powstania warszawskiego był często zacierany. Reymont wybrał sobie jednak dobrych przewodników: szczegóły wydarzeń 17 i 18 kwietnia czerpał głównie z pamiętnika Kilińskiego, a zwłaszcza z książki *Warszawa w roku 1794* (1894) pióra Bronisława Szwarcego (ongiś wybitnego działacza „czerwonych" w powstaniu styczniowym) — pracy kompilacyjnej, naiwnej, skażonej nacjonalizmem, ale zarazem napisanej z demaskatorską pasją wobec arystokratycznych zdrajców. Natomiast zarówno opis przygotowań do powstania jak i obraz układu sił społecznych insurekcji oparł Reymont na cennej monografii Wacława Tokarza pt. *Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794* (1911). Tokarz stwierdzał, że o zwycięstwie zadecydowało wojsko, ale silnie uwydatnił patriotyzm prostych żołnierzy, rekrutujących się przeważnie z rzemieślników warszawskich, a obok tego istotną pomoc, z jaką przyszli wojsku „przede wszystkim drobnomieszczanie i najniższe warstwy ludności stołecznej — liberia, rzemieślnicy, drobni handlarze, stróże, robotnicy z młynów, browarów, ulicznicy i ta masa „ludzi luźnych", od których roiło się wówczas w Warszawie". „Można więc mówić z całą stanowczością

o tym — konkludował — że dni kwietniowe były ruchem naprawdę ludowym, pierwszym w swoim rodzaju w historii stolicy." [24]

Od tych stwierdzeń historyka, nowatorskich i słusznych, tak bardzo jednak wstrzemięźliwych w ocenie i zakłopotanych faktem, że „w dniach kwietniowych wysunęły się te same żywioły, które potem agitacja popchnęła do uczestnictwa w wieszaniach czerwcowych" — jakże daleko do entuzjastycznej i konsekwentnej pochwały ludowego czynu powstańczego na kartach trylogii Reymonta. Można śmiało powiedzieć, że nikt z ówczesnych historyków w swoim obrazie powstania nie uwydatnił tak silnie patriotycznego działania mas ludowych. Nikt również nie ukazał tak dobitnie antynarodowej postawy szlachty, sabotującej udział chłopów w powstaniu, choć źródła pamiętnikarskie (np. Zajączek lub Niemcewicz) mówiły o tym aż nadto wyraźnie. [25] I jeżeli przy analizie *Roku 1794* tyle razy cisnął się pod pióro tak modny dziś zarzut uprawiania pisarstwa „ilustracyjnego" w stosunku do historii (sam Reymont zgodziłby się z tym zapewne, ale sąd taki nie miałby dlań wymowy ujemnej), tym silniej trzeba tu mówić o śmiałym nowatorstwie historyzmu Reymonta, wyprzedzającym zdobycze nauki.

Tym nowatorstwem nacechowany jest również obraz spisku powstańczego w powieści. Pisarz z dużym szacunkiem traktuje przedstawicieli prawicowego skrzydła konspiracji — Działyńskiego, Kapostasa, Barssa — politycznie są mu oni chyba najbliżsi; z sympatią, choć nie bez ciepłej ironii, rysuje postać zadzierzystego, skłonnego do przechwałek mistrza Kilińskiego. Ale najbardziej żarliwym patriotyzmem, namiętnością protestu przeciw niewoli, pragnieniem walki z wrogiem obdarza polskich jakobinów — Jasińskiego, księdza Meiera, Konopkę, Pawlikowskiego. Ich to czyni Reymont główną siłą motoryczną spisku, nie tuszując przy tym bynajmniej ich społecznego radykalizmu, bezwzględności wobec króla i zdrajców targowickich, rewolucyjnych zamierzeń —

„Rozprawiano o systemach francuskiej rewolucji, deklarując się być wyznawcami jej ducha i praktyk. Wszyscy się przy tem godzili na jedno, że aby insurekcja w Polsce wzięła pomyślny obrót, król winien dać głowę, arystokratów i zdrajców wywieszać, a ich majętności skonfiskować. Zasię by dzieło powstania uczynić trwałym, musi nastąpić w Rzeczypospolitej doskonała równość obywatelów, zburzenie wszelkich przesądów i życie zgodne z prawami Natury" (II 188).

„Najlepsza pora, żeby kozaczyźnie powrócić dawne swobody, chłopom odmienić poddaństwo, miastom dać wolność, a jak Bóg w niebie, ruszą z nami na wspólnego wroga — mówi jakobin Pawlikowski. — Gdyby tak jeszcze rozesłać emisariuszów w przylegające gubernie ze złotą hramotą o darowaniu wolności i ziemi, to jakby ogniem rzucił na nieprzyjacielskie prochy" (II 98).

Zdumiewająca — i publicystycznie świetna, i doskonale utrzymana w stylu epoki — jest zwłaszcza inwektywa Konopki przeciw tchórzliwej małoduszności i oportunizmowi „człowieka poczciwego".

„Człowiek poczciwy to najniebezpieczniejszy z tyranów! — mówił kłaniając się co chwila komuś w ciżbach. — Poczciwy człowiek nie przeciwi się niczemu przez poczciwość: bowiem warcholstwo uważa za tężyznę; przemoc i zbrodnię

[24] W. Tokarz, *Warszawa przed wybuchem powstania 1 kwietnia 1794*. Kraków 1911, s. 194 i n.
[25] Por. zestawienie głosów pamiętnikarzy u Szwarcego, l. c., II i n.

wytłumaczy krewkością; nikczemność — swobodą przekonań; oczywistą zdradę — rozumem *in statu*. Wszystko taki wyrozumie akuratnie i wszystkiemu poczciwie pobłaży, byle jeno dali mu zażywać spokoju i nie tykali jego przywilejów! Panu Bogu świeczkę a diabłu ogarek. To jego święte przykazanie. (...) Człowiek poczciwy czuwa nad wszystkim, troska się, boleje, rzewnie płacze, lecz niczemu nie zapobieży, bowiem poczciwość wzbrania mu uczynić przykrość choćby oczywistemu zdrajcy! Przekonałeś go do sprawy, zaprzysiągł postąpić wedle sumienia i powinności — cóż kiedy w pół godziny potem to samo przyobieca twojemu adwersarzowi" (II 162—163).

Jakże dosadna to charakterystyka liberalnej połowiczności, widzianej oczyma rewolucyjnego demokraty, jakby ilustracja do słynnego artykułu Dembowskiego o eklektyzmie! Stary powieściopisarz wytrzymuje tu zwycięsko porównanie z każdym z późniejszych autorów, wprowadzających do powieści historycznej postacie rewolucjonistów.

Jak widać, Reymont kształtuje oblicze polityczne lewicy spisku krajowego całkowicie na wzór francuskich jakobinów. W świetle najnowszych badań [26] można powiedzieć, że przecenia stopień ich radykalizmu politycznego w okresie przedinsurekcyjnym. Wobec bardzo skąpych informacji źródłowych kieruje się tu domysłem; podobnie jak domysłem nie potwierdzonym przez fakty historyczne jest istnienie klubu „Obrońców wolności", tajnej, odrębnej organizacji lewicy spisku przed wybuchem powstania. Ale Reymont jest oczywiście znacznie bliższy prawdy niż tradycyjna historiografia, dla której jakobinizm tych ludzi oznaczał tylko lub przede wszystkim krwiożercze podżeganie ludu do samowolnych egzekucji. Prawda, byli historycy — Władysław Smoleński *Kuźnica Kołłątajowska*, 1885) czy wspomniany już Tokarz — w których niechęć do rewolucyjności jakobinów walczyła z uznaniem dla ich patriotyzmu; ale znowu daleko od ich bardzo wstrzemięźliwej, jakby krępującej się wszelkiego wartościowania relacji, do entuzjastycznego podziwu Reymonta dla ideowości jakobińskich bohaterów. „Dzielny towarzysz sławnego szewca z Dunaju na baczniejszą w narodzie zasłużył pamięć" — oto jedyne słowa oceny Smoleńskiego dla księdza Meiera. [27] Tokarz stwierdza tylko fakty wybitnego jego udziału w spisku i w samej walce. Posłuchajmy zaś Reymonta:

„Był to człowiek dziwny i zgoła niezwyczajny. Wzbudzał uważanie i zarazem strach. Prawdziwy filantrop, dusza wzniosła, umysł oświecony i serce oddane ojczyźnie. Jakobin zapamiętały, straszny w nienawiści a nieprzebrana tkliwość dla cierpiących. Sawant biegły w różnych umiejętnościach, o rozległych związkach, mógł zrobić fortunę i zająć wydatne miejsce w kościelnej hierarchii. Był nawet czas niejaki kapelanem prymasa, drogę do wyniesienia miał

[26] „Lewe skrzydło jakobinów pragnęło pogłębienia w powstaniu nurtu plebejskiego, co wiązało się z reformami w sprawie chłopskiej [...] Ta część działaczy pod wpływem myśli francuskiej rewolucji (P. Rabaut, Volney) siłę powstania widziała w ludzie i w oparciu się o potężne wystąpienie ludów od Odry do Donu, dążyła do realizacji postulatów zmierzających do niepodległości, reform społecznych, walki z targowicko-grodzieńskimi zdrajcami [...] Prawe skrzydło nie wychodziło na ogół poza program społeczny, który dyktował możliwość rewolucji drobnoszlacheckiej i mieszczańskiej związanej z walką przeciw magnatom feudalnym, połączonej w warunkach polskich tylko z częściowymi reformami włościańskimi." E. Halicz i M. Żychowski, *Rola nurtu plebejskiego w powstaniach polskich XIX wieku*. Materiały dyskusyjne Komisji Naukowej Obchodu Roku Mickiewicza PAN, Sekcja Historii i Historii Literatury. Warszawa 1955 s. 18 i n. (skrypt powielany).

otwartą, lecz rychło zbrzydził sobie dostojeństwa, bogactwa i przepychy. Znienawidził kłamstwo i przemoc możnych, a uwielbił pokrzywdzonych. Szczęście powszechności miał za jedynego Boga. Surowy dla siebie, prawie asceta, a okrutny, mściwy i nieprzebłagany dla tyranów i nieprzyjaciół ojczyzny, jak nikt drugi w Polsce. Pospólstwo go uwielbiało, znała go bowiem wszystka nędza warszawska, znały szpitale i więzienia, znali wszyscy oczekujący pomocy, zmiłowania i ratunku" (II 257).

Stuletnia blisko cenzura klasowa oddała niepamięci postacie polskich jakobinów; nic dziwnego, że historycy potrafili odnaleźć tylko nieliczne szczegóły biograficzne. O działalności Konopki przed wydarzeniami czerwcowymi Tokarz wie tyle tylko, że „był on protegowanym Kołłątaja, nawet przez pewien czas — za Sejmu Czteroletniego — sekretarzem pieczęci mniejszej, lecz stracił tę posadę z powodu zajścia w kościele z reformatem Surowieckim, którego złajał za kazanie wymierzone przeciw Rewolucji Francuskiej. Popierał go zawsze Barss, w którego kamienicy na Rynku Starego Miasta mieszkał on za powstania (...) Za czasów Targowicy kierował Konopka wraz z innymi tymi manifestacjami przeciw konfederacji, które były pierwszym objawem silniejszego wzburzenia stolicy i tak bardzo przeraziły Rosjan. Stosunki z Barssem, Kołłątajem i Dmochowskim ułatwiły mu wejście do spisku, w którym od czasu przybycia Maruszewskiego począł odgrywać pewną rolę. Używano go, powtarzamy, niewątpliwie do agitacji ludowej, z którą miał on do czynienia na pewno już u schyłku Sejmu Czteroletniego, a której potem zawdzięczał swą niezwykłą popularność w Warszawie". [28]

Przytoczyliśmy ten dłuższy cytat, ażeby czytelnikowi uzmysłowić zasięg fikcji literackiej, szerszy w obrazie lewicy spiskowej niż w innych partiach utworu, a zarazem wyjaśnić przyczyny pewnej sztywności tych postaci. Do ich wewnętrznej charakterystyki nie miał Reymont prawie żadnego materiału, poza krótkimi opiniami w pamiętniku Józefa Pawlikowskiego. [29] Jego stylistyczne wzory zaważyły, jak się zdaje, na ujęciu Reymontowskim. Pawlikowski pisze np. o Aloem:

„W przywiązaniu do Polski nikt go przewyższyć nie mógł. Szczęście jej było dla niego pierwszym przedmiotem, ale od jej nieszczęść chronić się nigdy za granice kraju nie chciał (...) Zdawało się, że filantropia stworzyła jego duszę".

„Dusza jego — charakteryzuje z kolei Pawlikowski Jana Czyża — pełna zapału, ale zapału szlachetnego ludzkości, nie widziała szczęścia narodu, tylko w wolności wszystkich (...). Zawzięty nieprzyjaciel nieprzyjaciół ojczyzny, niepodległy w zdaniach, ale chciał podlegać tym, którzy użyteczniejszymi nad niego byli krajowi, nie widział niebezpieczeństwa, gdzie go dźwigać trzeba było spod obcej przemocy, gotów był zawsze poświęcić się i umrzeć dla tak szlachetnego celu".

„Natura dała mi — pisze wreszcie Pawlikowski o sobie — wiele czułości względem losu nieszczęśliwych i najwyższą nienawiść przemocy jednych nad drugimi."

Gorącą sympatię autora dla radykalnego skrzydła spisku potwierdza również

[27] W. Smoleński, *Kuźnica Kołłątajowska*, Warszawa 1949, s. 175.

[28] W. Tokarz, 1c s. 179.

[29] J. Pawlikowski, *Pamiętnik o przygotowaniach do Insurekcji Kościuszkowskiej*. „*Przegląd Polski*" 1876, r. X, z. 7, s. 72—73.

początkowa postawa Zaręby, który całkowicie solidaryzuje się z ich jakobińską bezwzględnością (np. I 63). W ostatniej jednak części trylogii obraz obozu jakobińskiego trochę się zamąca. Przygotowaniem tej zmiany miał być opis powtórnego pobytu bohatera w Paryżu, w okresie najwyższego nasilenia rewolucyjnego terroru:

„Znalazł się na tragicznym rozdrożu. Uląkł się tyranii tłumów i zaczynała się w nim chwiać wiara w rewolucyjne maksymy. Rozbestwione panowanie motłochu wzburzało w nim człowieka z warstwy panującej, a przewroty, jakie się dokonywały, kazały mu się obawiać o cywilizację" (II 232) —

— powie o Zarębie Reymont wyposażając go we wszystkie wahania późniejszych radykalnych inteligentów. A przecież sam autor, w skrótowej, pełnej patetycznej grozy syntezie rewolucyjnego Paryża, przejaskrawiając ponad miarę nadużycia i wypaczenia jakobińskiego terroru — dostrzegł jednak pod powierzchownymi szumowinami wspaniały, czysty nurt wielkich przemian historycznych:

„Wzburzony ocean druzgoce, lecz nie zabagnia; pochłania lądy, lecz nie plugawi. A zresztą w huraganach piorunów, w chwilach wybuchu wulkanów, tylko zarysy ogromów zatrzymuje w pamięci olśnione oko. Nie pora litować się nad zdeptanym źdźbłem, kiedy padają prawieczne dęby. Piorunami człowiek pisze swoje dzieje a nie skargą lub jękiem żałosnym" (II 226—227). [30]

Można kwestionować wartość i oryginalność Reymontowskiej metaforyki, ale niewielu znaleźlibyśmy wówczas w Polsce pisarzy, których stać było na tak dojrzałą mądrość historycznego spojrzenia. A napisało przecież te słowa to samo pióro, spod którego kilka lat przedtem wyszła przypowieść o zbrodniczej daremności każdej rewolucji *(Cmentarzysko)*.

Mimo to jednak w *Insurekcji* wytwarza się już pewien dystans krytyczny wobec jakobinów. Przeciwstawia im Reymont — zwłaszcza w scenach krakowskich — autorytet ideowo-moralny Kościuszki. O ile przy tym rozmyślania Naczelnika o „kalwaryjskiej drodze narodu", o śmiertelnej ofierze jako rękojmi ocalenia — są całkowicie ahistoryczną i bardzo złą retoryką, to autor, może mimo woli, trafnie nadaje innym wypowiedziom Kościuszki te znamiona niezdecydowanego, ogólnikowego („półśrodkowego" powiedzianoby pół wieku później) demokratyzmu, które cechowały całe jego postępowanie w czasie insurekcji.

Sam Reymont, który poprzednio autorytet narratora angażował niedwuznacznie po stronie polskich jakobinów (świadczą o tym wyraźnie autorskie opinie, np. „nieulękli trybunowie chłopskiej wolności" — II 136; „nieubłagany

---

[30] Usunął natomiast Reymont z tekstu książkowego krytykę ograniczeń rewolucji burżuazyjnej, krytykę wprawdzie przenikliwą, ale zmierzającą do antyludowych, nihilistycznych wniosków. W zakończeniu paryskiego rozdziału pisarz Komuny, Fort, pokazywał Zarębie „prawdziwy Paryż" — „najostatniejsze nory nędzy, zbrodni i rozpusty".

„— Masz tkliwą duszę, obywatelu — szydził Fort. — Śmierdzą ci te *citoyeny!*

— Więcej mnie boli! — i wzdrygnął się z nieopowiedzianej żałości.

— Pokazałem ci prawdziwą twarz ludu! Tych wydziedziczonych nawet przez Rewolucję! Zwycięska burżuazja nie rzuciła im nawet ochłapów!

I podniecony dawno pieszczonym marzeniem, imaginował głośno chwilę, w której ten lud cierpiący, wytraciwszy swoich grabieżców i opiekunów, zasiądzie do godów życia!...

— I zacznie się między sobą pożerać! — wyrzekł smutny Zaręba" (W. St. Reymont, *Rok 1794*. Część II *Insurekcja*. *„Tygodnik Illustrowany"*, 1913, nr 52).

wróg tyranów, wolność nad wszystko przekładający" — II 141), unika teraz własnej oceny. Krytyka występuje w wypowiedziach Barssa, Kapostasa i Kilińskiego potępiających jakobińskie „warcholstwo" i „terroryzm". Odcina się od klubistów i Zaręba, nie mogąc pogodzić się z ich opozycją przeciwstawiającą Kościuszce Kołłątaja, z bezwzględnością w metodach działania, z wyrokiem śmierci na króla. Zaręba jednak — nie tylko w naszych oczach, ale z intencji i z pewną dezaprobatą samego autora — po rozmowie z królem traci swą dawną rewolucyjność („Rozmyślał nie podejrzewając, że może król próbuje go skaptować i urobić na instrumentum sobie oddane. Dopiero później przyszło mu to na myśl, a tymczasem słuchał oczarowany i przywiedziony do kapitulacji wobec swoich dawnych mniemań i opinii" — III 217), jego oceny nie posiadają odtąd pełnej wierzytelności.

Tymczasem zaś Jasiński, wotujący za śmiercią wszystkich oskarżonych, pozostaje dla Reymonta „obrazem samej cnoty, samej wiary i stałości" (III 279). Zamykając powieść, mamy w oczach bohaterską postać Konopki, który

„podobien bogom z urody, bez kapelusza, z włosem w rozwianych puklach, blady, z piorunami w oczach, wzniosły, z szablą w ręku, okrwawiony, płomienny a baczny na eventa walki, prowadził lud, pierwszy rzucając się do boju i roznosząc śmierć i przerażenie" (II 341).

Ostatnie jego słowa w powieści to bezkompromisowe wyznanie wiary rewolucjonisty i ateusza:

„Głodni — niech się nasycą; nadzy — niech się przyodzieją; skrzywdzeni — niech się pomszczą; poniżeni — niech się wywyższą. Oto jest prawdziwa ewangelia rewolucji. Resztę oddajmy śmierci. Precz z majaczeniami! (...) Bóg umarł! Najstraszniejszy z tyranów obalony! Króluje nam rozum, nie zapominaj!" (III 353).

Chociaż więc obraz rewolucjonistów nie posiada pełnej historycznej ścisłości (wówczas zresztą nieosiągalnej), chociaż w ostatnim tomie powieści traci w pewnym stopniu poprzednią jednoznaczność — mimo to jest on w polskiej powieści historycznej — do wystąpienia Kruczkowskiego — faktem niezwykłym, zaskakującym, chyba jednostkowym.

Jak się to stało pod piórem Reymonta, pisarza tak przecież dalekiego od społecznego radykalizmu? Zapewne zaważyła tu historyczna odległość, na której żywiołowy demokratyzm Reymonta nie był już kontrolowany przez powierzchownie przyswojone poglądy endeckie. Sprawiły to również cechy szczególne tematu: autor pisał przecież po pierwsze — o ideologach rewolucji burżuazyjnej zmierzającej do wyzwolenia chłopa, po drugie — zamknął w powieści ten etap działalności jakobinów polskich, kiedy główny ich wysiłek zmierza do przygotowania powstania narodowego, w którym uczestniczą siły sojuszu szlachecko-burżuazyjnego. Wahania Reymonta w tomie III wskazują, że może wraz ze swym bohaterem potępiłby jakobinów, gdyby przyszło mu opisywać groźne dni majowe i czerwcowe rewolucyjnej Warszawy, choć z drugiej strony przeczą temu wyraźne akcenty aprobaty dla twardej ludowej sprawiedliwości w zachowanym (ale pochodzącym jeszcze z r. 1911) opisie śmierci prymasa Poniatowskiego. Może te trudności ideowe w rozplątaniu — coraz bardziej zagmatwanego w oczach Reymonta — węzła sprawy powstańczej i społecznej w wydarzeniach 1794 roku wpłynęły na decyzję zamknięcia powieści chwilą wyzwolenia Warszawy? Decyzja powzięta została u schyłku

1917 roku — plan ostatniego rozdziału w notatkach pisarza nosi datę: 28 listopada. Otóż w tym momencie nie tylko grymasy burżuazyjnych wydawców, o których wspomina Reymont, ale przede wszystkim burżuazyjna kampania ideologiczna przeciw Rewolucji Październikowej musiała go odpychać od jakobińskich tradycji.

W każdym razie ten fragment dziejów powstania, który Reymont ukazał w swoim dziele — można zaryzykować śmiało tę tezę — bliższy jest marksistowskiej niż tradycyjnej jego oceny.

Przywłaszczenie sobie twórczości Reymonta przez endecję sprawiło, że trylogia nie wywarła inspirującego wpływu na powieść historyczną realizmu socjalistycznego, która — przeskakując to ogniwo rozwojowe — nawiązywała wprost do Żeromskiego. Nie wspomniano ani słowem o trylogii w powojennych pracach i dyskusjach o jakobinach polskich czy powstaniu kościuszkowskim. Cień endeckich patronów przesłonił rzeczywiste walory powieści również pierwszym jej marksistowskim interpretatorom.[31] Tę niesprawiedliwość wobec pisarza, tę krzywdzącą czytelników dezorientację trzeba naprawić. Trzeba umieścić dzieło Reymonta na należnym mu miejscu: w realistycznym dziedzictwie literatury polskiej.

[31] Por. K. Wyka, l.c. s. 191—194, L. Budrecki, *Władysław Reymont*. Warszawa, 1953, s. 175—186. Opinia K. Wyki o trylogii nie wytrzymuje konfrontacji z tekstem, który wyraźnie przeczy tezie, że „zróżnicowanie wewnątrz obozu reform niedostępne jest świadomości ideowej Reymonta", że lud warszawski to tylko „polityczne plewy" rozlatujące się za lada podmuchem, że „całą interpretację pozycji klasowej chłopa zagubił Reymont w homerycko-kmiecych ogólnikach". Wyka nie dostrzega roli jakobinów polskich w trylogii, a ukazanie w niej konfliktów społecznych bagatelizuje ze względu na wtórność w stosunku do Żeromskiego. Ocena Budreckiego oparta jest na następujących — również niezgodnych z zawartością powieści przesłankach: 1. w ujęciu Reymonta nie ma żadnej różnicy programu społecznego między radykałami a moderantami, spór dotyczy tylko użycia terroru; 2. obraz Rewolucji Francuskiej w powieści to tylko terror i denuncjacja. 3. jednym z głównych celów autora jest „atak przeciw rewolucyjnym tradycjom narodowym", o czym świadczy „gruntowna kompromitacja jakobinów", potraktowanych jako „przedłużenie szlacheckiego warcholstwa". Inne zarzuty Budreckiego wobec Reymonta wynikają z bardzo uproszczonych i niezgodnych z faktami poglądów na powstanie kościuszkowskie.

Henryk Markiewicz

Zbigniew Herbert

UWAGI O POEZJI JÓZEFA CZECHOWICZA

Piętnaście lat po śmierci poety ukazał się wybór jego wierszy, późny hołd złożony pamięci jednego z największych liryków dwudziestolecia.

Redaktorzy książki, Seweryn Pollak i Jan Śpiewak, słusznie starali się dać jak najpełniejszy wizerunek autora. Obok bez mała wszystkich wierszy, drukowanych za życia poety w oddzielnych tomach, dano także jego przekłady poetyckie, wiersze dla dzieci oraz wiersze nie publikowane. Ten ostatni dział budzi najwięcej zastrzeżeń i celowość jego umieszczenia wydaje się wątpliwa. W większości znalazły się tam żenująco słabe juvenilia, które nie pozwalają nawet śledzić rozwoju autora. Czechowicz nie był poetą, który się w sposób widoczny stawał, ale stał się, zaczął się liczyć od pewnego wiersza po zasmarowaniu wielu brulionów podobnych do brulionów początkujących. Tak więc w *Urywku z podartego wiersza* (słusznie podartego!) autor *Obłoków* pisze: „w domu szczęścia króluje dusza ma bezdomna", w *Zabawie* odzywa się Leśmian ozdobiony „jaskółczychą", *Odezwa* zdradza terminowanie u Tuwima, a *Melancholijne kolory* zatrącają Iwaszkiewiczem. A zatem taktowne zaufanie do tego, co autor chciał pokazać światu, wydaje się najsłuszniejsze.

Natomiast przydałaby się sumienniejsza korekta. Na przykład w *Kompozycji* wydrukowano „grono chwil znajomych in quarto" a w pierwodruku jest „grono chwil znojnych in quarto". Egzotyczna dedykacja wiersza *Imieniny* wydrukowana została w tekście tak, że czyta się ją jak początek wiersza.

KŁOPOTY SYSTEMATYKÓW

Uznany przez krytyków swego czasu, ale daleki od popularności, Czechowicz stanowi wciąż problem otwarty. Debiutował w roku 1927 w okresie kryzysu politycznego, a także kryzysu Awangardy i Skamandra. Nowe pokolenie poetów owego czasu, bogate w talenty i niepokoje, nazwano z braku lepszego terminu drugą awangardą. Od pierwszej awangardy różnili się młodzi znacznie, choćby brakiem normatywnej poetyki, nieufnością do mitu cywilizacji, wyzwalającej rzekomo człowieka, i wzmagającą się nutą pesymizmu. Wojna przerwała rozwój tego nurtu, ale środki poetyckie poetów

drugiej awangardy odżyły w grupie warszawskiej (Baczyński, Gaycy i inni) świadcząc o bogactwie tego źródła, o płodności tej najświeższej tradycji.

Można mieć żal do krytyki, że nie ułatwiła zrozumienia dorobku poety a zadowoliła się tylko przyznaniem mu wysokiej pozycji w katalogu reprezentatywnych nazwisk dwudziestolecia. Zresztą trudności, jakie nasuwa twórczość Czechowicza, są istotnie duże. Spróbuję niektóre z nich nazwać.

Czechowicz nie jest poetą jednoznacznym. To, co niewątpliwe i jednoznaczne w jego twórczości, jest zarazem żenująco skromne. Bez mała tyle: kochał małe miasteczka i bał się śmierci. A poza tym las sprzeczności i powikłań tak niewygodnych dla tego, który posługuje się kluczem postępowe — reakcyjne, racjonalne — irracjonalne i żąda od autora jasnej postawy i ścisłych odpowiedzi.

Dla przykładu zanalizujemy stosunek poety do cywilizacji przemysłowej, do owej głoszonej przez futurystów i awangardę pochwały miasta, maszyny i masy. Jest to jeden z głównych problemów pierwszego tomu *Kamień*, konwencjonalna dla tej epoki tematyka, z którą poeta zmaga się z różnym powodzeniem i wynikiem. W wierszu *Knajpa* motor zwycięża koszmary, w *Przemianach* poeta ironizuje mechanistyczną koncepcję człowieka, w przedziwnych *Ampułkach* poszukuje wartości humanistycznych poza światem rozpędzonych maszyn. W następnym tomie, który przynosi przewagę charakterystycznych dla Czechowicza wierszy, nazwijmy je sielankowymi, motyw cywilizacji technicznej pojawia się parokrotnie i znów trudno powiedzieć generalnie, co poeta o tym myślał. Wiersz *Dno* jest balladą o nowoczesnym bohaterstwie i nie zgadzam się z autorami wstępu, którzy wybrali ten utwór jako przykład antytechnicyzmu Czechowicza. Natomiast *Dzień* jest wyraźnym pamfletem, głoszącym samounicestwienie bezmyślnej cywilizacji, zaś wymowne zakończenie *Zapowiedzi* brzmi:

metafizykę splecioną jak piękne włosy
rozplącze jasny miecz: chemia

Czy można mieć pretensję do poety, że nie daje odpowiedzi na źle postawione zagadnienie, bo przecież pytanie o wartość cywilizacji nie ma sensu, jeśli ta cywilizacja nie zostanie określona wyczerpująco i wszechstronnie.

Trudności w zrozumieniu dzieła autora *Nuty człowieczej* wiążą się także z faktem, że był to poeta oryginalny, którego interpretacji nie wyczerpuje wyszukiwanie tradycji ani tłumaczenie twórczością współczesnych, zbliżonych do niego poetów. Dalsze utrudnienie: był poetą nierównym artystycznie i, jak się zdaje, uprawiającym całkiem świadomie różne rodzaje liryki. Z pracowni jego wychodziły obok najbardziej popularnych pejzaży, także panoramy, kompozycje, witraże.

OBRAZ

Podstawowym i wyłącznym elementem, z którego Czechowicz buduje swoje wiersze i poematy, jest metafora i obraz. Stwierdzenie, zdawałoby się, banalne, ale konieczne, by zrozumieć tego poetę, tak konsekwentnie stroniącego od toku dyskursywnego, od języka pojęć. Ta metoda sprawiła, że w opi-

Jnii wielu Czechowicz jest autorem wierszy, w których piękne szczegóły utopione są w niekonkretnej, rozkołysanej emocjonalnie poetyckiej wodzie: „tam kapliczka chłodna jak koral", „zórz ogniowa kra", „jutrzenka w płaszczu podobnym do wodotrysku" oto szczegóły, na których zatrzymuje się wyobraźnia czytelnika, ale ogólna tonacja tej liryki — cytuję dalej opozycjonistów — dałaby się streścić wyjątkiem z wiersza *Mrok i światło:* „Wcześnie. Ciemno. Smutno. Ckliwo". Wynika to przede wszystkim stąd, że nie wszystkie obrazy są jasne i zrozumiałe. Strumień liryczny zapada co chwilę w mrok.

Istotnie, obok porównań dziecięco prostych i konsekwentnych: „ranek jasny jak lusterko", „w rozbitym dzbanku spleśniała śmierć maków" mamy takie, których percepcja w wyobraźni czytelników natrafia na przeszkody. Ale mimo to obraz nie przestaje być obrazem i zawiera często ogromny ładunek liryczny. „Kapliczka chłodna jak koral" jest z punktu widzenia każdego pejzażysty nieporozumieniem: koral to czerwień, a czerwień jest gorąca. Chodzi przecież o to, że poeta tworząc obraz apeluje do różnych zmysłów, do naszej wiedzy, zdolności kojarzenia, a także wyobraźni nie tylko plastycznej. W wierszu *Dno* przed oczyma zatopionych zjawia się wizja Atlantydy, która jest „czarno-czerwona jak karty, a jak port pełna blasków" — obraz o ogromnej sugestii poetyckiej, chociaż niejasny. Albo „okna o kadzidlanym zapachu" z *Domu św. Kazimierza,* co znaczy: okna osnute dymem, okna zwrócone na dogasający zachód, okna smutne... Jest to swoisty sposób obrazowania, tak różny od ścisłego i konkretnego definiowania wizji przez Przybosia. Zestawienie tych dwu poetów wydaje mi się szczególnie wymowne dla ich odrębności. Postulat wymiernego kształtu realizuje Przyboś nawet, gdy obraz jest spiętrzony i ruchomy.

> Katedra drgnęła w górę — gdy wskazałem ją, wzdłuż palców
> poprzez drzewa, przez gałęzie różowiały pęki iglic,
> gołębie rozwijały w locie jej róże

Można to sformułować tak: Przyboś wyznacza precyzyjnie kierunek i cel ruchowi wyobraźni, Czechowicz — akompaniuje marzeniu. Ścisły obraz zastępuje często propozycję obrazu, waha się — „twarz opada nad książką rosa może granat", — zdradza swoją niewiedzę — „szosą ja sam nie wiem co jedzie", — cedzi szczegóły — „na toni już chyba nic oha płatek nasturcji" — albo wysypuje ich całe naręcze:

> z dolin suteren placów rzek piekarń
> młynów okrętów spojrzeń hut mgły
> z barów...

Snując dalej porównanie, u Przybosia działa prawo równowagi elementów poetyckich, Czechowicz natomiast niektóre elementy eksponuje, inne celowo pozostawia w cieniu.

Na koniec uwaga ogólna, dotycząca wierszy budowanych z obrazów. W wyobraźni czytelników nie posiadają one struktury ciągłej. Obraz pojawia się od czasu do czasu, kiedy szereg wyrazów zsumuje się w konkretną całość, jakby błyskiem reflektora wydobytą z mroku. Stąd nieuchronne wrażenie przerw między obrazami. Ale to już należy do następnego rozdziału.

Przeciwnicy mówią: wiersze Czechowicza zbudowane są na zasadzie łańcuszka porównań, ale ich sensu, ich wnętrza, nie można rozszyfrować, bo poszczególne elementy dobierane i łączone są na podstawie jakiegoś subiektywnego klucza.

To prawda, zdarza się i tak, ale wierszy, w których obrazy nie podporządkowane są całości (jak *Preludium)* jest niewiele. W większości swych utworów poeta zachowuje rygory konstrukcji, tylko schematy konstrukcji są różne i dlatego trudniej uchwytne.

W *Nucie na dzwony* autor — mówiąc po szkolarsku — dostrzega w różnych przedmiotach świata powtórzoną formę dzwonu: Cyganka — dzwon spódnicy, choiny, pagórki, rozkwit południowych brzegów — „wszędzie jesteś dzwonienie rzeczy zdań". Jest to wspólna nuta, wspólny kształt rzeczywistości. Obserwujemy tutaj jednoczącą funkcję metafory, dzięki której światu zwrócona zostaje prostota, harmonia, jedność. Ta tendencja jest u Czechowicza — którego chętnie nazywamy poetą sprzeczności i zawikłań wewnętrznych — szczególnie silna. Przykład: *O świerszczach,* jeden z najdojrzalszych i najpiękniejszych wierszy poety poszukującego „jedyności".

Funkcje obrazów i sposób ich łączenia, niby dowolny, oparty pozornie na luźnych skojarzeniach, są w poszczególnych utworach bardzo rozmaite. W poświęconym Conradowi wierszu *Pamięci zniknionego* obrazy ocierają się o symbole: u kaliny zamyślona dziewczyna to ojczyzna, okręt — orzeł — symbol wędrówki, kotwica — motyw wierności, że już posłużymy się taką prymitywną egzegezą.

W *Obłokach,* jednym z tych wierszy Czechowicza, których obok *Żalu* i *Domu św. Kazimierza* nie wolno pominąć w żadnej uczciwej antologii liryki polskiej, mamy klasyczne, bo znane z poezji barokowej czy *Pióra* Norwida spiętrzenie porównań. Jeden człon przy tym pozostaje niezmienny: obłoki: — jak wieniec, — jak łopuch, — jak kamienie, — jak tuman pyłu po niewidzialnych wozach. Przedmiot poematu pozornie dematerializuje się, by w kontrastującym zakończeniu uzyskać pełnię konkretu. Najlepiej zacytować ten fragment surowej niemal prozy następujący po pięknym nalocie obrazów:

> jest droga pod olbrzymim niebem nisko na którym
> obłoki obłoki obłoki drogą idzie staruszka
> tobołek niesie w ręce ciemnej spracowanej

ów tobołek to ludzki, biedny, uziemniony obłok

Dom św. Kazimierza wart jest szczegółowej analizy teraz, gdy powstaje tyle utworów rocznicowych i poświęconych różnym pamięciom. (Są to najczęściej zgrabnie dobrane cytaty i szczegóły z życiorysów połączone zręczną konferansjerką liryczną autora.)

Zwięzła ekspozycja poematu wprowadza w nastrój bliski Norwidowskiemu poematowi *Do Bronisława Z.* Bardzo przemyślana i doskonale rozwiązana kompozycja wiersza składa się z fragmentów biograficznych przedstawionych jako refleksje poety stojącego u kresu swojej drogi oraz motywów poezji Norwida. Ani razu te motywy nie polegają na prostym cytowaniu.

Czechowicz stwarza własne syntetyczne obrazy, charakteryzujące główne, istotne dla poezji Norwida idee. Jest więc motyw utraconej ojczyzny (cytuję początki wierszy): „kraju bliski tak bliski że całujesz"; motyw rzetelności intelektualnej i poezji dającej odpowiednie dla rzeczy słowo: „wierszom daje imiona z kształtu trudu wyliczeń"; dalej motyw historii odczytywanej na ruinach: „pamiętasz konie na antycznym łuku wspinające się prychające brązem"...; wreszcie gloryfikacja pracy:

bywa że pośród czasu czarnych lokomotyw
gdy ludzie chcą ułożyć linię szyn bardzo prosto
serafin schodzi z chmury z matowej pozłoty
pomagać dłoniom pierwszym aniołowym siostrom...

„NIENAZWANE — NIEJASNE"

Zdarza się jednak, że w niektórych utworach, zwłaszcza z tomu *W błyskawicy i Ballada z tamtej strony*, proporcje jasne — ciemne zostają zachwiane. Wiersz przestaje być świętem intelektu, rezygnuje z definiowania stanów wzruszenia, a jest pulsowaniem nieokreśloności. Mam na myśli owe wiejskie ballady *Zdrada, Pieśń o niedobrej burzy*, z których usunięty został właściwy tej formie szkielet epicki, a została miazga nastroju, czy wiersze w typie *Śnica śniegowica*, czy wreszcie próba odbudowy poetyckich teogonii, owe mity, które utrzymują się przy życiu jedynie za sprawą słowa.

Mity bardzo martwią krytyków, którzy widzą w tym objaw ulegania jakimś praktykom metafizycznym. Tymczasem są to twory wyobraźni poetyckiej. W wierszu *Rymy pobożne* stany liryczne otrzymują imiona: smutek nazywa się tu Persefoną, a niepokój Janusem. To tak, jakby poeta obawiał się, że wyrażenie wzruszeń jest niepełną obiektywizacją i pomagał sobie mało współczesną, klasycznie sztywną personifikacją.

W *Kolorowej nocy* mamy już mit pełniejszy. Poeta kreuje bożka powietrza i nazywa go Taanis. Ale na tym właściwie wyczerpuje się praca poety. Bogowie bez funkcji i atrybutów, pozbawieni relacji z ludźmi i z kosmosem, stają się nieruchomymi posągami wyobraźni.

Istnieje wiersz osobliwy, który stanowi coś jakby ironiczną autocharakterystykę i przestrogę poety, napisaną dla samego siebie, przestrogę przed wybujałością widzenia, pogonią za obrazami, gorączką wyobraźni. Tym osobliwym wierszem jest *Opowiadanie*. Bohater liryczny, Dian, zatęsknił za obrazem i od rachunków wchodzi w świat, który jak zaczarowane drzewo roni owoce widzeń. Treść tych obrazów jest realistyczna, ale rytm ich i natrętność, bezsensowny układ, zatracająca się perspektywa wywołują niepokój i przeświadczenie, że ta przygoda duchowa doprowadzi do zniszczenia osobowości bohatera.

dian wracaj wróć do wyliczeń świeżość poranka wiotczeje
zachłanny świat jak banię wynosi nad siebie światło
dian czas na ciebie spełnij matematyczne nadzieje...

Nie znam wiersza, który by odważniej, z większym poetyckim humorem (ale tym bez anegdoty, kalamburów i dowcipnych rymów) obnażał słabości własnej sztuki.

„JAKBYŚ NAD SOBĄ SAM SIĘ POCHYLAŁ GNUŚNIE"

Wiemy, że napisał wiersz *Pod dworcem głównym w Warszawie* i inne, które świadczą o żywym odczuciu krzywdy społecznej. Ale nie był tym, kogo się określa mianem poety walczącego. U podstaw jego psychiki leżą dwie cechy — jakże często spotykane u twórców tamtej epoki — pesymizm i bierność. Nie z pasji kolekcjonera ładnych widoczków powstały jego liczne wiersze o prowincji, ten album sennych miasteczek, opuszczonych przez historię, ale pełnych spłowiałego piękna, a także jego wieś patriarchalna, krowiooka, pachnąca snem i sianem. Znów trudno powstrzymać się od zestawienia z Przybosiem:

Lecz kiedy niebo ponocne czerwień na wschodzie podnosi
w szybach
rozgarnia promienie błysk
wideł.
Dwór bladziej od drzew pod siekierami świateł
przypadł
Widać:
każdy dom
kosę
na sztorc nasadził!
Widać:
Pionowo cichnie huk niewybuchłych chałup i dym
i z urwisk strzela bór

I Czechowicz:

księżyc idzie srebrne chusty prać
świerszczyki świergocą w stogach
czegoż się bać
Przecie siano pachnie snem
a ukryta w nim melodia kantyczki
tuli do mnie dziecięce policzki
chroni przed złem

Ale nie należy żądać za wiele. Czechowicz utrwalił obraz polskiej prowincji z okresu jej oczekiwania na historię. Dał niby tylko pejzaże, ale pod tymi pejzażami jest bogaty podtekst. Weźmy choćby frazę tych wierszy, tę tylokrotnie podziwianą, giętką, własną, łatwą do rozpoznania wśród tysiąca innych. Ileż potrafił zmieścić w niej szeptów, zaśpiewów, pogłosów, modłów, tęsknoty, guseł, trwogi i smutku!

Z zarzutem bierności łączy się spostrzeżenie, że sen jest częstym motywem jego wierszy. Poeta wprawdzie wciąż mówi: patrzę, patrzę, ale czytelnik, który w wielu jego wierszach obcuje nie z przedmiotami, ale z cieniami przedmiotów, ma prawo przypuszczać, że to patrzenie jest postrzeganiem zjawy sennej. Świat jawi się czasem poecie w nagłym olśnieniu, w błyskawicy, ale częściej „czarnobrewy serafin zamyka widzenie nad czołem". Początki wielu wierszy zaniedbujących prawidłową ekspozycję są też jakby nawiązaniem do poetyki snu.

A zatem pesymizm, bierność, beznadziejność zostały udowodnione?

Jeśli patrzymy na rozwój poety, nie podobna dać odpowiedzi twierdzącej. Dwie (przynajmniej dwie) próby afirmacji na początku i na końcu drogi twórczej zdają się temu zaprzeczać.

Następujący po typowo debiutanckim zbiorku *Kamień* tom *Dzień jak codzień* oznacza pełne objawienie się poety. Zbiorek ten ważny jest także jako manifestacja owej pierwszej młodzieżowej afirmacji. Wyraża się ona w jaskrawo sformułowanym w *Legendzie* naturalistycznym wyznaniu wiary:

ziemia skała glina
a ja to mięśnie i kościec
kończy się co się zaczyna
nie może być jaśniej i prościej

zaś w *Codzie* zostaje nadany powszechnej rzeczywistości jakiś, nieokreślony co prawda, wyższy sens

stocznie remizy dymią
wszystko cenię ceną legendy
krzyk miasta ciszę na łodzi
legendą olbrzymią dzień jak codzień

Dalsze tomiki *Ballada z tamtej strony* i *W błyskawicy* przynoszą nasilenie tonów pesymizmu i mityzowanie. Dzięki temu traktowane są jako okres obniżenia poziomu poety mimo takich osiągnięć, jak *Elegia niemocy, Iliada tętni, Nuta na dzwony, Dom św. Kazimierza. Nic więcej* stanowi jakby nawiązanie do *Dnia jak codzień*. Ostatni tom *Nuta człowiecza*, który nie tylko zawiera najwięcej arcydzieł, ale jest także jako całość najbardziej klarowny i zwarty, przynosi drugą i ostatnią afirmację, bogatszą i mniej naiwną. Zaprawiona jest ona rezygnacją, tragiczną wiedzą o własnym losie, uznaniem wartości sztuki i głębokim wyznaniem solidarności z człowiekiem swego czasu. Poeta ujmuje dłonią spełniony owoc życia.

*

Nie spełniły się przepowiednie. Sława nie zalała ciemnym złotem jego grobu.

Walczył na krańcach. Jak żeglarze i zdobywcy nie ma grobu. Był jednym z argonautów.

Zbigniew Herbert

Leszek Kołakowski

REFLEKSJE NIEFACHOWE NAD GRZEGORZEM PAWŁEM I NIEŚMIERTELNOŚCIĄ DUSZY

Więź historyczna i więź logiczna łącząca rozwój myślenia materialistycznego z rozwojem racjonalistycznej postawy intelektualnej jest faktem banalnym dla historyków ideologii. Związek logiczny polega na tym, że konsekwencją stanowiska materialistycznego w teorii bytu jest materializm w zakresie teorii poznania, tj. redukcja procesu poznawczego do rozmaicie pojmowanego, materialnego kontaktu człowieka ze środowiskiem, a więc w szczególności odebranie wartości wszystkim kryteriom prawdy, odwołującym się do autorytetu lub objawienia, przy założeniu, że naturalne oddziaływania w świecie dają się zasadniczo opisać w postaci słownej, materializm łączy się także logicznie z odrzuceniem wiary w zachodzenie jakichkolwiek procesów poznawczych, których treść nie mogłaby podlegać społecznej kontroli ani nie nadawała się zasadniczo do ujęć słownych, której nie można by ani zwerbalizować, ani przekazać drugim. Związek historyczny polega na tym, że postęp materializmu jest w znacznej części produktem rozwoju nauk przyrodniczych, nadających piętno racjonalistyczne wszelkim filozoficznym generalizacjom, powstałym rzeczywiście z ich osiągnięć. A jednak mniej zapewne banalne, ale również dobrze znane są zjawiska przełamujące schemat tak sformułowanej zależności: zjawiska, w których elementy myślenia materialistycznego — nigdy, rzecz jasna, konsekwentne i świadomie systematyczne doktryny — rodzą się w atmosferze programowego irracjonalizmu, obciążającego cały styl uzasadniania i formułowania wniosków. Godny uwagi *casus*, w którym taki niespójny aliaż myślowy dochodzi do głosu, stanowi dziełko Grzegorza Pawła *O prawdziwej śmierci*, wznowione niedawno z unikalnego egzemplarza w edycji fototypicznej [1]. Utwór jednego z najbardziej radykalnych pisarzy wczesnej lewicy ariańskiej głównie z tego punktu widzenia budzi zaciekawienie historyka filozofii: z punktu widzenia stosunku wzajemnego metody i wyników, irracjonalnych sposobów w uzasadnianiu i materialistycznych elementów w tezie dowodzonej, która ma obalić chrześcijański dogmat niematerialności i nieśmiertelności duszy ludzkiej.

[1] Grzegorz Paweł z Brzezin: *O prawdziwej śmierci, zmartwychwstaniu i żywocie wiecznym*, opr. Konrad Górski i Władysław Kuraszkiewicz, Wrocław 1954.

Pospolite niesprawdzanie się w dziejach ideologii opisanego właśnie schematu ma przyczyny łatwo dostrzegalne. Materialistyczny sposób myślenia miewał źródła dwojakie: jednym był postęp nauk, który nieustannie stawia myślenie ludzkie wobec konieczności alternatywnego wyboru między wiarą religijną i nauką. Materializm dający się w ten sposób genetycznie objaśnić niekoniecznie powstawał jako rezultat sprzeczności między określonymi osiągnięciami wiedzy przyrodniczej a treścią religijnych dogmatów — powstawał najczęściej, zwłaszcza w epokach wcześniejszych, jako rezultat samej postawy intelektualnej, niezbędnej w myśleniu naukowym; postawy, która żąda wykrywania dla wszystkich zjawisk ich przyczyn naturalnych oraz poleca objaśniać świat z niego samego — co jest wszakże naczelną ideą materializmu. Ten materializm, w ciągu całej epoki napiętych konfliktów klasowych w społeczeństwach feudalnych Europy, był wytworem i narzędziem umysłowym tych klas społecznych, które — głównie z racji swego udziału w postępie technicznym — inicjowały i popierały rozwój badań przyrodniczych, to znaczy, mówiąc najogólniej, postępowych klas posiadających społeczeństwa feudalnego — mieszczaństwa i niekiedy pewnych odłamów feudałów. Wszakże drugim źródłem materialistycznych wątków w ideologiach antyfeudalnych były zjawiska społeczne, związane z walką polityczną przeciw Kościołowi rzymskiemu, który trzymał w ręku wielką część politycznych i umysłowych wiązadeł, utrzymujących feudalny system rządzenia; chodziło mianowicie o walkę z tymi dogmatami chrześcijańskimi, którymi w sposób najbardziej drastyczny i ze szczególną jawnością posługiwała się kościelna hierarchia dla utrwalenia pokory i uległości rządzonych wobec świeckiej i duchownej władzy. W tej walce na rozmaity sposób uczestniczyły zarówno warstwy mieszczańskie, jak i różne części klas wyzyskiwanych. Z antyfeudalnej walki mas plebejskich, które nie były związane z postępem nauk i które wskutek braku wykształcenia ulegały znacznie silniej oddziaływaniu ideologii panującej a stąd pod względem doktrynalnym objawiały zazwyczaj znaczne ubóstwo umysłowe i nieudolność — z ich walki wyłaniały się przecież nierzadko fragmenty materialistycznego poglądu na świat. Te właśnie sytuacje są najpospolitszym źródłem owych pozornych dziwolągów, które kojarzą na przykład, jak to w omawianym przypadku zachodzi, bezwzględną wiarę w prawomocność objawień biblijnych z materialistyczną interpretacją istoty ludzkiej i procesów myślenia. Różne składniki materialistycznego poglądu na świat miały w swoim rozwoju raczej jeden lub drugi rodowód: tak próby deterministycznego objaśniania przyrody są uzależnione wyraźnie, w epoce feudalnej, od postępu myśli naukowej, dla której wiara w możliwość przyczynowego tłumaczenia wszystkich zdarzeń jest warunkiem istnienia; natomiast ataki na chrześcijański dogmat nieśmiertelności osobniczej wywodziły się raczej bezpośrednio z politycznych przeciwieństw: chrześcijańska nauka o bytowaniu samodzielnym niematerialnych dusz jednostkowych w okresie dzielącym śmierć od zmartwychwstania ciał oraz w ogóle o nieśmiertelności indywidualnej stanowiła zarówno metafizyczną podstawę sprzedaży odpustów, kultu świętych i handlu relikwiami, mszy żałobnych — słowem ogromnej ilości wielce dochodowych zabiegów liturgiczno-fiskalnych, tuczących bez miary nienasyconą zachłanność kurii rzymskiej — jak też, co nie mniej ważne, stanowiła podstawowe narzędzie

umysłowego i społecznego panowania Kościoła nad masami wiernych, terroryzowanych i zmuszanych do uległości przeraźliwą wizją inferalnych otchłani. Kwestionowanie niematerialności duszy, związane wyraźnie z wynikami naukowych dociekań, pojawia się stosunkowo późno na gruncie osiągnięć biologii: właściwie dopiero w XVIII wieku jest ono widoczne.

Jeśli chodzi o apelowanie do tekstów biblijnych dla oparcia heterodoksalnych opinii filozoficznych lub naukowych, należy odróżnić w tych zabiegach dwie postawy intelektualne: postawę tych, którzy racjonalnymi argumentami uzasadniali swoje poglądy, a następnie, już to kierowani względami asekuracyjnymi, już to dla dodania powagi swoim słowom, już to nawet dla uspokojenia własnego sumienia usiłowali okazywać ich zgodność z kanonem uznanym, oraz tych, którzy programowo traktowali biblijny tekst jako naczelne, jeśli nie wyłączne źródło prawdy, ujawniając autentyczną wiarę w jego świętość i boski rodowód — jak to czyniły główne kierunki reformacji. Przezwyciężenie atmosfery umysłowej, która narzucała autorytet Pisma, wymagało całych stuleci intelektualnego naporu myśli racjonalnej; jeszcze w XVIII w. powoływał się na nie Linneusz w pracach o klasyfikacji botanicznej. Wiadomo też było, że przy pomocy biblijnego tekstu można bronić dowolnych poglądów na niezliczoną ilość tematów. Jednakże dla plebejskich odłamów reformacji Pismo nie stanowiło bynajmniej środka sekuracji: z autentyczną wiarą w jego nieomylność atakowały one Kościół rzymski jako siedlisko Antychrysta, który ideały ewangeliczne zaprzepaścił i zdradził, a w samym Piśmie, w szczególności w Nowym Testamencie, odnajdywały lub konstruowały przez odpowiednie interpretacje wątki plebejskie, hasła równościowe, zasady moralnego rygoryzmu i wstrzemięźliwości, nakazy ubóstwa i pracy — wszystko, czego Kościół rzymski był antytezą. Jest zjawiskiem godnym uwagi, że od IV wieku poczynając sekty heretyckie budowały swoją ideologię z hasłem wyłącznego oparcia się na tekście biblijnym; hasło to było identyczne z odrzuceniem wszystkich dekretów i uchwał dogmatycznych Kościoła jako „ludzkich wymysłów" czy zgoła dzieła szatańskiego. Jeśli niektórzy wybitni nominaliści średniowieczni (np. Jan z Salisbury) bronili swego stanowiska dowodząc, że Księga Rodzaju nie mówi nic o stworzeniu universaliów, czy jeżeli np. Komensky bronił atomizmu demokrytejskiego powołując się na słowa: „z prochu powstałeś", to zabiegi te miały nie większe znaczenie niż konwencjonalne deklaracje religijne, spotykane np. u Newtona czy Darwina; ale utopijny komunizm katharów czy lewicy franciszkańskiej nie miał istotnie innego źródła, którym mógłby uzasadnić swój program społeczny; nie miały go również rewolucyjne hasła Tomasza Münzera. Co więcej, plebejskie kierunki reformacji pospolicie przeciwstawiały swoją zasadę powrotu do nieskażonego ducha pierwotnego chrześcijaństwa — uczoności scholastyków i kazuistów kościelnych. Ideologowie klas upośledzonych i poniżonych, utrzymywanych w ciemnocie i ignorancji, występowali nierzadko wobec Kościoła z tą samą programową pogardą dla „mędrkowania" uczonych kościelnych i z tą samą nieufnością do „rozumu", który jawił im się tylko w zwyrodniałych i obcych formach scholastycznych dystynkcji, z jaką nurty chrześcijaństwa pierwotnego, noszące na sobie piętno plebejskiej genezy, obracały swoją niechęć „prostaczków" przeciwko elitarnej filozofii rzymskich arystokratów. Metoda Grzego-

rza Pawła zdradza podobne osobliwości; przekonaniu o sprzeczności „słowa bożego" z „rozumem" towarzyszy radykalne potępienie tego ostatniego i uznanie Pisma za jedyne źródło całej wiedzy, jaką warto posiąść; sam wyraz *philosophia* ma dla niego zabarwienie pejoratywne jako coś nieuchronnie przeciwstawnego „szczeremu słowu bożemu" (s. 61); z pogardą dla kultywowanej przez scholastyków „nauki Platonowej albo Arystotellesowej" (s. 99) łączy się zaufanie do Boga „prostaczków", który „pokazał nam słowem swym wsze Szatańskie zrady" (s. 27). Metoda argumentacji Grzegorza Pawła — zresztą znacznie wyraźniej sformułowana jako program w *Różnicach teraźniejszych* [2] niż w *Prawdziwej śmierci* — nie ma też, przynajmniej na pozór, innego narzędzia, jak tekst biblijny. Wykazuje tedy np. przy jego pomocy, że Pismo nie oddziela duszy od ciała i mówi zawsze o całym człowieku, że termin „dusza" nie oznacza w Piśmie żadnej odrębnej substancji niematerialnej, że obiecane przez nie nagrody i kary dotyczą ciała ludzkiego, że myślenie dokonuje się całkowicie przez czynności cielesne, zwłaszcza serca, że śmierć i rozkład dotykają człowieka całego, nie zostawiając żadnego składnika bezcielesnego, który by nie podlegał zepsuciu. Z tego punktu widzenia metoda ta odcinała się swoim programowym irracjonalizmem od założeń poznawczych zachowawczego skrzydła arianizmu, które żądało interpretacji Pisma w duchu wymogów „naturalnego" myślenia i przystosowania jego zawartości do wyników otrzymanych w drodze racjonalnej dialektyki; w kontrowersjach filozoficznych wczesnego arianizmu obserwujemy przypadek — niezmiernie pospolitego w całej epoce feudalizmu — zjawiska, kiedy to radykalizm społeczny nie kojarzy się bynajmniej w sposób naturalny z radykalizmem filozoficznym, będącym raczej instrumentem bardziej ugodowych politycznie i konformistycznych odłamów antyfeudalnego obozu. Nie Grzegorz Paweł, ale Szymon Budny rozpoczyna w XVI w. nurt, który się stanie tradycją racjonalizmu późnosocyniańskiego XVII wieku i deistycznej „rozumowej religii" Wiszowatego. Jednak również w ocenie irracjonalizmu stosowanej przez Grzegorza metody dobrze jest zachować umiar. Kiedy lewica ariańska domagała się werbalnego pojmowania treści Pisma, chodziło jej przede wszystkim o postulaty moralne i społeczne, które można w nim było odczytać; chodziło po prostu o to, żeby rozumieć dosłownie zasady ubóstwa kleru i równości ludzi, obowiązku porzucania swojego mienia i hasła wspólnoty majątkowej [3]; bez względu na autentyczny sens, jaki miały owe hasła w II stuleciu, kiedy pisano i redagowano kanoniczne pisma chrześcijańskie,

---

[2] Grzegorz Paweł z Brzezin: *O różnicach teraźniejszych...*, opr. K. Górski i W. Kuraszkiewicz, Wrocław 1954: czytamy tam m. in.: „...Wszytki namowy mądrości ludzkiej, kthore się z rozumem zgadzają, wnet ustąpią prostocie a głupstwu Bożemu, ktore iest mędrsze niźli wszyscy ludzie, a przez ktore umyślił Bog zbawić wierzące. W czym abyś zaniechawszy iuż filozofiey a odłożywszy na stronę rozsądek rozumu twego, poddał się w posłuszeństwo Duchowi Świętemu, Mistrzowi a wodzowi prawdy, barzo cię oto prosimy" (s. 26); „my, kthorzy nic nie mowiemy ani wierzymy, iedno co Duch S. w piśmie mowi..." (s. 46); „Nie mnimaymy, aby Heretykowie rozumkami y plotkami ludzkiemi łacniey mogli być zwyciężeni niżeli słowem Boga żywiącego..." (s. 92); „Thakżeć też rozum z filozofią mowi, że śmierć wiernym iest zginieniem... Ciała zmartwychwsthanie iest rozumowi potworą y wszytek zakon krześciański nie rozumem, ale wiarą bywa rządzon i uczon" (s. 99).

[3] Pisze o tym m. in. Z. Ogonowski w pracy *Filozoficzna i społeczna ideologia Braci Polskich*, *„Myśl Filozoficzna"*, 1—1955, s. 71—73.

arianie mogli bez trudu — jak to wielu ich poprzedników czyniło — skomponować przy pomocy cytatów z Nowego Testamentu cały program utopijno-komunistyczny, który właśnie przy literalnym rozumieniu objawiał im swoje polityczne wartości. Przeciwnie — interpretacja ortodoksalna musiała owym zwrotom ewangelicznym przypisywać treść symboliczną i na tyle „uduchowioną", aby nie można ich było wyzyskać przeciwko kościelnej hierarchii. Natomiast w kwestiach filozoficznych reguła werbalnego trzymania się tekstu Pisma była dla Grzegorza bardziej programem i bardziej zapewnieniem o własnej wierności słowu bożemu, niż rzeczywiście stosowaną metodą: ostatecznie wszystkie jego wywody wymagały nie mniej wysiłku egzegetycznego niż rozważania racjonalistycznie usposobionych filozofów, którzy chcieli przystosować treść objawienia do żądań naturalnego światła rozumu. W rezultacie Grzegorz Paweł objaśnia i interpretuje Pismo jak wszyscy inni, a niekiedy posługuje się również argumentami od Pisma niezależnymi. Długie rozważania nad wieloznacznością słów „ciało" i „dusza" w Biblii nie mogą, oczywiście, powoływać się na zasadę ślepego posłuszeństwa dla dosłownie rozumianego tekstu. (Z tego punktu widzenia sytuacja wczesnej lewicy ariańskiej z jej kultem dosłownie pojmowanego Pisma, kończącym się często w praktyce na swobodzie egzegetycznej, jest analogiczna do sytuacji wielu sekt drobnomieszczańskich: kilkadziesiąt lat później kolegianci holenderscy żyli dokładnie w takiej samej sprzeczności.) Natomiast irracjonalizm postawy Grzegorza widoczny jest w okoliczności, że Pismo stanowi rzeczywiście niemal jedyne oparcie jego rozważań — bynajmniej nie środek zabezpieczenia; nadto, że teza o cielesności i śmiertelności duszy nie jest dla Grzegorza Pawła naukowym stwierdzeniem, ale czysto politycznym hasłem: likwidacji „obmamienia" kościelnego, które pozwala duchownym utrzymywać swą władzę i czerpać dochody z oszukiwania prostaczków.

Dowodzenie cielesności i śmiertelności duszy przy pomocy tekstu biblijnego nie było, jak wydaje się sądzić prof. Górski [4], zjawiskiem wyjątkowym i niespotykanym w dziejach filozofii, zarówno przed czasami Grzegorza Pawła, jak i znacznie później. Na Biblię, wedle świadectwa Józefa Flawiusza, powoływali się wiele wieków wcześniej Saduceusze, którzy również mieli żądać literalnego pojmowania tekstu i wyznawali naukę o śmiertelności duszy oraz moralność bezinteresowną, wolną od nadziei pośmiertnej zapłaty [5]. Wyłącznie na tekście biblijnym opiera się w swoim dziele *O śmiertelności duszy* kilkadziesiąt lat późniejszy tragiczny rebeliant żydowski, Uriel da Costa, z którego pracy ocalały do naszych czasów trzy rozdziały, zachowane w refutacji da Silvy [6]. Da Costa niemal przy wyłącznym użyciu cytatów ze Starego Testamentu (raczej w celach politycznych, bo, jak skądinąd wiadomo [7], uważał prawo Mojżeszowe za dzieło ludzkie) — często tych samych, które spotykamy u Grzegorza Pawła — wykazywał, że nie ma różnicy między duszą ludzką i zwierzęcą, że człowiek rodzi się drogą naturalną i podobnie

[4] K. Górski: *Grzegorz Paweł z Brzezin*, Kraków 1929, s. 238.

[5] por. J. F. Buddeus: *Introductio ad historiam philosophiae Ebraeorum*, Halae sax. 1720, s. 86—92.

[6] Znam to pismo z rosyjskiego przekładu: Uriel da Costa *O smiertnosti duszi*, Academia 1934, por. zwł. s.s. 98—101, 110, 114, 134—137.

[7] *Exemplar humanae vitae* (łac. i pol.), 1933, s. 28.

umiera — bez nadziei na zmartwychwstanie lub życie bezcielesne; że Bóg rozdziela nagrody i kary w ziemskim, skończonym życiu; że o wiele wyższa jest postawa moralna ludzi, którzy nie spodziewają się zapłaty za swoją cnotę: że moralność nie wymaga sankcji pozaziemskich i że wiara w nieśmiertelność rodzi różne zabobonne obrzędy w postaci modlitw za zmarłych itp. oraz niedorzeczne praktyki ascetów i eremitów; że człowieka czeka po śmierci „studnia milczenia, kraina mroku i ciemności śmiertelnych, gdzie światło nie przenika" [8]. Materialności duszy bronił również tekstem biblijnym *Lewiatan* Hobbesa [9], głoszący, podobnie jak Grzegorz Paweł, wiarę w powtórne zmartwychwstanie i wieczny żywot cielesny, obiecany tylko zbawionym, a śmierć wtórą i ostateczną dla potępionych [10]; teoria zmartwychwstania nie miała zresztą dla radykalnego materialisty, Hobbesa, żadnego sensu filozoficznego — traktował ją wyłącznie jako użyteczne narzędzie sprawowania władzy politycznej. Przypuszczalne elementy źródeł mozaistycznych można również dostrzec w materializmie Spinozy; w każdym razie przekaz jego pierwotnego biografa, który mówi m. in., że Spinoza na podstawie biblijnego tekstu uznał cielesność duszy ludzkiej i Boga [11] znajduje pewne ślady potwierdzające w *Traktacie teologiczno-politycznym* [12]. Zgodność swojej teorii duszy śmiertelnej i materialnej z Biblią okazywał jeszcze w XVIII wieku spinozysta niemiecki, Fryderyk Wilhelm Stosch [13]. Ci, którzy w takich wywodach mieli na uwadze tylko tradycje mozaistyczne i korzystali wyłącznie z tekstów Starego Testamentu, znajdowali się w sytuacji stosunkowo nietrudnej; styl religijny mozaizmu był w istocie nader mało — rzec można — spirytualistyczny; a liczne teksty, jak np. Księga Joba lub Psalmy, dawały się łatwo cytować jako dowody cielesności i zniszczalności całego człowieka; Stary Testament, jak wiele dokumentów religii pierwotnych, zawiera niemało prymitywnego quasi-materializmu, nie związanego, oczywiście, z żadną doktryną filozoficzną, ale po prostu z realistyczną wyobraźnią pasterskiego ludu. (Stąd m. in. pochodziło popularne w średniowiecznej teologii żydowskiej, w swoim czasie zwłaszcza u rabinów francuskich, pojmowanie Boga jako istoty cielesnej, którego obalaniu sporą część swego głównego dzieła poświęcił Mojżesz Majmonides [14].) Trudniejsze zadanie mieli ci, którzy te same idee musieli potwierdzić tekstami całego kanonu chrześcijańskiego: dowodzić materialności i śmiertelności duszy na podstawie ewangelii i listów Pawła jest zaiste przedsięwzięciem karkołomnym. Podejmując taką pracę, Grzegorz Paweł nie mógł też dotrzymać wierności zasadom werbalnego rozumienia tekstu, tak samo, jak nie mogli werbalnie rozumieć Starego Testamentu ci, którzy chcieli doprowadzić mozaizm do formy bardziej spirytuali-

---

[8] *O śmierci...*, s. 113.

[9] *Lewiatan*, przekł. C. Znamierowskiego, Warszawa 1954 (ss. 350—354, 558—591, 402—403).

[10] tamże, ss. 359, 399—401, 409, 550, 561.

[11] *Życie Benedykta Spinozy*, tłum. L. Kołakowski, zamieszczone w wyd. *Etyki*, Warszawa 1954, s. 386—387.

[12] B. d. Spinoza, *Opera*, ed. C. Gebhardt, Heidelberg b. d. t. III, s. 19, 25; Teksty te nie dotyczą bezpośrednio sprawy duszy, ale cielesności Boga, którą przypisuję mu, wedle Spinozy, Biblia, którą jednak on sam pojmuje inaczej.

[13] Por. L. Bäck: *Spinoza's erste Einwirkungen auf Deutschland*, Berlin 1895, s. 50—53.

[14] por. Moïse ben Maimon: *Le guide des égarés*, trad. S. Munk, t. I, 1856, zwł. I, 1 (s. 33—37).

stycznej; musiał uciec się do prostych może w zestawieniu z kazuistyką kościelną, niemniej dosyć zawiłych operacji egzegetycznych, aby cel swój osiągnąć.

Celem tym, jak wspomniano, było obalenie chrześcijańskiej nauki o bezcielesności duszy, o istnieniu odrębnego substratu przeżyć, zdolnego wieść życie samorządne poza ciałem. Ataki na kościelny dogmat nieśmiertelności osobniczej i bezcielesności duszy stanowiły już od kilku wieków jeden z naczelnych tematów scholastyki opozycyjnej, a wywodziły się genetycznie z walki przeciwko zasadzie posłuszeństwa, narzucanej przez Kościół wiernym w imię wiecznego zbawienia. Ataki te przybierały postać wieloraką. Jedną z ważniejszych była teoria tzw. monopsychizmu, oparta na pewnej interpretacji arystotelizmu, a przejęta na gruncie filozofii chrześcijańskiej z twórczości myślicieli arabskich — Al Farabiego, ale głównie Awerroesa — oraz niektórych pisarzy żydowskich, przede wszystkim Ben Ezry i Ben Gersona. Doktryna ta zakładała, że człowiek uzyskuje swoją indywidualność oraz samowiedzę osobniczą dzięki połączeniu, w jakie wchodzi powszechny i jeden dla wszystkich rozum ludzki z określoną porcją materii — ciałem człowieczym; dusza animalna, którą człowiek posiada na równi ze zwierzętami, podlega razem z ciałem unicestwieniu; natomiast dusza rozumna, tzw. intelekt bierny, bytuje nieśmiertelnie, ale tylko w postaci jednej, ogólnej i bezcielesnej istoty, do której powraca niejako duch jednostkowy, zatracając indywidualną świadomość. Ta platonizująca forma negacji nieśmiertelności osobniczej łączyła się z pewną szczególną postawą moralną: życie jednostkowe pojęte było jako źródło nieszczęścia, indywidualność oznaczała samotność duchową, byt cielesny nadawał duszy piętno poniżenia, a powrót do niezróżnicowanej duszy powszechnej uchodził — podobnie jak w niektórych wierzeniach wschodnich — za szczęśliwe zakończenie ziemskich samotniczych peregrynacji [15]. Ta wersja negowania nieśmiertelności jednostkowej zachowała długo swoją żywotność w czasach renesansu włoskiego, podtrzymywana przez padewskie środowisko awerroistyczne. Inne formy monopsychizmu o bardziej materialistycznym zabarwieniu powstawały w epoce Odrodzenia na gruncie doktryn panteistycznych, gdzie pojmowano śmierć jako rozkład całkowity człowieka, którego dusza traci świadomość odrębną i niejako wtapia się ponownie w „czynną zasadę" świata — szczególny fluid materialny, bytujący wszakże nie ponad sferą podksiężycową ziemskiej materii, ale immanentny wobec świata, tkwiący w nim jako źródło aktywności i ruchu. Wyznawcą takiego poglądu — nawiązującego do tradycji stoików — był m. in. Bernardino Telesio; u schyłku Renesansu pogląd ten doszedł do głosu w pismach Tomasza Campanelli. W obu wypadkach, odmawiając nieśmiertelności odrębnym umysłom jednostek, przyjmowano istnienie szczególnego substratu zjawisk psychicznych, w którym dusza poszczególna partycypuje: wielu materialistów, interpretując

[15] Robert Browning ukazał tę postawę w ślicznym poemacie *Rabbi Ben Ezra:*

What is he but a brute,
Whose flesh has soul to suit,
Whose spirit works lest arms and legs want play?
To man, propose this test —
Thy body at its best,
How far-can that project thy soul on its lone way?

(Shorter Poems, 1909, s. 140)

te zjawiska w sposób przyrodniczy, doszukiwało się dla nich — wzorem Demokryta — osobnego gatunku materii, różnego od ciał, uczestniczących w fizjologicznym życiu organizmu (jeszcze de la Mettrie był wyznawcą podobnej koncepcji [16]). Natomiast arystotelizm w wersji tzw. aleksandrynistycznej (tj. wywodzącej się od Aleksandra z Afrodyzji) pojmował duszę jako funkcję ciała, więc jako czynność, nie zaś odrębny, choćby materialny, substrat przeżyć [17]. Ta interpretacja, znana m. in. dobrze we Włoszech z ogłoszonego w 1516 r. traktatu Piotra Pomponacjusza *O nieśmiertelności duszy* [18], jest najbardziej zbliżona do omawianej rozprawy Grzegorza Pawła. Prof. Górski wspomina [19], że problematyka nieśmiertelności duszy była rozważana wśród włoskich antytrynitariuszy przebywających w Polsce i że, jakkolwiek nie pozostały dokumenty drukowane z tych roztrząsań, mogły one mieć wpływ na podjęcie kwestii nieśmiertelności przez Grzegorza Pawła. Stanowisko tego ostatniego każe przypuszczać, że gdyby istotnie oddziaływanie włoskich tradycji dało się bliżej ustalić, z największym prawdopodobieństwem można by je wiązać z materializmem aleksandryjskim (sam tekst dzieła przemawia zresztą za tym, że problematyka nie była w obozie antytrynitarskim zupełnie nowa; albowiem „Antykryst", jak się dowiadujemy, nazywał arian „Epikurami" (s. 60); w ówczesnym języku filozoficznym epikureizm oznaczał właściwie to samo, co negacja nieśmiertelności i mająca stąd wynikać moralność „używania ziemskiego").

Grzegorz Paweł kwestionuje w istocie wszelkie — choćby materialnie pojęte — złożenie człowieka, w którym część myśląca miałaby stanowić osobny składnik. Przeciwnie, „jasnie wyrozumieć możesz, żeć dusza nie iest co rozdzielnego żywego od człowieka. Ale człowiek iest duszą do czasu żywiącą" (s. 56). „Jedenżeć tho człowiek ciało y dusza, ale ciałem zowie, iż śmiertelny. A duszą, iż theż iest nieśmierthelny s sthrony odrodzenia y przyszłego zmartwychwstania". „Ciało" i „dusza" są to zatem dwie nazwy tej samej rzeczy, ale z dwóch punktów widzenia rozważanej: jako śmiertelnej i ginącej — na ziemi oraz jako nieśmiertelnej po zmartwychwstaniu. Ten sam człowiek, w całości ginie bez reszty w chwili śmierci; ten sam ma w przyszłości zmartwychwstać. Słowa „ciało", „dusza" i „duch" mają w Piśmie sens wieloraki. „Ciało naprzod znamionuje trupa albo ścierw", po wtóre „każdą rzecz prawdziwą dotkliwą", po trzecie „cielesną obliczność (tj. obecność) albo bytność", po czwarte „on grzech w człowiecze mieszkający", po piąte „człowieka całego żywego" (s. 51—53). „Dusza" w licznych tekstach Pisma ozna-

---

[16] *Człowiek-maszyna*, Warszawa 1953, s. 73—74.

[17] Tomasz z Akwinu tak referuje doktrynę aleksandryjską: *„Alexander posuit intellectum possibilem esse aliquam virtutem in nobis... posuit praedictam virtutem non esse fundatam in aliqua intellectuali substantia, sed consequentem commixtionem elementorum in corpore humano" — Summa Philosophica*, Parisiis 1925, II, 62.

[18] Pietro Pomponazzi *De immortalitate animae*, a cura di G. Gentile, Messina-Roma 1925, zwł. roz. IX i X. *...quoniam intellectus humanus est in materia... et ipsum intelligere quodam modo est in materia, sed satis accidentaliter, quoniam intellectui, qua intellectus est, accidit esse in materia, non tamen in aliqua parte corporis ponitur ipsum intelligere, sed in toto categorematice sumpto..."* (s. 67). Pomponazzi demaskuje również obłudę argumentacji doktrynerów kościelnych, dowodzących, że wiara w nieśmiertelność jest warunkiem cnoty i szczęścia ludzkiego (s. 95—100).

[19] *Grzegorz Paweł z Brzezin*, s. 235.

cza po prostu człowieka żywego, gdzie indziej życie, jeszcze gdzie indziej ducha życiowego, na koniec człowieka odrodzonego po zmartwychwstaniu (s. 53—64). Słowo „duch" ma aż jedenaście znaczeń (s. 86—89), ale w żadnym nie oznacza odrębnego, niematerialnego składnika ludzkiej istoty. W związku z tym śmierć zabija całego człowieka: „Aczci wszedzie, gdzie weyrzysz po prostu, pismo mowi, iako człowiek umiera y iako Zmartwych wzbudzon będzie; nic nie wyimuiąc, coby w nim nie umierało y Zmartwych wzbudzone niemiało być (s. 33). Psalmista powiada, że kiedy człowiek umiera „ani znać, kędy było mieysce iego", „a na then czas poginą myśli iego" (s. 34, 35). Również zapłata w niebiesiech nie duszę wynagradza, ale człowieka, tj. ciało. Na podstawie niektórych zwrotów Grzegorza Pawła można przypuszczać — jakkolwiek nigdzie nie sformułował tego wyraźnie — że przewiduje żywot wieczny dla sprawiedliwych, skazując innych na śmierć wieczną; z reguły bowiem utożsamia on, a raczej wiąże w jednoznacznym przyporządkowaniu, nieśmiertelność z odrodzeniem człowieka „z ducha bożego", ze stanem owego „człowieka wewnętrznego" z listów Pawła (s. 84, 85, 89). Widać stąd, że nieśmiertelność — pogląd spotykany później w socynianizmie — jest nagrodą cnoty, a potępienie nie polega na mękach piekielnych, ale na śmierci zupełnej. Rozdział zbawionych i potępionych ma klasowe oblicze niedwuznacznie zarysowane: „iż Łazarzowie ubodzy, nędzni a wzgardzeni wierni, którzy tu leda gdzie dla prawdy uciśnieni stękają y umieraią, wstaną Zmartwych do wiecznego żywota. A ludzie niewierni, zbytheczni (tj. rozpustni, żyjący w zbytku), bogaczowie roskoszni, niemiłosierni, pyszni wstaną na wieczne potępienie" (s. 90). Można by powiedzieć, że w odwróconej — z punktu widzenia klasowej treści — koncepcji państwa bożego i królestwa ciemności, rodu Abla i plemienia Kainowego — groźby rzucane wrogom stają się bardziej humanitarne: nie męki wieczyste, ale śmierć wtóra i nicość oczekują grzeszników. (Zupełnie tę samą koncepcję zmartwychwstania, potępienia i zbawienia przyjmuje, jak wspomniano, Hobbes jako składnik postulowanej przez siebie religii państwowej.)

Że soteriologia Grzegorza — przy wszelkich próbach materialistycznego objaśniania człowieka — zachowuje charakter pozaziemski, że dzieło zbawienia dokonać się ma poza życiem doczesnym i tylko moc boża zdolna je będzie urzeczywistnić — okoliczności te tłumaczyć można tak samo bodaj, jak analogiczne doktryny plebejskiego kacerstwa średniowiecznego i renesansowego. Tam, gdzie nienawiści do klas rządzących nie mogła towarzyszyć nadzieja społecznego przewrotu i gdzie w szczególności doktrynalne natarcia nie wiązały się z praktyczną walką rewolucyjną, gdzie sytuacja społeczna ukazywała beznadziejność jakiejkolwiek perspektywy ziemskich przeobrażeń i narzucała klasom uciskanym poczucie bezsilności wobec warunków własnego życia, przeciwko którym protest praktyczny nie miał innego oręża jak miecz drewniany Gonesiusa — wizja wyzwolenia przenosiła się nieuchronnie w legendarną krainę królestwa Chrystusowego, na które każdy może sobie moralnie z a s ł u ż y ć, ale którego nie może materialnie wywalczyć; dla ostatecznego spełnienia dzieła sprawiedliwości nie podobna było zaiste odnaleźć sił przyrodzonych. Czy dałaby się ustalić prawidłowość generalna, na mocy której doktryny plebejskie, powstałe bezpośrednio z orężnej walki drobnomieszczaństwa i chłopstwa, nadają, stosownie do siły erupcyjnej ru-

chu rewolucyjnego, bardziej ziemskie znamiona swojej nauce o zbawieniu? Trudno dać odpowiedź stanowczą: z pewnością idea zbawienia w doktrynie Münzera jest bardziej ziemska i nieporównanie więcej pokłada ufności w aktywności ludzkiej jako narzędziu emancypacji, niż można to wyczytać z pism Grzegorza. Pewne jest także, że historyczna tendencja ideologii plebejskich, obserwowana w skali stuleci, zmierza w kierunku coraz bardziej uświadomionego przeobrażania soteriologii w politykę, wbrew Kościołowi, którego główna funkcja ideowa polegała wszakże od wieków na tym, aby w życiu mas zastąpić politykę przez soteriologię.

Jak widać, doktryna antropologiczna Grzegorza Pawła, rozważana z punktu widzenia gatunków i form myślenia materialistycznego, reprezentuje typ prymitywnego materializmu mitologicznego, gdzie całkowita integracja człowieka w ramy cielesnego bytu łączy się z uznaniem znacznej części eschatologii religijnej — całej mitologii stworzenia, zbawienia, zmartwychwstania i życia wiecznego; jest to typ zbliżony formalnie do skrajnie irracjonalistycznego pseudo-materializmu Tertuliana, który nie tylko duszy, ale i Bogu przypisywał wszystkie cielesne własności, zachowując przy tym w całości wszystkie szczegóły soteriologii chrześcijańskiej i traktując objawienie jako nie tylko rozstrzygające w wypadkach wątpliwych, ale jedyne źródło potrzebnej ludziom wiedzy o świecie. Powiadam — formalnie — ponieważ doktryna Tertuliana wymierzona była nade wszystko przeciw pozostałościom racjonalistycznej myśli świeckiej filozofii pogańskiej i żywym jeszcze tradycjom nauki antycznej; irracjonalizm Grzegorza Pawła godzi natomiast głównie w pozorną uczoność scholastycznej kazuistyki i całą tradycję filozoficznych autorytetów kościelnych, którą ideolodzy klas uciskanych i nieoświeconych społeczeństwa feudalnego z reguły przedstawiali jako bezbożne rezonerstwo, nie umiejąc jej przeciwstawić równie sprawnych metod argumentacji i równie wyrobionych umiejętności pseudoracjonalnej erystyki. Filozoficzny prymitywizm tych elementów materializmu, które zawiera traktat Grzegorza, jest zrozumiały: materialistyczny pogląd na przyrodę, który jest wszakże, mówiąc słowami Engelsa, „niczym innym, jak po prostu pojmowaniem przyrody taką, jaka ona jest, bez wszelkich postronnych dodatków" [20] — może uzyskać dojrzałe formy wyrazu tam tylko, gdzie chodzi również o pojmowanie przyrody, gdzie więc rodzące go bodźce polityczne kojarzą się z motywacjami poznawczymi, z dążeniem do interpretacji zjawisk przyrodniczych i społecznych, a więc na gruncie rozwoju myślenia naukowego, który sam, rzecz jasna, ma z kolei swoje społeczne uwarunkowania.

Społeczne źródła swojej argumentacji Grzegorz Paweł ujawnia z dostateczną świadomością, aby nie wymagały one osobnej egzegezy wyjaśniającej. „Na tych duszach postanowił (sc. Antychryst) Kościoły, Kaplice, Odpusty, Załomsze y kuchnią swą, stąd u ludzi prostych do thych miast niemoże upaść ten Czyściec ani Msza, iż się boią o thy to dusze. Wzywanie też Świętych thym więcey się im zda pothrzebnieysze, iż sobie myślą o duszach w Niebie..." (s. 31). „Co wszytko iest fałsz, a iawne szyderstwo zmyślenia Antykrystowego, kthore utwirdził na swe łakomstwo y Kupiectwo, aby tak dostał Miast, Zamkow, Wsi, Płatow y dziesięcin. A tak nabudował Kościołow, Kaplic, Oł-

[20] *Dialektyka przyrody*, 1952, s. 205.

tharzow na każdym mieyscu, strasząc lud wymysły swymi y iawnymi zdradami, doiąc thak głupi a zniewolony lud y thym Czyscem wyczyściając obory, mieszki y kalety ubogich ludkow" (s. 32).

Demaskując w ten sposób dogmat niematerialności i nieśmiertelności duszy jako szalbierstwo kościelne, używane dla wyciągania pieniędzy od oszukiwanych ubogich, Grzegorz odsłania zarazem związek, łączący tę naukę z innymi dogmatami katolickimi, które służą tym samym celom. Teoria owej dwoistej natury ludzkiej jest, jego zdaniem, podstawą dla chrześcijańskiej doktryny dwóch natur Jezusa (s. 29) i w ogóle dogmatu trójcy, a także dla kościelnego pojmowania chrztu oraz interpretacji sakramentu eucharystii jako realnej obecności Chrystusa w opłatku — „chlebowego Krysthusa", jak powiada (ss. 38—39, 48, 61, 76). Wielokrotnie w toku rozprawy powraca motyw walki z dogmatem boskości i odwieczności Chrystusa (ss. 48, 86, 96, 97) — uznawanych przezeń we wcześniejszym, trydeistycznym okresie — zasada, iż „nie duch Boży iest Syn Boży, ale człowiek Krystus Jezus z ducha S. poczęty" (s. 97). Radykalny, judaizujący monoteizm ariański, w którego kształtowaniu chrystologia Grzegorza Pawła była etapem jeszcze nie ostatecznym [21], główne ognisko dogmatyczne starcia z Kościołem rzymskim, miał ten sam w swojej istocie społeczny sens, jak walka Ariusza z Atanazym, rozgrywana dwanaście wieków wcześniej na soborze nicejskim i zakończona, pod naciskiem cesarza, zwycięstwem trynitaryzmu kościelnych wielkorządców: negowanie dogmatu trójcy, a więc negowanie boskości Jezusa było podważeniem wiary w bezpośrednio boski rodowód rzymskiego Kościoła, którego Jezus miał być fundatorem. Wyzuty z boskich atrybutów, pozbawiony przedwieczności i podwójnej, bosko-ludzkiej natury, zepchnięty z poziomu konsubstancjalności z Bogiem-Ojcem do poziomu człowieka-mesjasza, Jezus stawał się przede wszystkim nauczycielem mądrości moralnej i tłumaczem „Zakonu Bożego", a nie twórcą dogmatów, odnowicielem sprawiedliwości ziemskiej, a nie założycielem wielkiego biurokratycznego urzędu kościelnego: „duch krysthusow iest duch Boży, pokorny, cichy, niegniewliwy, niepopędliwy, nieswarliwy, niemściwy, ale miłości pełen y przeciwko nieprzyiaciołom swym... A dał nam Bog Syna swego stakim duchem, Aby y nas takimi uczynił przez thegosz Syna swego ieslibychmy go słuchali" (s. 97). Ten sam duch boży tkwił również, choć w mniejszym stopniu, w niektórych prorokach (s. 98). Posłannictwo Jezusa nabierało w ten sposób moralnego charakteru: jego misja zbawicielska polegać miała na tym, że przykładem swojego życia i nauczaniem pomógł ludziom zdobyć nową moralność i wiarę, dające zbawienie: mitologia zbawienia w takim ujęciu pozostawała nietknięta, podważona była natomiast cała historia odkupienia, na której zasadzała się legalność i prawomocność władzy politycznej Kościoła jako spadkobiercy dzieła Jezusa. Cel ostateczny dzieła Mesjasza był poza życiem doczesnym, natomiast środki, których używał, miały ziemski charakter: udoskonalenie moralne ludzi. Uzależniając w ten sposób sprawę zbawienia od wiary i moralności, unitaryzm, w radykalnej wersji, uniezależniał ją od uczestnictwa w określonej gminie wyznaniowej; negacja boskości Chrystusa odbierała tedy wszelkie

[21] O ewolucji chrystologii Grzegorza Pawła podaje wiadomość cyt. praca Konrada Górskiego, zwł. roz. 5, 6 i 7.

usprawiedliwienie jednemu z naczelnych haseł duchownej hierarchii: poza Kościołem nie ma zbawienia; odbierała, w istocie, cały sens istnienia feudalnej organizacji kościelnej. Stąd wywodziła się głównie społeczna doniosłość, stąd zaciekłość chronicznych walk wokół — na pozór fantastycznej tylko i urojonej — problematyki chrystologicznej i trynitarystycznej; sprawa boskości Jezusa i charakteru jego misji ziemskiej była sprawą uprawnienia papiestwa do sprawowania nad masami swoich wiernych politycznej, umysłowej i finansowej dyktatury. Dogmat trójcy był łatwo przeliczalny na pieniądze — wielkie pieniądze duchownych feudałów i rzymskiej kurii.

Warto zauważyć, że w polemice dogmatycznej Grzegorza Pawła można usłyszeć chwilami echa nominalizmu (niedwuznacznie proklamowanego w *Różnicach teraźniejszych* [22]), który, jak wiadomo, oprócz funkcji teoriopoznawczych, metafizycznych i politycznych — był zaangażowany aktywnie w liczne kontrowersje dogmatyczne: w szczególności jedna z zasad nominalizmu, która przeczyła zachodzeniu realnej różnicy pomiędzy rzeczą i cechą rzeczy, była wyzyskiwana dla okazania niemożliwości dwóch natur Jezusa oraz likwidowała całą teologiczną problematykę, dotyczącą stosunku Boga do jego atrybutów. Chyba można doszukać się odgłosów tej problematyki w takim oto wywodzie: „A thym nie dowodzą dusz Antykrystowych, aby dla tego duchowie iacy z ludzi mieli gdzie teras mieszkać, przeto iż pismo tak mowi, że się wraca Duch. Abowiem wraca się słowo Boże, wraca się zdrowie choremu y niemoc ona dawna zdrowemu, a wżdy słowo Boże nie iest osobą iaką żywiącą, choć bieży prętko y wraca się, ani zdrowie iest też co samo osobne w rzeczy, iż się wraca do chorego. Bóg wzywa tych rzeczy, kthore nie są iakoby były" (s. 82). Mamy tutaj — mówiąc językiem zmodernizowanym — nominalistyczny atak na teorię odrębności substancjalnej procesów myślenia, czy też raczej, jak w tym wypadku, procesów życia: nie wolno hipostazować cech lub czynności ciała i przekształcać ich w odrębne i różne od ciała byty; życie nie jest samodzielnie istniejącym przedmiotem, ale czynnością ciała: przypomina to — zachowując wszystkie proporcje — polemikę Gassendiego z Descartes'em w sprawie odrębnego, niematerialnego substratu przeżyć, a także — sięgając do tradycji polskiego antytrynitaryzmu — obiekcje Wolzogena przeciw dualizmowi kartezjańskich *Medytacji* [23].

Jednocześnie Grzegorz Paweł demaskuje obłudę kleru, który wysuwa racje moralne dla wiary w niematerialność dusz i ustanawia fikcyjną łączność między tą wiarą a życiem czystym moralnie: „ci, ktorzy nawięcey tymi duszami ludzi zwodzą, nahaniebnieyszy żywot wiodą, iaki się y między Pogany nie nayduie" (s. 45). „Cić są Epikurowie, ktorzy o on żywoth wieczny nic niedbaią, a światu, Diabłu y ciału służą, napełnieni Obżerstwem, Opilstwem, Cudzo-

---

[22] *O różnicach teraźniejszych...*, (s. 103). „...człowieczeństwo iest ludzkie abo człowiecze, a człowiek nie iest człowieczeństwa iakiego synem" (s. 108—109). „Troyca thak nie może być Bogiem, iako czworakość Ewanielistów nie może być iednym Ewanielistą abo żeby człowieczeństwo miało znaczyć iakiego Cesarza abo człowieka" (s. 123—124). „Bo Istność nie iest ci Duch ani rzecz żywiąca... lecz iest proste nazwisko, kthorem zwać możemy wiele rzeczy..."; „...Bo tho samo słowo stan przez się nic pewnego nie znaczy, aż rzecz pewną przyłączysz do niego".

[23] por. L. Chmaj: *Wolzogen przeciw Descartes'owi*, Archiwum Komisji do badania historyi filozofii w Polsce, 1915, t. I, cz. I, s. 127—130.

łostwem, Nierządnościami, Roskoszami... Ktorzy choć otych swych fałszywych a nieśmierthelnych duszach twirdzą, a wżdy żywot nie pobożny wiodą y kupiectwo ustawiczne w budach swych prowadzą tymi to duszami" (s. 28). Skromna to jeszcze — pod względem teoretycznym — krytyka, bo odwołująca się ostatecznie w moralistyce do „wiecznego żywota", ale w połączeniu z ziemskim charakterem wypowiadanych przez Grzegorza nakazów etycznych nie bez znaczenia dla procesu laicyzacji świadomości moralnej w ideologii antytrynitarskiej.

Piszący niniejsze nie jest w stanie ocenić roli, jaką książeczka Grzegorza Pawła odegrała w środowisku Braci Polskich, ani jej wpływu — zdaje się, niewielkiego — na rozwój ich teologicznej i filozoficznej doktryny. Jest to jednak dokument wielce interesujący zarówno z uwagi na swoją wyjątkowość w polskiej literaturze — nie tylko renesansowej — jak również jako świadectwo ogólnoeuropejskiej żywotności tej problematyki, która w epoce Odrodzenia i XVII w. wydała szereg pod wieloma względami podobnych, a często zupełnie niezależnie powstałych utworów, poświęconych kwestii niematerialności i nieśmiertelności duszy. Problem ten w późniejszej literaturze filozoficznej zachował zawsze szczególnie silny aspekt moralny i polityczny. W rozwoju myślenia materialistycznego, w zakresie zagadnienia nieśmiertelności, ważniejszym i trudniejszym, niż okazanie n a u k o w e j nicości i bezzasadności chrześcijańskiej wiary, było m o r a l n e uwolnienie człowieka od wiary w nieśmiertelność osobniczą: przezwyciężenie opartej na chrześcijańskich tradycjach moralnej postawy wobec śmierci, trwogi przed utratą ciągłości w świadomości jednostkowej; przezwyciężenie katolickiego i protestanckiego kultu śmierci (protestantyzm, jak świadczą o tym nie tylko pisma jego czołowych pisarzy, ale nawet tradycje renensansowego malarstwa niemieckiego, miał szczególne upodobanie do tego tematu) — przy pomocy zasady, wyrażonej znanym aforyzmem Spinozy: „Człowiek wolny o niczym nie myśli mniej niż o śmierci, a mądrość jego jest rozmyślaniem nie o śmierci, lecz o życiu" [24]. Dla Kanta nieśmiertelność duszy była postulatem moralnym dlatego, że na gruncie rozumu spekulatywnego nie można jej było dowieść ani obalić; chodziło o to, aby z jednej strony uwolnić naukę od tej problematyki, z drugiej strony — ocalić tradycyjną wiarę jako moralność poza nauką; okazanie fikcyjności wiary w nieśmiertelność osobniczą jest dla współczesnego materializmu raczej postulatem moralnym niż naukowym — jednak nie w wyniku słabości teoretycznego myślenia, które w tym zakresie okazuje łatwo swoją moc dowodową, ale na skutek charakteru owego wierzenia, które bez względu na wygasłe źródła poznawcze utrzymuje żywotność dzięki źródłom natury moralnej. Zagadnienie nieśmiertelności duszy nie istnieje obecnie jako kwestia naukowa; istnieje natomiast jako kwestia moralna — jednakże ta właśnie strona problemu zawsze nadawała mu intelektualną żywotność. Z tego punktu widzenia dokumenty pisarskie minionych epok, poświęcone tej sprawie, zawsze muszą budzić zaciekawienie filozofujące.

[24] *Etyka*, cyt. wyd. IV, 67.

Leszek Kołakowski

POETA SERCA

J e r z y F i c o w s k i: *Po polsku*. Warszawa 1955, „Czytelnik"; str. 118, 2 nlb.

Ficowski pisze tak, jakby chciał wzbudzić w czytelnikach przeświadczenie, że u niego, co w sercu, to i na języku, że on to tak p o p o l s k u, mosterdzieju, z prosta pisuje, w tonacji „co się komu w duszy gra". Nie powinno nas jednak zwodzić ani upodobanie poety do podejmowania tematyki prywatnej (życie rodzinne), ani podkreślanie swobodnego tonu wypowiedzi, improwizacyjnego niejako charakteru wierszy rozbijaniem regularności metrycznej i stroficznej. Ficowski nie jest poetą naiwnym, spontanicznym, jest on świadomym swoich celów i swego kunsztu stylizatorem.

Stylizatorstwo Ficowskiego czerpie z dorobku pieśni ludowej (*Wycinanka kurpiowska, Trzy piosenki*), ale nawiązuje ono również chwilami do tradycji „ludowości" literackiej, podchwytując, jak np. w *Fujarkach mojego dziadka*, tonację uczuciową żywo przywodzącą na myśl *Ballady i romanse:*

> Osiemdziesiąta wiosna i druga
> ptakiem się puszy zielonym.
> Dziadek co roku fujarkę struga
> i gra w te słowa, w te tony —

to znów wskrzeszając typ stylizacji stosowanej przez Lenartowicza (*Mowa*), Or-Ota (*Pospólstwo*), Konopnicką (*Śpiewka o mogile i życiu*).

Skrzywdzilibyśmy jednak poetę dopatrując się w nim wytwórcy pseudoludowych pastiche'ów, produkowanych na modłę kurierkowych krakowiaków Kazimierza Laskowskiego (choć np. *Trzy piosenki* — to rzeczywiście wypisz-wymaluj poetyckie produkta mistrza Ela). Motywy ludowe wykorzystuje poeta i przetwarza w sposób nieraz bardzo swoisty i oryginalny (np. w *Rozstajach*), świadczący, iż nie upodobanie do dziarskich śpiewek w rytmie obertasa zwróciło jego zainteresowania ku twórczości ludu, ale przyczyny daleko ważniejsze i bardziej istotne. Jest bardzo prawdopodobne, że zainteresowania te obudził w Ficowskim tłumaczony przez niego Garcia Lorca. Zaoszczędźmy sobie jednak tworzenia wpływologicznych hipotez. Sprawą daleko ważniejszą i godniejszą uwagi jest fakt, że stylizatorstwo Ficowskiego nie ogranicza się do spraw „obróbki" tekstu, że jest ono dla poety jednym z centralnych zagadnień wewnętrznej problematyki jego pisarstwa.

Dla Ficowskiego stylizacja nie jest podrabianiem cech zewnętrznych cudzej twórczości, lecz próbą twórczej kontynuacji, próbą wyklarowania stylu, zdolnego jak najmocniej i najpełniej wyrazić problematykę i ton życia duchowego współczesności, a jednocześnie wiążącego w sposób jak najbardziej naturalny — niemal organicznie — praktykę poetycką naszego pokolenia z żywym i ważnym dla nas, inicjującym twórczo spadkiem artystycznym pokoleń dawnych. Ta koncepcja stylizacji twórczej działa nie tylko w wymiarze historycznym, lecz także i geograficznym — jako metoda asymilacji treści zaczerpniętych z kultur obcych:

> Przybył gotyk do naszej ziemi,
> lud mu kształt po swojemu odmienił.

Obce style spolszczył, owiślił,
żeby były po jego myśli,

żeby przybysz daleki ze świata
z mazowiecką topolą się zbratał.

Tak rozumiana sytuacja przestaje już być poetycką igraszką. Znaczenie jej nie wyczerpuje się w tworzeniu takich czy innych efektów literackich. Stanowi ona narzędzie ekspansji żywej, twórczej kultury, która chce zagarniać i wcielać w siebie możliwie najwięcej jak najróżnorodniejszych treści, która chce się bez żadnych ograniczeń rozrastać, bogacić i komplikować. Ale i kultura nie jest dla Ficowskiego dziedziną autonomiczną i samowystarczalną: wyznacza ją i określa rzeczywistość społeczna. Z niej ona wyrasta i ona zarazem jest jej sprawdzianem i ostateczną sankcją:

Trzeba umieć ojczyzny niemało,
aby obce — rodzonym się stało.

Być poetą zatem, to być tym, który najczyściej, najjaśniej, najpiękniej m ó w i p o p o l s k u. Tytuł tomiku więc to nie tania fanfaronada ani też pretensjonalne wywyższanie się ponad „społem siedzących". Jest w tym tytule deklaracja poety, jego wyznanie wiary a zarazem zobowiązanie. Mamy wobec tego pełne prawo rozważać jego poezję pytając za Norwidem: „czy dosłownie Naród on spowiadał".

I tu zaczynają nas nawiedzać wątpliwości. Wątpliwości te są dwojakie. Przede wszystkim: zadajmy sobie pytanie, czy dumna zapowiedź mówienia „po polsku" nie jest mimo wszystko uzurpacją, bo już w samym podkreślaniu owej polskości kryje się ujawniona wyraźnie tendencja do zmonopolizowania jej dla siebie. A przecież polskość pojmowana jako stały i niezmienny „charakter narodowy", to koncepcja zasadniczo ciemna i mglista, to jest raczej coś, co się wyczuwa, odgaduje („Strasznie wiele odgaduję, tak p o p o l s k u coś miarkuję"), niż z n a jako przedmiot intelektualnej analizy. Dlatego różni mogą bardzo różnie tę polskość pojmować. A w ogóle polskość ujęta w kategoriach psychologii zbiorowości — to (mimo podkreślania, że chodzi o polskość l u d z i) jakby kompas bez igły magnetycznej: pojęcie z gruntu mętne, intelektualnie zawodne i zwodne.

A teraz wątpliwość innego kalibru, ale również bardzo istotna: czy próba realizowania polskości poezji przez stylizatorstwo, nawiązywanie do wzorów powstałych w dawnych epokach nie stwarza niebezpieczeństwa przytłoczenia żywej, własnej twórczości naszych czasów autorytetem tradycji?

Zastrzeżenia te mają charakter nie ogólno-teoretyczny, ale ściśle praktyczny i wiążą się bezpośrednio z lekturą tomu Ficowskiego. Precyzując sprawę dokładniej: psychologicznym punktem wyjścia była dla nich próba dokładniejszego rozważenia charakterystycznych cech i właściwości „ja lirycznego", którym jako swoim medium posłużył się poeta w omawianej książce. Owo „ja liryczne" nie jest u niego — jak to często się zdarza poetom, którzy nie potrafili wyklarować sobie określonej postawy myślowej wobec świata — nieskoordynowaną mnogością, mgławicą stanów psychicznych, zbiorem pojedynczych wrażeń, nastrojów, refleksji, ale jednolitą, konsekwentnie wytrzymaną p o s t a c i ą l i t e r a c k ą. Jest to wizyjny portret, wzorcowy wizerunek, mający nas nauczyć, „jakim poeta być powinien". W wizerunku tym Ficowski stara się szczególnie uwydatnić fakt ścisłego związku poezji z konkretnymi przeżyciami poety i ze światem jego myśli. Koncepcja ta zbliża się nieco do koncepcji autentystów, żądających, aby poeta materiał do swych utworów czerpał wyłącznie z własnych rzeczywistych przeżyć. Ficowski poszerza to założenie, akceptując jako ważne poezjotwórczo również doświadczenia wewnętrzne autora (pisze więc np. wiersz o Gandhim, którego nie mógłby napisać ortodoksyjny autentysta, jeżeli nie był w Indiach i nie zetknął się osobiście z Mahatmą). Ta koncepcja rozszerzonego i pogłębionego autentyzmu doświadczeń życiowych stanowiących materiał poezji, to jakby uzupełnienie omówionej poprzednio filozofii sztuki Ficowskiego postulatami etycznymi.

Więcej jednak niż ta ogólnikowo zarysowana etyka artysty interesuje nas psychologiczna sylwetka owego wzorcowego modelu poety. Sylwetka ta stylizowana jest na „poetę serca", wyraziciela uczuć najprostszych a zarazem najpowszechniejszych:

Ja chwilom chcę nadawać imię,
— to cóż, że nikłe są, że małe —
aby, gdy wielki czas dojrzeje

i z chwil wyrosną piękne dzieje,
wnuk nie zapomniał o dziewczynie,
którą kochałem.

Stylizowana jest ona również na polskość, na tę najniewątpliwiej rdzenną, stuprocentowo rodzimą polskość, której kanon ustaliła poezja romantyczna. Jest w wierszach Ficowskiego pewna przesada w akcentowaniu prostoty i bezpośredniości wypowiedzi, pewien odcień afektacji w podkreślaniu łączności tej poezji z ziemią, ludem, tradycją narodową, pewien ton demonstracyjności w odżegnywaniu się od patosu, hasłowości, „rzeźbiącego profil epoki" wieszczenia; i jest także pewna ostentacyjność w podkreślaniu, że źródłem natchnień są dla poety sprawy życia obserwowanego z perspektywy ludzkiej powszedniości, z perspektywy codziennego bytowania i codziennej pracy.

Stylizacją tą podkreśla Ficowski swoje radykalne odcięcie się od poezji hasła i sloganu, od liryki wielkich słów, nie zawsze mających pokrycie w realnym przeżyciu wewnętrznym autora. Buntując się przeciw ekstremizmowi nagiej idei, sformułowanej artystycznie byle jak, z pozą na umyślną brutalność i antyestetyczność. Ficowski sam zapędził się w inne skrajności — będące prostym przeciwieństwem tamtych.

W wierszu o Gandhim na przykład (*Mitologia*) poeta przeciwstawiając się zasadniczo ideologii Mahatmy („Nie z tego świata było mężne milczenie samotnych głodówek"), stara się jednak ukazać wielkość hinduskiego proroka, składa hołd ideowemu przeciwnikowi. No tak, ale łatwo to zrobić w wypadku Gandhiego, nie jest to bowiem sprawa, która obchodziłaby nas bezpośrednio. Tego rodzaju problematy łatwo roztrząsać ze spokojem, z maksymalną dozą obiektywizmu. Jako próba antysloganowej poezji politycznej — czy nawet szerzej rzecz ujmując: światopoglądowej — *Mitologia* nie wypada przekonywająco: samo bowiem centralne zagadnienie tego utworu jest zbyt teoretyczne, nie wymaga stuprocentowego zaangażowania się. Takie zaangażowanie się mamy w wierszu *Rozmowa*, atakującym zagadnienie grożącego ze strony imperializmu niebezpieczeństwa wojny atomowej. Ostatnia strofa tego utworu brzmi:

— Czuwam wspólnie. Nie jestem sam.
Walczę. Wrogom sen płoszę z powiek.
Jestem wszędzie — i tu, i tam:
człowiek.

Człowiek! Wielkie słowo! Czy nie za wielkie, nie za ogólnikowe? W chwili obecnej nie liczymy na mitycznego „człowieka", na abstrakcyjną „ludzkość"; nasza nadzieja szuka oparcia w pewnym konkretnym zespole ludzi, związanych wspólnotą światopoglądową. Tych spraw nie należy przemilczać, należy nazywać je po imieniu, inaczej bowiem na miejsce sloganu podstawiamy pozbawiony określonej treści ogólnik.

Drugie niebezpieczeństwo, które, moim zdaniem, grozi Ficowskiemu, to nadmiar prywatności, zamienianie twórczości pisarskiej w liryczny raptularz spraw prywatno-osobistych pana autora i jego rodziny. Takim ściśle raptularzowym zapisem, z lekka tylko upoetyzowanym, wydają mi się np. *Narodziny*. Co do utworu *Twój śmiech i uśmiech*, to sądzę, że może on być bardzo miły dla kogoś, kto otrzymuje go jako poetycki upominek od bliskiej osoby, ale umieszczanie w tomiku prywatnej wierszowanej korespondencji o bardzo nikłym walorze artystycznym to chyba jednak przesada. Powiedziałbym wręcz: w liryce „światopoglądowej" i osobisto-familijnej Ficowskiego za dużo jest — jak na mój gust — stylizowania na bezpośredniość, naturalność, za dużo podkreślania, że te rzeczy pisane są „z serca do serca", za dużo robionej i demonstracyjnej spontaniczności.

Ficowski nie poprzestaje jednak na wierszach tego typu, znajdujemy w jego książce również utwory o innym charakterze. Chodzi mi w tym wypadku przede wszystkim o lirykę opisową i ballady. W balladach (*Ballada o kozich kopytkach, Cygańska siódemka*) umie on posłużyć się bardzo wynalazczo motywami pieśni i baśni ludowej, podporządkowując wszystko, co w opracowaniu tego wiersza było artystowskim środkiem warsztatowym, pisarską „sztuką chytrą", folklorowym pierwiastkom utworu, osiągając w ten sposób nie efekt stylizacji czysto naśladowniczej (jak np. w *Trzech piosenkach*), ale jakby wyższą, należącą już do literatury ogólnonarodowej fazę zastosowań poetyki pieśniarstwa ludowego. Mówiąc

o liryce opisowej Ficowskiego myślę zwłaszcza o niektórych utworach cyklu *Z wierszy o Starówce*, w których zanika zupełnie wszelkie rozczulenie i roztkliwienie, a miejsce ich zajmuje płynna, w mocne rygory intelektualnej koncepcji ujęta narracja poetycka o tonie epickiej opowieści:

> By danego dotrzymać słowa,
> łuk portalu napiąć od nowa,
> wygładziła kamień jak rzeka
> wytężona ręka człowieka.

Wiersze o Starym Mieście nie są lirykami okolicznościowymi. Sprawa odbudowy uzyskuje w nich perspektywę szerszą: staje się egzemplifikacją wszelkiego działania kulturotwórczego w ogóle, wszelkiej pracy o walorze humanistycznym, porządkującej zgodnie z rozumną wolą człowieka pozaludzki chaos. W zbyt czułym i zbyt skłonnym do rozczulania czytelników „poecie serca" dostrzegamy poetę kultury. Ten drugi, poważniejszy i bardziej męski profil Ficowskiego-liryka zarysowuje się bardzo interesująco w wierszach takich jak np. *Gwiazda acetylenu*, *Pomnik przodownika*, w których autor próbuje nawiązać do poetyki Przybosia, aby wyciągnąć z niej wnioski o praktycznej ważności dla własnego wierszopisarstwa. Te utwory, to jakby eksperymentalne sprawdzanie żywotności czyjejś koncepcji poezji, jej zdolności do przekształcania się, jej przydatności dla odmiennych osobowości pisarskich. Taki eksperyment wyrasta ponad stylizatorstwo; należy on do pewnego działu krytyki: poetyckiej krytyki doświadczalnej (jest to zjawisko literackie analogiczne do parodii; parodia sprawdza jednak style poetyckie przez *reductio ad absurdum*, eksperymentatorstwo typu Ficowskiego zaś — przez próbę ich aklimatyzacji w odmiennym mikroklimacie psychicznym). Duże wyczucie dramatyczności spraw kultury znajduję w wierszu *Rozstaje*, w którym poeta określa społeczną genezę swej twórczości oraz jej ścisły związek ze świadomością socjalną i moralną żywego człowieka, obywatela kraju budującego socjalizm.

Poeta żywych dramatów świadomości współczesnego człowieka i poeta kultury — oto, co dostrzegam w Ficowskim przez nawarstwienia dość minoderyjnej czułostkowości, przez jego zdrabniający, pieszczotliwy stosunek do świata, przez familijne ciepełko jego nazbyt serdecznych i wielokrotnie nazbyt słodkich wierszy. Zagadnienie — moim zdaniem — polega na tym, aby Ficowski zdecydował się na pisanie mniej „po polsku", mniej „z serca do serca", mniej ćwierkająco, mniej pieszczotliwie. Nie sądzę, żeby groziła mu wtedy oschłość, przerost intelektualizmu. Wiersze takie, jak np. *Rzeka*, *Bystrość*, świadczą, że emocjonalność musi się u niego stale i koniecznie łączyć z czułostkowością; wiersz *Spod daszka dłoni* jest najlepszym dowodem, że motywy bardzo osobiste i bardzo „sercowe" można wyrazić bez szkody dla wzruszenia metaforą na wskroś intelektualistyczną. Inny przykład bardzo intelektualnej a zarazem bardzo sugestywnej emocjonalnie metafory odnajduję w zamknięciu wiersza *Rekonstrukcja:*

> Wiem: miała głowę samotrackiej Nike
> i Wenus milońskiej dłonie.

Ficowski jest poetą dbającym o myślową podbudowę swego pisarstwa. Posiada on już swój program poetycki. I za to go cenimy. Program ten jednak nosi na sobie piętno intelektualnego niedopracowania i niebezpiecznej skrajności, o czym już była wyżej mowa. I dlatego musimy z Ficowskim polemizować, atakować go, nie pozwalać mu na pieszczotliwe liryczne rozczulanie się nad światem, sobą, Wisełką, sikoreczką, kwiatuszkiem, grzebyczkiem. Nie przez złośliwość bynajmniej, ale ponieważ tego poetę stać na coś więcej niż na to, by został Karpińskim naszej epoki.

Stefan Lichański

ROMANTYK NASZYCH CZASÓW

Stanisław Skoneczny: *Jak gałąź*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1955; str. 60, 4 nlb.

Jak gałąź to najlepsza z wydanych dotychczas książek Skonecznego. Ponieważ jednak — jak to powiada poeta — „piętnem globu tego niedostatek", znajdujemy również w omawianym tomiku rzeczy nie nazbyt zachwycające. I od nich właśnie zaczniemy.

Na str. 36 zbiorku trafiamy na wiersz *Żniwa*, w którym autor pisze:

Niech będzie upał pełny! Nie pragną opadów
ludzie, którzy się cieszą rozpoczęciem żniw.

Kiedy o „możliwości opadów pochodzenia burzowego" słyszymy w komunikacie PIHM, słuchamy cierpliwie, kiedy jednak fachową prozą tych komunikatów zaczyna przemawiać poeta, ogarnia nas lekka irytacja. Albo ten „upał pełny": „piwo pełne", „ser pełnotłusty" nie zakłócają naszej równowagi duchowej, od „upału pełnego" robi się jednak cokolwiek zimno. A jak się wam podoba taka oto rymowanka:

Co on robi? Buduje, bo jest inżynierem.
Wyższe studia ukończył dopiero po wojnie.
Przed wrześniem — bezrobotnym był tylko
monterem.
O swej pracy z zapałem długo mówił do
mnie.

Istotnie: „Co on robi?", pytamy z niepokojem, do którego upoważnia odczytanie takiej strofy.

Przystrajanie w rymy nie zorganizowanego artystycznie materiału dzieła, literackiego „półfabrykatu" to jedna ze skrajności, w które zapędza się Skoneczny. Drugą z nich jest nadmiar poetyczności, ckliwego sentymentalizmu. Oto, np. wizja przyszłych czasów wystylizowana, ach, tak czule, jakby autor dopiero co wstał od lektury powieści Florence Barclay:

Kochać wtedy prosto nam przypadnie
każdy widok i każde spojrzenie:
podniesiemy kwiat tkliwie, gdy spadnie
z drzewa, jakby był ludzkim westchnieniem.

„Liryka, liryka, tkliwa dynamika..." Cytuję Gałczyńskiego nie w celach czysto zdobniczych. Przecież i autor *Niobe* nieraz poprzestaje na bardzo powierzchownej obróbce literackiej, pozostawia fragmenty (lub nawet całe utwory) w stadium artystycznego niedokształtowania albo też posługuje się sentymentalną poetycznością w stylu staroświeckich romansów cygańskich. Gałczyńskiego i Skonecznego zbliża zresztą do siebie tylko jedno: nonszalancką poetyki. Gałczyński skłonność do operowania bądź to rudymentami poezji, bądź też pseudo-poezją banału zdołał sobie uświadomić i przeobrazić na metodę budowania swoistych, celowo stosowanych efektów. U Skonecznego skłonność ta przejawia się raczej spontanicznie i dlatego bywa zazwyczaj w jego poezji czynnikiem dezorganizującym, niszczącym artystyczną strukturę utworu.

Wysoką temperaturą emocjonalną swych wierszy, żywiołową pasją walki o drogie sobie sprawy, a zarazem i ową nieumiejętnością obliczania artystycznej skuteczności stosowanych środków wyrazu, pogardą dla „wszelkiej sztuki chytrej" przypomina Skoneczny nie tyle Gałczyńskiego, ile raczej innych kwadrygowców: przede wszystkim Ciesielczuka (z którym łączy go i upodobanie do tematyki wiejskiej, i pokrewieństwo stylu poetyckiego) a także Sebyłę, Maliszewskiego, Dobrowolskiego z wczesnej fazy ich twórczości. Jego poezja — mimo wyraźnie widocznych w przedwojennym zbiorku *Ziemia była szeroka* wpływów awangardy — spokrewniona jest mocno z liryką wspomnianych wyżej kwadrygowców i wydaje się wręcz jej, bynajmniej zresztą nie epigońską, kontynuacją.

Nie zadecydowały o tym wpływy czysto literackie, ale podobieństwo sytuacji społecznej, w jakiej startowali pisarsko zarówno poeci „*Kwadrygi*" jak i Skoneczny oraz wielu jego rówieśników. Sytuację tę odmalował bardzo sugestywnie w swym *Wspólnym pokoju* Zbigniew Uniłowski, dając frapujący przekrój losów tej ostatniej u nas cyganerii artystycznej, cyganerii z musu, zepchniętej przez warunki materialne do poziomu bytowania drobnomiesz-

czańskiego, skazanej przez klasową strukturę ustroju na rolę inteligenckiego plebsu. Młoda inteligencja pochodzenia robotniczego i chłopskiego a także młodzi uciekinierzy z szeregów mieszczaństwa oraz uboższej inteligencji znaleźli się na socjalnym pograniczu, poddani najrozmaitszym oddziaływaniom ideologicznym, pozbawieni na ogół stałej i ścisłej łączności ze środowiskami, z których wyszli, skazani w ogromnej większości na chroniczny i nader dotkliwy niedostatek, niewiele mogący żywić nadziei na lepszą przyszłość. Czyż można się dziwić, że u wielu z nich „barbarzyństwo" artystyczne było naturalną konsekwencją ich sytuacji życiowej i materialnej i że to „barbarzyństwo" akceptowali oni następnie jako swoisty indygenat artystycznego plebsu, zbuntowanego przeciw supremacji mieszczaństwa i inteligencji? U młodszych (jak właśnie Skoneczny) „barbarzyństwo" to stawało się już czymś oczywistym i normalnym: integralną właściwością ukształtowanej w takich właśnie a nie innych warunkach indywidualności pisarskiej. Jest ono jednym ze zniekształceń, jakim uległ talent poety pod naciskiem typowych dla tamtej epoki nienormalności ustrojowych.

Sprawą najważniejszą jest jednak to, że Skoneczny nie przestał być mimo wszystkich niedomagań i braków swego pisarstwa poetą twórczym i że nowy jego tom świadczy o stałym rozwoju. Świadczy on również, że, choć Skoneczny kilkakrotnie próbował swych sił jako epik, najpoważniejsze wyniki osiąga jednak w liryce. Był on i pozostał nadal lirykiem *par excellence*, lirykiem niesłychanie uczulonym na barwę emocjonalną momentu, zakochanym w urodzie chwil, w „absolutnej teraźniejszości" poetyckiego wzruszenia. „Słowem zakwitam, pieśnią rosnę", powiada o sobie bardzo trafnie jego „liryczne ja". Słowo Skonecznego, słowo rozkołysane rytmem wyznaczonym to grą napięć emocjonalnych, to znów pracą myśli sumującej doświadczenia i obserwacje, wyciągającej z nich wnioski, formuje się zwykle w klasyczne już dla naszej liryki dwudziestowiecznej układy wersyfikacyjne. Nie szuka ono dla siebie nowych kształtów wiersza, tak samo jak nie stara się wzmagać swej sugestywności precyzyjnie, wyraziście zarysowanym obrazem. Elementy wizualne utworu poeta podporządkowuje zazwyczaj potrzebom nastroju:

Jaskółki świergoczą ponad ziemią, wokoło
sieje wiatr rosę na szypułkach traw.
Trzepocze skrzydłami białopióry gołąb,
goniąc śmiech dzieci biegnących nad staw.

Nie o obrazowe przedstawienie jakiegoś fragmentu świata zewnętrznego chodzi w tej strofie (tak samo zresztą jak i w całym wierszu *Pogoda*, który ona otwiera), ale o zasugerowanie pewnych wrażeń, o wywołanie nastroju.

Liryka Skonecznego jest poezją wnętrza, jest zapisem reakcji psychicznych na różnorodne podniety, atakujące wrażliwość intelektualną, moralną i artystyczną pisarza. Dlatego też „ja liryczne" poety jest w niej wszechobecne i wszechwiedzące. Świat poetycki Skonecznego jest światem jego myśli i wzruszeń, jest określony jego sposobem widzenia, jego możliwościami interpretacyjnymi, jest — słowem — prywatnym wszechświatem poety.

Nie jest to jednak wszechświat romantycznego indywidualisty i egotysty, dla którego „nie-ja" ważne jest jedynie jako negacja „ja", jako wróg, z którym musi się toczyć walkę na śmierć i życie. Romantyczną wyobraźnią Skonecznego, budującą swój obraz świata z elementów bliskich jej uczuciowo, kieruje koncepcja postawy pisarskiej, jeżeli przypominająca romantyzm — to chyba tylko rewolucyjno-ludowy romantyzm w stylu Petöfiego. Gdyby Skoneczny się uparł, to mógłby — nie szukając dla siebie prekursorów za granicą — ogłosić się spadkobiercą poetyckim Berwińskiego, który właśnie tak nierozdzielnie kojarzył w swej twórczości romantyczny rewolucjonizm i ludowość.

Skoneczny wskrzesa tradycje romantycznej ballady. Wskrzesza je zarówno w utworach o wyraźnie balladowym charakterze, jak np. *Śmierć Federica Garcii Lorki* (nawiązująca do *Aresztowania Antonia el Camboria na drodze Sewilskiej) Z Dickensa*, *Sen*, *Dziwy*, jak i w pięknych elegiach (*W zadumie*, *Grób partyzanta*), w uroczych idyllach (*Schadzka*, *Dziewczyna*) a nawet w utworach w najściślejszym tego słowa znaczeniu lirycznych:

Wiatr biegnie, szumi u pęcin
swych liśćmi samotnych wierzb,

nad głową mi się okręci
trzepotem wylękłych dzierzb.

I stanie się ciemność, bo głębię
swoją odnajdzie noc.
Księżyc wyfrunie gołębiem,
nad ziemią rozpocznie lot.

Romantyczna jest również liryka refleksyjna Skonecznego. Jej filozoficznym punktem wyjścia jest kreacjonizm, widzenia świata jako materiału dla twórczej woli i myśli człowieka. Różnice jednak między tym kreacjonizmem a kreacjonizmem romantycznym są bardzo istotne. Kreacjonizm romantyków, czerpiący swe uzasadnienia filozoficzne z idealistycznej metafizyki, wierzący w prymat myśli wobec świata rzeczy, kładł nacisk na swobodę myślenia i budził fałszywe tęsknoty demiurgiczne. Ulegano wtedy złudzeniu, że myśl — skoro ona przecież jest najistotniejszą substancją wszechświata — może sama przeobrażać rzeczywistość pozapsychiczną, że wystarczy mocno i wytrwale chcieć, aby spowodować zmiany w świecie zewnętrznym.

...czuję w sobie, że gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Może bym sto gwiazd zgasił, a drugie sto
wzniecił...

Poeta socjalistyczny nie oddaje się we władzę mistyczno-metafizycznym automistyfikacjom. Na upartego można by się doszukiwać jakichś pogłosów fichteanizmu w wierszu Skonecznego *Myśl*, nie ten jednak utwór jest najbardziej reprezentacyjny dla jego poezji filozoficznej. W wierszach takich, jak *Murarz*, *Argonauci*, *Granit* wypowiada się Skoneczny jako reprezentant kreacjonizmu realistycznego, widzącego w człowieku twórcę nowych rzeczy, tego, który przeobraża rzeczywistość, a nie przeciwstawia jej fikcyjnych wszechświatów swojej demiurgicznej wizji:

Ustala czas granice formy,
którą ożywia myśl swą treścią.
Człowiek rozbija czas oporny,
jak głaz, co ziemi tej jest częścią.
I wznosi w pustych polach miasta,
przebija drogi, gwiazdy liczy,
bo już niedługo może gwiazdy
zwyciężyć myślą swą — jak życie
zwycięża śmierć.

Ten romantyzm nie ma nic wspólnego z modernistycznym neoromantyzmem. Romantyczny styl wypowiedzi i optymistyczny, zdobywczy entuzjazm rewolucyjnego romantyzmu łączy się w nim z antymetafizyczną, realistyczną koncepcją świata i losu ludzkiego. Jego optymizm jest optymizmem nie wykraczającym poza krąg rzeczywistości ziemskiej. Nie jest on też łatwym hurraoptymizmem dworaków rewolucji, bo choć poeta wierzy,

że nie nienawiść jest tą siłą,
która zwycięży, ale miłość —

widzi on jasno naszą rzeczywistość:

Przechodzę ziemią, by przeminąć
pod niebem jasnym albo bladym,
na mapie wciąż odkrywam ślady
znaczone błyskiem karabinów.

Romatyzm oparty na realizmie, choć nie gardzący poetycką fantastyką, romantyzm pogodzony z racjonalizmem, choć mocno akcentujący prawa uczucia... Ten swoisty romantyzm czasów socjalizmu to koncepcja ciekawie i oryginalnie zrealizowana przez Skoneczne go w jego lirykach. Czy nie pomogła mu do jej wykrystalizowania praktyka poetycka np. Szenwalda lub Dobrowolskiego? Kwestię tę zostawiam do rozstrzygnięcia przyszłym historykom literatury. Oni będą to wiedzieli lepiej niż my, lepiej nawet niż sam Skoneczny. Ja zadowolę się stwierdzeniem, że przekonywająca w najlepszych wierszach tomu artystyczna realizacja tej koncepcji poetyckiej świadczy, iż mimo wszystkich swoich błędów, potknięć, mimo wszystkich zasadniczych mankamentów swego talentu Skoneczny jest samodzielną, kroczącą własnymi drogami indywidualnością pisarską.

Stefan Lichański

ZIELONE SKRZYPCE

Jan Zych: *Zielone skrzypce*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1955; str. 91, 1 nlb.

Z przyjemnością czyta się te młodzieńczo świeże, naiwne czasem, ale pełne wdzięku liryki. „Tamta miedza to zielona ławka moja" — mówi poeta w wierszu *Moi nauczyciele*, a my przyjmujemy tę wypowiedź bez zastrzeżeń, bez podejrzewania w niej pozy i aktorskiego mizdrzenia się. Utwory, które złożyły się na debiutancki tom Zycha, nie powstały jako „literatura, ta papierowa reszta życia". Pełno w nich odwoływania się do faktów, pełno realiów branych wprost z codzienności, a nie z magazynu literackich rekwizytów.

Jest jeden ogród
w dzieciństwie mym.
Do niego czasem wracam —

zaczyna się przedstawiający rodowód własnej poezji wiersz Zycha *Zielone skrzypce*. Nie o symbolicznym ogrodzie jest tu mowa (ileż to takich ogrodów szeleszczących papierowym kwieciem alegorii rozkwitało w czasach moderny na stronicach tomików i łamach czasopism!), ale o realnym, rzeczywistym ogrodzie z rodzinnej wsi poety.

Zych stara się stworzyć własną poetykę, czerpiącą z doświadczeń bezimiennych pieśniarzy ludowych, ale nie będącą naśladownictwem ich metod tworzenia. Dlatego rozłamuje on strofę, rozbija regularność metryczną, szuka form wyrazu jak najbardziej własnych. Bruździ mu czasem skłonność do rozliryzowanego sentymentalizmu i zbyt natrętnie podkreślonych point, jak np. w zakończeniu *Brzeziny:*

Serce mam — śpiewne dziecinnie,
i twarde chłopskie ręce.
Powiedzcie płaczącej brzezinie,
by nie płakała więcej.

Strofa ta brzmi bardzo naiwnie, ale jest to typowa naiwność poezji spontanicznej, niezdolnej do obliczania z góry skuteczności swoich efektów i dlatego skazanej na pewną dozę przypadkowości w działaniu i osiąganiu swoich celów artystycznych.

Zych jest niewątpliwie poetą, ale wcale by mu to nie zaszkodziło, gdyby starał się być w większym stopniu niż dotychczas świadomym swoich zamiarów i konsekwentnie je realizującym artystą. Nic bowiem tak prędko i łatwo nie przechodzi w manierę jak właśnie poetycka żywiołowość i tzw. bezpośredniość.

To niebezpieczeństwo przeobrażenia talentu w maszynkę produkującą coraz bardziej seryjne wiersze jest tym większe, im bardziej spontaniczna i mniej poddana rygorom intelektualnej kontroli jest czyjaś twórczość.

W liryce Zycha dostrzegam pewne elementy, które, pogłębione i jaśniej wyklarowane, mogą ją uchronić przed wspomnianym wyżej niebezpieczeństwem. Poeta ten posiada silnie rozwinięte poczucie uczestniczenia w życiu zbiorowości. Nie ma u niego granicy pomiędzy liryką osobistą a liryką społeczną. Powiedziałbym nawet więcej: jeżeli np. w miłosnych wierszach Zycha i wspomnieniach z młodości pewien nalot literackiego konwencjonalizmu zaciera czasem wyrazistość artystycznego profilu poety, to w wierszach takich, jak *Temu, który zdradził człowieka, Kiedy miałem trzynaście lat, W tamten czas, Mały poemat, Ze wstydem, Tryptyk japoński*, ów profil zarysowuje się daleko mocniej. Nie chcę przez to powiedzieć, że te wiersze są najlepszymi spośród wszystkich zebranych w tomie, ale zawarty w nich ładunek pasji moralnej i ideowej porywa mimo wszystkich mankamentów literackiej obróbki, czyni je żywymi i sugestywnymi. Ten zaś krąg tematyki i problematyki wymaga od pisarza ciągłej pracy nad sobą, bezustannego rozwijania i pogłębiania wiedzy o świecie, stałego treningu intelektualnego.

U Zycha nie ma afiszującego się ofiarnictwa, które ostentacyjnie zarzyna swoje naturalne upodobania i skłonności na ołtarzu tzw. obowiązków wobec ogółu, z czego ogół zazwyczaj ma bardzo mało pożytku. Poeta ten jest tak samo sobą, kiedy zastanawia się nad tym:

jakim metrum ćwierka świerszcz,
gdy mu smutno —

jak i wtedy, kiedy przemawia jako poeta wsi, wyraziciel zbiorowości chłopskiej:

Znam wasze życie. Dobrze znam.
Umiem czytać ból i radość z waszych twarzy,
jak wy pogodę z wieczornego nieba,
bo przecież jestem z was...

Tomik Zycha jest interesującą i godną uwagi zapowiedzią. Właściwą jednak próbą sił pisarza bywa zazwyczaj praca nad drugą a nie nad pierwszą książką, mającą zawsze zapewniony kredyt zaufania jako właśnie książka debiutancka, w której nawet usterki, chropowatości, naiwności skłonni jesteśmy odczytywać jako manifestację nowego, chadzającego własnymi drogami talentu. Drugiej książki Zycha będziemy oczekiwali z dużym i życzliwym zainteresowaniem.

Stefan Lichański

PROBLEM „KUKUŁKI" I INNE

Jerzy Andrzejewski: *Złoty lis*, Warszawa 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 145 i 3 nlb.

Satyry Andrzejewskiego są zjawiskiem, które wywiera bardzo silne wrażenie i długo niepokoi czytelnika.

Tom *Złoty lis* obejmuje cykl dawniej pisanych satyr na tematy okupacyjne oraz kilka ostatnio powstałych satyr współczesnych.

Autor niekłamanie patetycznego obrazu polskiej „nocy"' okupacyjnej — tu występuje w okularach szydercy. *Kukułka* jest odwrotną stroną medalu *Nocy*. Jak w bajce zamaskowane są niewinnie wszystkie ponure „realia historyczne" czasu okupacji — szantaż, łapanki, rozstrzeliwania, Aleja Szucha i obozy. W groteskowych podrygach najautentyczniej ucharakteryzowani pajace uprawiają przed nami dziecinną zabawę w konspirację. Oszukańczą zabawę, w której cenę życia płacą „głupi"', bohaterscy „szarzy ludzie", a po nagrody historii sięgają dekujące się przezornie ważne figury „wielkiej polityki" — prawdziwe kukułki, zrzucające trud na innych. Dobrotliwie ironiczny rysunek postaci, daleki od smarowania czarnym i białym, dotkliwie podkreśla — zgodnie z intencjami autora — głupotę społeczeństwa, które na swoich barkach wynosi w górę takie pasożytnicze elementy, darzy je zaufaniem, „rządem dusz"'.

Przebudzenie lwa jest niesłychanie zuchwałą kompromitacją bohaterszczyzny. Na miejsce nowej wersji tradycyjnego kultu rycerstwa *à la* książę Józef — stawia satyryk obraz bezideowości i tchórzostwa przywódców, bezmyślności i awanturniczości bojowców, widowisko naiwności i intrygi, prywatnej konkurencji i zbrodni przeżerającej światek konspiracyjny. Groteskę swoją kończy autor okrutną kpiną-apostrofą: „Ojczyzno miła, czymże ty się wypłacisz bohaterom wolności?".

Co to jest? Krytyka głupoty czy pogarda narodu? Żart to czy prawda? Czy walka podziemna rodziła się tylko z nieodpowiedzialności i głupoty ambitnych blagierów? Jaki jest adres satyry, jaki zakres jej prawdy?

Utwory te datowane są z r. 1944, z miesięcy poprzedzających powstanie. Pogląd w nich zawarty nie narodził się z późniejszej wiedzy. Kogo dotyczy ten pogląd? Z obrazów kreślonych przez Andrzejewskiego wynika, że obserwował konspirację londyńską i prawicową i ją też miał na myśli, gdyż innej nie znał wtedy bliżej. Mowa w tych satyrach o konspiratorach pracujących dla Delegatury lub poszukujących zbawienia Polski w ideach „dynamicznego imperializmu etycznego..." Trzeba przyznać, że satyra mierząca w duchowych spadkobierców sanacji i Oeneru pasuje do tej formacji psychicznej jak ulał. Nieodpowiedzialność, bezmyślność, upajanie się blagą i krzykiem, a za tym gra prywatnego interesu i ambicji — to odpowiada smutnym, wielo-

krotnie poczynionym przez społeczeństwo doświadczeniom z owymi przywódcami. I trzeba stwierdzić, że satyry, jakkolwiek pisane przed powstaniem warszawskim, były w pewnej mierze antycypacją tej tragedii. Tak trafnie zaobserwował pisarz żałosny mechanizm przywództwa ideowego owej konspiracji. Zjadliwość idzie tu w parze z prawdziwym tragizmem spojrzenia: jak dobitnie ukazane zostało, że koszty rozgrywki bezczelnych interesiarzy, tchórzy i zgłupiałych ramolów — płaci swoim życiem porywcza młodzież.

Doniosłość satyr Andrzejewskiego, ich wielka ranga literacka polega właśnie na tym, że pisarz tak głęboko sięgnął, że piętnował schorzenia psychiki społecznej leżące u dna niejednej naszej narodowej tragedii: brak poczucia odpowiedzialności i realności, bezkrytyczność myślenia, zaufanie udzielane niegodnym. Wymagało nielada odwagi powiedzieć taką prawdę rodakom upajającym się odnowioną legendą rycerstwa polskiego... Ta odwaga uderzenia we własny naród jest, trzeba pamiętać, aktem bardzo bolesnym dla samego satyryka. Ze złożonych uczuć, nienawiści i bólu, powstaje namiętna wymowa prawdziwej satyry.

Namiętność bywa krzywdząca. Czyż bowiem sanacyjna i oenerowska konspiracja — to cały walczący w podziemiu o wolność naród? Tu jest granica prawdy i omyłki w satyrze Andrzejewskiego. Bo jednak siła jej ciosów, siła jej uczucia sprawia, że trudno zatrzymać się w interpretacji utworu na granicach ściśle przez literę tekstu wyznaczonych. Bo jednak trafia nie tylko w winowajców, ale i w cały naród. Czy dzieje naszego narodu nie zasługiwały w wielu momentach na tę gorycz wyrzutów? Tak. Ale zbytnia generalizacja tego poglądu, rozszerzanie szyderstwa na cały naród byłyby przekroczeniem granicy słuszności, przekroczeniem granicy kompetencyj moralnych satyryka. Z nakreślonego przez Andrzejewskiego obrazu wyziera sceptyczne pytanie: do czego jest zdolny taki naród? Wyziera wątpliwość, czy wysiłki tego narodu zdołają w jakikolwiek sposób zaważyć na jego rzeczywistości historycznej. Przerażające pytania objawiają zwątpienie pisarza, czy jest w społeczeństwie jakakolwiek siła realna.

Brak wiary w siłę człowieka ma zresztą u Andrzejewskiego charakter ogólniejszy. Od dawna, od początku jego twórczości wzrok pisarza szczególnie bystro dostrzega w działalności człowieka słabość, załamanie, urojenia. Nie tylko w satyrycznym ujęciu, lecz i w ujęciu dramatycznym podchwytywał Andrzejewski te rysy ze szczególną uporczywością i to nadało zabarwienie zarówno wczesnemu *Ładowi serca*, jak jeszcze *Popiołowi i diamentowi*. Z pasją tropił pisarz skłonność do upadku tego, co wartościowe w człowieku, tego, co piękne. Stąd tak często u niego obrazy zbrodniczości i zepsucia młodzieży; Michaś z *Ładu serca*, Alek z *Popiołu i diamentu*, a nawet i młody Zygmunt z *Wielkiego Tygodnia*. Zresztą — charakterystyczne — i mały Łukasz ze *Złotego lisa* załamuje się... Z takim liryzmem i psychologiczną subtelnością tworzone są młodzieńcze postacie u Andrzejewskiego, obdarzone tak przemawiającym czarem — że tym jaskrawsza jest ironia losu, jaki zawsze widzi przed nimi pisarz: skażenie, zbrukanie ich piękna. Takie widzenie natury ludzkiej wiązało się z katolickim pesymizmem autora, lecz dłużej od tych metafizycznych przesłanek przetrwało w artyście szczególne wyczulenie na słabość w człowieku. Owo bolesne przekonanie o bezsile człowieka tkwi także w podszewce satyry Andrzejewskiego na swój naród. Przetrwało to przekonanie i w satyrach współczesnych, gdzie autor przepaja atmosferą bezsiły piękną przypowieść o „złotym lisie"...

Bardzo mocna jest ta podświadoma wymowa twórczości Andrzejewskiego, choć świadome jego tendencje jako moralisty są zupełnie inne. Nie można bowiem zaprzeczyć, że jakkolwiek wzrok Andrzejewskiego najsilniej porażony jest widokiem zła, to cała jego twórczość wyraża protest przeciw temu, aby się godzić na codzienne życie obok zbrodni w mieszczańskim spokoju niezmąconego sumienia. I to właśnie doprowadziło Andrzejewskiego do poglądu, który chce zmieniać świat. Niepojętość współistnienia obok zbrodni ukazał on kiedyś wstrząsająco w *Wielkim Tygodniu* z tomu *Noc*.

(I nie można się zgodzić z Kijowskim, jakoby wymowa tego utworu miała dziś stracić na sile, okazać się przebrzmiała artystycznie). Ten protest przeciw możliwości życia obok zbrodni wyraża nadal cała jego twórczość (szczególnie mocno przejawiło się to w patosie *Popiołu i diamentu*). Ten protest właśnie, mimo goryczy obserwacji, nadaje jego pisarstwu aktywny charakter i pozytywny, konstruktywny kierunek.

Takie ogólne tło twórczości Andrzejewskiego wyjaśnia nam również wiele w jego satyrach. Pozwala nam zrozumieć ich gorycz i ostrość ataku. Przesada i karykatura są zresztą cechami twórczości satyrycznej i o tym należy pamiętać, gdy rozważamy kwestię, o ile Andrzejewski rozszerzył ponad słuszność adres swojej satyry. Satyra przestrzega odstraszając, toteż i nadwyżka goryczy ma w niej swoją rolę. Zgryźliwiec obrażony niesprawiedliwością widoku otaczającego świata — odpłaca mu też nie znającym powściągliwości i sprawiedliwości portretem. To jest specyfika satyry, która przeraża groźnym grymasem i dobrze jest, jeśli budzi protest, bo wtedy ma szanse zmienienia i wychowania człowieka.

Mimo tych uwag nie została tu jeszcze w pełni wyjaśniona kwestia kompromitacji bohaterstwa u Andrzejewskiego. Uderzając w głupców i oszustów lekkomyślnie eksploatujących porywy młodzieży, spisując to wszystko „na żywo", z bezpośredniej obserwacji przed „zakończeniem akcji", a nie z późniejszej wiedzy, dał Andrzejewski ogromnie cenne świadectwo historyczne. Ale... ale zbagatelizował przecież w jakiejś mierze skalę bohaterstwa zawartą w tych porywach. Mimo świeżości myślowej w tym odbrązowianiu zawarty jest jednak pewien błąd perspektywy. W *Kukułce*, wyprzedzającej na niewiele wybuch sierpniowy — traktuje autor motyw powstania jako łagodny niewypał. Rzeczywistość była inna. Przyniosła ona w tym względzie sprostowanie satyr Andrzejewskiego. Po doświadczeniu powstania utwory te nie mogłyby być napisane w tej samej postaci. Po doświadczeniu powstania miał Andrzejewski do wypowiedzenia tylko liryczny hołd złożony młodzieży powstańczej: *Warszawiankę* kończącą tom opowiadań *Noc*. Dalszej korektury jego poglądu na miarę bohaterstwa naszej młodzieży dowiósł też następny utwór pisarza, *Popiół i diament*. Tu sprawa oszukanego bohaterstwa młodych jest dramatem o dużej sile.

Czy jednak z satyr Andrzejewskiego nie można wyczytać uogólnienia, jakoby wszelka czynna w podziemiu walka o wyzwolenie narodu miała być dziecinadą? Trudno by było uznać taki morał, przekreślający sens postawy czynnej. Na ograniczeniu pola widzenia autora zaciążyć tu mogło, jak już wspominałam, utożsamienie konspiracji prawicowej z wszelką w ogóle konspiracją. To są przegięcia, które dałoby się wyczytać z wymowy owych utworów. Trzeba jednak pamiętać, że satyry stanowią tylko połowę obrazu, jaki przedstawił Andrzejewski. Drugą połowę ukazuje *Noc*. Dopiero zestawiając to szydercze widzenie z tamtym dramatycznym można sobie w pełni zdać sprawę z perspektyw ujęcia. A to ujęcie, mimo wyrażonych zastrzeżeń, uderza bogactwem i dociekliwością myślową w widzeniu zjawisk. W *Nocy* właśnie sonduje autor problem bohaterstwa, dostrzega go w całej pełni i dramatyzmie: ukazuje niewystarczalność nawykowej moralności wobec wymagań niezwykłych, ponad codzienną miarę. I ma odwagę jasno, jednoznacznie postawić sprawę. Ten znawca załamań ludzkich postuluje bohaterstwo, ukazuje, że alternatywą jest tylko zbrodnia. Historia nieefektownych zmagań ze sobą o bohaterstwo Jana Maleckiego jest jedną z najgłębszych rozpraw na temat obowiązku heroizmu.

Patrząc łącznie na satyry i *Noc*, widzimy wielką przenikliwość pisarza, który dostrzegł i dramat bohaterstwa, i dramat głupoty, wielką i małą stronę spraw.

Zdolność trafnego widzenia tej „małej" strony spraw historycznych (bez brania jej za wielką, jak to czynił „mały realizm") pozwoliła Andrzejewskiemu stworzyć w gatunku satyrycznym arcydziełka. Podkreślić bowiem należy ich celność artystyczną. Pisarz pokazuje niewątpliwy komizm sytuacyj, wynikający z odwrócenia w okresie okupacyjnym norm prawnych i gospodarczych, z przetasowania kon-

wencji społecznych, zawodowych, moralno-obyczajowych. Wskutek zdelegalizowania przez okupantów prawie całego życia społeczeństwa, które jednak z zakazami się nie liczyło i z życia nie rezygnowało (przypominam tu świetny obraz naszego bytu pod okupacją, nakreślony w esseju Wyki *Gospodarka wyłączona)* — powstał szereg sytuacji paradoksalnych, absurdalnych. Satyryczne stężenie tych obserwacji realisty bardzo sugestywnie odtworzyło klimat okupacji w powiastkach Andrzejewskiego.

Mistrzowski jest też skrótowy rysunek środowiska i typów społecznych. Niezapomnianą demonstracją sztuki realistycznej satyry był zresztą w *Wielkim Tygodniu* portret rodziny Piotrowskich. Zamiłowanie do satyry jest drogą do realizmu Andrzejewskiego, który zaczynał od dosyć abstrakcyjnego i apriorycznego psychologizowania w pierwszych swoich utworach. W *Drogach nieuniknionych,* a nawet jeszcze w *Ładzie serca* niejeden problem psychologiczny i konflikt tragiczny wynikał bardziej z wyspekulowanych, idealistycznych tez o człowieku — niż z obserwacji człowieka. Wzmożenie się nurtu satyrycznego łączy się z postępem realizmu twórczości Andrzejewskiego. Satyra towarzyszy jak cień dramatowi i wzbogaca widzenie artysty. Kapitalny przykład, jak charakterystyczne jest dla Andrzejewskiego połączenie tych dwu nurtów twórczych, stanowi *Popiół i diament.* Dał tu pisarz koncert satyry, ukazując nam błazeńskiego poloneza bankrutów historycznych, groteskę o patosie przypominającym aurę *Wesela.* „Z szlachtą polską polski lud", ironicznie zbratani pasożyci arystokratycznego i handlarskiego pochodzenia prowadzą pijacki taniec — ufni w tolerancję świeżo zrodzonej rzeczypospolitej ludowej.

I tu, w satyrach, ukazuje pisarz z niezawodną trafnością psychologiczną owe kukiełki, pełne próżności, ambicji, talentu „wypływania", tych niecierpliwych, oddających byle komu ster swego życia i zaufanie polityczne. Postaci te są u pisarza prawdziwe jak sama prawda statystyczna!

Budzące w tym czy w owym względzie chęć dyskusji — satyry okupacyjne Andrzejewskiego są w naszej literaturze utworami o dużym znaczeniu. Ich odwaga w rozbijaniu fałszywych, tradycyjnych nawyków myśli i uczucia wśród szerokich warstw społeczeństwa jest wielka, szczególnie gdy przypomnimy sobie, ile bezkrytyczności i nierozróżniania spraw przyniosła nasza beletrystyka pookupacyjna. Przy tym atak Andrzejewskiego kieruje się na sprawy istotne, nie marginesowe. Na przykład satyra Dygata nie miała większego znaczenia właśnie z powodu swojej marginesowości i ahistoryczności, a nawet satyry Stanisława Zielińskiego w porównaniu z Andrzejewskim mają pewne cechy marginalności (spowodowane zresztą tylko wyłączeniem z doświadczeń autora centralnego pola obserwacji — życia w GG). Andrzejewski staje tu chyba najbliżej Adolfa Rudnickiego, autora *Uśmiechu żandarma.* Obu tych pisarzy łączy pewne pokrewieństwo zainteresowań artystycznych, dociekliwość sumienia.

Ta dociekliwość sumienia jest oczywiście również źródłem powstania współczesnych satyr Andrzejewskiego. Mają one zresztą inny charakter niż satyry okupacyjne — zdają się nie stanowić jeszcze tak zamkniętego cyklu, ich atak jest rozstrzelony, skierowany na ten lub ów odcinek. Podchwytują raczej fragmenty rzeczywistości niż sedno momentu historycznego — co u autora *Nocy* było tak charakterystyczną właściwością.

Utworem o największej wymowie jest tutaj *Złoty lis.* Toteż warto poświęcić parę uwag zarówno jego liryzmowi, jak i satyrze.

Głębokie przeżycie osobiste zawarte jest w tym utworze. Silnie wzrusza wołanie o powrót skazanej na wygnanie z życia poezji. Stop! Któż wydał dekret na poezję? Kiedyś Platon chciał wypędzić poetów ze swojego wzoru państwa... Ale Marks, Lenin? To doprawdy nie ma nic wspólnego z naszymi założeniami. Czyżby więc miało coś wspólnego z naszą praktyką? Może. A praktyka to właśnie dla marksistów rzecz nieobojętna.

Skoro więc socjalistyczne zasady nie postulują „zglajchszaltowania" myśli i uczuć (co niesłusznie imputuje nam znękany tatuś Łukasza), to jednak warto przyjrzeć się, czy te metody nie plenią się w praktyce, szerząc spusto-

szenie obłudy. Tak, razem z Andrzejewskim walczymy o naprawę praktyki pod niejednym względem. Ostatnie dyskusje uderzały w plamy schematyzmu w szkolnictwie, w publicystyce, w sztuce. *Złoty lis* był jedną z ważkich pozycyj w owej oczyszczającej akcji. Podniósł odważny głos piętnując skostnienia, które nieraz tak bardzo uwierają naszego człowieka. Był to utwór potrzebny, choćby nawet pomieszał nasze zasady z wypaczeniami zasad w praktycznym działaniu. Przerwał przemilczanie bolączek i obłudę. I był zjawiskiem pocieszającym również na drodze pisarskiej samego Andrzejewskiego, który też miał za sobą pozycje upraszczające i wulgaryzujące. Dlatego ten czysty powiew, niewątpliwie czyste tendencje (choćby tu i ówdzie prowadzące do niesłusznych wniosków) powitała opinia z radością, ciesząc się — *sit venia verbo* — z przebudzenia lwa w pisarzu.

Treścią uczuciową swego utworu, która przemówiła tak żywo do wszystkich, pomógł Andrzejewski walnie naszej sprawie. Napiętnował skutecznie schorzenia monotonii, pompatyczności, sloganowości, trapiące różne dziedziny naszej kultury, odbierające urok i smak życiu. Zawsze słuszne jest przypominanie o potrzebie poezji i w niejednym czasie brakowało jej ludziom, gdyż ciągle rutyna zwycięża świeżość uczuć. A nie my przecież będziemy obrońcami rutyny. Dlaczego jednak pisarz postawił alternatywę: albo poezja — albo uspółdzielczenie wsi, albo indywidualność — albo socjalizm? Socjalizacja wsi czy miast miałaby więc być wrogiem poezji, indywidualności ludzi naszego ustroju?

Cóż za nieporozumienie! Oczarowany przypowieścią czytelnik odczuwa zawód, odczuwa protest. Czyżby serce pisarza nie znało konkretnej treści tych naszych dążeń do wyzwolenia człowieka od przemocy ziemi, pracy ponad siły, wyzysku przez bogatszych, czyżby pisarz nie znał naporu wewnętrznego tych ciągle jeszcze nieurzeczywistnionych dążeń — iż zdolny jest uważać je za sprzeczne z rozwojem indywidualności ludzkiej? Nie przeczymy jego krytyce praktyki, krytyce potrzebnej — lecz przypowieść sugeruje niebezpieczeństwo dla indywidualności w samej zasadzie socjalistycznej. A to świadczy o niezrozumieniu istoty rzeczy. Przypowieść Andrzejewskiego zawiera świetną satyrę na uproszczenia grafomańskiej literatury, gdzie wyobrażenie socjalistycznej wsi czy fabryki jest równie odpychające i monotonne, jak wyobrażenie człowieka. Ale przecież nie obrazki grafomanów mogą dawać pojęcie o treści socjalizmu, o treści naszych dążeń i pracy?

Urokiem tej liryczno-satyrycznej powiastki jest trafność obserwacji realiów, jej żywa współczesność, jej bardzo często słuszna krytyczna wymowa, przerywająca „spisek milczenia". Ale smutkiem napełnia czytelnika postawa autora: postawa przegranej. Jego zgoda na kapitulację, jak gdyby socjalizm musiał ze sobą nieść przegraną życia serca i wyobraźni. Jest to świadectwo, że autor przeżywa obecnie dramatyczny kryzys ideowy. Bohater opowiadania, Łukasz, z niesłusznie postawionej alternatywy wychodzi drogą klęski — nader sugestywnie, psychologicznie przedstawionej. Uląkł się groźby samotności duchowej, wyobcowania, dał się przekupić uśmiechowi kolegów. Za ten uśmiech przyjmujący go do zbiorowości, do solidarności koleżeńskiej — zdradza swoje marzenia, swoją indywidualność.

Utwór ma wymowę tragiczną, ma wymowę przeżycia autora. Lecz sytuacja zbudowana na fałszywych założeniach budzi protest moralny czytelnika, który widzi w tym błąd subiektywizmu, a nie głos uciśnionego życia. W tym, co przedstawił Andrzejewski, jedno jest prawdą: obraz łamania się artysty, bolesny obraz drogi pomyłek, na którą niejednego popchnęły zwulgaryzowane pojęcia o sztuce socjalistycznej. Ale przypowieść rozszerza sprawę, czyni z niej w ogóle los indywidualności w naszym ustroju, a po temu nie ma żadnych racji. Gdzież się zapędził rozgoryczony satyryk? Trzeba było stracić z oczu treść naszych dążeń, aby dojść do takiej przegranej. Albo trzeba mieć przekonanie, że nasza praktyka nie daje żadnych dowodów realizacji naszych dążeń, żadnej gwarancji. Czytelnik nie chce się zgodzić ze smutkiem bezsiły, tchnącym z utworu, pełnego tak słusznej tęsknoty do piękna, pełnego tak trafnej kryty-

ki tego, co martwe i szpecące nasze życie.

Do niejednego przedwczesnego wniosku popycha czasem trudność przeżywanego momentu historycznego. Jednak sporo też w obrazie zależy od konstrukcji samego artysty, od jego uczuciowości. Satyry Andrzejewskiego, z tym, co w nich mocne, i z tym, co w nich słabe, rodziły się z nadczułej, bolesnej wrażliwości pisarza. (Wiemy przecież, że nadczułość w jakimś kierunku jest przesłanką działalności artystycznej w ogóle.) Klasycznym przykładem, unaoczniającym tę sprawę, jest przezabawny *Pantofelek*. Żarcik ten w równej mierze sygnalizuje panoszącą się jeszcze w naszej gospodarce narodowej aspołeczność zamiast gospodarskiej troski, cierpliwą, olimpijską obojętność jednych obywateli na potrzeby innych — jak i demonstruje z samokrytyczną ironią neurasteniczne przewrażliwienie autora. Ano, bez satyryka nie byłoby i satyry...

Szyderca i tragik w jednej osobie (połączenie drwiny i tragiczności oraz poczucie braku siły wskazał już, jako cechy charakterystyczne tego pisarza, Kazimierz Wyka) reaguje Andrzejewski najsilniej na momenty załamania. Tu znajdowała pole działania jego krytyczna myśl i jego współczująca wrażliwość. Tu też jest źródło jego konkretnej satyry i nieskonkretyzowanego marzenia. Takim poznaliśmy pisarza w autobiograficznych rysach portretu jego młodości, w *Książce dla Marcina* — i takim pozostaje aż do ostatniego utworu, *Złotego lisa*. Artystą wątpiącym, samotnym, nieco mizantropijnym, a w skrytości — wrażliwym marzycielem. Przy tym marzenie jego zdaje się uciekać od empirii. Jako intelektualista, obcy epickiemu uwielbieniu żywiołu witalnego, trochę asceta — ma Andrzejewski doskonałe dyspozycje satyryczne, czego wbrew niejednej karcie *Zadufków* — dowiódł w ostatnim zbiorze satyr.

Janina Preger

PISARSTWO KAMERY FILMOWEJ

Marian Promiński: *Pocztą lotniczą*. Opowiadania. Kraków 1955. Wydawnictwo Literackie; str. 221 i 3 nlb.

Kiedy czyta się opowiadania Mariana Promińskiego z tomu *Pocztą lotniczą* — zwracając uwagę głównie na technikę pisarską — natrętnie niemal przypominają się filmy z życia zwierząt. Oto prawdziwe bezkrwawe łowy. Oto piekielna precyzja światłoczułej taśmy utrwalającej każdy ruch, gest, najdrobniejszą reakcję. Aby zrozumieć ów tok skojarzeń, przyjrzyjmy się dokładnie opowiadaniu *Bomba*, w którym charakterystyczna dla pisarza technika zademonstrowana jest w sposób najklarowniejszy. Akcja opowiadania toczy się w ciągu kilkunastu godzin, od zmierzchu do południa dnia następnego, we wrześniu 1939 roku. Miejsce akcji: pociąg jadący na trasie Nikławice — Stromycz. Osoby: pasażerowie z jednego przedziału, których przypadek skupił w jednym miejscu na krótki okres czasu, oraz narrator. Narrator wsiada i włącza kamerę oraz mikrofon zapisujący dialogi. Wydaje się to łatwe. Ale zważcie! Ile już musi nameczyć się filmowiec, nim podejdzie do gniazda ptaków i nakręci jedną bodaj scenę! Chociaż, jeśli jest niewidoczny dla ptaków, przedsięwzięcie udaje się: kamera sama, mechanicznie, sfotografuje przebieg zdarzeń w gnieździe z precyzją prawie absolutną, uzależnioną tylko od jakości aparatury i naświetlenia. Pisarz jest w trudniejszej sytuacji. Pasażerowie są co prawda równie naturalni jak obywatele „ptasiej wyspy", gdyż nie dostrzegają „obiektywu" i „mikrofonu" ukrytych w pisarzu, ale spostrzegawczość ludzka po pierwsze: nie jest jednakowo bystra, a po drugie: musi być w dziele literackim przetransponowana w całości na materiał słowny, pisarz bowiem ma do dyspozycji jedynie słowa. Tylko dobry pisarz potrafi wszystko spostrzec i z kolei wszystko, co ważne i charakterystyczne, przekazać czytelnikom...

Promiński w opowiadaniu *Bomba* dokonuje majstersztyku pisarskiego. Przypadek łączy kilka nieznanych sobie wzajem osób na kilkanaście godzin w jednym miejscu. Co w tym ciekawego? Kto z nas dziesiątki razy nie jechał pociągiem, i co? Ot, banalne rozmowy, nuda, w ciemnościach pocałunki przygodnych par, dowcipy stare jak wiek XX, niespokojny sen, obolałe ciało. O tym wszystkim zapomina się po tygodniu, a współtowarzyszy podróży już wkrótce bez złej woli nie poznaje się na ulicy. Jednym słowem nic godnego uwagi... Promiński przekonuje nas, że jest tak właśnie, a jednak odrobinę inaczej. I to nie dlatego, że w zakończeniu zdarza się nalot i śmierć dwojga pasażerów — bez tych wypadków opowiadanie byłoby równie nieprzeciętne. Dlaczego? Otóż między przypadkiem zebranymi ludźmi wytwarzają się pewne stosunki wzajemne, pewne napięcia. Niby to nic, zapomina się o tym na drugi dzień, ale Promiński nie chce zapominać — on utrwala.

Podobnie jak w *Bombie* — dzieje się w tytułowym opowiadaniu *Pocztą lotniczą*. Mamy tu dokładny opis trzytygodniowego pobytu międzynarodowej grupy studentów w jednym z domów wczasowych w miejscowości Małgorzatka na Półwyspie Helskim (można się domyślać, że to Jurata lub Jastarnia). Najpierw krótki rzut oka na miejscowość z lotu ptaka, a potem autor powiada: „obiektyw *à bas* (w dół — przyp. mój) — znad czubów sosen wjeżdżamy pomiędzy ich gałęzie i dalej otwartym plenerem na leśną łysinę, w środek pięciu domów" — i skupiwszy uwagę na kilkunastu postaciach opisuje trzy tygodnie ich pobytu nad morzem. I znowu — tym razem przez bite sto stron — drobiazgowy opis zdarzeń, stosunków i napięć, jakie wytwarzają się między ludźmi, którzy przypadkowo, na krótko zetknęli się ze sobą. Przyznam, że przy pierwszej lekturze niecierpliwiłem się. Czytam i czytam, a tu tylko opisy i opisy codziennych zdarzonek, opisy, których celowości nie pojmuję. Wreszcie dojeżdżam do końca, do momentu rozwiązania turnusu, i natrafiam na takie zdanie: „Jedno nie ulega wątpliwości, że piękne wczasy w Małgorzatce ze wszystkim, co przyniosły — miłość, wypoczynek czy przygodę — leżą już u stóp jak dziurawy balon bez powietrza. Kurt Wiese ślubował sobie godną Marka Polo podróż w głąb Chin za panną Thong, powtało kilka bardziej realnych projektów przenosin z jednego na drugi uniwersytet w kraju, ale czy choćby jedna z tych obietnic zostanie dotrzymana?".

Przeczytałem i zrozumiałem nagle sens rozwlekłych opisów. Kilkanaście osób przeżyło trzytygodniowy pobyt nad morzem — gdzie mimo flirtów, tańców, nieszczęśliwej miłości, jedzenia i plaży — nie wydarzyło się nic istotnego, nic, co mogłoby mieć wpływ na przyszłe losy tych ludzi. Ale pisarz utrzymuje: dlaczego nie uchronić od zapomnienia drobnych wydarzeń i ulotnych stosunków międzyludzkich, zdarzających się każdemu z nas w podróży pociągiem czy na trzytygodniowych wczasach?...

Tak wygląda postawa pisarska Promińskiego i wynikająca z niej technika opisu. Zdaje się ona stanowić coś konsekwentnego w twórczości nowelistycznej pisarza. *Bomba* pochodzi z 1948 r., *Pocztą lotniczą* — z 1953 r., ostatnio zaś czytałem w *„Przekroju"* (w nr 508 z 1 stycznia 1955 r.) opowiadanie *Klasztor Preobrażeński* oparte na identycznych założeniach i w podobny sposób realizowane: wycieczka polska przebywająca w Bułgarii wyjeżdża na parę godzin w góry, by zwiedzić klasztor; na tak zarysowane tło autor nakłada subtelny opis czegoś, co zachodzi między narratorem a przypadkowo dołączoną do wycieczki tłumaczką — to coś, to jakieś nieuchwytne prawie napięcie, w które wtrąca się „ten trzeci" jednym spojrzeniem bodaj. Wreszcie charakterystyczna konkluzja autorska: „Klasztor Preobrażeński... Cóż z niego pozostało? Woń ogrodu i kruchty, mnich, dziewczyna, zazdrość, w końcu opowiadanie w obcym języku, którego nigdy nie przeczytasz, Margit".

Sądzę, że cały powyższy wywód dostatecznie wyjaśnia i motywuje, dlaczego uważam pisarstwo Mariana Promińskiego za pokrewne filmom wynikającym z bezkrwawych łowów z kamerą w ręku. Wyłącznie filmom przyrodniczym, gdyż one jedynie rejestrują naturalne zachowania osobników, a nie grę aktorską...

*

Prócz opowiadań zanalizowanych powyżej tom *Pocztą lotniczą* zawiera jeszcze trzy inne. Znakomite opowiadanie *Sajgon* oparte jest na innych założe-

niach pisarskich i wymagałoby analizy nie krótszej niż powyższe wywody, siłą rzeczy muszę ją odłożyć do innej okazji. Dwa pozostałe opowiadania są dużo słabsze. *Stary dom* — to nużący opis wędrówki starszego pisarza po mieście młodości, motyw znany, tutaj wyjątkowo nieciekawie zrealizowany, *Winda zaś* — to opowiadanie całkowicie odskakujące tonem od pozostałych, satyryczne w zamierzeniu, przy czym groteska mieszana ze zwykłym u Promińskiego drobiazgowym opisem daje fatalne rezultaty. Zamieszczenie *Windy* w tomie wydaje się być nieporozumieniem.

*

Marian Promiński debiutował w 1935 r. zbiorkiem nowel pt. *Róże w betonie*, po wydaniu których krytyka uznała go za pilnego ucznia Witkacego. Potem była powieść *Lüdigerowie*, przerwa wojenna, powojenna powieść *Twarze przed lustrem* (1947) i wreszcie w 1951 r. drugi z kolei tomik drobnych form prozatorskich — *Opowieści sportowe*. Mimo dużego rezonansu ze strony krytyki tomik ten uważam za marginalny dla twórczości Promińskiego-nowelisty.

Wydany w r. 1955 zbiór opowiadań *Pocztą lotniczą* podsumował twórczość autora z lat 1948—1953 w dziedzinie nowelistyki. Promiński, jak sam wyznaje w odpowiedzi na ankietę „Pisarze wobec dziesięciolecia" („*Nowa Kultura*" Nr 254), przeprowadził surową selekcję opowiadań z pierwszych lat po wojnie (częściowo drukowanych ówcześnie w prasie literackiej). Selekcję w zasadzie słuszną (czego dowodzi np. pominięcie zupełnie dziś nieczytelnego opowiadania *Spotkanie* („*Odrodzenie*", nr 192), ale chętnie widziałbym w tomie bardzo sugestywne i ciekawe, chociaż trochę niesamowite, opowiadanie *Garb*, drukowane w lipcu 1949 r. w krakowskim „*Dzienniku Polskim*". Natomiast opowiadanie *Winda* — o czym już powyżej napomknąłem — wydaje mi się w zbiorku całkowicie niepotrzebnym dysonansem, psującym jednolitość tonu. W ostatnich latach narasta nowy tom: cykl krótkich opowiadań, opowiadania z podróży do Bułgarii i wreszcie całkowicie niefortunna *Salamandra*.

Na koniec jeszcze jedna pretensja do autora i to wcale, moim zdaniem, nienajbłahsza. Otóż tytuł tomu: *Pocztą lotniczą* — jest całkiem bez sensu. Już do opowiadania tytułowego niezbyt pasuje (nie jest bowiem jego treścią dostatecznie uzasadniony), ale dlaczego firmuje całość, tego w żaden rozsądny sposób nie potrafię sobie wyjaśnić. Tytuł powieści czy zbiorku nowel nie jest rzeczą bez znaczenia. Tytuł to hasło, pod którym książka wyrusza w świat, a to jest sprawa ważna, nawet bardzo ważna.

Ludwik Grzeniewski

PRAWDA MIMO WOLI

Zdzisław Wróbel: *Inauguracja*. Powieść. Warszawa 1954. „Iskry"; str. 308.

Autor może recenzentowi przysporzyć wiele niemiłych sytuacji; najłatwiej o nie, gdy nie podobna zgodzić się z sugerowaną przez twórcę interpretacją dzieła. Merytorycznie dopuszczalny (a niejednokrotnie konieczny) zabieg odczytywania tekstu literackiego wbrew intencjom pisarza ma zawsze posmak nielojalności.

Inauguracja jest powieścią o studentach jednego z uniwersytetów, które powstały już po wojnie. Wróbel dba o to, by miejsce akcji (Toruń) i częściowo autentyczny materiał służący za osnowę fabuły jak najłatwiej było rozszyfrować (nazwiska profesorów!). Rzeczy opowiedziane dzieją się na krótko przed zjednoczeniem organizacji młodzieżowych. Tematem są nastroje polityczne środowiska akademickiego oraz (w mniejszym stopniu) przewartościowania w poglądach na istotę i metodologię nauki. Powieść zaczyna się sceną nieudanej (moment tryumfu reakcjonistów) inauguracji roku akademickiego, kończy — zdaniem *porte-parole*'a, że wypadki

śledzone oto przez czytelników, to „dopiero początek walki, inauguracja wielkich przemian, których wykonanie jest zadaniem tego młodego pokolenia".

Do tej pory nie było powodu zaniechania lojalności: kluczowe zdanie *Inauguracji* dało się przytoczyć bez sprzeciwu. Wolno jednak z niego wnioskować, że wszystkie uprzednie tezy utworu należy traktować serio, że enuncjacje Barendy i jego ideowych sojuszników są miarodajne, są wyrazem dobrze rozumianej postępowości. Tymczasem...

Jednemu ze studentów (synowi prowincjonalnego notariusza) przyznano stypendium. Fakt ów skomentowany jest w rozmowie następująco:

„— Co z tego, że aktywista? — powiadam. — Kryterium klasowe przede wszystkim.

— Słusznie — pochwalił (...) Barenda." (s. 80).

Innym razem tenże Barenda poucza kolegę o moralności socjalistycznej:

„Któż ci broni mieć dziewczynę. Ale jeśli zadajesz się z pięcioma na raz, to jest burżuazyjne wyuzdanie, nie mające nic wspólnego z socjalistycznym stosunkiem do kobiet (...)" (s. 135).

Albo taki epizod. Student trzeciego *(sic!)* roku polonistyki zyskuje podczas dyskusji łatwą przewagę; jego argumenty najwyraźniej imponują kolegom:

„Przy drzwiach wyjściowych Barenda i Stolarczyk gratulowali Żakowi udanego wystąpienia.

— Skąd wy się, kolego, tak dobrze znacie na tych sprawach? — spytał go Stolarczyk.

— Czytuję czasami *„Kuźnicę"* i inne gazety — odpowiedział tamten z uśmiechem zażenowania" (s. 92).

Naczytawszy się zaś *„Kuźnicy"* — Żak proponuje, by za pomocą studenckiego radiowęzła „stuknąć w reakcyjnych profesorów": „Przecież oni tak się jeszcze panoszą jak za sanacji. Nasz Łysogórski już trzeci miesiąc analizuje faszystowskie dramaty i powieścidła Kadena-Bandrowskiego (...) (s. 265).

Na razie powinno wystarczyć cytatów. Śmiem twierdzić, iż mamy tu do czynienia z prawdą ukazaną... *à rebours*. Wróbel udowadnia nie to, że aktywiści dbają o właściwy, sprawiedliwy podział funduszów przeznaczonych na materialną pomoc dla uczących się, lecz to, że (bywało) mechanicznie posługują się przesłanką tak zwanego pochodzenia społecznego; że nie zależy im na uczciwości moralnej, lecz że (bywa) wszystko, co niezgodne z zasadami socjalistycznej etyki, najłatwiej skwitować onomastyką, która zna tylko jeden epitet: „burżuazyjny". Niechcący wierne świadectwo wystawi autor *Inauguracji* pokoleniu młodzieży, które całkowicie zadowala się wiedzą z drugiej ręki — co musi zasmucać, choćby nawet pośrednikiem były czasopisma naprawdę ciekawe; pomyślmy przez chwilę, ile się naczytała kiedyś Agnisia Niechciówna...

Mimowolnie dotknięto również w powieści innego, wcale nie błahego a zaraźliwego zjawiska: oto w historii kultury istnieją *tabu;* lepiej nie tykać, bo można się „zarazić". Seminarium trzeciego roku polonistyki zajmuje się twórczością — *horribile dictu!* — Kadena. Nazwisko-straszak! Gdybyśmy przynajmniej dowiedzieli się, do jakich wyników doprowadziła ta (nie byle słowo) analiza...

Powraca pierwsza obawa, która wywołała streszczone wyżej wątpliwości. Czy istotnie Wróbel zgadza się bez większych zastrzeżeń (bo że tu i ówdzie z lekka go krytykuje, to jeszcze sprawy nie przesądza) ze swoim *porte-parole*'em? Jednak — nie. Raz wprawdzie, ale zostaje on wyraźnie skompromitowany przez autora: „W ostatnich latach Barenda nabrał lekceważącego stosunku do beletrystyki. Odkąd zaczął się wgryzać w dzieła Marksa i Engelsa i studiować Lenina i Stalina, wydawało mu się, że lektura powieści byłaby dla niego niepotrzebną stratą czasu. (...) W zainteresowaniu literaturą piękną skłonny był widzieć uleganie obcej ideologii." (s. 241).

Nareszcie, pod koniec powieści, odsłonięta zostaje naiwność bohatera. Wychodzi na jaw (typowe? — oby nie!) intelektualne ograniczenie dzielnego aktywisty. — Najważniejsze wypadki powieściowe rozgrywają się, zanim Jerzy (przypadkiem) spostrzegł, że mylił się bardzo zasadniczo; zanim się przekonał, że lektura może mu pomóc w pracy. Może więc kłopot recenzenta, iż jest nielojalny w stosunku do autora przy interpretacji wybranych dla przykładu fragmentów — jest urojony; może właśnie samemu Wróblowi zależało przede wszystkim na krytyce ZWM-owców? Absurd: przeczą temu rozwiązania wszystkich wątków powieści. Wolno podtrzymać twierdzenie, iż niewprawny pisarz (debiutant), sympaty-

zując z głosicielami nowych haseł, zbyt wiele bierze za dobrą monetę, co musi wywołać efekty nie przewidziane.

O innych wrażeniach z lektury *Inauguracji* — już w ogromnym skrócie. Powieść splata się z czterech wątków: antagonizm między starszą a nową generacją naukowców; walka młodzieży zgrupowanej wokół ZWM z wpływami niedwuznacznie wrogiej i agresywnej ideologii różnych odcieni (prawicowi socjaliści, PSL, stowarzyszenia przykościelne, dywersanci subwencjonowani przez emigrację); rozmijanie się współczesnego pokolenia z wiarą religijną; konflikty erotyczne.

Na temat ukazanych w *Inauguracji* profesorów uniwersytetu (przyjęcie u Cybajtisów; małżonkowie Nierojewscy) da się powiedzieć tyle, że Wróbel wskrzesił tu tradycję złej pamięci książczydeł „z życia wyższych sfer". Organizując powieściowo aferę „podziemia" — autor *Inauguracji* zdradza zdumiewający brak pomysłowości, pogwałcone są elementarne zasady konspiracji (po prostu śmieszny szyfr listu do „wujaszka"; szpieg telefonicznie domaga się adresów członków egzekutywy partyjnej); jakże uwidocznia się w naszej literaturze nieumiejętność wyzyskania schematu konstrukcyjnego powieści detektywistycznej. W przygotowywanym zamachu na Barendę macza palce duszpasterz akademicki, ks. Zawistowski, nieprzejednany wróg socjalizmu. Nic dziwnego, że taki przewodnik duchowy nie mógł pomóc Wandzie, skoro ją opanowały skrupuły religijne i przychodzi do konfesjonału. Ale sama rozterka Barendowej została spłycona: autor każe jej uczynić rachunek sumienia według (to prawda: bzdurnej) książeczki do nabożeństwa i przy tej okazji rozumować za pomocą ekwiwokacyj; znowu pożyteczne przypomnieć: nie taką drogą prawd swych dochodził Teofil Grodzicki...

Erotyczne powikłania, zdarzające się młodym bohaterom *Inauguracji*, pokazał Wróbel na dwóch przykładach: Jerzego i Wandy Barendów oraz Zbyszka i Luśki. Literacko bynajmniej (jak zresztą cały utwór) nie świetne — mają te partie książki coś interesującego: jakąś surową, prymitywną, ale niekłamaną szczerość. Udała się zwłaszcza rozwydrzona drobnomieszczanka, Luśka, która zakpi z tęskniącego za kobietą partnera.

Bez złudzeń wszakże: ten debiut nie jest „obiecujący".

Andrzej Biernacki

SENSACJA I TEMAT WSPÓŁCZESNY

Eugeniusz Paukszta: *Lody pękają*. Warszawa 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 388.

I

Z żywych kontaktów naszych poetów spoza Warmii i Mazur zrodziła się prześliczna *Kronika olsztyńska* Gałczyńskiego, poemat Jastruna, cykle wierszy Gisgesa, Aleksandra Rymkiewicza. Te utwory poetyckie, włączone do niedawno wydanej antologii, ukazując piękno zapomnianej ziemi, przekształcają ją tym samym w „ziemię serdecznie znajomą". Ale — powiedzmy to sobie od razu — poezja nie zawsze potrafi i nie zawsze może swoimi środkami dotrzeć do pogmatwanych ścieżek życia mazurskiego. Szerszą panoramę tego życia przynieść może proza powieściowa. Niestety, nie jest ona zbyt obfita. Zupełnie wyjątkową pozycję zajmuje tu twórczość Eugeniusza Pauksztу. Autor podjął się zadania bardzo trudnego: zobrazować w cyklu powieściowym o Mazurach przemiany zachodzące w życiu tej ziemi w nowych warunkach społecznych i politycznych. O *Srebrnej ławicy* — pierwszym utworze zamierzonego cyklu — pisałem dość surowo i ten sąd mój nie uległ zmianie. A oto mamy okazję skonfrontować *Srebrną ławicę* z drugą powieścią mazurskiego cyklu — *Lody pękają*. Krytyk ma dużo osobistego zadowolenia i radości, jeśli widzi, że potknięcia pisarskie, dostrzeżone we wcześniejszej książce, nie pojawiają się w następnej. W konkretnym wypadku dwu powieści

Paukszty widoczne jest to w konstrukcji fabularnej, sposobie rozwiązania problemu mazurskiego i epilogu.

II

Życie bohaterów powieści *Lody pękają* płynie w niewielkim miasteczku. Jest tartak, zespół rybacki, przedszkole, gospodarstwa rolne. Pogranicze wsi i miasta. I znowu, jak przy *Srebrnej ławicy*, gdy się zastanawiamy, kto w nowej książce pełni rolę Odyseusza, Wokulskiego czy brzuszkowatego Pickwicka, kto jest bohaterem głównym, czyja biografia opowiedziana przez pisarza jest pomocna przy organizowaniu fabuły, odpowiedź nie będzie zdecydowana. Nie ma bowiem prawie żadnej hierarchii, bohaterowie są zrównani, zajmują jednakową ilość miejsca w całej powieści; życie każdego z nich jest warunkiem koniecznym, ale niedostatecznym pełnej realizacji zamierzeń pisarskich. Myślę, że to przedstawianie gromady ludzkiej, zbiorowości, jest specyficzną cechą obu dotychczasowych powieści mazurskich Eugeniusza Paukszty. Że metoda taka jest trudna, że niesie ze sobą niebezpieczeństwo autonomiczności poszczególnych obrazów powieściowych, przekonaliśmy się na przykładzie *Srebrnej ławicy*. Zobaczmy teraz, jak rzecz się ma z ostatnią książką. Najkrócej określiłbym jej zawartość tak: sensacja i temat współczesny. Czy to bardzo źle, że w powieści poruszającej doniosły problem — sprawę współżycia między ludnością mazurską a przesiedleńczą — jest tyle rzeczy niezwykłych, tajemniczych, że właściwie przez cały ciąg akcji powieściowej czekamy na rozwiązanie, że sam epilog jest tak zaskakujący? To wcale nie jest źle. Sensacyjność nie osłabia wartości książki. W naszej powojennej literaturze metody tej spróbował Breza w *Uczcie Baltazara*. Ale Eugeniusz Paukszta zawikłał akcję z dużo większym wyczuciem prawdopodobieństwa, niż uczynił to autor *Murów Jerycha*. Przypomnijmy epilog *Uczty:* wróg się topi, obraz okazuje się falsyfikatem, a Stępniewska, która jeszcze poprzedniego dnia zdecydowana była szukać sławy w dalekim Paryżu, nazajutrz idzie służyć sztuce socjalistycznej. Podobnie dużą dozę optymizmu otrzymał czytelnik *Srebrnej ławicy*. Ostatnia powieść Paukszty jest już bardziej powściągliwa.

Czytelnika najbardziej trzymają, niepokoją a w końcu zaskakują dzieje przedszkolanki i mierniczego. Walicka jest, moim zdaniem, najpełniejszą, najgłębiej ujętą postacią książki. Jej życie duchowe jest bogatsze, subtelniejsze, bardziej złożone od życia pozostałej reszty mieszkańców osady. Jest to psychologicznie umotywowane. W dziewczynie oszukanej, brutalnie odepchniętej, w dziewczynie, która swe najmocniejsze, bo pierwsze miłosne przeżycia związała z człowiekiem niegodnym jej zaufania, rodzi się nieufność do ludzi, żal. Z dawnych marzeń o własnej rodzinie nie pozostało nic; Walicka decyduje się na życie samotne, na wychowywanie cudzych dzieci. I oto pojawia się Waniecki. Nieśmiały, ugrzeczniony. Prosta znajomość przeradza się (tak to przynajmniej wygląda) w przywiązanie, oboje myślą o małżeństwie. Waniecki to druga niezapomniana postać. Właściwie aż do epilogu nie mamy podstaw, aby podejrzewać młodego mierniczego o jakieś złe poczynania. Przeciwnie. Subtelność jego uczuć wzbudza — na tle rubaszności rówieśników — szacunek. Ale ilekroć Waniecki się pojawia, nie potrafimy się opędzić uczuciu niepokoju, niepewności. Epilog niepewność tę rozprasza. Waniecki okazuje się zręcznie zamaskowanym faszystą ukraińskim o nie byle jakich tradycjach. Jest to duże osiągnięcie pisarza, że potrafił stopniowo samym nastrojem przygotować czytelnika do katastrofy końcowej. Waniecki idzie do więzienia. Walicką wysłano na kurs dla świetliczanek. Tak się kończy intryga i miłość w mazurskim miasteczku, ukazana z umiarem i prawdą. Nie wyczerpuje to wszakże sensacyjnej warstwy książki. Niewiadomi sprawcy napadają na kasjera z pieniędzmi, nieznana ręka podkłada antypolskie ulotki w tartaku, w tajemniczych okolicznościach pojawiają się swastyki na mazurskich domach. Jest to druga — obok wątku Walickiej i Wanieckiego — warstwa intryg i sensacji. Tu już ze sfery przeżyć wewnętrznych przenosimy się w wymiary świata zewnętrznego. Poszczególne sceny i momenty akcji wskazują na odrębną — powiedziałbym — młodzieżową specyfikę niezwykłości i przygody. Oto przykłady, które żywo przypomniały mi Przyborowskiego a z obcych Twaina i Stevensona: Michałek podsłuchuje zbrodnicze zamiary bandy odwetowców, tajemnice pohitlerowskiego

bunkra w lesie i in. Ta pewna dwupłaszczyznowość akcji sensacyjnej splata się umiejętnie w zwartą od początku do końca fabułę.

III

Wytknęliśmy dawniej autorowi *Srebrnej ławicy*, że problem mazurski nie znalazł w tej powieści pełnego odzwierciedlenia, rozwinięty bowiem został tylko na płaszczyźnie narodowościowej. A w ostatniej książce Paukszty czytamy: „Nie każdy Mazur, a i nie każdy Niemiec to wróg. Wróg to coś odmiennego od narodowości". Daleki jestem od uproszczeń w rodzaju: każdy bogaty Mazur jest wrogiem polskości, a każdy mazurski proletariusz jej przyjacielem. Ale faktem jest, że na przykład w Świętajnie koło Szczytna mieszka Samuel Malec, były członek KPD, który prędzej od innych odnalazł drogę do polskości. Podobnych przykładów dostarcza nam Opolszczyzna. Więc problemy narodowościowe są ważnym, ale nie jedynym źródłem powojennych konfliktów na Mazurach. W ostatniej powieści Paukszty widać to wyraźnie. Waniecki jest Ukraińcem, dr. Knabbe Niemcem, a Piątkowski Polakiem. Czyż nie brzmi to wprost paradoksalnie, jeśli powiemy, że spośród tych trzech właśnie Niemiec jest postacią najwartościowszą? Ale czy dr Knabbe postępuje słusznie? Mówi on o sobie: „Zostałem, władze polskie zgodziły się na to..." Doktor wypracował sobie indywidualny program: „tu ciągle jeszcze żyje straszna krzywda, wyrządzona przez faszyzm niemiecki (...) ja, jako Niemiec, też mogę dopomóc w naprawieniu tej krzywdy". Bezsprzecznie tak, może. Ale, moim zdaniem, jego poświęcenie jest zbyt ewangeliczne, aby było prawdziwe. Nie można człowieka pozbawiać życia wśród własnego narodu, wśród ludzi mówiących jego ojczystym językiem. Miejsce dra Knabbego, uczciwego Niemca-antyfaszysty, jest po drugiej stronie Odry, w NRD.

IV

Współżycie ludności dawnej i napływowej układa się źle, nieprzyjaźnie. A przecież to już nie jest pierwszy, „pionierski" okres, nie lata, w ciągu których przewinęła się przez tę spokojną i piękną ziemię fala szumowin, szabrowników, karierowiczów różnego autoramentu. Wiemy o tym choćby z dziejów Pawła Kotarka, który wraca do rodzinnej miejscowości po sześciu długich latach więzienia. Więc ten okres nie wystarczył do zatarcia, zniwelowania różnic? Niestety nie, to nie takie proste. Dojrzewanie jest powolne i obustronne. Walicka mówi: „my Mazurów jeszcze bardziej oddalamy od siebie. Tych ludzi trzeba przygarnąć do polskości. Też tego przedtem nie rozumiałam". Ludzie myślą o tych sprawach, radzą się jedni drugich, rozmawiają. Sześć lat temu Paweł Kotarek w obronie własnego mienia popełnił zabójstwo. Gorzkie lata samotności więziennej odebrały mu zaufanie do ludzi. Nie znaczy to jednak, żeby tego zaufania nie pragnął. Oczami powracającego Pawła dostrzegamy zmiany w życiu mazurskich miasteczek i wsi, to wszystko, co wyparło chaos i dezorganizację. Człowiek cierpiał niezasłużenie. To pozostawiło w jego psychice głęboki ślad. Toteż rani go każdy odruch niechęci, tej rzeczywistej i tej urojonej, którą człowiek usunięty poza nurt normalnego życia skłonny jest widzieć w każdej twarzy, w każdym słowie, w każdym geście. I oto brakarz Mikosza nie przyjmuje go do tartaku. Mimo jednak tylu nieprzemyślanych, szkodliwych posunięć, przekształca się powoli wzajemne współżycie. Książka nie ukazuje tego procesu abstrakcyjnie, sloganowo, ale właśnie poprzez ludzkie sytuacje. Oto niektóre: olbrzymi Korawajczyk nie był zbyt dobrze usposobiony wobec Mazurów, aż trzeba było wypadku Wańczury, aby człowiek człowiekowi przyszedł z pomocą, aby wspomnienie niebezpieczeństwa zrodziło przyjaźń Mazura i przybysza.

Inny przykład: Przedszkolanka organizuje widowisko w gwarze mazurskiej. Mazurom przypomina ich własne tradycje, a osiedleńcom z innych stron Polski przynosi chwilę takiej refleksji: „Nie taka ta gadka obca. I wcale nie niemiecka. Tak to się tylko czasem zdawało, gdy Mazury szybko między sobą mówili.

Nie, wcale nie ma w niej nic obcego, swojsko dźwięczy"

I jeszcze jeden przykład: Gustaw Praużul wzbudził uczucie w córce nowego osiedleńca. Na przeszkodzie do ich małżeństwa i szczęścia rodzinnego stoi nieufność i... zwykła nieznajomość obu środowisk. Przy zbliżeniu odnajdą wspólny język. Tak to samo życie

kształtuje stosunki między ludnością małej mazurskiej osady, niweluje różnice, łączy, spaja. Niezdrowa atmosfera podejrzliwości oczyści się, gdy szpiedzy, intryganci i odwetowcy przestaną niepokoić coraz równiejszy rytm życia i pracy mazurskiej ziemi. Metaforyczny tytuł powieści ma pełne potwierdzenie w samym przebiegu akcji. „Łamanica! Najmocniejszy, trwały znak wiosny. Koniec lodowej powłoce!"

Tak harmonijnie sprzęgła się radość obudzonej do życia natury z uczuciami ludzi, w których kruszy się nieufność, tak przecież człowiekowi obca, przygniatająca, ciężka do zniesienia. Jeśli już jesteśmy przy porównaniach, to przypomina mi się dwuwiersz Tiutczewa:

Jeszczo w poliach bielejet snieg
A wody uż wiesnoj szumiat

Ten dwuwiersz — wydaje mi się — jest bardzo trafny dla określenia końcowego nastroju książki Paukszty, końcowego wrażenia, jakie po jej zamknięciu czytelnikowi zostaje. Siła wiosny jest siłą zwycięską, bo taka jest dynamika naturalnego rozwoju, nie znaczy to jednak, że śniegi, pozostałe szczątki zimy, ustępują łatwo.

Ryszard Wasita

„DOŻYWOCIE“ CZYLI O TRAFNOŚCI NIEZROZUMIANEGO MOTTA

Kiedy czytamy *Dożywocie* Fredrowskie, zarówno forma jak i treść tej komedii wydają się krystaliczne. Jakaż lekkość, wdzięk i swoboda! Jakie kaskady dowcipu! Jaka wirtuozeria! Jakże swobodnie płynie uroczy ośmiozgłoskowiec! Jak cudowne pole do popisu dla aktorów! Jakie tu wszystko proste i przejrzyste!

Ale chwila analizy, nieco namysłu każą nam w *Dożywociu* dostrzec pewne tajemnice. Wystarczy wziąć do ręki jakikolwiek komentarz krytyczny, by się zdumieć, ile w tej, na pozór tak jasnej, komedii kryje się nierozwiązanych zagadek. Debata zaczęta owymi znakami zapytania, jakie nad *Dożywociem* postawiono, staje się dla nas źródłem nowych przyjemności. Ta na pozór leciutka komedia pobudza do intelektualnego wysiłku. Okazuje się, że wiele spraw dopiero dzisiaj znajduje jaśniejszy komentarz.

Zacznijmy od spraw najprostszych: od tak zwanej intrygi, fabuły. Pierwszy na większą skalę komentator Fredry, jego entuzjasta, Stanisław Tarnowski, miał owej intrydze niejedno do zarzucenia *. Z czterech wielkich komedii pisanych w latach 1832—1835 „najmniejsze i najbardziej znaczące, a najobfitsze w błędy“ jest, zdaniem Tarnowskiego, *Dożywocie*. „Samo założenie, podstawa jest słaba, wchodzi w kategorię tych sytuacji niezbyt naturalnych i logicznych, które Fredro czasem wymyśla nie wiedzieć dlaczego: może dlatego, że mu się nie chce pomyśleć nad innymi“. Zarzuty Tarnowskiego dotyczą tu: 1. transakcji sprzedażnej, której przedmiotem jest dożywocie: „Że młody marnotrawca, który przehulał majątek i został o dożywociu tylko, o dochodzie, jaki mu ktoś miłosiernie a opatrznie do śmierci zapewnił, w chwili potrzeby czy fantazji rad sprzeda ten jedyny swój sposób utrzymania za jakąś sumkę, której mu się właśnie zachciewa, to rzecz bardzo naturalna a równie i to, że lichwiarz rad ją nabędzie. Ale chodzi o to, czy obaj mogą zrobić to, co by zrobić chcieli? Wszakże ów przezorny dobroczyńca Birbanckiego, który mu dożywocie zabezpieczył, musiał zrobić jakiś akt prawny, jakiś zapis, mocą którego kapitał leży gdzieś w trzecim ręku pod opieką sądu, a Leonowi wypłacają procenta. Jakże ten depozytariusz, który je wypłaca, może oddawać je Łatce? Jakże ten układ sprzedaży dożywocia, który między Leonem a Łatką musiał także zawartym być prawnie, mógł dostać potwierdzenie tego sądu, pod którego kuratelą jest Leon, lub jak mógł się obejść bez tego potwierdzenia?“ 2. Zarzut drugi dotyczy stosunków między Birbanckim a Łatką: „W jaki sposób mogło się stać, że Leon Birbancki wcale nie znał Łatki i nigdy go za życia nie widział?“ — pyta nieubłagany krytyk. „Dajmy na to, że Łatka działa przez faktorów, pełnomocników itd.; ale i wtedy jeszcze byłby słyszał nazwisko człowieka, którego prawa nabywał.“ 3. Zarzut trzeci — to sprawa małżeństwa: „Trudny do zrozumienia jest Łatka, kiedy się chce żenić, a jeszcze trudniejszy Orgon, że mu daje córkę.“ 4. Zarzut czwarty: „Skąd w za-

* St. Tarnowski: *Studia do historii literatury polskiej. Wiek XIX.* Tom I — *Komedie Aleksandra Fredry*; Str. 51 i nast.

kończeniu ta pewność, którą Orgon daje Leonowi, że może odkupić od Łatki swoje dożywocie za połowę wartości i że do roku umówioną cenę zapłaci?"

Jak widzimy, zarzuty Tarnowskiego dotyczące akcji fabularnej *Dożywocia* są dość poważne. Następni komentatorzy szli początkowo tymi samymi torami. Na przykład prof. Ignacy Chrzanowski w swej książce *O komediach Aleksandra Fredry* (Kraków, 1917), nie martwi się zarzutami dotyczącymi oryginalności *Dożywocia*. „Jeżeli się z czasem wyda, że i ta komedia ma osnowę zapożyczoną, to i owszem: przecież to osnowa nie jedwabna, tylko z pajęczyny, bo naprawdę od pajęczyny niewiele więcej warta, tak w swoich pomysłach konwencjonalnych słaba, wiotka, mało prawdopodobna. Tak, ale w tej pajęczynie zawisł wspaniały okaz pająka, któremu na imię Łatka" (str. 281).

Zupełnie odmienne, wręcz przeciwne stanowisko zajmuje Karol W. Zawodziński w swoim wstępie do *Dożywocia*, wydanego w „Bibliotece Narodowej" (Wrocław, Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich, 1949). Mówi on: „Intryga *Dożywocia*, doskonała budowa i olśniewający dowcip pomysłu odgrywają tak wielką rolę w efekcie artystycznym całości, że sztukę tę nazwać możemy «komedią intrygi» lub «komedią sytuacji» w całej pełni znaczenia, nie stosując tego określenia w sensie nagannym, zwyczajem niektórych krytyków, tych samych, którzy tytułu «komedia charakteru» używają jako największego stopnia pochwały." Nie polemizując wcale z Tarnowskim czy Chrzanowskim, wypowiada jednak Zawodziński o *Dożywociu* sądy najzupełniej odmienne. Jego zdaniem właśnie intryga odgrywa w tej komedii decydującą rolę. A jeśli tak jest, czyż owa intryga może być nieprawdopodobna, licha, „utkana nie z jedwabiu", ale „z pajęczyny"? Sugestywnie i interesująco analizuje przy tym Zawodziński *Dożywocie;* mówi, iż Łatka jest jakby „uwięziony", „zamknięty w swej paradoksalnej sytuacji". Nic dziwnego, że hipoteza Zawodzińskiego przekonała jednego z krytyków teatralnych młodego pokolenia, Zygmunta Grenia. W swej recenzji zamieszczonej w *„Dzienniku Zachodnim"* w październiku 1951 roku i w polemice ze mną na łamach tego pisma Zygmunt Greń rozpatrywał *Dożywocie* jako sztukę, w której przeważa komizm sytuacyjny. Jak to więc właściwie jest z owymi sytuacjami i z opartą na nich akcją *Dożywocia?* Czy odgrywają one rolę podrzędną i nieistotną, czy poeta machnął na nie ręką zajęty ważniejszymi sprawami? Czy też właśnie sytuacje, intrygę, fabułę należy uważać za najważniejsze i decydujące osiągnięcie poety?

Drugim punktem spornym w tej komedii jest sprawa humoru. Ludwikowi Solskiemu, który lata całe grywał rolę Łatki i który wywarł silny wpływ na styl scenicznego realizowania tej komedii, zarzucali niektórzy krytycy, iż zanadto tragizuje Łatkę, że jego sprawę traktuje zanadto poważnie. Najostrzej sformułował te zarzuty Jan Lorentowicz w recenzji przedstawienia w Teatrze Narodowym w roku 1925. Boy był na tym punkcie bardziej umiarkowany, ale i on mówi, że „Solski, również przedni odtwórca Molierowskiego Harpagona, czasem jakby miesza te role, tragizuje Łatkę, zaostrza jego rysy, wypada nieco z wesołości, w jakiej ta rola powinna być skąpana. Ów przeszywający krzyk zza sceny w trzecim akcie jest jedną z takich omyłek..." (*Obrachunki fredrowskie* „Książka i Wiedza", Warszawa, 1949, str. 186). Podobny zarzut postawiła inscenizacji *Dożywocia* na scenie Teatru Śląskiego im. Wyspiańskiego i wykonawcy roli Łatki, Gustawowi Holoubkowi — Krystyna Berwińska w recenzji zamieszczonej na łamach *„Nowej Kultury"* z okazji warszawskich występów tego teatru w roku 1954. Argumenty, którymi Berwińska operowała, starałem się odeprzeć w tym samym piśmie w artykule *O, sępie złowrogi!* Więc jak to jest właściwie z ową wesołością i humorem *Dożywocia*, z jego pogodą i optymizmem? Mieczysława Romankówna w *Nocie wydawcy* do edycji *Dożywocia* z roku 1949 (Kraków, Wydawnictwo M. Kota) twierdzi wręcz, że ta komedia Fredry „posiada wydźwięk pesymistyczny"! Warto rozważyć te sprawy, tym bardziej że wkrótce ujrzymy znowu przedstawienie *Dożywocia* — tym razem na scenie warszawskiego Teatru Powszechnego, w inscenizacji Karola Borowskiego.

Przypomnijmy najpierw pewne podstawowe fakty. Gdy 12 czerwca 1835 r. odbywała się we Lwowie prapremiera *Dożywocia*, znał już zapewne Fredro

słynny artykuł Seweryna Goszczyńskiego *Nowa epoka poezji polskiej*, zamieszczony w krakowskim *Pamiętniku Nauk i Umiejętności* w tomie II na str. 5—21. Jak wiadomo, poeta romantyczny obszedł się bardzo surowo z całym dziełem Fredrowskim. Zarzuty były niezmiernie bolesne, musiały twórcę *Zemsty* ugodzić w samo serce: dotyczyły rzekomej nieoryginalności komedii Fredrowskich, ich szablonowości, schematyzmu wiersza, oklepanego dowcipu. Wytykał Goszczyński „wymanierowanie języka trybem francuskim, bez oryginalności, bez indywidualnej barwy, bez odcienia charakterów", „niedołężne cieniowanie charakterów, powszednią nienaturalność i deklamację w rozmowach, naśladownictwo, a niekiedy żywe przyswajanie włoskiego lub francuskiego teatru, wieczne tegoż samego ducha i kształtu dowcipki bez względu na charakter, na położenie osoby, jednostajność stylu, oklepane miłosne intrygi, jednym słowem wszystkie niedorzeczności pseudoklasycznych komedii".

Nie same tylko zarzuty i ich niesprawiedliwość dotknęły Fredrę; uderzył go wyraźny ton niechęci objawiający się choćby kilkakrotnym gniewnym powtarzaniem tego samego argumentu. Wtedy to właśnie autor *Zemsty* postanowił zamilknąć; *Dożywocie* było ostatnią jego komedią, wystawioną na światło dzienne, przeznaczoną do publikowania i grania. Gdy po kilkunastoletnim milczeniu wziął Fredro z powrotem pióro do ręki, pisał już tylko dla siebie — i dla szuflady. Uderza zaciętość i siła woli, z jaką danego sobie samemu postanowienia dotrzymał aż do śmierci. Pisał z ogromnym wysiłkiem; każdy ruch ołówka w wykrzywionych reumatyzmem palcach sprawiał mu ból bezmierny. Fredro wiedział, że już nigdy ani jednej litery nie ogłosi drukiem i ani jednej postaci nie zobaczy na scenie. Mimo to pisał. Taka wytrwałość da się wytłumaczyć jedynie niesłychaną wrażliwością pisarza, jego świadomością, że wystawianie się na publiczną krytykę, na ciosy nie jest dla niego możliwe. Istotnie, potwierdzają to zapiski poety, przytoczone w książce Stanisława Schnür Pepłowskiego *Z papierów po Fredrze. Przyczynek do biografii poety*. (Wydanie drugie. Kraków, 1900). „Połamałem pióro autorskie nie, jak mniemano, dla jednego głupiego artykułu Goszczyńskiego... porzuciłem i urząd, gdzie moja miłość własna mogłaby ulec chęci ścigania popularności; starałem się jednym słowem i zostałem głupim, abym w gęstym cieniu głupstwa ukrył się przed cięciem i jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów" (str. 49). Tego rodzaju nastroje głuchego buntu, poczucia krzywdy i niedocenionej wartości, przewrażliwienia wobec ataków — musiały fermentować długo. Nie podobna zapominać, w jakim stanie ducha pisał Fredro swe *Dożywocie*.

Ale owo *Dożywocie* rodziło się również w bardzo określonym momencie historycznym. Był to moment triumfu francuskiej monarchii lipcowej, tronu Orleanów, Ludwika Filipa posłusznego rozkazom bankiera Lafitte'a i jego kolegów. Ukazują się już we Francji pierwsze powieści Balzakowskiej *Komedii* obnażającej mechanizm ustroju, którym włada pieniądz. Nie wiem, czy Fredro czytał te powieści; podejrzewam, że nie tylko czytał, ale może i podsuwał je Helence z *Pana Jowialskiego*, która bardzo lubiła romanse (jak Ewelina Hańska). W każdym razie sposób myślenia Fredry był bardzo zbliżony do idei i przekonań Balzaka; typ wyobraźni pisarskiej obu twórców spokrewniał ich jeszcze bardziej. Balzak ukazywał pięciofrankówkę jako istotny, głęboki motor działania całego opisywanego przez siebie społeczeństwa. Wydaje mi się, że *Dożywocie* jest jedną z najbardziej balzakowskich komedii Fredry, jedną z najbardziej „ekonomicznych" sztuk ówczesnych.

O cóż tu chodzi? O jakie istotne zjawisko ówczesnego życia? Pieniądz przerasta naturalną swoją funkcję, wyznaczoną przez teoretyków gospodarki liberalnej, Adama Smitha, Dawida Ricarda i innych. Miał być tylko miernikiem wartości i pośrednikiem wymiany; stał się istotnym dyktatorem we wszystkich dziedzinach życia prywatnego i publicznego. Wkraczał nawet tam, gdzie jego władztwa najmniej się można było spodziewać — na przykład w stosunki rodzinne. W *Dożywociu* lichwiarz Łatka w najczulszy sposób dba o Leona Birbanckiego, drży o jego życie i zdrowie, przeraża się jego kaszlem, przysyła ciepłą odzież. Te nieco śmieszne formy troskliwości objawia nieraz matka wobec własnego dziecka; Fredro robi tu wyraźne alu-

zje do owych czułości matczynych. Czyni to z zamiarem ukazania, że w nowoczesnym społeczeństwie spekulacja finansowa może być i bywa prawdziwą podszewką najwznioślejszych i rzekomo najbardziej bezinteresownych uczuć. Łatka ma tutaj interes podwójny: zdrowie Leona obchodzi go jako człowieka czerpiącego dochody z dożywocia; interesuje go także dlatego, iż Birbancki o zdrowej powierzchowności ułatwi korzystne odstąpienie, alienację praw do dożywocia osobom trzecim, przede wszystkim Twardoszowi. Akcent szczerości, jaką chciwość Łatki nadaje jego słowom, działa sugestywnie — tak dalece, że poczciwi bracia Lagenowie szczerze wzruszają się poświęceniem lichwiarza, broniącego Leona przed grożącym mu pojedynkiem. Lagenowie nie wiedzą, że Łatka nadstawiając pierś w obronie Birbanckiego działa we własnym, dobrze skalkulowanym interesie. Biorą za bezinteresowną przyjaźń to, co jest wynikiem spekulacji pieniężnej. Proces „transpozycji uczuć", powiązanie przyjaźni (której istotą powinna być przecież finansowa bezinteresowność) z wyrachowaniem — nie jest w *Dożywociu* tylko zabawnym konceptem sytuacyjnym, ale uchwyceniem istotnego zjawiska społecznego.

Może być rzeczą pożyteczną i myślowo pobudzającą — postawienie pewnego pytania. Jak wiadomo, dożywocie Birbanckiego ma zamiar odkupić od Łatki inny lichwiarz, od niego bogatszy, Twardosz. Fredro bardzo wyraźnie przeciwstawił ich sobie, skontrastował temperamentami, wrażliwością, usposobieniem. Łatka jest nerwowy i wrażliwy, Twardosz flegmatyczny i opanowany. Wiadomo że Twardosz jest w sztuce dwukrotnie bardzo bliski zawarcia transakcji; w ostatniej niemal sekundzie przypadek — pech prześladujący Łatkę — rozbija układy. Można więc sobie wyobrazić, że Twardosz jednak kupił dożywocie. Cóż wtedy? Czy wolno przypuścić, że nabywca mniej się będzie troszczył o zdrowie i życie człowieka, od którego zależy odpłacalność transakcji? Na pewno nie. Upada więc twierdzenie niektórych komentatorów (np. Zawodzińskiego) przypisujących czułość Łatki wobec Leona tylko wrażliwości, nerwowości i niemal kabotyństwu. Sytuacja Łatki dyktuje mu sposób jego zachowania — a ta sytuacja jest natury ekonomicznej. W ustroju, w którym pieniądz daje rozstrzygające uprawnienia, *„homo oeconomicus"* musi się tak właśnie zachowywać; do tego go zmuszają nieubłaganie działające prawa dążenia do zysku. Można na to twierdzenie przytoczyć inne jeszcze, równie wyraźne dowody. Orgon, ziemianin wychowany w pojęciach sarmackich, gardzący mieszczaństwem — zachowuje się w wielu wypadkach niemal identycznie jak lichwiarze, Twardosz i Łatka. Skoro tylko zjawił się na scenie, rozpoczyna kłótnię o każdy grosz: toczy upokarzające, ośmieszające, hańbiące targi ze służącym hotelowym (nawet nie z gospodarzem), ze szwajcarem przynoszącym afisz, ze stróżem dźwigającym rzeczy... Walczy więc Orgon o grosze i każdy grosz jest dla niego ważny. Z konieczności? Zapewne. Ale czyż Orgon nie jest dla twórcy *Dożywocia* dowodem, że wszechwładza pieniądza ogarnęła już wszystkie sfery i warstwy? Orgon, wychowany w pojęciach szlacheckiego honoru, sprzedaje własną córkę lichwiarzowi Łatce. Sprzedaje ją po to, by mu wierzyciel odpisał kilka tysięcy długu. Czy Orgon nie jest niewolnikiem pieniądza? To nieprawda, że jest tak bardzo ograniczony, jak się go czasem maluje. Orgon zdaje sobie doskonale sprawę z nieludzkości swego zachowania wobec Rózi, to zapewne główna przyczyna jego rozgoryczenia i duchowego „katzenjammeru" („Świecie, ty krętoszu stary!"). Ale na wszelkie nieśmiałe błagania i uwagi Rózi — jej ojciec odpowiada gestem, wyrażającym niemożliwość odstąpienia od zbawczej transakcji. Orgon nie wyobraża sobie nawet, by można było nie uznawać konieczności finansowych za rozstrzygające w owym układzie społecznych stosunków.

Jedna jeszcze okoliczność specjalnie mocno nakłania Orgona do wydania córki za starego lichwiarza. Łatka jest zapewne jedyną w danych warunkach „partią" możliwą z punktu widzenia klasowego a równocześnie „opłacalną". Nie słyszymy ani słowa, by małżeństwo Rózi z Łatką miało być w jej świecie uważane za mezalians. Nie mówi o tym ani Orgon, ani Rózia, ani nawet Birbancki. Otóż gdy w świecie Fredrowskim ma się dokonać mezalians — małżeństwo między ludźmi różnego pochodzenia stanowego — poeta zaznacza to

wyraźnie (na przykład w *Panu Geldhabie*). Tutaj, w *Dożywociu*, wszystkie działające osoby tak się zachowują, jakby chodziło o związek między równymi. Rózia przytacza w rozmowie z Orgonem następujący argument przeciw Łatce:

> Niechby zły był, brzydki, stary,
> Chętnie szłabym do ołtarza,
> Gdy potrzeba tej ofiary
> Tak dla ojca, jak rodzeństwa —
> Lecz za męża brać lichwiarza,
> Brać człowieka bez czci, wiary,
> To rozdziera moją duszę,
> To przywodzi do szaleństwa,
> Jednak muszę, muszę, muszę.

Dlaczego Łatka jest „człowiekiem bez czci, wiary"? Bo pożycza na procent, uprawia lichwę. Otóż według ówczesnych pojęć szlachcic tak zarobkujący nie był uważany za człowieka honorowego. Proceder taki był dopuszczalny tylko u mieszczucha. Wszystko to pozwala przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że Prosper Łatka należał do stanu szlacheckiego. Jest on zresztą spoufalony z Orgonem, mówią sobie na ty; łączą ich jakieś wspomnienia rodzinne. Łatka ma prawo nabywania dóbr ziemskich. A czyż to było możliwe w ówczesnej Galicji? Nie pasuje mi wcale do Łatki klasyfikacja „drobnomieszczanina", jaką go obdarza Zawodziński; pisze on w cytowanym wstępie do wydania *Dożywocia* w Bibliotece Narodowej: „Można by się pokusić o jego (tj. Łatki) interpretację historyczno-socjologiczną: jego sytuacja jest charakterystyczna dla ówczesnego stadium rozwoju ekonomicznego Polski. Jest to zabawne dla dominującej jeszcze warstwy — opartej o na poły prymitywną, na poły feodalną gospodarkę — wkroczenie w życie drobnomieszczanina w zaraniu kapitalizmu". Czy możemy sobie wyobrazić Łatkę jako rzemieślnika, szynkarza lub piekarza? Chyba nie — a więc trudno go uważać za drobnomieszczanina. Można natomiast pomyśleć, że zubożały szlachcic, „*non possesionatus*", dorabiał się wszelkimi sposobami majątku i że ten „dorobek" stał się istną jego namiętnością, manią. Otóż zagadnienie, które tu rozpatrujemy, wcale nie jest „akademickie". Wkroczenie pieniądza w stosunki międzyszlacheckie mogło być dla Fredry zjawiskiem bez porównania bardziej godnym uwagi niż spekulacje mieszczucha. Przypomnijmy sobie sprawę rozdawnictwa tytułów książęcych, hrabiowskich, baronowskich i szambelańskich przez rząd austriacki szlachcie polskiej w Małopolsce. Szlachta nasza — jak wiadomo — nie znała tytułów (przynajmniej w tzw. Koronie, inaczej było na ziemiach litewskich). Po roku 1831 (czyli właśnie w okresie pisania *Dożywocia*) rząd habsburski przyznawał tytuł książęcy tym, którzy mogli się wykazać w rodzie godnościami hetmana czy wojewody itd. Naprawdę zaś przyznawanie tytułów zależało od zapłacenia pewnej dość znacznej „taksy" pieniężnej wedle taryfy ustalonej dla każdego z tych tytułów. Z oburzeniem pisał o tym w jednym ze swych listów twórca *Dożywocia*. Pieniądz wkraczał w najistotniejszą sferę przywilejów szlacheckich. Podobnie u Balzaka, w *Gabinecie starożytności*, jedna z magrabin woła: „Będziecie jeszcze lepszą szlachtą — gdy zdobędziecie pieniądze!" Podobnie za lat kilka Rzecznicki poradzi hrabiemu Fantazemu, by z panną Dianną rozmawiał tonem kupca trzeciej gildy.

Nie należy niczego upraszczać. Fredro wcale nie walczył z całym postępem ówczesnym, ze wszelkimi objawami stopniowego przeobrażania się społeczeństwa. Wiadomo że bardzo wcześnie popierał projekt budowy kolei biegnącej przez Galicję i mającej znaczenie dla choćby częściowej modernizacji gospodarki. Co ważniejsze, w dziedzinie obyczajowej opowiadał się całą duszą za przeobrażeniem rodziny, przekształceniem władzy ojcowskiej czy opiekuńczej, szerszym znacznie dopuszczeniem swobodnego wyboru w małżeństwie. To wielka prawda, że mimo wszystko był Fredro spadkobiercą tych ograniczonych tendencji postępowych, liberalnych, jakie części ziemiaństwa wszczepiło Oświecenie. Lecz rosnąca przewaga pieniądza w każdej dziedzinie życia — napełnia Fredrę niepokojem i troską. Jakże inaczej patrzył na te sprawy w roku 1818, w momencie pisania *Geldhaba* — niż w roku 1835, po 17 latach coraz szybszych przeobrażeń! Ojciec panny Flory Geldhabówny był dla komediopisarza raczej komicznym niż groźnym zjawiskiem; parskał śmiechem na widok jego nieuctwa, snobizmu, złego gustu i braku wychowania. Innymi uczuciami wita

teraz Łatkę i Twardosza — śmiesznych, ale i smutnych bohaterów walki nie tylko o dożywocie, ale i o nowy sens takich pojęć, jak przyjaźń, altruizm, poświęcenie, miłość.

Jest w ostatnim akcie *Dożywocia* zadziwiająca scena, którą można uważać za czysty żart, ale w której trudno mi się nie dopatrzeć głębszego znaczenia. Birbancki, przejrzawszy nareszcie machinacje Prospera Łatki — szantażuje go zamiarem samobójczym. Łatka próbując odwieść młodzieńca od tego zamiaru, opisuje mu piękno życia:

Ależ człeku, bój się Boga!
Skądże rozpacz tak zbyt sroga?
Patrzaj, jaki świat wesoły —
Patrz na chmury — na te góry,
Na ulice, na kościoły...
Na te fiakry, na te budki,
Te piękności dzieł natury.

A więc Łatka wciąga nawet uroki życia, jego bogactwo i barwność — do swej pieniężnej gry (inna rzecz, iż czyni to naiwnie i gruboskórnie). Ale za chwilę, gdy zaświta możliwość, że Leon sam odkupi przynajmniej 50% swego dożywocia — Birbancki pół żartem zmienia stosunek do jego życia.

A więc ty sam odkup sobie
Tanio, tanio wróć mi — wiele?
Wróć połowę
(płacząc)
połowinkę,
To już sam ci w łeb wystrzelę.

Ów zmienny, zależny od kalkulacji stosunek do cudzego życia — czy nie przypomina słynnej „sprawy mandaryna" w Balzakowskim *Jaszczurze*? Wyobraźmy sobie — mówi Balzak — że w dalekich Chinach żyje jakiś fantastycznie bogaty mandaryn; dziedziczymy po nim cały majątek; od jednej naszej myśli zależy jego śmierć. Któż by w naszych warunkach — pyta twórca *Komedii ludzkiej* — nie uśmiercił owego mandaryna z zimną krwią i bez chwili namysłu, z najczystszym sumieniem? Któż — dodajemy — z bohaterów *Dożywocia*, nie wyłączając Birbanckiego? Jego, który tak sobie żartuje w scenie VI aktu pierwszego:

Albo może w tej minucie
Skończył życie gdzie w Kalkucie
Jaki kuzyn nieznajomy...

W ten sposób przeistacza się *Dożywocie* w rodzaj wielkiej, poetyckiej komedii-metafory. Temat pasjonujący, wielkie zagadnienie nowoczesnego życia przenika każdy szczegół, potęguje się, rozrasta. Zarazem jednak owa poetycka przenośnia kojarzy się ze zdumiewającą barwnością realiów. Ileż ciekawych obserwacji, wziętych z samego życia, zmieścił Fredro w tej komedii! Tarnowskiego zaciekawiła kiedyś postać Filipka. Przyjaciel Koźmiana, dyrektora teatru, który stworzył pierwszą nowoczesną teorię gry aktorskiej, taki oto dorabiał życiorys Fredrowskiemu Filipkowi: „Filip, zuchwały, wygadany, wyszczekany, bezczelny, wytarty, sprytny: co za typ! Można by wymalować jego portret i napisać jego historię. Był już wszystkim i wszędzie, czym i gdzie można być na tym świecie: był prawdopodobnie fryzjerem, niewątpliwie pokojowym, w oberży trzeciego rzędu i podejrzanej reputacji, z pewnością nieraz na policji i w domu poprawy; zapewne i w teatrze prawdziwym jako lampiarz lub figurant, a przy wędrującej trupie — pierwszym bohaterem; może był w cyrku, a zawsze na pogrzebach w wytartym, czarnym fraku i z pochodnią w ręku. Umie sławnie grać w bilard, gwizdać, wykrzywiać się, grać na harmonice i zawracać głowy pannom, z którymi tańcuje «Pod Zdechłym Psem» i «Pod Czerwonym Huzarem». Jeżeli nie umie wyciągać z kieszeni zegarków i pularesów i fałszować banknotów, to chyba dlatego tylko, że nikt na tym świecie nie jest doskonałym". Prawda, jaki barwny obrazek, może zanadto wysnuty z fantazji, ale zajmujący? *Dożywocie* ma zdolność pobudzania wyobraźni właśnie dlatego, że tak mocno jest osadzone w realiach ówczesnego życia. Fredro ściśle określa rok akcji; wspomina o modnej wtedy operze Belliniego; lokalizuje teren sceniczny we Lwowie, nie cofając się przed gwarowym zabarwianiem języka. Nawet moda ówczesna jest przedmiotem jednej z filipik Orgona:

A na suknię sztuczka cała,
Czy to moda oszalała!
Fałdy wszędzie, w górze, w dole,
Fałdy z tyłu i na przodzie!
A ja, panie, powiem szczerze,
Strach się żenić w takiej modzie,
Bo to człowiek, co tam bierze,
Dokumentnie znać nie może.

Uczonemu komentatorowi, Zawodzińskiemu, daje to okazję do zrobienia takiej — chyba trochę zbyt pochopnej — uwagi w przypisku do wydania Biblioteki Narodowej: „Fredro pamiętający z dzieciństwa obnażającą modę Dyrektoriatu a potem Cesarstwa na elegantkach paryskich, potępia coraz obfitsze ku połowie XIX wieku i coraz bardziej zniekształcające kobietę suknie". Podczas gdy tu nie chodziło, jako żywo, o stosunek Fredry do nagości i mody, ale o oszczędność Orgona, objawiającą się na każdym kroku...

Poetycka i precyzyjnie realna (choćby nawet słuszne były zarzuty poszczególne), pełna smutnej zadumy i olśniewającego dowcipu, przenikliwa i urocza, pobłażliwa i zarazem namiętna, ostatnia z serii t. zw. „wielkich" komedii Fredrowskich — sztuka o dożywociu — mieści w sobie dla nas ogromną lekcję mądrości. Jej motto zaczerpnięte, jak zwykle, z Andrzeja Maksymiliana Fredry brzmi: „U s k ą p e g o l u b c h c i w e g o c a ł a w m i e s z k u d u s z a". Zawodziński dochodzi do wniosku, że motto to nie było trafne, powołuje się przy tym na zdanie Chrzanowskiego, że Fredro „dopiero po napisaniu... szukał stosownej dewizy; jeżeli nie mógł znaleźć stosownej, poprzestawał na niestosownej". Cały mój wysiłek przy pisaniu niniejszego essayu zmierzał do wprost przeciwnej konkluzji: że w *Dożywociu* chodzi właśnie o pokazanie, iż zarówno u skąpych jak i u chciwych „c a ł a w m i e s z k u d u s z a". Wykrzywiają się proporcje życia, którego wszelkie wartości mogą się pomieścić w mieszku. To chciał pokazać Fredro — i to pokazał. A więc motto nie było nietrafne.

Wojciech Natanson

GENEWA – WARSZAWA

Tak się złożyło, że podczas trwania V Festiwalu Młodzieży wyjechałem na tydzień do Genewy. W ten sposób mogłem bezpośrednio porównać nastrój szwajcarskiego miasta podczas trwania konferencji atomowej z nastrojem naszej stolicy, ogarniętej entuzjastycznym spotkaniem młodych ludzi całego świata, którzy swym pięknem i zapałem porwali najbardziej pesymistycznie usposobionych warszawiaków. Na pozór zdarzenia odległe od siebie. Ale ich synchronizacja miała swoją wymowę.

Atmosfera, jaka się wytworzyła wokół konferencji atomowej, przemawia do nas swym optymizmem. Potęga człowieka i zwiększenie jego możliwości, jakie ukazali nam uczeni zebrani w Genewie, wywierają głębokie wrażenie. Miał rację wielki uczony duński, Niels Bohr, który w swoim odczycie podczas obrad atomowych powiedział, że losy świata i jego przyszłości są w ręku uczonych. Wzywał on swych kolegów do poświęcenia całego swojego wysiłku, aby wyzwolone siły rozbitego atomu skierować na drogę pokojowej służby człowiekowi.

Z obrad genewskich, gdzie uczeni wszystkich krajów świata, ze szczerością i można powiedzieć z radością, udzielali sobie wzajemnie swoich sekretów i otwarcie opowiadali o swoich osiągnięciach i swoich najbliższych możliwościach — wynurza się nowy obraz świata. Teraz dopiero w pełni doceniamy fakt, iż staliśmy się świadkami narodzin nowej, bogatej w fantastyczne urzeczywistnienia ery, która całkowicie przemieni życie na naszej planecie — i kto wie, czy nie pozwoli na przeniesienie tego życia w przestrzeń naszej galaktyki. Rewelacje konferencji genewskiej i jej dwóch wystaw są zaiste wstrząsające.

I kiedy obok tej poważnej narady naukowców spostrzeżemy warszawskie zebranie młodzieży, która manifestowała tak gorąco na rzecz przyjaźni i pokoju między narodami — mimo woli chwyta za serce entuzjazm i radość. Dla tego młodego życia otwierają się bowiem nieskończone perspektywy.

„V Festiwal był istotnie największym i najbardziej reprezentatywnym spotkaniem — powiedział w swej mowie na uroczystym posiedzeniu Komitetu Festiwalowego Bruno Bernini — spotkaniem młodzieży całego świata, niezależnie od wszelkich różnic politycznych, religijnych, narodowych i rasowych, młodzieży, która pragnie porozumieć się celem wzmocnienia przyjaźni oraz podjęcia kroków w obronie pokoju i lepszego życia."

Słowa te nabierają specjalnego znaczenia w czasie, kiedy genewska konferencja atomowa otwiera przed młodością całego świata tak olbrzymie możliwości lepszego życia. Fakt ten może naprawdę napełniać radością serca wszystkich ludzi dobrej woli na kuli ziemskiej. Powinniśmy być wdzięczni losowi, że dożyliśmy tych czasów i ujrzeliśmy te radosne drogi ku przyszłości.

Wszystko to winno nas podtrzymać w nieskończonej jeszcze walce o pokój i przyjaźń. Czarne siły istnieją i nie przestały działać. Ale po stronie jasnych sił stoi moc wydobyta rozumem człowieka z martwej materii i siła entuzjazmu wykrzesana z młodych serc. Te sprawy powinny nas napełniać ufnością i nadzieją.

Jarosław Iwaszkiewicz

ŚMIERĆ TOMASZA MANNA

Wiadomość o śmierci Tomasza Manna nadeszła do Warszawy nazajutrz po nocy, która zabrała go na zawsze, powalonego chorobą w szwajcarskim szpitalu. Z niepokojem czytaliśmy relacje o jego chorobie, ale nikt nie przypuszczał, że jej przebieg będzie tragiczny. Miłośnicy twórczości autora *Buddenbrooków* — a jest ich nieprzejrzana rzesza — przyjęli smutną wieść z uczuciem głębokiego żalu. Odszedł genialny pisarz, ostatni reprezentant mieszczańskiej kultury w jej najlepszym wydaniu. Czuł się z nią związany całym swoim jestestwem, był jej najdoskonalszym wyrazicielem i najsurowszym sędzią. W literaturze światowej powstała luka, która przez długi czas będzie świeciła pustką.

Zamknął się ogromny krąg wędrówki prowadzącej od starej hanzeatyckiej Lubeki do górzystej Szwajcarii, w której poznaliśmy Detleva Spinella z *Tristana* i Hansa Castorpa, mieszkańca *Czarodziejskiej góry*. Ta droga wiodła przez wszystkie epoki, nadzieje i rozczarowania naszego stulecia, a celem jej były zawsze Niemcy — kraj jego wielkiej miłości i goryczy. Proza twórcy *Lotty z Weimaru* stała się zwierciadłem sporu, który rozdziera naszą epokę, była ustawicznym poszukiwaniem prawdy i ucieczką przed złudzeniem, epickim obrazem świata i zarazem osobistą spowiedzią pisarza boleśnie przeżywającego dramat swojej ojczyzny.

Twórczość Tomasza Manna przypomina rozłożyste drzewo, którego gałęzie pną się w niebotyczne regiony, a korzenie wrastają głęboko w glebę ludzkiej troski. Był on pisarzem niemieckiego losu, na który patrzył zawsze pod kątem przemian społecznych i konfliktów całego stulecia. Niemiecki los — komu jest on teraz obojętny? Dziś stał się dylematem całej ludzkości. Wstrząsy, które ogarniają Niemcy, odczuwa cały glob ziemski. Ale nie tylko o to chodzi. Granica między postępem i zacofaniem, między elementem twórczym i niszczycielskim, lub jak Mann powiada diabolicznym, która rozszczepia naród niemiecki, przechodzi przez życie naszej ery. Tej granicy, oddzielającej dobro od zła, strzegli najlepsi bojownicy i myśliciele Europy, chroniąc nas przed zalewem ciemności. Wśród nich od kilkudziesięciu lat górował Tomasz Mann, dumny, nieustępliwy, wrogi fałszom i kompromisom. Jemu zawdzięczamy w dużej mierze to, żeśmy nie stracili wiary w prawdę niemiecką, której bronił od kłamstwa, barbarzyństwa i zdeptania przez faszyzm. Autor *Doktora Faustusa* zasłużył na miano „człowieka wielostronnych doświadczeń" (*„vielseitiger Prüfer"*) — tak nazwał Lawater Schillera — na miano epika niemieckiej prawdy, ludzkiej prawdy. Wchłonął ją w siebie, przemyślał i przecierpiał każdym odruchem serca. „Nic z tego — wyznał w przemówieniu *O Niemczech i Niemcach* — co usiłowałem wam powiedzieć o Niemczech lub luźną o nich uwagę poczynić, nie pochodziło od obcej, chłodnej, nie zainteresowanej istoty; doświadczyłem tego również w sobie, wszystkiego doświadczyłem na własnej skórze".

Piszący te słowa miał sposobność widzieć sędziwego pisarza na trzy miesiące przed jego zgonem, w maju bieżącego roku. Mann przybył wówczas do Weimaru, aby uczcić pamięć zmarłego przed stu pięćdziesięciu laty Schillera. Stara siedziba niemieckiej muzy, miasto Herdera, Wielanda, Goethego i Schillera, tonęło w kwiatach, którymi — dosłownie — usłana była droga autora *Tristana*, żaden pisarz po Goethem nie doznał za życia takich hołdów jak Tomasz Mann. Niemcy z Zachodu i Wschodu, młodzież, starcy, wysłannicy osiemnastu narodów, reprezentujący pięć kontynentów, widzieli w jego osobie ucieleśnienie wielkiej, owianej tchnieniem klasycznej tradycji tęsknoty do wolnych, zjednoczonych Niemiec.

14 maja przed południem w Teatrze Narodowym, przed którym stoją na cokole w brązie odlane figury Goethego i Schillera, w tym samym gmachu, w którym narodziła się Republika Weimarska, Tomasz Mann przemówił do zebranej publiczności. Wyszedł na scenę chwiejnym nieco krokiem, osłabionym brzemieniem osiemdziesięciu blisko lat, wysoki, lekko pochylony, o żywej, wyrazistej twarzy, na której malował się wyraz zadumy i skupienia. Na sali

zapanowało niezwykłe wzruszenie, wszyscy wsłuchiwali się w jego słowa z najwyższym natężeniem, nie chcąc uronić ani jednej z myśli, które układały się w długie, zawiłe, ale nieskazitelnie piękne zdania. Dwugodzinne niespełna przemówienie wygłosił stojąc, mówił z przejęciem, ważniejsze zwroty podkreślał zamaszystym gestem lewej ręki. Widać było, jak głęboko przeżywał wizję, którą wywoływał z przeszłości, szczególnie gdy opowiadał o rozpaczliwym szamotaniu się Schillera udręczonego wewnętrzną rozterką, do ostatniego tchnienia drążącego zagadkę sztuki i ludzkiego życia.

Nikt z obecnych nie zdawał sobie sprawy, że słucha testamentu Tomasza Manna, ostatniego credo myśliciela i pisarza. Mówił o Schillerze nie jako o zjawisku, które należy do bezpowrotnej przeszłości, lecz jako o źródle wiecznie bijącej prawdy, użyczającej znękanemu światu pocieszenia i siły do walki o triumf dobra i wolności. „Praca dla ludzkości — mówił o sztuce — której się życzy przyzwoitości i porządku, sprawiedliwości i pokoju miast wzajemnych oszczerstw, zdziczałego kłamstwa i pieniącej się nienawiści — to nie jest ucieczka od rzeczywistości w sferę próżniaczego piękna, to służba chroniąca życie, to wola, która pragnie wyleczyć je ze strachu przez wyzwolenie duchowe."

Po raz ostatni roztoczył wówczas Mann obraz naszego świata, po raz ostatni ostrzegł przed inwazją tych sił, które chcą zamienić ziemię w pustynię zniszczenia i śmierci: „Ostatnie półwiecze widziało regresję ludzkiego pierwiastka, zanik kultury najbardziej niesamowity, utratę wykształcenia, przyzwoitości, poczucia prawa, wierności i wiary, poczucia najprostszej pewności, zanik, który niepokoi. Dwie wojny światowe, szerząc surowość i chęć zysku, głęboko obniżyły poziom intelektualny i moralny (jedno i drugie wiąże się ze sobą) i spowodowały rozwichrzenie, dające kiepską rękojmię przed rzuceniem się w odmęty trzeciej, która położy kres wszystkiemu. Wściekłość i strach, przesądna nienawiść władają ludzkością, dla której kosmiczny przestwór istnieje po to, by zakładać w nim bazy strategiczne, i która przedrzeźnia siłę słońca, aby zeń wytworzyć zbrodniczą broń zagłady".

Wyznanie oskarżające występki imperializmu zakończył pisarz słowami nadziei. Wskrzeszając pamięć Schillera wezwał nasze pokolenie: „W święto jego złożenia do grobu i zmartwychwstania przejmijmy coś z jego subtelnie potężnej woli; z jego woli piękna, prawdy i dobra, oświecenia, wewnętrznej wolności, sztuki, miłości, pokoju, zbawczego szacunku człowieka dla siebie samego".

Tymi słowy rozstał się z nami, pożegnał nimi swoją ojczyznę i ludzkość, której służył swą sztuką i humanistyczną myślą.

Roman Karst

Z FESTIWALOWEGO NOTATNIKA

Nie miałem najzupełniej czystego sumienia wobec Abiboulaye N'Diaye. Oczywiście nie dlatego, bym się czuł odpowiedzialny za to, że siaki taki rodak warszawski obojga płci usiłuje „choćby jeden jedyny razik" dotknąć gęstego runa jego włosów, podczas gdy Abiboulaye N'Diaye pragnął, aby widziano w nim po prostu delegata i drukarza — takiego samego jak inni, choć warunki życia i pracy w Senegalu są bardziej niż wyraźnie określone kolonialną rzeczywistością. Słuchając jego wynurzeń, przyłapałem się na tym, że jednak zbyt mocno zezuję w stronę tam-tamów, gongów i strojów delegacji senegalskiej, że żywiej interesują mnie soczyste legendy plemion Peula, Ulolof, Fulbe, Diola, czy Malinke niż np. problemy szkolnictwa w Senegalu — że o wiele bardziej, niżby tego chciał Abiboulaye N'Diaye, rozsmakowuję się w możliwościach wygrania w artykuliku o jego delegacji egzotyki tego kraju.

Od rozmowy z Abiboulaye N'Diaye zaczęła mi też ona — egzotyka — mocno zawadzać podczas spotkań z takimi

czy innymi delegacjami. Jakoś nie potrafiłem jednak wyzwolić się od jej uroków, które sprawiały, że to, czego się dowiadywałem od delegatów, docierało do mnie jak gdyby załamane w krzywym zwierciadle ich zewnętrznej inności. Z ulgą więc odetchnąłem, gdy w kwaterze na ulicy Sieleckiej — dokąd z kolei zaprowadziły mnie obowiązki dziennikarza festiwalowego — usłyszałem na wstępie nieobojętną dla mnie uwagę: „Wie pan, że jeśli idziemy przez miasto bez odznak naszej delegacji, wielu ludzi bierze nas za typowych Polaków...".

Zapewne, w festiwalowej geografii Warszawy ulica Sielecka nie była specjalnie egzotyczna. Pod tym względem pozostawała daleko w tyle za taką np. ulicą jak Grottgera, gdzie rezydował Egipt, za Grenadierów — gdzie Chiny, za Krypską — gdzie Alger, za Zakroczymską — gdzie Indonezja, Japonia i Senegal, za Międzyborską — gdzie Irak, Turcja i Afganistan... za wieloma innymi sponad stu ulic warszawskich, przy których znajdowały się kwatery różnych delegacji zagranicznych.

Na Sieleckiej byli Norwegowie.

Prawdopodobnie moje wrażenia z tych odwiedzin wyglądałyby trochę inaczej, gdyby pierwszym delegatem, z którym się tam spotkałem, był np. Mikkel Bongo — Lapończyk, specjalista od gry na instrumencie zwanym *hardingfele*. Wówczas pewnie wszelkie wypowiedzi Norwegów dobiegałyby mnie poprzez dźwięki owej *hardingfele*, której trudno nie nazwać instrumentem egzotycznym, skoro na jej całość składa się jedna jedyna struna i nóż.

Mój pierwszy rozmówca nazywał się jednak nie Bongo, lecz Svein Wiik. Zaczepiłem go, ponieważ sprawiał wrażenie bardzo jeszcze niewypierzonego. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz — która mogłaby służyć za miarę wzorcową dla określenia „krew z mlekiem" — by wiedzieć, że nie tak dawno tkwił obydwiema nogami w tym okresie życia, kiedy granica między dzieciństwem a młodością nie jest specjalnie wyraźna. Spodziewałem się też po nim takich wrażeń z Festiwalu, w których świeżość spojrzenia walczyć będzie o lepsze z naiwnością.

Rozmowa miała jednak inny przebieg, powiedziałbym nawet: mniej atrakcyjny, niż to sobie wyobrażałem. Bo cóż z tego, że chłopak jest wprawdzie z Oslo, kiedy mówi tak, jakby mógł mówić dobrze mający w głowie rówieśnik jego z Warszawy, Krakowa czy Lublina. I do tego jego twarz — taką można spotkać na ulicach każdego z miast polskich.

Svein mówił mi po prostu — w sposób niemal „gazetowy", choć nie było w tym nic z recytowania gazetowych artykułów — że przyjechał na Festiwal chcąc spotkać się z młodzieżą innych krajów, by w miarę możności poznać jej życie, i że takie wzajemne poznanie się ludzi z różnych stron świata jest jak najbardziej potrzebne, jeżeli się pragnie pokoju. Oczywiście, najlepiej mógł poznać życie samej Warszawy i nie ulega dla niego wątpliwości, że np. stopa życiowa w Norwegii jest obecnie wyższa niż w Polsce, ale jeśli miałby się obawiać o przyszłość jednego z tych dwóch krajów, to z całą pewnością nie o przyszłość Polski, chociażby dlatego, że sprawa znalezienia pracy jest tu niezależna od międzynarodowej sytuacji gospodarczej jak w Norwegii. Tak, po powrocie do siebie będzie mówił o Polsce, o Festiwalu, o pokoju — w ten sam sposób jak to wszystko tutaj przeżył: z entuzjazmem. Zresztą, nie chodzi tylko o to, by mówić — trzeba działać, a inspiracją tego powinien stać się właśnie Festiwal.

Była to więc rozmowa — chciałoby się rzec — jak najbardziej schematyczna. O tyle jednak cenna, że dzięki niej (takiej, jaką właśnie była, bez odrobiny „soli" egzotyzmu!) ujrzałem w o wiele wyraźniejszym świetle wszystkie inne rozmowy i wszystkie inne twarze — te z Indonezjii czy z Senegalu na Zakroczymskiej, te z Algeru na Krypskiej, te z Turcji i z Iraku na Międzyborskiej... ze wszystkich ulic Warszawy, gdzie kwaterowało tyle „zagranic". Opadła z nich tak bardzo różnorodna zewnętrzność, stały się do siebie podobne w swej zasadniczej treści. I bodaj to najmocniej zapamiętam z Festiwalu — mimo że strasznie niepozorne było owo spotkanie z młodziutkim Norwegiem o nazwisku Svein Wiik.

*

We trzech siedzimy w jednej z sal na Zagórnej pod dziewiątym, gdzie kwateruje delegacja hiszpańska. Pierwszy z nich ma na stopach poranne pantofle, drugi — półbuty.

Właśnie do owych pantofli i półbutów musi się ograniczyć ich portret ze-

wnętrzny. Są to bowiem szczegóły, które żadnego policjanta frankistowskiego — choćby był nie wiem jakim Sherlockiem Holmesem — nie naprowadzą na ślad ich właścicieli. Jest to o tyle ważne, że po Festiwalu obydwaj oni wracają do Hiszpanii — podobnie jak przybyli stamtąd do Warszawy. Oczywiście, słowo „podobnie" jest w tym wypadku niezbyt precyzyjne. Jednak musi być takie, zważywszy choćby na to, że gdy się nawet otrzyma w Hiszpanii paszport zagraniczny, bezwarunkowo będzie w nim wypisane: „... z wyjątkiem ZSRR i krajów satelickich".

Trasa ich podróży jest więc sprawą równie nie nadającą się do publikacji, jak ich nazwiska i nawet jak okoliczności, w których dowiedzieli się uprzednio o przygotowaniach do Festiwalu w Warszawie. O przygotowaniach tych zostali powiadomieni w sposób, który by na pewno nie zyskał aplauzu władz frankistowskich. Gdzie jak gdzie, ale mówić w Hiszpanii o „Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń" to przecież akt jak najbardziej sprzeczny z oficjalnym *savoir-vivre*'m, którego nieprzestrzeganie może zaprowadzić prosto jak strzelił do więziennej celi.

Tak czy inaczej, w każdym razie sześciu młodych ludzi z Hiszpanii znalazło się w Warszawie — mieszkają teraz pod jednym dachem z siedemdziesięcioma trzema Hiszpanami żyjącymi poza granicami ojczyzny, póki tam faszyzm.

Rozmawiam z dwoma z owej szóstki. Zapewne, różnych rzeczy spodziewałem się po owej rozmowie, ale nie przyszło mi na myśl, że mogę się stać świadkiem sceny, w której obydwaj moi rozmówcy omalże nie wystąpią w charakterze usiłujących się nawzajem przekonać polemistów. Doszło do tego w momencie, gdy jeden z nich (ten w półbutach) stwierdził, że jako katolika obowiązuje go posłuszeństwo wobec hierarchii kościelnej we wszystkich bez wyjątku sprawach i że dlatego jest konieczne, aby Kościół objął rolę przewodnika, prowadzącego katolicką młodzież hiszpańską ku zmianom społecznym i gospodarczym, jakich ona pragnie dla swego kraju. Właśnie ta opinia wzbudziła natychmiastowy sprzeciw w jego rodaku (tym w pantoflach). Z miejsca zaprotestował, że nie może się zgodzić z punktem widzenia, według którego miałby jako katolik przyjmować od hierachii kościelnej dyrektywy w takich, wykraczających poza dziedzinę wiary, sprawach, jak polityka czy ekonomia...

Niestety, wylęgająca się już dyskusja —w której z całą pewnością pełniłbym ochoczo rolę wdzięcznego słuchacza — równie szybko schowała się do swej skorupki, jak się z niej wychyliła. Prawdopodobnie obaj doszli do wniosku, że ta polemika jest w tej chwili niezupełnie *à propos*. Być może również, woleli mówić na tematy, co do których nie było między nimi różnicy zdań. Choćby o ciekawości — tej, która pchnęła ich w niełatwą drogę do Warszawy, aby własnymi oczami obejrzeć to wszystko, co według propagandy frankistowskiej zasługuje jedynie na ogień piekielny, amen.

Siedzę tu teraz naprzeciw nich — i z ich oczu, które wchłonęły w siebie niemały szmat Warszawy, ogarniętej festiwalowym upałem, mogę wyczytać tylko jedno uczucie, które należałoby nazwać entuzjazmem, gdyby nie było to określenie nazbyt już wyszarzałe w porównaniu z świeżością i natężeniem ich reagowania. I choć jestem pewien, że się nie przesłyszałem, wolę zadać pytanie powtórnie, by nie dopuścić do jakiegokolwiek nieporozumienia. Ależ tak!... dosłownie tak to brzmi: „Po raz pierwszy zobaczyłem, jak się urzeczywistnia Chrystusowe słowo o miłości powszechnej i umiłowaniu ludzi — właśnie tu, w Warszawie". Omal już gotów jestem mitygować, że może niezupełnie tak się to przedstawia, że chyba trzeba by było coś w tym stwierdzeniu zmienić, ścieniować, lecz koniec końców nie odzywam się, bo i jakże się odzywać, skoro nie jestem katolikiem z Hiszpanii, którego sądy bodaj przede wszystkim wynikają z konfrontacji tej rzeczywistości, jaka istnieje w jego ojczyźnie, z tą, jaką znalazł w Warszawie.

Ich oczy i uszy — jak najszerzej otwarte dla Warszawy podczas Festiwalu — dostarczyłyby im sporo tego rodzaju odkryć. Szczególnie jedno z nich uderza swoją pozorną nieoczekiwanością. Oto trzeba było Warszawy, aby hiszpański katolik miał okazję stwierdzić — tak jak się stwierdza fakt, którego istnienia nawet się nie podejrzewało dotychczas — że między nim a hiszpańskimi komunistami, z którymi spotkał się tu pod jednym dachem, mogło się zrodzić koleżeństwo...

Słucham długiej relacji o festiwalo-

wych przeżyciach, które sprawiły, że po wyjeździe z Warszawy obydwaj Hiszpanie będą starali się — w miarę możności, jak mówią, a więc głównie poprzez kontakty osobiste — propagować hasła Festiwalu, nie wymieniając zresztą jego imienia, na którego dźwięk zbyt ochoczo otwierają się w Hiszpanii karty frankistowskiego kodeksu karnego.

Patrzę na poranne pantofle jednego z nich i na półbuty drugiego. Jak nieuchwytne mogą być nieraz ślady Festiwalu, gdy będzie szedł między ludzi, pokazując im swoją twarz.

Zbigniew Stolarek

WŚRÓD PISARZY, GOŚCI FESTIWALOWYCH

Wśród kilkudziesięciu pisarzy przybyłych do Warszawy na Festiwal bądź jako goście honorowi, bądź po prostu jako delegaci młodzieży, znajdowali się przedstawiciele wszystkich niemal literatur świata i wszystkich dyscyplin literatury. Ten zjazd festiwalowy dawał z pewnością pełniejszy obraz literatury współczesnej niż nakrochmalony ważnością kongres PEN-Clubów. Ten nieoficjalny, bez programów i bez referatów (bo pisarze nie tworzyli jakiejś odrębnej sekcji i nie obrady były celem ich przybycia) zjazd poetów, powieściopisarzy, essayistów i krytyków przybyłych do Warszawy dla zamanifestowania idei przyjaźni i woli pokoju, mimo że niewyodrębniony i wtopiony w cały Festiwal, stanowił wydarzenie samo w sobie. Kilka spotkań pisarzy zagranicznych z pisarzami polskimi, zorganizowanych przez Związek Literatów, dało okazję do zapoznania się na żywo z problematyką nurtującą współczesną literaturę świata, z doświadczeniami pisarzy i warunkami, w jakich tworzą. Szczególnie utkwiły w pamięci wynurzenia pisarzy z krajów dławionych terrorem faszyzmu. Pisarze z Iranu, z podbitych przez amerykańskie koncerny krajów Ameryki Łacińskiej, z Portugalii, pisarze, których nawet nazwisk nie można ujawnić, aby nie narazić ich na prześladowania, mówili o formach walki, którą toczą w warunkach terroru, walki o godność pisarza, o prawdę i wolność.

Mieliśmy zamiar dać pełny obraz tego festiwalowego zjazdu literatów świata i nakreślić wszystkie sylwetki zagranicznych pisarzy. Zamiar ten jednak okazał się niewykonalny. Oczywiście, były przeszkody techniczne. Ale nie tylko o przeszkody techniczne chodzi. Wielu z pisarzy, pisarzy młodych, z zażenowaniem mówiło o sobie. Jeden z nich, radziecki krytyk, współpracownik *„Litieraturnej Gaziety"* , Wasyli Ardamatski, w liście do redakcji wręcz oświadczył: „Ze mnie niewielki jeszcze pisarz, moje zasługi dla literatury radzieckiej są tak nikłe, że imię moje przy takich nazwiskach jak Nazim Hikmet, Stephan Hermlin, Peter Blackman... będzie po prostu raziło". Ta skromność była jednym z rysów charakterystycznych tego zjazdu pisarzy, usuwających się najchętniej w cień sprawy, która ich na warszawski Festiwal przywiodła.

Te kilkanaście sylwetek, które poniżej dajemy, niech więc świadczy jedynie przykładowo o różnorodności i bogactwie warszawskich spotkań.

A więc... Niesposób nie wspomnieć o pisarzach, honorowych gościach Festiwalu, których nazwiska rozbrzmiewają dzisiaj na cały świat: Nazim Hikmet i Nicolas Guillen. Ci poeci, których twórczość jest natchnieniem ludów na obu półkulach, poeta turecki i poeta kubański, nie po raz pierwszy są w Warszawie. Poznaliśmy ich dobrze podczas poprzednich pobytów. Poezja ich nie jest nam już także obca. Poematy Hikmeta w autentycznych (z tureckiego) przekładach Małgorzaty Koecherowej-Łabęckiej od kilku lat publikuje prasa literacka. W opracowaniu tejże tłumaczki ukazać się ma niebawem duży wybór poezji Hikmeta, przygotowywany przez jedno z naszych wydawnictw. Z okazji Festiwalu Nazimowi Hikmetowi winniśmy szczególną wdzięczność. Wielki pisarz wyraził bowiem uczucia nas wszystkich, zachwycając się publicznie (w wywiadzie *„Życia Warszawy"*) sukcesem naszej młodej plastyki. To uznanie Hikmeta z pewnością utrwali en-

tuzjazm i zapał młodych malarzy, którzy dekorując miasto zerwali ze sztampą ponurych „wcierek" i rozkołysali Warszawę barwą i rytmem.

Poezja Nicolas Guillena, do niedawna jeszcze zagłuszana w Europie przez rozgłos wokół Nerudy, u siebie, w Ameryce Łacińskiej, stała się już niemal anonimową pieśnią ludową, tak mocno weszła w krew i uczucia ludu, tak ściśle wyraża tęsknotę i życie społeczeństw południowo-amerykańskich. Czy wie kto o tym, że cytowany w *Kwiatach polskich* czterowiersz hiszpański, refren zasłyszanej przez Tuwima ulicznej piosenki, jest fragmentem poematu Guillena? Uroczy, wielki poeta. Wydany przez „Czytelnika" skromniutki wybór wierszy Guillena (w przekładzie Zofii Szleyenowej) prosi się o ciąg dalszy. Jeden z ostatnich utworów Guillena, który z okazji pobytu poety w Warszawie publikujemy, ukazuje się równocześnie we francuskim przekładzie we wrześniowym numerze miesięcznika Jean Paul Sartre'a *„Les Temps Modernes"*.

Ameryka Łacińska była bardzo licznie reprezentowana na Festiwalu.

Jorge Zalamea jest może bardziej znany jako działacz polityczny niż jako literat. Był przecież ministrem oświaty, potem ambasadorem Kolumbii w Meksyku i we Włoszech. Obecnie przebywa na przymusowej politycznej emigracji w Wiedniu. Jest członkiem Światowej Rady Pokoju i sekretarzem Jury Międzynarodowej Nagrody Pokoju. Na twórczość literacką Zalamei składają się dramaty *(Powrót Ewy, Porwanie Sabinek)*, essaye i głośna antyfaszystowska powieść *Wielki Burundun — Burunda nie żyje!*

Chile reprezentowali Luis Cornejo, młody obiecujący pisarz, który niedawno zadebiutował tomem *Opowiadań z przedmieścia*, oraz Teresa Hamel, również nowelistka, autorka tomu opowiadań z życia marynarzy.

Z Ekwadoru przybył młodziutki poeta Hugo Salazar Tamariz, którego poematy pt. *Przeciwko paktom wojennym* zdobyły rozgłos ogólnoamerykański.

Argentyna reprezentowana była dość licznie. Przede wszystkim przybył (jako gość honorowy) znakomity pisarz (sekretarz Światowej Rady Pokoju) autor słynnej powieści *Ciemna rzeka* — Alfredo Varela. Pamiętamy jeszcze wstrząsający film, który pod tym samym tytułem szedł niedawno na naszych ekranach. Marco Jorge de Cellis — to poeta o pokaźnym już dorobku. Jest redaktorem czołowego postępowego pisma literackiego Argentyny *„Ventana de Buenos Aires"*. Szczególną sympatię i zainteresowanie budził i wśród gości zagranicznych, i wśród nas wszystkich argentyński pisarz dla dzieci i młodzieży, Javier Villafane. Jest jedną z najbardziej znanych osobistości w świecie kulturalnym Ameryki Łacińskiej. To twórca południowo-amerykańskiego teatru kukiełkowego, zbieracz i entuzjasta rysunków dziecięcych, którymi ilustruje własną poezję. Stworzył kilkaset scen kukiełkowych. Jest dramatopisarzem, projektantem i wykonawcą lalek jednocześnie. W Warszawie entuzjazmował się krakowską „Groteską".

Z Ameryki Północnej przybył wybitny poeta murzyński piszący po angielsku, Peter Blackman. Blackman po raz drugi gościł w Warszawie. Był już na Kongresie Pokoju. Wówczas kilka poematów tego poety opublikowano w polskiej prasie literackiej.

Borozg Alavi — to wybitny pisarz i działacz polityczny (członek partii Tudeh) Iranu. Przybył on na Festiwal jako gość honorowy i członek jury z NRD, gdzie obecnie przebywa na emigracji. Niebawem ukaże się w przekładzie polskim powieść Alaviego *Jej oczy*. W roku bieżącym ukazała się w Europie w przekładzie niemieckim książka obrazująca zmagania narodu irańskiego, *Walczący Iran*. W przygotowaniu jest już także przekład polski. Alavi od dawna już związany z obozem postępu był jedną z najbardziej reprezentacyjnych osobistości azjatyckich przybyłych na Festiwal.

Przedstawicielem Libanu była Magdalena Arcache z Beyrouthu. Autorka kilku essayów filozoficzno-społecznych traktujących o stosunkach religijnych i obyczajowych w Libanie. Szkic pt. *Język i literatura* poświęcony sprawie literatury ogólno-arabskiej odegrał dużą rolę w powstawaniu wspólnoty kulturalnej ludów arabskich. M. Arcache jest również autorką dwóch powieści z tezą, wymierzonych przeciwko fanatyzmowi religijnemu.

Z Południowej Afryki przybył poeta tworzący w języku angielskim, P. Williams.

Egipt reprezentował Abdel Rahman el Charkani, młody poeta, nowelista i powieściopisarz (ur. 1920). Jest już pisarzem o imieniu szeroko znanym w krajach arabskich. Jego powieści *Zie-*

mia i *Miejsce walki* rozeszły się w nakładzie 30.000 egzemplarzy, co znaczy ogromnie dużo na tamtejsze stosunki. Abdel Rahman el Charkani jest czynnym działaczem politycznym, walczącym o uniezależnienie Egiptu. Był kilkakrotnie więziony, a pisma, które redagował („*Awangarda*", „*Nowe Jutro*") zostały zamknięte przez władze. El Charkani jest członkiem Światowej Rady Pokoju. Był honorowym gościem Festiwalu i członkiem festiwalowego jury.

Na Festiwalu była także reprezentowana egzotyka... europejska. Z Islandii przybył Krystian (Einarsson) fra Djupalack. Poeta, laureat Państwowej Nagrody Poetyckiej Islandii (1950), jest autorem pięciu zbiorów wierszy. Tworzy również popularne pieśni i piosenki chcąc, jak powiada, wyprzeć sztampę amerykańskiego szlagieru. Działacz społeczny, pracuje w ramach akcji związków zawodowych, jest członkiem partii socjalistycznej. Występował gwałtownie przeciwko zakładaniu amerykańskich baz wojennych w Islandii.

Niemal wszystkie kraje europejskie reprezentowane były przez swoich pisarzy średniego, młodego lub najmłodszego pokolenia. Ze Związku Radzieckiego oprócz wymienionego już krytyka, Wasylego Ardamatskiego, przybyli Wasyli Zacharczenko, redaktor „*Tiechniki Mołodioży*" i Siergiej Worobiow, współpracownik „*Litieraturnej Gazety*".

Spośród pisarzy francuskich gościliśmy przede wszystkim znanego szeroko (i u nas także, z artykułów publikowanych w „*Nowej Kulturze*") essayistę i krytyka, André Wurmsera, który wraz z poetą (także znanym u nas z przekładów) Charles Dobrzyńskim (laureatem I-szej nagrody poprzedniego Festiwalu w Bukareszcie), byli członkami festiwalowego jury. Korzystając z okazji przedstawimy dokładniej drogę literacką André Wurmsera, którego twórczość, interesująca i rozmaita, nie jest u nas bliżej znana. Urodzony w 1899 r., Wurmser debiutuje w 1923 powieścią *Zmiana właściciela*. Wkrótce potem wydaje tom nowel *Listy samotności*. Od lutego 1934 Wurmser rozpoczyna aktywne życie polityczne w ramach Frontu Ludowego. Jest wówczas redaktorem tygodnika „*Vendredi*" i miesięcznika „*Russie*". Podczas okupacji hitlerowskiej Wurmser walczy piórem w szeregach Ruchu Oporu. Powojenna działalność polityczna i literacka Wurmsera ma już i u nas także szeroki rezonans. Kroniki literackie Wurmsera w „*Lettres Françaises*", felietony w „*Ce Soir*" i „*L'Humanité*" są u nas znane i cenione. Od 1945 roku ukazało się szereg powieści i essayów tego wybitnego pisarza. Z tych publikacji największy rozgłos uzyskała książka p.t. *Zakaz pobytu*. Po otrzymaniu nagród festiwalowych przybył zaproszony specjalnie laureat I-szej nagrody, François Kerel, autor poematu A *bientôt mon enfant*. Młodziutki, wzruszająco przejęty wyróżnieniem poeta z miejsca nawiązał liczne przyjaźnie, zapewne trwałe. Nagrodzony poemat, napisany (niestety — ze względu na trudności przekładowe) aleksandrynem, wart jest popularyzacji. Szczególnie interesującą postacią francuską jest młody poeta, essayista i powieściopisarz, Jean Jacques Brieux, który przybył na Festiwal wydelegowany przez Narodowy Komitet Pisarzy. Autor dwóch tomików wierszy *(Orient-Espoir, Africa)*, essayu o Chinach (gdzie przebywał podczas gorących dni zwycięstwa) i dwóch powieści — zdążył już brać udział w wojnie na trzech frontach (afrykańskim, europejskim i japońskim). We francuskiej delegacji festiwalowej był również młody reżyser teatralny, muzykolog, uczeń Dariusa Milhaud — Pierre Barthelemy.

Wśród niemieckich pisarzy byli na Festiwalu Stephan Hermlin, Paul Wiens, Johann Koplowitz, Hans Gloger, Armin Müller i Franz Frühman. Stephan Hermlin to wybitny i bardzo już znany poeta średniego pokolenia. Urodzony w 1915 roku Hermlin już w czasach szkolnych przyłączył się do ruchu rewolucyjnego. W Niemczech hitlerowskich walczył w podziemiu, a później w szeregach Brygady Międzynarodowej w Hiszpanii i w Ruchu Oporu we Francji okupowanej. Pierwsze poezje Hermlina powstały podczas II wojny światowej. Najwybitniejsze pozycje jego twórczości to poezje: *Oratorium mansfeldzkie*, *Lot gołębia*, *Aurora* i opowiadania: *Czas wspólnoty* oraz *Młodość nieujarzmiona*. Koplowitz pisarz średniego pokolenia, antyfaszysta, redaktor „*Arbeiterzeitung*" przed przewrotem hitlerowskim, zaznał po przewrocie cierpień obozów koncentracyjnych. Wojnę spędził na emigracji w Wielkiej Brytanii. Koplowitz jest autorem kilku powieści, scenariuszy filmowych i wielu tekstów pieśni. Na tegorocznym Festiwalu otrzymał nagrodę

w dziale dziennikarskim. Gloger zadebiutował opowiadaniami w 1948 r. Jest autorem kilku powieści (*Philomela Kleespies trug die Fahne, Der Soldat und seine Leutenant*). W 1954 r. Gloger otrzymał nagrodę literacką im. Henryka Manna. Müller, poeta, autor dwóch zbiorów wierszy. (*Hallo, Bruder aus Krakau, Zeit jenem Mai*), nowelista, jest także autorem dwóch cyklów reportaży z podróży po Polsce (1952) i po Korei (1955). Paul Wiens, poeta i scenarzysta filmowy, jest laureatem nagrody im. Goethego. Franz Frühman jest laureatem obecnego Festiwalu, nagrodzony za poemat *Droga do Stalingradu*.

Z Danii przybył Mogens Linck (ur. 1912), który był już w Warszawie na Kongresie Pokoju jako przewodniczący delegacji duńskiej. Wybitny bojownik podziemnego Ruchu Oporu podczas okupacji hitlerowskiej, Mogens Linck od zarania swojej kariery pisarskiej służy postępowi. Najbardziej znane są jego sztuki teatralne: *Oddajcie prochy Cezarowi* i *Mały hotelik*.

To są wyrywkowe, przykładowe jedynie sylwetki. Moglibyśmy wyliczyć wielu jeszcze zapewne. Byli przecież Czesi (że wspomnimy krytyka, Franciszka Burianeka), Bułgarzy, Węgrzy, Rumuni (że wspomnimy utalentowanego poetę Jona Brada, autora *Ballady rozstrzelanych*, czy też piszącego po węgiersku Kovacsa György). Listy tej i tak nie wyczerpiemy. Zjazd festiwalowy stworzył wiele nowych związków i literackich przyjaźni, które z pewnością w innej, bardziej bezpośredniej formie się wyrażą. Ta notka bibliograficzna doczeka się z pewnością w naszej prasie literackiej uzupełnienia.

zb

FESTIWALOWA NIESPODZIANKA

Trudno nie pokwitować, choćby najkrótszą wzmianką, niespodzianki, jaką sprawili nam wszystkim warszawscy plastycy dekoracją stolicy na Festiwal. Za cudowny Nowy Świat, za Aleje, za Plac Stalina, za Mysią (która miała największe powodzenie wśród fotoreporterów jako jedyna trójkątna ulica *on the world*), za Marszałkowską i Plac Konstytucji, za przepiękną głowę na Smolnej jesteśmy skłonni odpuścić naszym plastykom najcięższe ich przewinienia z czteroma Ogólnopolskimi Wystawami Plastyki włącznie. Okazało się, że gamy zieleni, czerwieni i błękitu lepiej potrafią wyrazić radość życia, optymistyczną treść naszych dni niż szarobure tony oficjalnych płócien z Zachęty. A to właśnie było do udowodnienia, mimo iż poniektórym z dawna wydawało się oczywiste. Odkrycie koloru, barwy, światła w naszej współczesnej plastyce będzie na zawsze związane z festiwalową dekoracją miasta. A że nie przeminie bez echa, świadczy o tym „Wystawa Młodych Plastyków" w Arsenale. Jedno już w tej chwili wiadomo. Zwycięstwo nad akademickim „pompieryzmem" jest bliskie. Musimy jednak wytężyć wszystkie siły, bo jak wiadomo ani stare nie ustępuje, ani młode nie zwycięża bez walki. Dlatego też do wystawy młodych plastyków powrócimy obszerniej w następnym numerze.

jl

PRZEGLĄD RADZIECKICH CZASOPISM LITERACKICH

Czytelnika czasopism literackich, wydawanych przez Związek Pisarzy Radzieckich przeważnie w formacie książkowym — przede wszystkim interesują publikowane w nich nowości prozy i poezji. Są to niejako „generalne próby" utworów literackich, które stają się nieraz przedmiotem gorącej dyskusji. Wy-

powiedzi w dyskusji są bardzo cenne dla autora przy opracowywaniu ostatecznej, książkowej redakcji utworu. Często zdarza się, że pod wpływem tej krytyki autor uzupełnia, poprawia a nawet przerabia swój utwór.

Na czoło wszystkich utworów prozaicznych, opublikowanych w pierwszym półroczu br., wysuwa się II tom *Zoranego ugoru* Michała Szołochowa. Już fragmenty tego dzieła, opublikowane w tygodniku „*Ogoniok*" latem ub.r. i na łamach „*Prawdy*" wiosną br., wzbudziły powszechne zanteresowanie czytelników i krytyków. W prasie literackiej ukazało się wiele wzmianek, notatek i artykułów recenzyjnych na temat wspomnianych urywków *Zoranego ugoru*.

Akcja drugiego tomu powieści rozpoczyna się w czerwcu 1931. Autor maluje w nim dalszy wzrost i okrzepnięcie kołchozu w Gremiaczym Łogu, rozwój bohaterów i przodowników pracy kołchozowej, ale także i uaktywnienie sił wrogich kolektywizacji. Rozwijają się więc w dalszym ciągu zasadniczo wszystkie wątki i postacie, znane z pierwszego tomu, zawiązują się jednak i rozwijają wątki nowe, pojawiają się lub wysuwają na plan pierwszy takie postacie, jak np. kowal Szałyj, zakochana w Dawydowie 17-letnia Waria Charłamowa itd.

Na marginesie dodam, że z końcem ubiegłego roku w prasie literackiej a nawet codziennej pojawiły się urywki nowego tomu znanej powieści Szołochowa z czasów Wojny Narodowej — *Oni walczyli za ojczyznę*. Druku tej powieści również należy się spodziewać w bliskiej przyszłości. Obraz okresu pierwszych pięciolatek, a więc czasu akcji *Zoranego ugoru*, odnajdujemy i w powieści Borysa Gorbatowa *Aleksiej Gajdasz*, której druk rozpoczął „*Nowyj Mir*" w maju. Jest to dalszy ciąg ulubionej powieści młodzieży radzieckiej (i nie tylko radzieckiej!) pt. *Moje pokolenie*. Książka ta jest nie ukończona; rękopis jej odnaleziono w archiwum pisarza po jego śmierci. Podobnie jak w *Moim pokoleniu* — pokoleniu starych komsomolców, do którego z dumą zaliczał się autor *Donbasu* — tak i w *Gajdaszu* znajdujemy wiele momentów autobiograficznych: opis służby wojskowej komsomolca Gajdasza w początkach lat trzydziestych na Zakaukaziu, nad granicą turecką itd.

Gdy mowa o momentach autobiograficznych w powieściopisarstwie radzieckim ostatniej doby — to licznym miłośnikom prozy Paustowskiego należy podać przyjemną wiadomość, że druk drugiego tomu jego czterotomowego autobiograficznego cyklu powieściowego (tom I znany pt. *Dalekie lata)* niedawno zakończył „*Nowyj Mir*" (Nr 3—6). Tytuł powieści — *Niespokojna młodość*. Powieść obejmuje lata I wojny światowej do rewolucji lutowej, maluje przygody i przeżycia autora na froncie: w pociągu i oddziale sanitarnym — oraz na tyłach.

Naszego czytelnika zajmie ta interesująca powieść także i dlatego, iż akcja jej w rozdziałach opisujących przeżycia frontowe — toczy się również na ziemiach polskich. I w pięknych krajobrazach, w opisach miast i wsi, i w rozległej galerii postaci *Niespokojnej młodości* — od babki pisarza, miłośniczki powieści Kraszewskiego, począwszy — do typów polskich chłopów (np. rodzina Stasia znad Wieprza), inteligentów (np. aktor Groński), Żydów itd. — polski czytelnik znajdzie bogate i różnobarwne motywy ojczyste.

Oczywiście — powieść Paustowskiego jest lekturą frapującą niezależnie od wplecionych w nią motywów polskich. Pisarz po mistrzowsku odtworzył tragiczne dzieje narodów b. cesarstwa rosyjskiego w czasach poprzedzających wybuch Rewolucji Październikowej.

Motywy autobiograficzne odnajdujemy również w części pierwszej drugiego tomu *Odkrycia świata* W. Smirnowa (*„Zwiezda"* Nr 1). Jest to historia dzieciństwa Szurki Sokołowa, małego ucznia ze wsi nadwołżańskiej, który stracił ojca na froncie I wojny światowej.

Autor *Sewastopola*, S. Siergiejew Censki, opublikował opowieść *Poranny wybuch*, osnutą na tle znanego wypadku zatopienia rosyjskiego dreadnoughta „Carowa Maria" w porcie sewastopolskim w roku 1916. Opowieść ta należy do cyklu epicznego pt. *Przeobrażenie Rosji*, nad którym obecnie pracuje sędziwy pisarz. Na cykl ten złoży się kilka powieści i opowieści z dziejów Rosji w latach 1913 — 1929.

Przechodząc do omówienia beletrystycznych nowości o tematyce współczesnej, pragnę wymienić powieść autora *Kierowców*, Anatola Rybakowa, pt. *Jekatierina Woronina* („*Nowyj Mir*" Nr 1—4). Jest to malowidło epiczne, obejmujące dzieje trzech pokoleń kobiet rosyjskich. Te trzy pokolenia — to: babka

bohaterki powieści, również Jekatierina, jej matka, Anastazja, i wreszcie ostatnie pokolenie — Katia Woronina, dzielny człowiek Wołgi, inżynier transportu rzecznego. Utwór Rybakowa jest powieścią wielowątkową, z rozległą i różnobarwną galerią postaci. Najsłabszy ze wszystkich wątków jest niewątpliwie motyw miłosny, dzieje miłości Kati Woroninej i Ledniewa. Niektóre wątki poboczne są lepiej opracowane, a niektóre postacie drugoplanowe są bardziej udane niż główne.

Nowa powieść Rybakowa wywołała ożywioną dyskusję — zarówno w prasie literackiej i codziennej, jak i na zebraniach twórczych w Związku Pisarzy Radzieckich. Oczywiście — nad swym, zgodnie uznanym za nowatorski w pomyśle i zamierzeniach, utworem autor nadal pracuje i zapewne w redakcji ostatecznej, książkowej uwzględni wytknięte braki i niedociągnięcia, głównie natury artystycznej, kompozycyjnej.

Autor wydanej przed kilku laty powieści „produkcyjnej" pt. *Pierwszy tydzień*, A. Pantilejew, opublikował w miesięczniku *„Oktiabr"* (Nr 4—6) nową powieść—*Potok*. W powieści tej, może nieco schematycznie, Pantilejew osnuł główny wątek utworu wokół walki grupy młodzieży komsomolskiej, której przewodzi bohater powieści, Paweł Ałtuchow, o wprowadzenie nowatorskiego systemu potokowego w fabryce mikrometrów.

Pisarz młodzieżowy, A. Musatow, ogłosił w marcowym zeszycie *„Oktiabria"* nową opowieść pt. *Strome ścieżki*. Jej bohaterowie: Tania Puszkarowa i Anton Zadorow pracują na statkach-pogłębiarkach przy budowie Stalingradzkiej Elektrowni Wodnej. Nieskomplikowany wątek produkcyjny opowieści autor umiejętnie splata z wątkiem osobistym, z perypetiami miłosnymi bohaterów. W lutowym zeszycie *„Oktiabria"* ukazał się debiut beletrystyczny autorki reportaży, H. Rżewskiej — opowieść o życiu osiedleńców w lasach karelskich — *Na nowym miejscu*.

Z literatury dla młodzieży i dzieci należałoby też wymienić nową powieść Mikołaja Dubowa pt. *Sierota;* druk jej rozpoczął *„Nowyj Mir"* w kwietniu. Autor *Świateł na rzece* zajmująco oraz z dużą znajomością psychiki dziecięcej i zagadnień wychowawczych odtwarza w *Sierocie* przygody i przeżycia „trudnego" wychowanka domu dziecka, sieroty Loszki. Zagadnienia wychowawcze i moralne w środowisku młodzieży akademickiej i pracującej naukowo porusza Gennadij Gor w opowieści *Omyłka profesora Oroczewa „Zwiezda"* Nr 5). Jest to historia upadku młodego archeologa, uczonego nie z powołania, pięknego, pustego karierowicza — Eugeniusza Stiepanowa.

Wśród wielorodnych tematów najnowszej beletrystyki radzieckiej nie zabrakło oczywiście motywów Wojny Narodowej. Autor znanej i polskiemu czytelnikowi *Stali i szlaki*, Wł. Popow, ukończył drugi tom tej powieści i dał mu tytuł *Popłynęła stal*. Druk nowej powieści Popowa rozpoczęła w kwietniu *„Newa"* (Nr 1), wychodzący w Leningradzie nowy miesięcznik Związku Pisarzy Radzieckich. Autor powieści nadal snuje dwa równoległe wątki utworu: praca i walka o stal w wielkiej hucie na Uralu, podziemna i partyzancka walka z hitlerowskimi najeźdźcami w okupowanym Donbasie.

Tematyce wojennej poświęcił nową powieść — *Górski potok „(Znamia"* Nr 1-4) — S. Kruszyński. Pisarz osnuł ten utwór na dziejach powstania słowackiego w roku 1944. Bohaterem powieści jest uciekinier z Majdanka, Wacław Wałousz, dowódca jednego z oddziałów powstańczych.

Pisma radzieckie zamieszczają ostatnio sporo przekładów z literatur obcych, w tej liczbie z literatury polskiej. *„Znamia"* od marca drukuje *Obywateli* Brandysa w przekładzie M. Abkinej, w numerze majowym *„Nowego Miru"* ukazał się przekład *Pana z laską* (autor przekładu — W. Arcimowicz).*

* Czytelnika naszego zainteresuje zapewne wiadomość, że opublikowana na łamach miesięcznika *„Nowyj Mir"* (Nr 3) recenzja *Obywateli* — pióra A. Dyryngierowej — wywołała w radzieckiej prasie literackiej polemikę. Mianowicie — redakcja miesięcznika *„Znamia"* (Nr 5) w *Uwagach na marginesie* uczyniła recenzantce *„Nowego Miru"* zarzut, iż jej polemika z Ryszardem Matuszewskim w sprawie użytego przez polskiego krytyka porównania Pawła Czyża z Balzakowskim Lucjanem de Rubempré polega na nieporozumieniu. Szczegół ten bynajmniej nie jest istotny, ale charakterystyczny dla zainteresowania radzieckich literatów sprawami naszej współczesnej twórczości i krytyki literackiej. Przy sposobności pragnę te *polonica* uzupełnić wiadomością, że *„Zwiezda"* w marcu zamieściła recenzje przekładu *Czerwonej Rzeki* Żuławskiego. Autorzy recenzji — W. Aleniczew i W. Oskotski.

„*Nowyj Mir*" (Nr 1-3) drukował nową powieść Howarda Fasta, *Silas Timberman*, w przekładzie E. Gołyszewej i B. Izakowa. Jako ciekawostkę bibliograficzną podam wiadomość, że w marcowym numerze „*Nowego Miru*" opublikowano urywki *Dziennika z lat wojny* (1914 — 1919) Romain Rollanda. Pamiętnik ten, zdeponowany przez wielkiego pisarza w jednej z bibliotek radzieckich, zgodnie z wolą Rollanda otwarto na początku br.

Nie mniejsze zainteresowanie wzbudzi wiadomość, że „*Nowyj Mir*" opublikował w czerwcu kilka napisanych w latach 1927—1940 opowiadań i szkiców zmarłego w r. ub. na emigracji w Paryżu wybitnego prozaika rosyjskiego, Iwana Bunina.

W tym pobieżnym przeglądzie nie wspominam oczywiście o dość obfitym plonie radzieckiej twórczości nowelistycznej ostatnich miesięcy. Nie mogę jednak nie napomknąć o ciekawszych utworach typu pamiętnikarskiego opowieściach biograficznych i wspomnieniach o wybitnych pisarzach i artystach. W almanachu Związku Pisarzy Radzieckich „*God XXXVIII*", Nr 20/55, opublikowano zajmujące wspomnienia o Gorkim — pióra zmarłego przed sześciu laty pisarza i publicysty, Iwana Żygi (Smirnowa) — *Spotkania z Gorkim*. Ciekawa jest też zamieszczona w zeszycie lutowym „*Zwiezdy*" *Opowieść o Szalapinie* — pióra b. elektromontera teatralnego, S. Rosenfelda.

Wiele osobistych wspomnień zawierają też dość często ostatnio publikowane w Związku Radzieckim literackie portrety wybitnych pisarzy. We wspomnianym numerze almanachu „*God XXXVIII*" Konstanty Simonow opublikował interesujące studium *O Gorbatowie*.

Przy sposobności pragnę zaznaczyć, że w almanachu tym, powstałym przed laty z inicjatywy Gorkiego, publikuje się przeważnie utwory reportażowe, materiały dokumentalne, rzadziej — opowiadania i wiersze. Redakcja, odstępując niejako od tych tradycji, zamieściła w Nr 19/55 almanachu obszerną powieść K. Lwowej — *Helena*. Obyczajowa ta powieść wywołała ostrą dyskusję w środowisku literackim i wśród czytelników. Na zebraniu prozaików moskiewskich w kwietniu *Helenę* skrytykowano głównie za spłycanie zagadnień moralno-obyczajowych (problem trójkąta małżeńskiego) a także za inne błędy i braki natury artystycznej.

Po tej dygresji wracam do sprawy portretów literackich. Interesujące są zwięzłe portreciki literackie Wł. Lidina — Sejfulinej, M. Pryszwina, A. Jakowlewa, Andersena-Nexö, J. R. Blocka, St. Zweiga, *Ludzie i spotkania*, „*Oktiabr*" Nr 4. Takich portretów i studiów opublikowano w ostatnich czasach dość dużo, zwłaszcza z okazji rocznic wielkich pisarzy — Schillera, Andersena, Manna, Romain Rollanda a także A. Tołstoja i Szołochowa. Na marginesie pragnę poinformować, że ukazał się przekład studium T. Manna o Czechowie („*Nowyj Mir*" Nr 1).

Omówienie działu poetyckiego w czasopismach literackich ubiegłego półrocza przekracza, oczywiście, ramy tego przeglądu. Wspomnę więc tylko o niektórych większych utworach. Na przykład: W Nr 1 „*Oktiabria*" opublikowano poemat liryczny R. Rożdiestwienskiego, *Moja miłość;* A. Prokofiew ogłosił poemat filozoficzno-refleksyjny, *Młodość* („*Nowyj Mir*" Nr 1); ukazały się fragmenty poematu M. Łukonina o Leninie i trzy poematy o Leninie zmarłego przed kilkunastu laty ormiańskiego poety, J. Czarenca („*Nowyj Mir*" Nr. 4). Należałoby też wymienić poemat liryczny W. Fiodorowa, *Daleka* („*Zwiezda*" Nr. 3), krótkie poematy M. Aliger („*Ogoniok*" Nr. 6, „*Nowyj Mir*" Nr. 4), poemat liryczny sędziwego ludowego poety Abchazji D. Gulii — *Moje ognisko* („*Drużba Narodow*" Nr. 6). Z cyklów lirycznych wymienię — S. Narowczatowa *Rozmowę z córeczką* („*Znamia*" Nr 6) oraz nowe wiersze S. Marszaka, St. Szczipaczowa, M. Asiejewa, N. Uszakowa, B. Słuckiego i in.

Ponadto — w rosyjskich czasopismach literackich ukazały się przekłady wierszy poetów białoruskich: P. Browki, M. Tanka, Wł. Mawra, P. Prichodźki i in., poety ukraińskiego L. Pierwomajskiego poety litewskiego, A. Wencłowy, Ormianina G. Emina, poetów baszkirskich, kirgiskich, udmurdckich i in. Z poezji obcej — ukazała się kolumna przekładów poetów czeskich i słowackich („*Zwiezda*" Nr. 5). Osobna wzmianka należy się przekładom wierszy Nazima Hikmeta („*Nowyj Mir*" Nr. 1). Jest wśród nich piękny i szczególnie nas wzruszający *List z Polski*, są wiersze zawierające motywy węgierskie

(*Listonosz, Podróż po Węgrzech*), motywy czeskie (*Wstęp do poematu*).

Z liryki patriotycznej i publicystycznej na wzmiankę zasługuje cykl powieściopisarki Haliny Nikołajewej — *Poprzez dziesięciolecie* („*Znamia*“ Nr. 5); w wierszach tych przewijają się reminiscencje bitwy stalingradzkiej. Podobną tematykę odnajdujemy w cyklu G. Pożemiana *Dziesiąta wiosna* (j.w.). Na wspomnieniach z czasów Wojny Narodowej osnuł *Notatki korespondenta wojennego* O. Kołyczew w cyklu wierszy pt. *Z korpusem gwardii* („*Zwiezda*“ Nr 5). Cykl ballad o motywach wojennych i wojskowych zmarłego przed dwoma laty poety S. Gudzenki pt. *Moje pokolenie* wydrukował miesięcznik „*Znamia*“ w zeszycie lutowym.

Reminiscencje wojenne odnajdujemy również w wierszach publicystycznych L. Reszetnikowa *Tarcza pokoju* („*Znamia*“ Nr 5). W cyklach publicystycznych A. Sofronowa — *Za kanałem La Manche* („*Znamia*“ Nr 1). W. Zacharczenki (autora reportaży i książek fantastyczno-naukowych) pt. *Wierszowany reportaż* („*Ogoniok*“ Nr 14) — autorzy opisują swe wrażenia z podróży zagranicznych.

Na uwagę zasługuje poemat satyryczny Mikołaja Gribaczowa *U naszych znajomych* („*Nowyj Mir*“ Nr 6) — opowieść o „zadufku“ Chołodkowie i jego upadku. Z epiki historycznej wymienić należy wierszowaną opowieść W. Sajanowa o rewolucji 1905 r. pt. *Kołobowowie* („*Zwiezda*“ Nr 1,6).

W prasie literackiej na ogół nie często drukuje się utwory dramatyczne. W ubiegłym półroczu wydrukowano kilka większych dramatów i komedii jak np. *Prolog*, podtytuł — *Obrazy z czasów rewolucji 1905 roku*, A. Sztejna („*Znamia*“ Nr 4).

Tematykę historyczno-rewolucyjną porusza autorka powieści historycznych, Olga Forsz, w sztuce *Kamo*, wydrukowanej w Nr 2 „*Newy*“. Kamo — to partyjny pseudonim działacza bolszewickiego na Zakaukaziu, S. Ter-Petrosjana, głównego bohatera sztuki.

Złota kareta — taki tytuł nosi nowa sztuka obyczajowa Leonida Leonowa, opublikowana w kwietniowym zeszycie „*Oktiabria*“ (prapremiera tej sztuki ma się odbyć w moskiewskim teatrze MCHAT). Autor *Najazdu* z niezwykłą siłą odmalował dramat rodzinny Marii Szczełkanowej, dzielnej przewodniczącej rady miejskiej w małym miasteczku, zniszczonym w czasie działań wojennych. Akcja *Złotej karety* rozgrywa się w kilka miesięcy po zakończeniu wojny. Leonow porusza w sztuce ostre i aktualne problemy walki o oblicze moralne ludzi radzieckich.

Zagadnienia moralne i sprawy nowatorstwa naukowego porusza wybitny dramatopisarz estoński, August Jacobson, w dramacie *Stary dąb* („*Drużba Narodow*“ Nr 6). Główną postacią sztuki jest stary akademik Rianin, który zasklepił się we własnych osiągnięciach naukowych; w bezpłodnej walce z młodymi nowatorami nauki traci siły i zdrowie i wreszcie umiera.

„*Oktiabr*“ (Nr 1) opublikował przekład sztuki islandzkiego pisarza, Haldera Lachsnessa, *Sprzedana kołysanka;* sztukę tę grają obecnie w Moskwie z dużym powodzeniem. Z utworów lżejszego repertuaru wymienię opublikowaną w Nr 6 „*Zwiezdy*“ komedię rewiową W. Polakowa — *Ach, serce!*

Z dziedziny dramaturgii filmowej w prasie literackiej ukazały się dwie poważniejsze pozycje: scenariusz Konstantego Simonowa *Nieśmiertelny garnizon* („*Nowyj Mir*“ Nr 5) opiewa dramatyczne dzieje bohaterskiej miesięcznej obrony twierdzy brzeskiej w czerwcu — lipcu 1941 roku. W daleką przeszłość przenosi czytelnika wydrukowana w Nr 3 „*Drużby Narodow*“ opowieść filmowa W. Witkowicza i S. Uług-Zody *Ibn Sina*, malująca niezwykłą postać, dramatyczne przygody i przeżycia Avicenny.

Józef Spinc

*

Publikowane w bieżącym numerze wspomnienia Leopolda Infelda o Einsteinie ukażą się w formie książkowej w wydawnictwie „Iskry“.

Poezja i dramat

Jaworski Kazimierz Andrzej — *Wiersze wybrane.* 1939—1954. Okładkę projektował Aleksander Gustkiewicz. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie I, str. 98, 2 nl.

Kuśmierek Józef — *Rok 1944.* Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 131, 1 nl.

Satyra

Swinarski Artur Marya — *Satyry.* Ilustrował Daniel Mróz. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955. Wydanie I, str. 288, 6 nl.

Szpalski Karol — *Półsłówka.* Okładka i ilustracje Gwidona Miklaszewskiego. Wydawnictwo Literackie. Kraków,1955, wydanie I, str. 144, 2 nl.

Proza

Andrzejewski Jerzy — *Złoty lis.* Okładkę i stronę tytułową projektował Marek Rudnicki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 145, 2 nl.

Baranowicz Jan — *Kołacz i razowiec.* Redaktor Leszek Herdegen. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955, wydanie I, str. 291, 1 nl.

Bednorz Zbyszko — *Będzie bratem.* Opowiadania. Okładkę i rysunki projektował Jerzy W. Brzoza. Wydawnictwo „Pax", Warszawa, 1955, wydanie I, str. 120, 2 nl.

Boguszewska Helena — *Pozbierane dzieci.* Opracowanie graficzne Marek Rudnicki. Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Warszawa, 1955, wydanie I, str. 214, 2 nl.

Boguszewska Helena i Kornacki Jerzy — *Jadą wozy z cegłą.* Posłowie Mirosławy Puchalskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie III, str. 218, 1 nl.

Dobraczyński Jan — *Pustynia.* Książkę zdobiła Anna Rechowicz. Wydawnictwo „Pax". Warszawa, 1955, wydanie I, str. 312, 3 nl.

Dobrowolski Stanisław Ryszard — *Drugi notatnik warszawski.* Rysunek na okładce Ireny Kuczborskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 123, 2 nl.

Erenburg Ilia — *Upadek Paryża.* Tłumaczył Paweł Hertz. Okładka i opracowanie graficzne Jerzy Jaworowski. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie VI, str. 529, 3 nl.

Fadiejew Aleksander — *Klęska.* Przełożyli z ros. Bolesław Piach i Jerzy Putrament. Słowo wstępne Waldemara Kiwilszo. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1955, wydanie I, str. 216, 2 nl.

Fast Howard — *Droga do wolności.* Powieść. Przełożyła z ang. Zofia Meisnerowa. Posłowiem opatrzył Ludwik Grzeniewski. Biblioteka Laureatów Nagrody Stalinowskiej za utrwalanie pokoju między narodami pod redakcją Jarosława Iwaszkiewicza. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 297, 3 nl.

Forsz Olga — *Zamek Michajłowski.* Powieść. Przełożył z ros. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 259, 1 nl.

Gascar Pierre — *Czas umarłych.* Przełożyli z francuskiego Maria Wisłowska i Bolesław Kielski. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 109, 2 nl.

Hesse Herman — *Pod kołami.* Przełożyła z niemieckiego Edyta Sicińska, posłowiem opatrzył Marceli Ranicki, okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 201, 2 nl.

Jarochowska Maria — *Na wsi.* Część I. *Dziadowska miłość.* Okładkę i obwolutę projektował Marek Rudnicki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 342, 2 nl.

Kietlińska Wiera — *Męstwo.* Przełożyła z ros. Wacława Komarnicka. Tom I i II. Państwowe Wydawnictwo „Iskry". Biblioteka Jaskółki. Warszawa, 1955, wydanie II, t. I str. 331, 1 nl; t. II str. 575, 1 nl.

Konarski Ryszard — *Wiosna i lato.* Reportaże wiejskie. Okładkę i stronę

tytułową projektował Ryszard Świętochowski, zdjęcia Ryszarda Konarskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1955, wydanie I, str. 184, 2 nl.

Koźniewski Kazimierz — *Piątka z ulicy Barskiej.* Okładkę projektowała Irena Kuczborska. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1955, wydanie VI, str. 220, 2 nl.

Łacis Wilis — *Ku nowemu brzegowi.* Przełożyli z ros. Wanda i Władysław Broniewscy. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Biblioteka Laureatów Nagrody Stalinowskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 666, 2 nl.

Meissner Janusz — *Niebieskie drogi.* Obwolutę projektował Janusz Grabiański. Państwowe Wydawnictwo „Iskry". Warszawa, 1955, wydanie II, str. 332, 4 nl.

Panowa Wiera — *Pory roku.* Tłumaczyła Wiera Anisimow-Bieńkowska. Okładka i opracowanie graficzne Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie I, str. 344, 3 nl.

Pruszyński Ksawery — Opowieści. Wstęp Kazimierza Koźniewskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa. 1955, wydanie I, str. 334, 2 nl.

Rolleczek Natalia — *Drewniany różaniec.* Rysunek na okładce Marii Hiszpańskiej-Neumann, okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Warszawa, 1955, wydanie czwarte, str. 262, 2 nl.

Rudnicki Adolf — *Żywe i martwe morze.* Obwolutę, oprawę i kartę tytułową projektował Jan Młodożeniec. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie II rozszerzone, str. 709, 2 nl.

Rusinek Michał — *Wiosna admirała.* Powieść historyczna. Tom I i II. Przypisy i redakcja Tomasza Jodełki. Biblioteka Jaskółki. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1955, wydanie III poprawione, t. I, str. 257, 1 nl. t. II. str. 247, 1 nl.

Szulecka Maria — *Wyboje.* Powieść. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. „Czytelnik", Warszawa, 1955, wydanie I, str. 564, 3 nl.

Undset Sigrid — *Olaf syn Auduna.* Z niem. przełożyła Wanda Kragen. Posłowie i przypisy opracował Stefan Lichański. Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski, rysunki wykonała Teresa Stankiewicz-Chamielec. Tom I i II. Wydawnictwo „Pax", Warszawa, 1955, wydanie III, t. I. str. 484, t. II. str. 459, 1 nl.

Warszawa naszej młodości — Boguszewska Helena, Dąbrowska Maria, Leszczyński Jerzy, Małkowski Henryk, Nałkowska Zofia, Radwański Tadeusz, Słonimski Antoni, Szaniawski Jerzy, Zaruba Jerzy. Przygotował do druku Adam Mauersberger. Ilustrowali: Mieczysław Piotrowski, Andrzej Jurkiewicz, Władysław Daszewski, Jerzy Srokowski, Jerzy Zaruba. Obwoluta, karta tytułowa, zdobniki i opracowanie graficzne Marka Rudnickiego. Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Warszawa, 1955, wydanie II, str. 281, 2 nl.

Wiktor Jan — *Orka na ugorze.* Posłowiem opatrzył Andrzej Kijowski. Ilustrowała Halina Chrostowska. Złota Biblioteka, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie II, str. 375, 1 nl.

Wygodzki Stanisław — *Pusty plac.* Opowiadania. Okładkę projektowała Zofia Juszczyk-Sadowska. Państwowy Instytu Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 332, 2 nl.

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy Literatury polskiej

Czartoryski Adam Kazimierz — *Komedie.* Opracowała Zofia Zahrajówna. Okładkę projektowała Ewa Frasztak-Lubuska. Polska Akademia Nauk, Instytut Badań Literackich. Teatr Polskiego Oświecenia pod redakcją Jana Kotta. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 464, 3 nl.

Mickiewicz Adam — *Dzieła.* Wydanie Narodowe. Tom XVI. Listy Część III. W opracowaniu Stanisława Pigonia i Leona Płoszewskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1955; str. 683.

Orzeszkowa Eliza — *Bene nati.* Powieść wiejska. Wstęp napisała Maria Żmigrodzka. Wydanie I. „Czytelnik", Warszawa, 1955; str. 197, 3 nl.

Prus Bolesław — *Kroniki.* Tom IV Z prac Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Opracował Zygmunt Szweykowski; redaktor naukowy Jan Baculewski; teksty kronik kolacjonowali i przygotowali do druku Tomasz Jodełka i Danuta Stępniewska; indeksy zestawił Józef Cybertowicz. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 683, 1 nl.

— *Obrazki Warszawskie.* Wstępem opatrzył Zbigniew Mitzner. Ilustracje Franciszka Kostrzewskiego. Biblioteka Jaskółki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 338, 2 nl.

— *Michałko.* Tekst oparty na zbiorowym wydaniu *Pism* Bolesława Prusa pod redakcją Z. Szweykowskiego, „Książka i Wiedza" 1950 r. t. IV. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955; wydanie V, str. 35, 1 nl.

Wolski Włodzimierz — *Utwory wybrane.* Z prac Instytutu Badań iLterackich, Polskiej Akademii Nauk; redaktor naukowy Maria Żmigrodzka. Wyboru dokonał, teksty i przypisy opracował Tomasz Jodełka. Wstępem opatrzyła Krystyna Leśniewska. Opracowanie graficzne Irena Stankiewicz. „Czytelnik", Warszawa, 1955; str. 648, 2 nl.

Klasycy literatury obcej

Arystofanes — Wybór komedii. *Osy; Pokój; Ptaki; Tesmoforie.* Przełożył i opracował Stefan Srebrny. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1955, wydanie I, str. 506, 2 nl.

Byron — *Wędrówki Childe Harolda.* Dramaty. Przełożyli Jan Kasprowicz, Józef Paszkowski. Słowem wstępnym i przypisami opatrzył Juliusz Żuławski. Z Pism Byrona pod redakcją Juliusza Żuławskiego. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1955, wydanie I, str. 569, 2 nl.

Gorki Maksym — *Pisma.* Wydanie w szesnastu tomach pod redakcją Tadeusza

Zabłudowskiego. Słowo wstępne Leona Kruczkowskiego. Tom 4. Utwory dramatyczne 1901—1906. Tłumaczyli: Stanisław Brucz, Paweł Hertz, Seweryn Pollak, Anna Kamieńska i Jan Śpiewak, Andrzej Stawar. Redaktor tomu Paweł Hertz. Okładkę i obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 900, 4 nl.

Hauptmann Gerhart — *Tkacze.* Sztuka z lat czterdziestych XIX wieku. Przełożył Wilhelm Szewczyk. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie I, str. 145, 1 nl.

Lermontow Michał — *Hiszpanie.* Tragedia w 5 aktach. Przełożył Jerzy Zagórski. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1955, wydanie I, str. 158, 1 nl.

Thackeray William Makepeace — *Rodzina Newcome'ów.* Tom I i II. Przełożył Tadeusz Dehnel. Posłowiem opatrzyła Irena Dobrzycka. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955; wydanie I, tom I str. 540, 4 nl.; t. II str. 540, 4 nl.

Turgeniew Iwan — *Szlacheckie gniazdo.* Przełożył Jerzy Jędrzejewicz, posłowiem opatrzył Paweł Hertz, okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955, wydanie III, str. 214, 1 nl.

ET 15

037470

W najbliższych numerach ukażą się:

Maria Dąbrowska

SZKICE Z PODRÓŻY

Roman Karst

O TOMASZU MANNIE

Julian Przyboś

TRZY WIZJE

Andrzej Stawar

O GAŁCZYŃSKIM

Anna Świrszczyńska

NOWE POEMATY

Mirosław Żuławski

DRZAZGI BAMBUSA

Cena 7.— zł